



ZBRODNIA I KOJOT

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

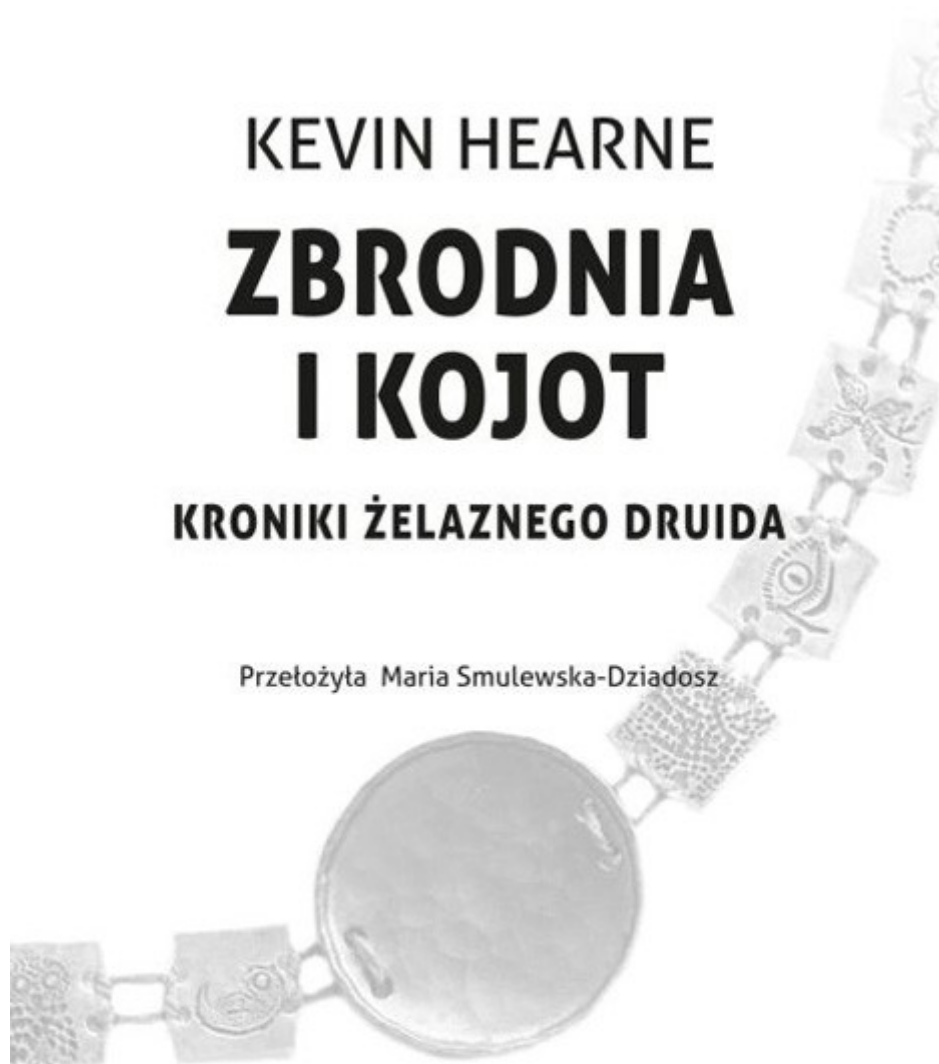
KEVIN HEARNE



KEVIN HEARNE
**ZBRODNIA
I KOJOT**

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska-Dziadosz



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Alanowi O'Bryanowi,
który odważnie pochyla się
nad moim słowotokiem
i każe mi go oczyścić ze wszystkich śmieci.
Jest wspaniale krytycznym czytelnikiem
i najlepszym z przyjaciół. To nie zbrodnia.*



Wskazówki dotyczące wymowy

Nie bez powodu nawahijscy szyfranci byli tak cenieni przez marynarkę podczas drugiej wojny światowej. Ich język – choć piękny – naprawdę trudno opisać bez głosek bezdźwięcznych zwartych krtaniowych, siedmiu trybów i niezliczonych aspektów czasownika. Nawahowie nie mają też właściwie przymiotników, a jedynie przymiotnikowe formy odczasownikowe. Jak bardzo może ten język wszystko komplikować, ilustruje choćby fakt, że nie ma w nim jednego czasownika „dać” – jest jedenaście różnych czasowników używanych w zależności od rozmiaru i kształtu danego przedmiotu. W niniejszej książce nie używam wielu słów z tego języka, ale staram się wyjaśnić choć trochę przynajmniej te kilka, które wybrałem. Żadne z tych słów nie jest czasownikiem. Należy wziąć także pod uwagę, że tak jak w angielskim są różne dialekty, tak i w nawahijskim występują różnice w wymowie, która może być trochę inna zależnie od tego, w której części Kraju Nawahów akurat jesteśmy.

Język Nawahów

Áłtsé Hashké = Atse Haszke (Pierwszy Wściekły, Pierwszy Rozzłoszczony lub Pierwszy Rugający. Prawdziwe imię Kojota, jednego z Pierwszych Ludzi)

Áńł'įh = Unti (Przekłeta Droga lub Droga Trująca Ciało)

Ch'įdii = czy di (Duch, ta część duszy, która w chwili śmierci nie była w harmonii z wszechświatem)

Diné = Dine (Lud, ludzie. Tak Nawahowie określają samych siebie. Termin „Nawaho” wprowadzili Hiszpanie (*Navajo*) i tak już zostało. W mojej książce sztuka naśladuje życie, toteż Diné mówią o sobie Diné, a wszyscy inni, w tym także Atticus, nazywają ich Nawahami)

Diné Bahane' = Dine Bahane (Historia Ludzi. Mit o stworzeniu świata, którego fragmenty pojawiają się w różnych rytuałach)

Hataa'ii = hatahli (Pieśniarz, osoba, która śpiewa podczas uroczystych okazji i tworzy piaskowe obrazy mające znaczenie w wielu rytuałach, od błogosławienia budynków po przywracanie harmonii tym, którzy ją utracili; krótko mówiąc: uzdrowiciel)

Hózhó = hozho („Bardzo dobrze” lub „wielka energia”, wszystko, co piękne i pełne harmonii, a co zwykliśmy czasem nazywać „błogosławieństwem”. Prawdę powiedziawszy, nie da się tego za dobrze przetłumaczyć. To jedno z tych słów, które są po prostu zbyt wielkie, by je tłumaczyć)

Hózhóji = Hozhodzi (Błogosławiona Droga)

Níłch'i = nilcze (Dosłownie: „powietrze”, ale w opowieściach także nazwa wiatru. No i to „ł” nie wymawia się w zasadzie jak „l”, tylko tak bardziej gardłowo, zza zębów, dlatego „ł” w wymowie to tylko takie żalosne przybliżenie)

Niesamowita góra

Tyende Mesa – Tijeinde (Stoliwo Tyende położone jest około dziesięciu mil na

południowy zachód od Kayenty. Ten piaskowiec po prostu poraża swoim pięknem – tylko nie pakujcie się tam w deszcz, a przynajmniej wspinajcie się wtedy naprawdę szybko, bo powodzie błyskawiczne nazywają się tak nie od parady)

Wyjątkowo ciekawy rosomak

Faolan = Fłejłołn (Na marginesie: to już nie jest słowo z nawahijskiego, tylko irlandzkie)

Tuatha Dé Danann

Ogma = Ogma (To jest inne ,o' niż to w „Aenghus Óg”, bo tamto ma znak diakrytyczny, czyli wymawia się je długo. To natomiast jest krótkie ,o'. Uważa się, że to Ogma nauczył druidów między innymi pisma ogamicznego)

Rozdział 1

Najlepszy trik, jaki mi się kiedykolwiek udał, to patrzenie na własną śmierć. Uważam, że naprawdę nieźle mi to wyszło. Znaczący jest umieranie, nie patrzenie.

Kluczowym elementem dobrej śmierci jest ostatni okrzyk – pełen bólu i wściekłości, lecz pozbawiony fałszywej nuty wyrażających strach pisków czy błagania o litość. W takim przekonaniu w każdym razie tkwił mój ojciec – a bardzo niewiele jego przekonań pozostało mi w pamięci. Zginął, próbując ukraść czyjeś krowy. Dziś byłaby to dość żalсна śmierć, ale w Irlandii przed naszą erą była to zaszczytna i męska rzecz, a kradzież taka zwała się szumnie *abigeatus*. Ojciec zresztą musiał mieć jakieś przeczucie, że spotka go taki los, bo nim wybrał się na ten szaber, podzielił się ze mną opinią na temat porządnej śmierci i nigdy nie zapomnę jego ostatnich słów: „Mężczyzna może się zesrać po śmierci, synu, ale nie przed. Zapamiętaj to sobie, dziecko, żebyś – kiedy nadejdzie czas – nie narobił bałaganu jak jakaś baba. A teraz zjeżdżaj taplać się w bagnie”.

Jak wiele durnych kodeksów honorowych samo gęste słów mojego ojca można by skrócić do jednego, prostego sloganu: „Umieraj wściekły i najgłośniej jak się da” (ciche umieranie było w ogóle wykluczone; trudno żeby ostatni druid na świecie wchodził łagodnie do tej dobrej nocy).

W rzadkich chwilach niedomagania zastanawiałem się czasem, jak będzie wyglądała moja ewentualna śmierć. Wydawało mi się zawsze, że najpewniej nastąpi gdzieś na ulicy wielkiego miasta, gdzie odcięty od mocy ziemi nie dostanę już drugiej szansy, która pozwoliłaby mi zobaczyć świt. Miałem tylko nadzieję, że kres nadejdzie w jakimś wypasionym mieście z zajefajną nazwą w stylu Katmandu, Bangkok albo może Climax (to akurat w Michigan). Nigdy nie przypuszczałem nawet, że umrę w tak wysuszonym miejscu jak Tuba.

Położone na południowym zachodzie Kraju Nawahów w Arizonie miasto Tuba wybudowane zostało na płaskowyżu z czerwonego piaskowca bez żadnych widocznych przyczyn ekonomicznych. Pierwsze pytanie, jakie ciśnie się tu na usta (poza: „To gdzie jest ta tuba?”), brzmi: „Dlaczego ktokolwiek tu w ogóle mieszka?”. Czerwone skały może i mają swój tajemniczy urok, ale poza tym Tuba ma masę kurzu, natomiast żadnych drzew i nowoczesnych udogodnień o wątpliwej wartości typu pola golfowe czy kafeterie. Ma niby jakieś bajoro i pastwiska w kanionie, ale szczerze mówiąc, to naprawdę zadziwiające, że dziewięć tysięcy dusz postanowiło wybrać sobie taki akurat adres.

Na północnym obrzeżu miasta, gdzie szosa rezerwatu przecina się z drogą numer 6220, z pustyni wyrasta wielka biała wieża ciśnień. Pod nią wala się kilka rozklekotanych przyczep, a potem już nic tylko skaliste wzgórze usiane krzaczkami, które postanowiły wbrew logice podjąć ryzyko życia na kilku centymetrach piaszczystej gleby. Przyleciałem tu, na sam wierzchołek wieży, w postaci sowy, w pazurach niosąc sobie małą lornetkę, i teraz leżałem już jako człowiek, ale za to zakamuflowany, i spoglądałem na północny wschód, gdzie właśnie miała nastąpić ta zbrodnia.

Nie było innego wyjścia. Morrigan w wizji na jawie ujrzała moją śmierć, a ona nie zwykła mieć takich wizji, póki sytuacja naprawdę nie robi się poważna i nieunikniona. To jakby James Earl Jones powiedział ci głosem Dartha Vadera: „Takie jest twoje przeznaczenie”. I szczerze mówiąc, chyba sobie na to zasłużyłem. Byłem ostatnio trochę niegrzeczny, a wręcz – z perspektywy czasu patrząc – wybitnie głupi. Tylko dlatego że nie chciałem złamać danego słowa, zabrałem Leifa Helgarsona do Asgardu, by mógł sobie ubić Thora, i nawet mu się udało, tylko że przy okazji wymordowaliśmy kilku nadprogramowych Azów, a Odyna zmieniliśmy w warzywko. W rezultacie pozostali bogowie nordyccy uparli się teraz, że mam koniecznie odrzucić swoją śmiertelną powłokę, a wtórowało im kilku bogów piorunów, którzy odebrali zabicie Thora jako osobistą zniewagę wszystkich pioruńskich spraw.

Wybudowawszy okręty pogrzebowe do spalenia poległych i poprzysięgłszy zemstę (niektórzy naprawdę traktują kwestie wendety jak bufety „jesz, ile chcesz”), Azowie wysłali Týra i Widara za niedobitkami naszej drużyny. Pojęcia nie miałem, gdzie ukrywali się aktualnie Perun i Zhang Guo Lao, ani nawet, czy Hrym i mroźne olbrzymy zdołali wydostać się z Asgardu. Leif był bezpieczny, bo na oczach Azów Thor roztrzaskał mu czaszkę Mjöllnirem. Dzięki specyficznym wampiryzm zdolnościom regeneracji i starannej opiece doktora Snorriego Jodurssona Leif w sumie nie umarł, ale wciąż jeszcze nie wiedzieliśmy, czy w pełni doszedł do siebie.

Ja natomiast w ogóle nie byłem bezpieczny, bo miałem ludzi, którymi musiałem się zająć. Perun mógł sobie spokojnie spędzić najbliższe stulecie w postaci orła, a wtedy nikt go nie zdoła znaleźć. Zhang Guo Lao posiadał, z tego co słyszałem, zdolność osiągania prawdziwej niewidzialności, jeśli się nie ruszał, więc jego też w życiu nie znajdą. Ja mogłbym z kolei uciec do jakiejś miłej krainy i tam się bezpiecznie skryć. Mogłbym nawet zabrać ze sobą Oberona i Granuaile – tylko że bez kontaktu z żywiołakami Ziemi Granuaile nie mogłaby kontynuować swojej druidzkiej nauki. A świat ponad wszystko potrzebuje więcej druidów. Mój wybór sprowadzał się więc do takiej alternatywy: zostać na Ziemi i umrzeć albo opuścić ją i skazać tym samym na powolną śmierć przez zaniedbanie. Co *summa summarum* raczej by nie pomogło, jako że wszystkie krainy są z Ziemią połączone i też by wtedy przepadły.

Toteż postanowiłem zostać i zginąć. I to robiąc dużo hałasu.

Týr i Widar całkiem szybko mnie znaleźli (to jest gdy już udało im się ustalić, kogo szukają). Sam sobie popsułem kamuflaż kilka miesięcy wcześniej, kiedy zabiłem Aenghusa Óga, teraz więc chyba każda paranormalna czy supernormalna istota mogła im wskazać drogę do Arizony. Osaczyli mnie właśnie w Tubie, ciągnąc ze sobą aż pięciu bogów piorunów dla pewności: Ukko z Finlandii, Indrę z Indii, Leigonga z Chin, Raijina z Japonii i Szango z Nigerii. Wszystko to byli bardzo potężni bogowie i niezwykle przez swoje ludy umiłowani, ale mało jest akurat przypowieści, które by wychwalały ich mądrość i spryt.

Taki Indra na przykład. Bez wątpienia najpotężniejszy z całej tej zgrai. Miał też reputację psa na baby (czego mnie akurat może nie wypada krytykować), a przez tę skłonność nieraz wpakował się w niezłe tarapaty. Kiedyś zachciało mu się poznać bliżej żonę pewnego czarownika, który oczywiście od razu się zorientował, że Indra

jest w jego chacie, i wymyślił karę godną samego mistrza Dantego: uznawszy, że bogu piorunów tylko waginy w głowie, rogacz nałożył na Indrę klątwę, która objawiała się tysiącem wagin na całym ciele. Indra musiał tak chwilę chodzić po bożym świecie, póki nie ulitował się nad nim Kryszna, który zmniejszył jego cierpienie, zmieniając te waginy w oczy. Strach pomyśleć, ile go rocznie kosztuje optyk.

– Wszyscy razem wzięci nie mają więcej rozumu niż jeden wróbel – stwierdziła Morrigan, która przycupnęła w swej wroniej postaci na wieży obok mnie i pilnowała, żeby zbrodnia przebiegła zgodnie z jej wizją.

Z początku obydwójce martwiliśmy się tą przepowiednią mojej śmierci – ona, bo to by oznaczało złamanie danego mi słowa, a ja z oczywistych względów – potem jednak przypomniałem sobie o Planie Ostatecznym. Plan O w zasadzie narodził się w mojej głowie, zanim Morrigan raczyła opowiedzieć mi o swojej ewokacji, ale po jakimś czasie uzmysłowiłem sobie, że przecież Plan O idealnie realizuje jej wizję mojej śmierci, a zarazem nie wymaga ode mnie, żebym rzeczywiście umarł. Teraz patrzyliśmy z lekkim rozbawieniem, jak ktoś wyglądający jak ja przeklina otaczających go bogów piorunów i zwraca im uwagę, iż są pomiotem napuchniętych, czerwonych tyłków pawianów. Stał w błotnistej kałuży, a oni piorunowali go bez żadnych skutków.

– Nie bądź dla nich taka surowa, Morrigan – odparłem. – W końcu jednak udało im się mnie tu namierzyć.

– Dopiero kiedy pozwoliłeś tej swojej śmiesznej kopii wygłupiać się na oczach wszystkich przez okrągły tydzień. Ale niech ci będzie: mają tyle rozumu co dwa wróble.

Atticus O'Sullivan, którego właśnie atakowano, wyglądał kropka w kropkę jak ja. Tatuaze na jego prawym boku były dokładnym odbiciem moich. Lekko kręcona szopa rudych włosów lśniłaby pięknie w promieniach słońca, gdyby nie lały się na nią strumienie deszczu, a charakteru dodawała mu kozia bródka. Jego niewyparzony język irlandzki właśnie był w użyciu, a w kieszeniach dżinsów kryły się mój portfel i komórka. Na srebrnym łańcuszku na jego szyi wisiał amulet z żelaza i pięć charmsów, a z tyłu fulguryt, który chronił go przed piorunami. Fulguryt był zupełnie prawdziwy, ale amulet i charmsy tyle były warte co zwykłe świecidełka. W prawej dłoni miał Fragaracha – najprawdziwszego w świecie, nie żadną podróbkę (dla zwiększenia wiarygodności).

Mimo to jednak mądry wróg nie dałby sobie zamydlić oczu. Moja imitacja nie miała przy sobie ani Oberona, ani Granuaile, a przede wszystkim nie wykrzesła z siebie jak dotąd ani jednego druidzkiego splotu. Choć te typki pewnie by się nawet nie zorientowały, gdyby jakiś splot jednak rzucił. Wciąż nie zaprzestawały prób usmażenia go elektrycznością.

– Co oni sobie w ogóle myślą? – zapytywała retorycznie Morrigan. – Skoro pierwsze sto piorunów nie poskutkowało, to z pewnością sto pierwszy zadziała?

– Taka strategia wymagałaby umiejętności liczenia – zauważyłem – a nie mogą jej posiadać, skoro łącznie ich mózgi nie przekraczają masą szarych komórek dwóch wróbli.

– Słuszna uwaga – zgodziła się Morrigan.

Týr, nordycki bóg pojedynku, machnął na grzmocących bogów, żeby ustąpili mu miejsca, i ruszył na mojego sobowtóra z toporem i tarczą. Widar, syn Odyna, szedł tuż za nim, a uzbrojony był w półtorak. Bogowie piorunów zstąpili na błotnistą ziemię za podróbą Atticusa, żeby odciąć mu drogę ucieczki.

Biedny Týr najwyraźniej nic nie wiedział o Fragarachu.

Jedynym Asgardczykom, którzy widzieli go w użyciu, zmarło się akurat zaraz potem, toteż biedaka nikt nie poinformował, że ten prastary miecz irlandzki wchodzi w każdą zbroję czy tarczę jak piła łańcuchowa w mozzarellę. Týr przykucnął pod tarczą, a mój falsyfikat natarł na niego zgodnie z oczekiwaniami publiczności. Týr zamierzał pewnie przyjąć uderzenie na tarczę, a potem zadać szybki cios toporem. Uderzenie na tarczę przyjął. Tak dobrze, że Fragarach przeszedł lekko przez jego tarczę, ramię i tors. Wszyscy – mojego sobowtóra nie wykluczając – zamarli na chwilę, widząc rozdarcie Týra. Dosłowne rozdarcie.

Pierwszy oprzytomniał Widar, bóg zemsty. Wrzeszcząc: „Za Odyna!”, wbił miecz w nieosłonięty lewy bok przystojnego Irlandczyka. Trafił pod żebro, z pewnością przebijając płuco, a może i wątrobę. Mężczyzna, który był niby-mną, zawył imponująco: „Aaaaa! Grrr!!! Wrr!”, po czym usiłował jeszcze zamachnąć się Fragarachem, ale opadł z sił. Widar wyrwał miecz z jego ciała z dźwiękiem przypominającym nieprzyjemne siorbanie, a pseudodruid padł w błoto.

Wtedy okazało się, że coś tam jednak wiedzą o druidach, bo postanowili tego tak nie zostawiać. Nie chcieli dać mi szansy na zagojenie tych – śmiertelnych dla normalnych ludzi – ran. Rzucili się więc wszyscy na ciało i poszatkowali je starannie wszelkimi dostępnymi w danej chwili, wielgachnymi, boskimi, fallusopodobnymi narzędziami ostrymi i tępymi. Z tej miazgi to ja bym naprawdę już nie ozdrowiał.

– Fuj – wzdrygnąłem się. – Ale bałagan.

– Tak – wycedziła Szafarka Śmierci. – Zatem zakończmy to raz na zawsze. – I w strugach deszczu sfrunęła z wieży właśnie w chwili, gdy Widar zaprzestał swoich prac rzeźniczych i uniósł pięść ku niebu, rycząc:

– Zemsta jest moooja!

Prychnąłem cicho.

– Marzenia, te duże i te maleńkie – zanuciłem pod nosem.

Morrigan z definicji jest istotą przerażającą, ale kiedy chce, to może sobie tę cechę podkręcić do jedenastki jak nic. Wtedy jej czerwone ślepia żarzą się nieprzyjemnie, a w głosie pojawiają się niższe harmoniczne nuty, które nieodmiennie wywołują u napotkanych przez nią nieszczęśników skurcze jelitowe i piskliwe jęki strachu. W każdym razie, kiedy tymi nieszczęśnikami są ludzie. Bogowie z reguły trochę lepiej to znoszą. Ale nawet oni wzdrygają się wyraźnie.

Kilka metrów od grupki bogów Morrigan przybrała swoją ludzką postać (czytaj: smukła uwodzicielka o mlecznobiałej skórze i czarnych jak węgiel włosach) i ruszyła w ich stronę.

– Przybyłam po druida – zagrzmiął jej głos.

Bogowie podskoczyli odruchowo, a zaraz potem przykucnęli w pozycjach obronnych. Nie uspokoili się, gdy zobaczyli, że Morrigan jest nieuzbrojona, a ściślej mówiąc, zupełnie naga, z czego należy wnioskować, że być może jednak każdy z nich był w posiadaniu jakiegoś mózgu. Morrigan bowiem nie potrzebowała ani broni,

ani zbroi (ani tym bardziej żadnych łaszków), by wyrządzić im poważną krzywdę. Tylko Indra wodził wzrokiem po całym jej ciele, jakby szukał broni czy co.

– Kim jesteś? – ryknął Szango. Mimo sporej odległości i szumu ulewy można było słyszeć każde ich słowo, bo żeby się nawzajem pozastraszać, każdy z nich włączył GodSurround, wykorzystując przy tym pogłos, jaki dawały chmury.

– Jam jest Morrigan, celtycka Szafarka Śmierci – oznajmiła, podchodząc do nich bez krztyny strachu. – Cień druida jest mój, tak jak i jego miecz.

– Jego miecz? – zdenerwował się Widar. – Miecz należy się mnie, wygrałem go w uczciwej walce!

Trochę się z tym jednak spóźnił, bo Morrigan już podnosiła broń.

– Miecz jest własnością Tuatha Dé Danann. Druid ukradł go nam podstępnie. – Jakoś nic nie wspomniała o tym, że podstęp ten był jej autorstwa.

– Ale ja go od niego wygrałem w walce! – awanturował się Widar.

– Strzeż się, bożku! – Głos Morrigan dosłownie zazgrzytał groźbą w napiętej atmosferze. – Nie myl mnie z jedną z waszych walkirii. Zabiłeś druida, pomściłeś swoich ludzi, jako ci się należało. Nie wyobrażaj sobie jednak, że będziesz bezkarnie zagrażał prawom Tuatha Dé Danann.

Widar cały się najeżył. Nie spodobało mu się, że jakaś goła laska poucza go przed całą paczką boskich macho. Brak reakcji na takie traktowanie oznaczałby utratę mnóstwa punkcików testosteronowych. Czy starczy mu inteligencji, by odpuścić? Zacisnął szczękę, wyciągnął lewicę i skinął palcem.

– Oddaj mi miecz, kobieto, albo sam ci go odbiorę. – Nie. Zero inteligencji.

Uśmiech Morrigan był szeroki i szalony, gdy stanęła w pozycji obronnej, Fragaracha unosząc wysoko nad głową.

– A zatem chodź i go sobie weź.

I tak Widar wpadł w pułapkę, którą sam na siebie zastawił. Wciąż jeszcze mógł się z niej wymknąć tylnym wyjściem – mógł się roześmiać i powiedzieć coś w stylu: „Tylko sobie żartowałem. Zabieraj ten magiczny miecz, co mi tam”, a wróciłby do Asgardu jako bohater, może nawet przejąłby władzę w swojej krainie. Mógłby przecież wkroczyć do Gladsheimu i pozostałym przy życiu Azom powiedzieć: „Sprzątnąłem tego typka, który zabił Frejra i Týra, a Odyna zmienił w kalekę”, a oni wyprawiliby na jego cześć wielką ucztę i na pewno niejedna wskoczyłaby mu do łóżka. Ostatnią rzeczą, jaką należało w tym momencie zrobić, było wsłuchiwanie się w podszepty swojej duszy macho i walka z boginią, której główną cechą jest decydowanie o tym, kto zginie w walce. Czy zdawało mu się, że jest niezwyknięty? Czy nie zauważył jeszcze, że wszystkie prorocтва nordyckie przepadły, Norny nie żyją, a wielu z bogów, którzy mieli polec dopiero podczas Ragnaröku, już dawno zginęło? Jego przeznaczeniem nie było już zabicie Fenrisa w ostatecznej, krwawej zadymie. Moja wycieczka do Asgardu i smętne resztki Týra udowodniały jedno: Azowie mogą w każdej chwili kopnąć w kalendarz.

Ale nie. Durnowaty musiał rzucić się na Morrigan.

– Za Odyna! – wrzasnął jeszcze, uznając widać, że okrzyk ten przynosi szczęście, skoro przed chwilą zadziałał na druida.

Lecz Morrigan nie tylko nie straciła właśnie równowagi, jak przytrafiło się to mojemu poległemu sobowtórowi, ale i miała na swoje zawołanie całą moc ziemi, o

boskich właściwościach nawet już nie wspominając. Gdy Widar rzucił się na nią, bogini odskoczyła w okamgnieniu i błyskawicznym ruchem zamachnąwszy się trzymanym w obu rękach mieczem na jego plecy, rozplątała go na dwoje, przy czym górna część jego ciała wystrzeliła w powietrze i wylądowała z piętnaście metrów dalej, a dolna zrobiła jeszcze jeden niepewny krok i opadła na ziemię.

Morrigan obróciła się twarzą do pozostałych bogów piorunów, nim jeszcze głowa i ramiona Widara zdążyły chlupnąć w błotko. Stała, wzywając ich do ataku, lecz oni nie przejawiali takich intencji. Zgodnym chórem rzekli natomiast:

– Ooo – po czym oklaskali ją cicho i z wdziękiem w uznaniu widowiskowej rzezi.

– Piękny cios – rzekł Szango.

– Ostrzegłaś go, ale nie traciłaś czasu na gierki. To mi się podoba – dodał Leigong.

– Wspaniałe zagranie, godne najlepszego samuraja – chwalił Raijin.

– Imponująca zręczność i siła – podlizwał się Indra, nim beknął pioruńsko.

– Zaczepisty trik! – orzekł Ukko, uśmiechając się pod brodą, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że skumplowalibyśmy się bez trudu, gdyby nie to, że chciał akurat mojej śmierci.

– Nikt zatem nie sprzeciwia się temu, bym zabrała Fragaracha? – dopytywała się Morrigan, a bogowie piorunów pokręcili głowami i zapewnili ją, że ich zdaniem najlepiej będzie, jeśli go sobie zatrzyma na własność.

– Czas mnie nagli – rzekł Indra. – Lecz nim pójdę, czy moogłabyś pootwierdzić, że ten człoowiek naprawdę nie żyje? – I wskazał walające się wokół kawałki ciała, które jeszcze przed chwilą wyglądało jak moje. Od tego niewinnego gestu jego ciało zatoczyło się lekko i zrozumiałem, że jego dziwnie bełkotliwy sposób mówienia wynika ni mniej, ni więcej z upojenia somą. Kilka z jego tysięcy oczu już się przymknęło, a reszta mrugała rozpaczliwie, jakby walcząc ze snem. Zatem to prawda: Indra rzeczywiście nadużywał somy, tak jak głosiły legendy. – Ten człoowiek rzucał kalumnię na moję... na mooich przoodków – dodał, jakby to wyjaśniało, dlaczego praktycznie poćwiartował oszukanego Atticusa. Właściwie to swoją wielgachną maczugą przerobił kawałki tego biednego ciała na purée.

– Jest zupełnie martwy – wydała orzeczenie Morrigan. – Jego cień opuścił już tę krainę.

– W takim razie cieszę się, że sprawiedliwoości stało się zadoość – odparł uroczyście Indra. – Bardzą miłą była cię pooznać, Moorrigan. Moozę kiedyś, w jakich szczęśliwszych ookooolicznosciach ty i ja mooglibyśmy...

Ale oczy Morrigan rozbłysły taką czerwienią, że jego tysiąc powiek zamrugało z przerażenia.

– Mniejsza z tym – wybąkał jakby trzeźwiej i zniknął w przestworzach.

Pozostali bogowie pośpiesznie ruszyli za jego przykładem, wymieniając pożegnalne uprzejmości, i zostawili Morrigan w to zimowe popołudnie samą na miejscu zbrodni. Deszcz zmywał już krew z ciała bogini i z głowni Fragaracha. Morrigan potoczyła spojrzeniem po pozostałościach rzezi i wybuchnęła śmiechem.

Rozdział 2

Gratulacje – zakrakał głos Morrigan w mojej głowie. To była nowość. Dotąd ani ona, ani żaden inny Tuatha Dé Danann nie przejawiali zdolności do komunikowania się z ludźmi telepatycznie. Co takiego się zmieniło? – *Oto przeżyłeś własną śmierć* – ciągnęła. – *Pięciu bogów piorunów poniesie wieść o twoim zgonie do wszystkich panteonów. W końcu będziesz mógł sobie prowadzić bardzo nudne życie.*

Czy w takim razie słyszała też moje myśli?

Sprzedane! Bardzo chętnie się ponudzę! – powiedziałem mentalnie tak, jakbym mówił do Oberona.

Wyglądało na to, że słyszy mnie doskonale. Machnęła czubkiem Fragaracha nad pozostałościami Pseudo-Atticusa. *Pewien jesteś, że ten rdzenny bóg sobie poradzi?*

Głowę daję, że zmartwychwstanie bez żadnych problemów – potwierdziłem. – *Kojota nie da się zabić. Znaczący: da się, jak widać na załączonym obrazku, ale zawsze wróci.* Na tym zresztą zasadzał się mój Plan Ostateczny: Kojot zgodził się przyjąć moją postać i umrzeć za mnie, a ja wyświadczę mu za to pewną przysługę. Niemalą.

To przemielone ciało się odrodzi? – spytała z niedowierzaniem Morrigan.

Nie. Magia Kojota, tak jak nasze przepostaciowanie się, łamie z wdziękiem prawo zachowania masy.

Tak jak wszystkie Stare Drogi.

Ano tak. Kojot narodzi się w zupełnie nowym ciele, od stóp do głów odziany w nowe ciuchy. Pojęcia nie mam, jak to robi. Może ma gdzieś tam w Pierwszym Świecie cały magazyn z zapasowymi mózгами i innymi częściami ciała oraz ofertę specjalną na lewisy. Po Ameryce Północnej latało kilka wersji Kojota, ale ta akurat iteracja Nawahów była jedną z najstarszych i najpotężniejszych.

Strzeż się, Siodhachanie! – Morrigan miała zwyczaj używać mojego prawdziwego irlandzkiego imienia. – *Bogowie oszustwa nigdy nie są tak skorzy do bezinteresownej pomocy. Za tę przysługę będziesz musiał słono zapłacić.*

Ba! Jestem tego w pełni świadom. Lecz wszystko już sobie z Kojotem dokładnie ustaliliśmy.

Ja mówię o prawdziwej cenie – rzekła.

Wątpię, by w tej transakcji były jakieś ukryte koszty. Bardzo starannie negocjowałem z nim tę umowę, żeby doprecyzować granice moich usług.

Być może, Siodhachanie. Lecz bogowie oszustwa dobrze wiedzą, jak obejść każdą umowę. Nie trać czujności.

Będę czujny. Dziękuję ci za pomoc.

Przez lornetkę zobaczyłem, jak Morrigan wzrusza ramionami w deszczu.

Wszystko to było bardzo zabawne. Jeszcze zabawniej będzie zobaczyć reakcję Brighid.

Będzie pewnie zachwycona, gdy usłyszy o mojej śmierci – stwierdziłem. – *Bardzo jej podpadłem, kiedy odrzuciłem jej ofertę małżeństwa.*

Paradne to było – zarechotała ze śmiechu. – Pamiętam. Pamiętam.

Co zrobisz z Fragarachem? – spytałem.

Oddam Manannanowi Mac Lirowi. Będzie bardzo zaskoczony, a potem z rok będzie wspominał te zamierzchłe czasy, gdy tworzyliśmy takie cuda.

A myślisz, że mógłbym go potem odzyskać?

Nie – odparła Morrigan, a jej ton nie pozostawiał złudzeń. Dałby do myślenia nawet małym mózdzkom bogów piorunów. – Musisz zapomnieć o Fragarachu. Gra toczy się o twoje bezpieczeństwo. Zresztą i tak masz przecież drugi miecz.

To prawda – zgodziłem się niechętnie. Moralltach, Potężny Gniew, nie przecinał każdej zbroi i tarczy. Ale za to, jeśli już zadał cios, był to cios zabójczy. Sprawdziłem już jego działanie na Thorze. A jednak nie był to mój ukochany Fragarach. Będę tęsknił za tą bronią, ale Morrigan miała rację. Żeby przekonać wszystkich, że zginąłem, musiałem się go pozbyć.

Coś w wyglądzie Morrigan się zmieniło i nagle byłem bardzo szczęśliwy, że nadal siedzę na wieży ciśnię, czyli na tyle daleko, że aby dobrze widzieć Morrigan, potrzebuję lornetki.

Chodź tu, Siodhachanie. – Jej głos w mojej głowie zmienił zupełnie ton, uderzając w ciepłe, czekoladowe brzmienia didżejów po północy.

Yyy... po co?

Właśnie zabiłam boga. Uczczę to seksem w błocie, krwi i deszczu.

I dopiero wtedy nagle zaskoczyłem: to właśnie musiała być ta zmiana. Kiedy kilka miesięcy temu pieprzyliśmy się (w wyniku jej nieznoszącej sprzeciwu propozycji; i dość długo), wypowiedziała w języku staroceltyckim jakieś sploty, które wyleczyły moje przeżute przez demony ucho. Przy okazji mogła przecież bez trudu podłączyć wtedy mój umysł do swojego, a teraz miałem dowód na to, że rzeczywiście wykorzystwała tę okazję. Delikatnie mówiąc, miałem pewne opory przed daniem jej szansy na kolejne tego typu machinacje.

Hmm. To bardzo kusząca propozycja – powiedziałem. – Ale muszę spotkać się z Kojotem, gdy tylko zmartwychwstanie.

Och! Tak prędko? Jesteś pewien? – Jej lewa ręka przesunęła się po ciele, jakby zwracając na nie moją uwagę.

Morrigan, jeśli tylko zechce, może pobić każdego sukkuba pod względem skuteczności wywoływania pożądania u mężczyzny. Wiedziałem to na pewno, bo mój amulet chronił mnie całkowicie przed magią sukkubów, ale zdołał jedynie lekko stępić jej Ostrze Napalenia. Bez amuletu już byłbym jej pokornym niewolnikiem. Z amuletem z trudem – ale jednak – panowałem nad swoim umysłem, choć już nie nad ciałem, co wielce mnie zawstydzало. Może i niektórzy mają inne upodobania, ale ja na pewno nie lubię stać na deszczu.

Bardzo mi przykro! – skłamałem. – Lecz naprawdę się śpieszę. Możesz zawsze podarować się jakiemuś śmiertelnikowi.

Nigdy na długo nie starcząją – pożałowała się Morrigan.

To poczęstuj się dziesięcioma czy może nawet dwudziestoma. Możesz zawsze wyssać z nich wszystko i wyrzucić jak te saszetki z sokami – zaproponowałem i wzdrygnąłem się na tę myśl. Opadły mnie nawet wyrzutki sumienia, które stłumiłem jednak argumentem, że jeśli nie odwrócę jej uwagi od swojej osoby, sam zaraz

skończę jak taka saszetka.

Mmmm. Dwudziestu mężczyzn w błocie. Brzmi smakowicie.

Jej pożądanie przestało koncentrować się na mnie, a zaczęło zataczać koła niczym sygnał syreny. Odetchnąłem z ulgą.

Na zdrowie. To na razie – pożegnałem się śpiesznie, po czym wymamrotałem kilka słów przeprosin pod adresem mężczyzn, którzy przybędą tu wkrótce, by zadowolić Morrigan. Nie opuszczą tego miejsca bez uszczerbku na zdrowiu, a niektórzy zostaną z pewnością wciągnięci na dodatek w dochodzenie w sprawie zabójstwa niejakiego Atticusa O'Sullivana. Jako że do morderstwa doszło na ziemiach federalnych, wkroczy FBI. A w błocie znajdzie bardzo dużo śladów i dowodów do analizy po tym, jak Morrigan zwabi sobie tu tych wszystkich mężczyzn do igraszek w deszczu. Będzie to koniec końców wyglądało jak egzekucja przeprowadzana przez mafię albo jakąś sektę. Co właściwie nie było takie złe.

Zostawiwszy lornetkę, przemieniłem się z powrotem w sowę i pofrunąłem na południe, do mojego hotelu. Latanie w takim deszczu to żadna przyjemność, ale jakoś musiałem się stamtąd zwinąć. W hotelowym pokoju przywitałem się z Oberonem, który oglądał w telewizji *Mystery Science Theater 3000*. Potem wzięłem zimny prysznic i starałem się myśleć o pluszowych misiach, baseballu i tych dmuchanych zamkach, które się wypożycza na urodziny dzieci – jednym słowem o czymkolwiek, byle nie o Morrigan.

Jako że psią sierścią zawsze lepiej zapychać cudze odpływy, uznałem, że czas wykąpać Oberona. Od dłuższego czasu nie nadarzyła nam się taka okazja, a nie wiedziałem, co nas czeka w najbliższej przyszłości.

– Hej, Oberonie! – zawołałem, napuszczając wody do wanny. – Czas na kąpiel!

<Tak?> spytał bez entuzjazmu mój pies. <A masz jakąś dobrą opowieść?>

Oberon nie usiedzi spokojnie w wannie, jeśli go nie zagadam jakąś historią – i to prawdziwą. Żadne baśnie czy bajki mu nie wystarczą.

– Opowiem ci najprawdziwszą w świecie historię o facecie, który nazywał się Francis Bacon.

<Bekon?> Oberon ruszył w moją stronę takim pędem, że nie wyrobił na zakręcie do łazienki i uderzył z całych sił w drzwi, po czym chlupnął prosto do wanny, zalewając mnie, kiedy właśnie wyschnąłem sobie po prysznicu. <Och, czuję, że to będzie wspaniała opowieść! Już lubię faceta. Z takim nazwiskiem musiał być geniuszem. Bo był geniuszem, nie?>

– Był, był.

<Wiedziałem! W takich sprawach instynkt nigdy mnie nie zawodzi. Mam tylko nadzieję, że nie skończyło się na poszatkowaniu go i posypaniu nim sałaty. To by było tragiczne zakończenie, a przecież opowieści o bekonie powinny podnosić na duchu>.

– Francis Bacon stanowił inspirację dla wielu wielkich ludzi – powiedziałem, lejąc wodę na grzbiet Oberona. – Był ojcem nowoczesnego empiryzmu i metody naukowej. Zanim się pojawił, ludzie opierali swoją argumentację na sofizmatach albo po prostu skupiali się na krzyczeniu głośniejszym niż reszta. A jeśli już wykorzystywali fakty, to tylko te, które potwierdzały ich złudzenia lub służyły z góry określonym celom.

<To teraz już tego nie robią?>

– Robią i są w tym coraz lepsi. Ale jednak Bacon pokazał nam, jak odrzucać nieoparte na niczym założenia i tak przeprowadzać eksperymenty, żeby dało się je powtórzyć i zweryfikować wyniki. Dało to ludziom sposób na formułowanie prawd niezależnych od dogmatów politycznych i religijnych.

<Bekon drogą do prawdy. Kumam>.

Szorując sierść Oberona, wyjaśniłem mu, jak należy stawiać hipotezę, a potem weryfikować ją empirycznie w sposób kontrolowany i, co najważniejsze, bezpieczny – co zaznaczyłem, już spłukując mu szampon.

– Lepiej nie eksperymentować na sobie. Bacon mało nie zamarzył na śmierć podczas jednego z eksperymentów i umarł na zapalenie płuc.

<No jasne! Bekon należy zawsze podgrzać. I tak już to wiedziałem, ale dobrze, że mi o tym przypominasz>.

Kocham mojego psa.

Rozdział 3

Mam bzika na punkcie śniadań. Zwykle stronię od słowa „bzik” jako mało eleganckiego i nijakiego – unikam go jak czirliderki rozgrywek szachowych – ale w tym wypadku robię wyjątek, ponieważ nie istnieje lepsze słowo oddające to szczególne uczucie, które ogarnia mnie na myśl o śniadaniu. Mógłbym niby powiedzieć, że posiłek ten wywołuje u mnie przemożne acz aseksualne uczucie pozytywne lub że do tej smakowej rozkoszy przywiązuję wagę bliską uwielbieniu, a jednak na swój sposób od niego odmienną zarazem, albo ukuć jeszcze inną tego rodzaju słowną konstrukcję godną Charlesa Dickensa i spółki, której głównym celem byłoby zamęczenie mózgow czytelnicznych, ale w dzisiejszych czasach nikt już tak nie mówi, a nawet nie myśli. O wiele łatwiej powiedzieć „Mam bzika na punkcie śniadań” (albo rocka stadionowego, albo klasycznych samochodów czy czegokolwiek innego) i ludzie od razu wiedzą, o co mi chodzi.

Oberon podziela mojego bzika na punkcie śniadań, ponieważ w jego umyśle śniadanie równa się jakieś ciepłe, tłuste mięso. Zupełnie nie docenia takich dzieł sztuki kulinarnej jak omlet, ziemniaki w sosie pietruszkowym czy świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. W każdym razie bez względu na to, o której robimy pobudkę, zgadzamy się z Oberonem co do tego, że dobrze wstać skoro świt, jutrzeńki blask duszkiem pić.

<Na wielkie niedźwiedzie> rzekł Oberon, ziewając i rozciągając tylne łapy. <Czuję, że się nijak nie dobudzę bez połówki jaka i wyciągarki do unoszenia powiek>.

I skąd ja ci mam teraz wziąć połówkę jaka?

<Jak to skąd? Przyczepiona jest z pewnością do drugiej połówki tego zwierzęcia. 1:0 dla psa>.

Ach tak. Zatem pilnujemy dziś punktacji? Tym razem wygram, zobaczysz!

<Nie porzucaj nadzieje, Atticusie>.

Niestety jednak w Tubie nie ma wielkiego wyboru miejsc śniadaniowych. Jest kilka fast foodów, a poza tym jest Kate's Cafe. I tu właśnie jedzą miejscowi. Zabrawszy więc Granuaile z hotelowego pokoju, udaliśmy się do Kate's Cafe.

Gdy wchodzi się do tej kafejki, najpierw jest recepcja i poczekalnia, potem na prawo długi, biały bar z wysokimi stołkami, a za nim okienko ukazujące kuchnię. Menu znajduje się nad kuchenną szybą na oldskulowej tablicy z czerwonymi plastikowymi literkami ułożonymi w nazwy potraw i ceny. Jak się minie bar, wchodzi się do prostokątnego pomieszczenia służącego tu za główną jadalnię i pełnego szarych kanap z PCV oraz niepozornych stolików. Ściany pomalowane są na zgaszony pomarańcz (coś jakby piaskowiec z dużą ilością tlenku żelaza). Rzuciłem kamuflaż na Oberona i wcisnął się pod jedną z kanap, a my z Granuaile usiedliśmy na drugiej.

<Najlepiej by było, jakbyś mi załatwił taką plakietkę, że jestem psem przewodnikiem. Wtedy byłbym twoimi oczami i bym mógł sobie spokojnie chodzić po knajpach> rzekł Oberon.

Tak, ale ja bym musiał udawać niewidomego, co by było trochę niewygodne.

<Niewygodnie to jest wciskać się pod tę kanapę. A nie mógłbym być psem przewodnikiem od smaku? Albo od wąchania?>

Uśmiechnąłem się.

Nie. Brak smaku lub węchu nie jest wśród ludzi uważany za inwalidztwo.

<I mnie to mówisz? Węch ludzi jest śmiechu warty. A propos: właśnie czuję jakieś pychotne kurczakowo-jabłkowe kielbaski!>

Coś ci się zwęchało. Na pewno mają tu tylko mrożone kotlety do odgrzania tak jak wszędzie indziej.

<Nie! Kielbasa jest tuż-tuż! Tego zapachu nie da się podrobić!>

Nie widzę kielbasy w jadłospisie.

<No to sprzedają ją spod lady! Ale mówię ci: oni tu mają kurczakowo-jabłkowe kielbaski!>

Naszą rozmowę przerwał czyjś powolny, zaciągający w charakterystyczny sposób, ubawiony głos.

– Obydwaj macie rację. Nie mają tu kielbasy z kurczaka i jabłek, ale kielbasa jest, a jakże. – Zza rogu głównej jadalni wyłonił się smukły Indianin w czarnym kowbojskim kapeluszu. W ręce trzymał brązową papierową torbę, która ociekała tłuszczem.

<Świętej Lassie niech będą dzięki! To Kojot z całą torbą łakoci!>

– Witaj, Kojocie! – Uśmiechnąłem się, a on odpowiedział tym samym. – Zapraszam do stołu.

Tak jak ja, Kojot bez trudu słyszał myśli Oberona, ale jego komentarz, że obydwaj mamy rację, kazał mi podejrzewać, że być może słyszał też, co mówiłem. Na samą tę myśl poczułem się nieswojo, ale być może był to tylko objaw mojej zwykłej paranoi, bo przecież bóg Nawahów mógł się ze słów Oberona z łatwością domyślić, co powiedziałem.

– Z przyjemnością, z przyjemnością – mruknął Kojot i skoncentrował swój urok na Granuaile. – Witam, panno Druid. Miło mi pannę wreszcie poznać. – Kojot widział ją już raz, ale była wtedy pochłonięta komunikacją z Sonorą, przegapiła więc jego krótką wizytę.

– Och. Yyy... nie jestem jeszcze druidem. Proszę mi mówić Caitlin. – Wyglądała na lekko oszołomioną, ale to było zrozumiałe. Kojot był pierwszym nieśmiertelnym, jakiego miała przyjemność poznać.

– Caitlin? – Kojot popatrzył na mnie, siadając ostrożnie nad Oberonem. – A nie mówiłeś pan, że na imię jej Granuaile?

– Mówiłem, ale teraz używamy innych imion – wyjaśniłem. Niegdyś starałem się naśladować jego sposób mówienia, zaciągając nieco i wymawiając wszystko bardzo leniwie, powoli, ale teraz uznałem, że to już niepotrzebne. Zawarliśmy umowę, więc dostosowywanie się do Kojota niewiele mogło mi już dać. – Ale widzisz, Kojocie, ukrywamy się. Jeśli będziesz dalej nazywał mnie druidem, to istnieje ryzyko, że cały twój wczorajszy wysiłek pójdzie na marne. Dlatego właśnie mów mi Reilly.

Teraz byliśmy dla świata Reillym i Caitlin Collinsami, siostrą i bratem. Na potwierdzenie tego mieliśmy (dzięki uprzejmości prawników z Tempe) nowe prawa

jazdy i inne sfalszowane dokumenty.

– Chrzanić to, panie Druid. Nie zamierzam pana nazywać żadnym innym imieniem.

<Święte słowa, Kojocie! Dla mnie też zawsze będzie Atticusem i tyle. A powiedz mi teraz, co tam takiego masz w tej torbie?>

– Widzi mi się, że pański pies jest głodny. Dałbym mu coś na ząb, dobra? – spytał, wskazując torbę na stole.

– Jasne – wyraziłem zgodę. – Doceniam pamięć i on z pewnością także.

– Ano obiecałem mu przecież, że coś mu przy najbliższej okazji przyniosę.

<Tak właśnie było, Kojocie! Obiecałeś i przyniosłeś>.

Staraj się tylko cicho mlaskać.

<Nie ma sprawy, Atticusie. Będę plaskał potajemnie. I powinienem dostać bekon, bo mój przysłówek był o dwie sylaby dłuższy niż twój, i dodatkowe punkty za aliterację>.

Wyszczrzyłem zęby.

Umowa stoi. Jesteś najlepszym psem na świecie.

<Wymiatam własną sierścią. Czyli 3:0 dla psa>.

Jak to? A kiedy to zdobyłeś aż tyle punktów?

<Miałem rację co do kielbasy i Kojot też nie będzie mówił do ciebie Reilly>.

Okej, ale ja też miałem rację co do kielbasy, więc jest 3:1.

Kojot otworzył torbę i wyciągnął kielbaski, po czym położył je na siedzeniu przy sobie, żeby Oberon mógł się z łatwością do nich dostać. Właśnie wtedy pojawiła się kelnerka, żeby przyjąć zamówienie, wszyscy troje więc usiłowaliśmy mówić bardzo głośno, żeby zagłuszyć mlaskanie i chrząkanie Oberona. I tak je jednak wyłapała, bo popatrzyła na nas niepewnie, jakby próbowała zrozumieć, które z nas wydaje takie soczyste odgłosy i czy powinna się tym martwić, a może nawet obrazić. Kojot zamówił po cztery przystawki z bekonu, kielbasy i szynki, a do tego kawę.

– Życzy pan sobie jajka lub tosty? – spytała uprzejmie kelnerka.

– Nigdy w życiu nie tknąłbym takiego gówna! – obruszył się Kojot, po czym się zorientował, że może nie wypadło to najlepiej, i dodał: – Znaczy się: nie, dzięki. Pani wybaczy, poniosło mnie.

Granuaile poprosiła o smakowitą stertę naleśników, a ja o puszystego omleta z serem, papryką, cebulą i pieczarkami, do tego smażone ziemniaczki i tosta. Poza tym zamówiłem trzy przystawki z bekonu dla Oberona.

Kelnerka bardzo się starała zachować neutralny wyraz twarzy, ale widać było, że uznała nas za najdziwniejszych klientów, jakich w życiu obsługiwała (a być może nawet zbrojeńców, biorąc pod uwagę te odgłosy lizania). Od tego poczułem się jeszcze bardziej nieswojo. Moim głównym zadaniem było teraz wtopić się w tłum, wyglądać szaro i nijako. Naprawdę słabo nam to szło. A jeśli w toku dochodzenia FBI zaczną przepytывать wszystkich w okolicy, czy nie widzieli jakichś dziwnych ludzi? Z tego, co mi było wiadomo, zbrodnia nie została jeszcze nawet odkryta, ale wkrótce przecież znajdą moje ciało. A jeśli dadzą do gazety moje zdjęcie i kelnerka mnie rozpozna? Gdy tylko odeszła od naszego stolika, podzieliłem się tymi niepokojami z Kojotem, ale machnął na to ręką.

– Co pan, panie Druid, nikt tu słówkiem o panu nie piśnie glinom. Tu reguły są proste: jeśli gliny czegoś chcą, to nikt im tego nie da. Chyba że akurat pytają, jak się wy dostać z rezerwatu. W tym im akurat zawsze pomożemy.

– Skoro tak mówisz. Ty z pewnością wiesz najlepiej.

– No ba! – Kojot nabrał w garść serwetek i pańskim gestem wytarł siedzenie obok, bo Oberon skończył już swoje kiełbaski.

– Bardzo dobrze dopełniłeś wczoraj swojej części umowy – pochwaliłem go. – Umówiliśmy się, że w zamian ja przesunę ci trochę ziemi, pod warunkiem że nie skrzywdzi to nikogo fizycznie, emocjonalnie ani ekonomicznie.

– Otóż to, panie Druid. Gotów jesteś pan wysłuchać szczegółów roboty?

– Dawaj.

– Dobra. Popatrz pan na to miasto albo w ogóle na cały rezerwat. Co pan widzisz, do cholery?

– Dużo czerwonej skały i pasterzy. Parę domów to tu, to tam, ale przyznam, że jeszcze nie pojąłem, z czego ci ludzie żyją.

– Właśnie. Tu nie ma roboty. Możemy tylko otwierać kasyna albo kopalnie. Tylko z tego jest pieniądz. Ale wiesz pan, jak jest. Te kopalnie to wielkie firmy, które należą do udziałowców. Mają w nosie dobro mojego plemienia. Mają w pięcie wszystko poza zyskiem. A jak już oskubią naszą ziemię, pójną dalej oskubać kogoś innego. Z nimi nie ma żadnych szans na przyszłość. Wykombinowałem więc lepszy plan. – Wróciła kelnerka z kawą Kojota, a on podziękował jej i wziął łyk, nim podjął swoją opowieść. – Południowy zachód Ameryki mógłby stać się Arabią Saudyjską odnawialnej energii, pan rozumiesz? Mamy tu w rezerwacie tyle słońca i wiatru, że moglibyśmy spokojnie generować energię dla większości stanu, a może i dla całego. Tylko że nikomu się nie chce chcieć. Jakby im się tak chciało, jak im się chce zbijać kasę na ropie i węglu i przekupywać kongresmanów, żeby mieć pewność, że nic się nie zmieni... Zresztą żeby ruszyć z produkcją nowej energii, rzeczywiście trzeba potężnego kapitału. I tu, panie Druid, pan wkraczasz ze swoim rozwiązaniem. Pan nam dasz ten kapitał na start. Załatwisz nam pan kilka kopalni, żebyśmy mieli kasę na inwestycje w odnawialną energię i całą infrastrukturę, a dzięki temu stworzymy masę stanowisk pracy na wiele lat. I wszystko to będzie należeć do moich ludzi. Oni tu będą pracować. Diné i nikt poza tym – zakończył, posługując się słowem, którym Nawahowie określali samych siebie.

– Rozumiem. I jak konkretnie zapewnię wam ten kapitał?

– Złotem. Wiesz pan, że cena złota wzrosła od dwutysięcznego roku trzykrotnie, jeśli nie więcej?

– Mam stworzyć żyłę złota w rezerwacie, żebyście mogli je wydobywać?!

– Otóż to.

Nie musiałem nawet udawać niepokoju.

– Wiesz dobrze, Kojocie, że nie umiem zrobić czegoś takiego, tak? Mogę najwyżej poprosić o to żywiolaka, ale jest wielce prawdopodobne, że on nie przystanie na to.

Mogę przenosić małe ilości ziemi za pomocą pewnych podstawowych splotów, ale to naprawdę ledwie odrobina górnej warstwy gleby, i nawet to nie idzie mi zbyt szybko. Znalezienie dużej ilości złota, skoncentrowanie go i przeniesienie na dużą

odległość wewnątrz ziemi znacznie przekracza moje możliwości.

– Guzik mnie obchodzą pańskie problemy, panie Druid. Ja chcę tylko usłyszeć, że to zrobisz, skoro żeśmy się umówili, że tak właśnie będzie.

– Zrobię, co w mojej mocy oczywiście. Ale jeśli żywiołak odmówi...

– To go pan przekonasz, żeby zmienił zdanie. Nie ma tu miejsca na negocjacje.

Umowa to umowa.

– Dobra, dobra – mruknąłem, unosząc ręce na znak, że się poddam.

Miałem tylko nadzieję, że tutejszy żywiołak pójdzie na taki plan. Nie była to Sonora, z którą pracowałem od lat, lecz Colorado, z którym... z którą... (przez Granuaile zwątpiłem już w sprawy rodzajów gramatycznych) miałem dotąd bardzo niewiele do czynienia.

Zadowolony Kojot zmienił temat:

– Dalej trzymasz pan sztamę z tym wampirem z Tempe?

Zmrużyłem czujnie oczy. Miał z pewnością na myśli Leifa Helgarsona.

– Tak – odparłem. – A dlaczego pytasz?

Kojot wzruszył ramionami.

– Jak on się miewa ostatnio?

– Dochodzi do siebie po mocno zakrapianej podróży. Chyba ma kaca. – Co niemal było prawdą, choć podróż była głównie zakrapiana krwią, a kaca to mógł mieć moralnego. No i w Asgardzie po prostu okazało się, że Leif ma słabą głowę; nie wytrzymała zmiżdżenia toporem Thora.

Kojot wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

– Jasne, panie Druid. Możemy to nazwać kacem.

– Ale dlaczego w ogóle pytasz?

– A bo rzuciło mi się w oczy, że nie pilnuje już swojego rewiru jak kiedyś.

Gdzie człowiek nie splunie, to się jakiś krwiopijca pałęta.

– Znaczą gdzie konkretnie? Gdzie są te wampiry?

– Ano w Tubie mamy ze dwa, czyli o dwa za dużo. Jeden się zagnieżdżył w Kayencie i jeszcze kilka w Window Rock. Idę o zakład, że we Flagstaff są trzy, jak nie więcej, a to tylko północna Arizona. To by wychodziło z siedem czy osiem nadprogramowych wampirów, a pański kumpel nawet palcem nie raczył ruszyć. Kto wie, ile tam już ich napęzło do Phoenix i Tuscon? Z pewnością cała masa.

– Zabijają? – spytała Granuaile.

– Na razie nie. – Kojot pokręcił głową. – Podpijają sobie i straszą mi ludzi.

– Spytałem o niego przy najbliższej rozmowie z moimi prawnikami – zapewniłem go. Mój adwokat Hal Hauk był teraz alfą watahy z Tempe, mógł więc bez trudu zdobyć najnowsze wieści od doktora Jodurssona. – Może już czuje się lepiej.

– A może nie i stąd się tyle tych nowych przypałętało. Chcą przejąć jego terytorium.

– Wszystko możliwe – zgodziłem się.

Trio kelnerów przyniosło nam jedzenie, z ciekawością popatrując na faceta, który zamówił dwanaście porcji mięsa. Błat szybko zapełnił się talerzami, a Kojot popatrzył na nie wszystkie łapczywie.

– Życzy pan sobie coś jeszcze? – zapytała kelnerka z ciekawskim

półśmieszkiem na twarzy.

– Ta kiełbasa wygląda smakowicie – odparł Kojot, żując kotleta, którego wepchnął sobie całego naraz do ust. – Jeszcze cztery takie, proszę. Zanim pani przyjdzie, będę gotów. Obiecuję.

<Dobry piesek! Brawo, Kojocie!> zakrzyknął Oberon. <A przyniosła mój dodatkowy bekon, Atticusie?>

Przyniosła. Czeka, zaraz ci podam.

Kelnerka wróciła do kuchni, kręcąc głową, a ja podałem bekon Kojotowi, żeby mógł go położyć na siedzeniu dla Oberona.

<Dziękuję. Ze wszystkich łakoci najbardziej lubię boczek>.

Mój omlet prezentował się wspaniale, więc szybko pokropiłem go tabasco, a Granuaile posmarowała swoje naleśniki masłem i syropem klonowym, po czym westchnęła z uznaniem. Przez chwilę nie robiliśmy nic poza celebrowaniem obżarstwa. Gdy już podjedliśmy sobie, odważyłem się poruszyć temat, który męczył mnie od jakiegoś czasu.

– Jednego nie rozumiem – powiedziałem do Kojota. – Skąd ci się w ogóle wziął taki pomysł? To całe perspektywiczne planowanie, i to w dodatku w altruistycznych celach... Bez urazy, ale wszystko to jakieś takie nie w twoim stylu.

– Mmm – mruknął Kojot z ustami pełnymi szynki. Uniósł palec na znak, że powie więcej, jak przełknie. Popił szynkę potężnym łykiem kawy i rzekł: – Wiem, o czym pan mówisz, panie Druid. Logiczne, że pan pytasz. A ja sobie zadałem inne pytanie: czemu to nigdy jakoś nie zrobiłem niczego dobrego dla moich ludzi?

– Chwileczkę – powiedziałem. – Ale skąd nagle takie pytanie? Chodzisz już po tym świecie jakiś czas, Kojocie, mogłeś więc zadać sobie je wiele stuleci temu, gdyby to leżało w twojej naturze. Skąd ta zmiana?

– A. O to chodzi. – Spłonął się wdzięcznie i wymamrotał coś na temat Umpa-Lumpów.

– Słucham? – zdumiałem się.

– Mówię przecież, że to Oprah Winfrey – warknął zirytowany Kojot. Granuaile opadła szczeka, a Kojot pogroził jej palcem. – Ani słowa, panno Druid.

Bardzo rozsądnie wzięła kolejnego gryza naleśników i skupiła się na ich przeżuciu, jakbyśmy omawiali właśnie piękną pogodę za oknem.

<Wyluzuj, Kojocie. Wyznam ci, że i dla mnie stanowi ona ważną inspirację> wtrącił się Oberon. <Wielka szkoda, że już jej nie ma na antenie. Raz mi się śniło, że jestem w studio na widowni pełnej słynnych psów. Siedziałem obok Rin Tin Tina, a ona dała nam wszystkim po krowie. „Ty dostaniesz krówkę i ty dostaniesz, i każdy dostanie krówkę!” A potem jeszcze na dodatek dała każdemu po własnym kucharzu, żeby nam ją przyrządził. Ja dostałem Nigellę, a Rin Tin Tin Makłowicza. Trampowi przydzieliła Jamiego Olivera, a on się strasznie wkurzył, że niby chce Okrasę, na co ja mu mówię: „Tramp, chłopie, darowanej krowie nie patrzy się w zęby, nie? Czego się pienisz?”, a on mi na to: „Słuchaj, Oberon, ja tu jestem kimś, tak? Sprzedałem od huja dvd i własnołapnie podniosłem prestiż wszystkich kundli całego świata, tak? To co ona mi tu jakiegoś faceta, który myśli, że w trzydzieści minut da się ugotować mięso, tak? Ja chcę Okrasę. Ten facet przynajmniej coś znaczy, tak?”. Wyobrażasz to sobie? W głowie mu się poprzewracało od tej sławy>.

Pośmialiśmy się z tego z Kojotem, a Granuaile domyśliła się, że Oberon powiedział coś zabawnego, ale powstrzymała się od dopytywania co, głównie dlatego że wciąż skupiona była na ukrywaniu rozbawienia sprawą Oprah.

Wyczuwszy to, a może nawet przyłapawszy ją na drgnięciu kącika ust, Kojot postanowił zakończyć ten epizod.

– Słuchaj pan, panie Druid. Dawno temu głównie wszystko pieprzyłem. To ja przyniosłem ludziom śmierć na ten świat, przeze mnie tu została. Cały czas tego nie mogę przeżyć. Co nie zrobiłem, to żeby zaspokoić własny apetyt. A apetyt to ja mam wilczy – dodał, wskazując piętrzące się przed nim puste talerze. Urwał, bo wróciła kelnerka z czterema dodatkowymi porcjami kiełbasy i zabrała puste naczynia. Gdy zniknęła, podjął wątek. – Ale teraz widzę, że mój apetyt to jedno, a tymczasem istnieje coś takiego jak prawdziwy głód. I temu trzeba zaradzić. Chcę zrobić coś, co by było dobre, i to w stu procentach. Ludzie popatrzą i będą pytać: „Ale gdzie tu jest haczyk? Na czym tym razem polega oszustwo Kojota?”. Ale nie będzie żadnego oszustwa. I to będzie najlepsze oszustwo, jakie mi się dotąd udało.

Kojot pochłonął swoje kiełbaski jeszcze szybciej niż poprzednie, a potem wyszedł do toalety i już nie wrócił.

A to oznaczało, że rachunek spada na mnie. Powinienem był to przewidzieć.

Mistrz naciągaczy czekał na nas na parkingu i uśmiechał się szeroko.

– Ale żeście się guzdrali – mruknął. – Gotowi do drogi?

– Jasne. Jedźmy.

Kojot zapakował się na siedzenie obok kierowcy i zdumiał się ogromnie, gdy ruszyłem do tylnych drzwi.

– Ona prowadzi?

– Tak. To mój samochód – odpowiedziała mu Granuaile i uniosła brew. – Jakiś problem?

– A skąd.

– To dobrze. – Posłała mu bardzo krótki uśmiech i siadła za kierownicą.

<Kojocie! Otarłeś się o śmierć!> uświadomił mu Oberon.

Pilotowani przez Kojota pojechaliśmy autostradą 160 na północny wschód, w stronę Kayenty, ale przed samym miastem skręciliśmy w nieutwardzoną drogę na samym krańcu masywnego piaskowcowego cudu – stoliwa górskiego Tyende. Na suchej, twardej ziemi z czerwonej skały z rzadka pojawiają się nieśmiałe próby przetrwania flory. Z większych roślin spotkać tu można głównie krzaki jałowca. Nie uświadczysz kaktusów typowych dla pustyni Sonory, na południu. Ludziom wydaje się, że cała Arizona usiana jest karnegiami i grzechotnikami, bo to właśnie pokazuje im się na widokówkach, ale tak naprawdę karnegie w ogóle nie rosną na Wyżynie Kolorado. Część wyżyny, na przykład południowy jej kraniec zwany Mogollon Rom, porośnięta jest dość bujnie sosnami, ale w rezerwacie gleba jest płytka i piaszczysta, przez co większe drzewa się tu w ogóle nie utrzymują, z wyjątkiem tych, które rosną w wyschniętych korytach.

Droga tu jest wyjątkowo ciężka, a porzucone na poboczu opony stanowią nieme świadectwo ostrości skał, które co rusz to przebijają się przez cienką warstwę piasku. Przejechaliśmy wąskim metalowym mostem rozpiętym ponad wąwozem zmieniającym się po każdym deszczu w rwący potok i zaraz potem Kojot kazał nam

wjechać na pusty kawał ziemi na lewo od drogi. Tu piaskowiec robił się naprawdę wysoki, a jego zbocze układało się stromymi tarasami w górę, póki nie stawało się znów zupełnie płaskie. Na tym płaskim szczycie wyrastały dwa imponujące, ostre ostańce niczym płetwy jakiegoś przedziwnego stworzenia – awatara erozji pluskającego się w piachu. Strumień, nad którym właśnie przejechaliliśmy, z pewnością wypływał spomiędzy tych właśnie płetw. Po drugiej stronie, aż do Kayenty, a może i jeszcze dalej, stoliwo było zupełnie płaskie i z rzadka pokryte kępami różnych traw i kilkoma zagubionymi drzewkami. Wzięliśmy parę manierek i zaczęliśmy się wspinać na sam szczyt, w stronę ostańców.

– Pierwsze, co musisz mi pan tu załatwić – zaczął Kojot w połowie drogi – to jakąś łagodnie wznoszącą się drogę, żebym mógł w ogóle zacząć budowę. Tam na dole, gdzie zaparkowaliśmy – wskazał na płaską, jałową ziemię – zbudujemy baraki dla robotników, które z czasem przekształcą się w miasteczko. Kiedy już pobudujemy fabryki dla naszych wiatrowych i słonecznych firm, powstanie tu prawdziwa metropolia o całkowitej neutralności klimatycznej. – Przyłożył dłoń do ust i szepnął, jakby wyjawiał nam wielki sekret: – Tych pierdół o neutralności klimatycznej nauczyłem się od jednego hipisa w Kanionie de Chelly.

Wspinaliśmy się tak, aż w końcu dotarliśmy na pierwszy taras. Naszym oczom ukazało się kolejne piętro jak na torcie weselnym. Ruszyliśmy na zachód doliną usianą jałowcami i przeszliśmy tak z pół kilometra, aż w końcu Kojot przystanął i rozłożył szeroko ręce, wskazując nam zbocze północnego ostańca.

– Tu oto uczynisz mój lud bogatym – oświadczył. – Przesuń złoto pod tę skałę. Wejście do kopalni zrobimy w tej małej jaskini tutaj. – Wskazał na jeden z ostańców. U jego podstawy znajdowało się zagłębienie, któremu naprawdę daleko było do jaskini.

Pokręciłem głową.

– Kojocie, przecież wiesz, że to geologicznie nie ma żadnego sensu. Nie można wsadzić złota pod taką skałę. Geologom gały wyjdą na wierzch i same wskoczą do wafelków na lody, jeśli zaczniesz tu wydobywać metale szlachetne, bo to zada kłam całej wiedzy, jaką na ten temat zgromadzili. A potem poszukiwacze złota zaczną kopać pod każdym piaskowcem na świecie i wpieniać się, że nijak nic nie mogą znaleźć.

– A co mnie to obchodzi, panie Druid? Tu ma być złoto i kropka.

– Akurat tutaj? Nie moglibyśmy wybrać jakiegoś miejsca, które by było geologicznie bardziej prawdopodobne? Przecież rezerwat jest wielki.

– To musi być tutaj. Tu mam pozwolenie na budowę, tu nam załatwiłem prawo pobytu na czas robót i wszystkie moje znajomości ze świata biznesu są tu, w Kayencie. Tu, panie Druid, zmienimy świat!

<Ale tak w ogóle to bez ciśnienia, Atticusie>.

Rozdział 4

Gdy schodziliśmy ze wzgórza, za naszym samochodem zaparkowały trzy inne. Wyległo z nich pełno ludzi w dżinsach i pomarańczowych T-shirtach, niektórzy w kowbojskich kapeluszach, inni w kaskach. Jeden z tej drugiej kategorii wykrzykiwał jakieś polecenia, a robotnicy zaczęli wyciągać ze skrzyń ładunkowych kołki i młoty, sprzęt geodezyjny i przenośną toaletę. Przy nim stanęła kobieta i starszy mężczyzna. Żadne z nich nie miało na sobie pomarańczowych T-shirtów, z czego wywnioskowałem, że formalnie rzecz biorąc, nie są częścią ekipy budowlanej.

Cała trójka niezwykle się ucieszyła na widok Kojota. Uścisnęli sobie dłonie i wymienili serdeczne uśmiechy, które zniknęły jednak z ich twarzy, gdy tylko Kojot zaczął przedstawiać białych ludzi. Na szczęście pamiętał przynajmniej o naszych nowych nazwiskach.

– Reilly i Caitlin Collins – powiedział. – A to mój brygadzysta, Darren Yazzie.

Mężczyzna w kasku skinął nam głową i wymamrotał „Miło mi”. Mógł mieć ze dwadzieścia parę lat, był dobrze umięśniony, a oczy miał wiecznie zmrużone od ciągłej pracy na dworze. Długie włosy splecione w gruby warkocz opadały mu na plecy.

Potem Kojot wskazał nam kobietę, która mogła być pod trzydziestkę albo tuż po. Cienką czarną wiatrówkę zarzuciła na żółtą koszulkę polo. Włosy miała zebrane w prosty koński ogon, a na nosie okulary w grubych czarnych oprawkach. Jej twarz była wyraźnie skażona inteligencją. Wiedziałem, że gra istotną rolę w tym projekcie, jeszcze zanim Kojot powiedział:

– Pani inżynier Sophie Betsuie, kierownik budowy.

– Dzień dobry – powitała nas, mocno ściskając nam dłonie. – Miło mi państwa poznać.

Na twarzy starszego mężczyzny lata wyrzeźbiły głębokie, arizońskie koryta i kaniony pod ustami oraz wokół oczu. Jego czarny kowbojski kapelusz zdobila srebrna wstęga z turkusem na przedzie, a koszula z sukna zapięta była na guziki i wetknięta w dżinsy. Pod szyją zwisał mu wielki turkusowy suwak od krawata, z czego należało wnioskować, że do staruszka nie dotarła wieść, iż *bolo ties* już dawno wyszły z mody. Więcej – wątpiłem, by ten człowiek kiedykolwiek dbał o modę. Klamra jego paska była wielka, srebrna i naprawdę misternej roboty, ale nie zdążyłem dojrzeć, co to właściwie za wzór, bo natychmiast skupiłem się na jego aurze, która emanowała wiele mówiącym białym światłem – typowym dla użytkownika magii.

– A to Frank Chischilly – rzekł Kojot. – Hataalii.

<Czy to coś gorszego niż ciulała?> spytał Oberon, gdy uścisnąłem rękę Frankowi.

Nie. Nie ciulała, tylko hataalii. W języku Nawahów oznacza to uzdrowiciela.

<A kogo trzeba uzdrowić?>

Doskonałe pytanie.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt – powiedziałem.

– Dla mnie również – odparł. Granuaile nie podał ręki, tylko dotknął kapelusza, jakby chciał go uchylić, i powiedział do niej: – Witam panią – głosem zachrypłym i ciepłym jak wełniany koc.

– Co pana tu sprowadza, panie Chischilly? – zagadnęła Granuaile, zanim zdążyłem zapytać o to samo.

– On tu musi być – odpowiedział za niego Kojot.

– Aha. – Granuaile pokiwała głową, ale zaraz potem dodała: – Przepraszam, ale dlaczego on tu musi być? Nie do końca rozumiem, kim go właściwie nazwałeś. Czy jest pan jakimś przedstawicielem administracji plemiennej, panie Chischilly?

– Nie – zaprzeczył, a jego spierzchnięte usta ułożyły się w lekki uśmiech. – Jestem tu, żeby odprawić ceremonię Błogosławionej Drogi, gdy tylko zbudujemy tam na górze hogan.

– Ale fajnie! – ucieszyła się Granuaile, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, który zniknął natychmiast, gdy Frank spoważniał. – Och, znaczy... Ja nic nie... Bardzo bym chciała to zobaczyć, ale nie wiem, czy będzie mi wolno. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, na czym polega ta ceremonia, więc proszę mi wybaczyć, jeśli strzeliłam gafę. Jest mi naprawdę głupio, jeśli pana uraziłam i...

Chischilly uniósł dłoń, żeby powstrzymać potok jej przeprosin, i wzruszył ramionami.

– Mnie to nie przeszkadza, jeśli pan Benally się zgodzi.

Nim zdołałem zapytać, kim jest pan Benally, Kojot powiedział:

– Nie ma sprawy.

Ciekawe. Oboje z Granuaile spojrzeliśmy na Kojota zdziwieni, a Oberon stwierdził:

<Hej! Skoro wszyscy tu używają fałszywych nazwisk, to ja też powinienem jakieś dostać!>

– Dziękujemy, panie Benally – powiedziałem, kładąc nacisk na nazwisko.

<To ja chcę zostać przedstawiony jako Tulasinek. I masz to powiedzieć z kamienną twarzą, Atticusie! Nie wolno ci się roześmiać>.

I właśnie wtedy Sophie Betsuie postanowiła zapytać:

– To wasz pies? Jak się wabi?

– Tulasinek – odparłem.

Sophie prychnęła z niedowierzaniem, ale zaraz się opanowała i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Och, czyli to jego prawdziwe imię?

<Powiedz, że tak! Tylko pełna powaga!>

Ale dlaczego?

<No zrób to!>

Pokiwałem z namaszczaniem głową.

– Tak, tak ma na imię.

– Och. To... to po prostu... przeurocze. – Sophie położyła sobie dłonie na udach i przykucnęła lekko, żeby pochylić się w stronę Oberona. Jej głos nabrał cukrowej słodyczy, w którą ludzie uderzają zawsze, kiedy wydaje im się, że rozmawiają z kimś rozkosznym. – Tak, jesteś przeuroczy, prawda? Jesteś dobrym pieskiem, Tulasinku? – Oberon zamachał ogonem i wszedł w orbitę jej głaskania. – O, tak, jesteś dobrym

pieskiem, jesteś, jesteś.

Zacząła wydawać zupełnie pozawerbalne, wyrażające zachwyt piski, a Oberon nadstawił swój wielki łeb do drapania. My tymczasem patrzyliśmy, jak kobieta z wyższym wykształceniem zupełnie traci głowę.

Dobra, czy mógłbyś mi wyjaśnić, co wyprawiasz? – spytałem.

<Weryfikuję hipotezę i jak na razie to działa. Moja hipoteza brzmi: każda żeńska przedstawicielka ludzkiego gatunku, która może zostać zaklasyfikowana jako psiara, w kontakcie z przyjaznym psem dowolnej rasy o uroczym imieniu w ciągu trzydziestu sekund od spotkania wzmiankowanego psa zacznie wydawać dźwięki co najmniej o dwie oktawy wyższe niż normalnie produkowane przez jej otwór paszczowo-gębowy>. Wyraźnie bardzo był dumny z tego sformułowania.

Oberonie! Naprawdę nie powinieneś tego robić!

<Jam jest Tulasinek. Strzeżcie się!>

Ale jak ona dojdzie do siebie, to będzie jej strasznie wstyd, a przecież ledwo ją poznaliśmy.

<Bekon wskazał mi drogę prawdy! Ale wiesz? Sam zaczynam mieć wątpliwości, bo te dźwięki są nieco irytujące>.

Szczeknij, to ją weźmiesz z zaskoczenia i przestanie.

I Oberon szczeknął.

– Ojej! Zaczynasz się podniecać, tak, Tulasinku? To może lepiej już przestanę.

<Dzięki za dobrą radę, Atticusie>.

– To ile zajmie zrobienie podjazdu na samą górę? – zapytał Kojot, wracając do ważniejszych spraw. – Chcę jak najszybciej rozpocząć budowę hoganu.

– Do rana podjazd powinien być gotowy – oszacowałem.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Słucham? Chcą panowie powiedzieć, że do rana zbudujemy tu podjazd prowadzący na samą górę?

Darren Yazzie, którego robotnicy mieliby pewnie normalnie budować tę drogę, także się zaniepokoił.

– Chwileczkę, niby jakbyśmy mieli to zrobić? Nie mamy tu nawet jeszcze odpowiedniego sprzętu.

Ojoj. Kojot dał mi już znak, że ci ludzie nie mają pojęcia o jego (ani tym bardziej o mojej) prawdziwej naturze, a ja mimo to odpowiedziałem zupełnie szczerze, zamiast dostosować swoje słowa do „normalnych” uszu. Zatuszowałem to z wdziękiem:

– Yyy...

– Wydaje mi się, że mówimy tu o dwóch zupełnie różnych sprawach – interweniował Kojot z chytrym uśmieszkiem, który świadczył o tym, że niezwykle go ubawiła moja wtopa. – Nie zważajcie państwo na pana Collinsa. To tylko geolog. Zupełnie do dupy, jeśli chodzi o budowanie czegokolwiek. Za to na skałach zna się zajędwabiście. Ha ha ha.

Posłałem Kojotowi wściekle spojrzenie, a Granuaile zaczęła histerycznie kaszleć. Darren i Sophie poprzestali na uśmieszkach, ale Frank Chischilly zarechotał zdrowo.

<Czy będziecie teraz drzeć ze sobą koty, Atticusie? Bo wiesz, zawsze chciałem

cię spytać o to wyrażenie. Kiedy ludzie drą ze sobą koty, to właściwie w jakim celu? I co na to Liga Ochrony Zwierząt? Nie żebym miał cokolwiek przeciwko takim działaniom, jeśli w grę wchodzi koty, ale jednak...>

Właśnie za to kocham nieustanne komentarze Oberona. Zwykle trochę mnie rozprasza i są na tyle śmieszne, że zdarza mi się zupełnie bez sensu roześmiać w twarz komuś, kto w ogóle nie wie, o co chodzi, bo oczywiście nie słyszał Oberona. Ale w tym wypadku mój pies był moim wybawicielem. Gdyby nie zwrócił mi uwagi na to, że wyglądam na wściekłego, mógłbym się zagalopować i palnąć coś głupiego, doprowadzając do eskalacji konfliktu z Kojotem. Tymczasem dzięki Oberonowi wywinąłem się, mówiąc po prostu:

– Miło było państwa poznać. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy znów mieli okazję porozmawiać. Przepraszam, ale mam trochę pracy. – Odwróciłem się i ruszyłem pod górę, a Granuaile i Oberon za mną.

Sęk w tym, że z kotów wiele już po tym zwykle nie zostaje – wyjaśniłem Oberonowi. – *Na darciu kotów tracą więc zwykle obie strony. Mimo to ludzie rzadko to rozumieją.*

<No ale zawsze o kilka kotów mniej na świecie. To już jednak coś do przodu, nie?>

– Hm. Interesujące spotkanie – zauważyła Granuaile, gdy wyszliśmy z zasięgu słuchu. Mruknąłem coś tylko w odpowiedzi, a moja uczennica wybuchnęła śmiechem. – Teraz na złość zbudujesz im w nocy tę drogę, nie?

Uśmiechnąłem się zdziwiony, że tak łatwo mnie rozgryzła.

– Jeśli żywiołak zgodzi się mi pomóc. I ciekaw jestem, jak wtedy rzekomy pan Benally wyjaśni to Sophie i Darrenowi, skoro taki jestem do dupy.

– To bardzo zabawne, jak on sobie z tobą pogrywa.

– Zabawne? Zobaczymy, czy będzie ci do śmiechu, jak zaczniesz pogrywać z tobą. To bóg oszustwa, który uwielbia śmiać się z ludzkiego nieszczęścia, a za tym fałszywym imieniem i całą tą budową może kryć się jakiś większy plan.

Rozbawienie Granuaile zniknęło.

– Ale jesteśmy zabezpieczeni przeciwko jego sztuczkom, nie?

– Zabezpieczeni? Niby jak? Magicznie? – prychnąłem. – Kojot nie potrzebuje magii, żeby nas oszukać. Jedyne, co możemy zrobić, to starać się przewidzieć każdy jego ruch. Przechytrzyć antropomorficznego psa.

<Hola! Czy ty wieszasz psy na psach?>

Nie. Mówię tylko, że Kojot to pies w ludzkiej postaci.

<A. No tak. Bardzo mi go żal. Biedaczek, w ludzkiej formie pewnie zupełnie nie ma węchu! I oto właśnie dlaczego potrzebujemy węszących psów przewodników, Atticusie. Zrobiłyby furorę na dynamicznie rozwijającym się rynku artro... martwiczych psów>.

Antropomorficznych.

<No. To właśnie powiedziałem. Nie dostajesz za to żadnego punktu>.

– Cholera – powiedziała Granuaile. – Teraz będę miała paranoję, że coś przeciwko mnie kombinuje.

– Dossskonale! – syknąłem, składając palce jak pan Burns z Simpsonów, kiedy rozmawia ze Smithersem. Po czym zmieniłem konwencję, a mój głos wpadł w

nosowe tony typowe dla czarnych charakterów z komiksów przerobionych na sobotnie kreskówki: – I słusznie masz paranoję, bo oni chcą cię dorwać! – Opuściłem ręce i dalej szedłem już i mówiłem normalnie. – Ale on to zauważył. Wyczuje twój strach i twoją czujność, więc musisz wyluzować, ale nie tak, żeby było widać, że robisz to celowo.

– No świetnie. Przecież teraz, skoro już to przegadaliśmy, nie zdołam zupełnie naturalnie wyluzować.

– Trudna sprawa, co? Ale dasz radę. Cóż to dla druida.

– Skoro tak mówisz, sensei.

– Mówię półzartem. Ale faktem jest, że kiedy podłączysz się do ziemi i będziesz mogła widzieć spektrum magiczne, nieustannie będziesz miała do czynienia ze sprzecznymi bodźcami. Pamiętasz? Raz ci już pokazałem, co to za uczucie. Tuż przed tym, jak próbowały nas zabić tamte hekсы, splotłem twój wzrok z moim.

– Jak mogłabym zapomnieć.

– Przypomnij sobie to poczucie kompletnej dezorientacji. To dysonans poznawczy pierwszej ligi i będziesz musiała się z nim pogodzić, okiełznać go, żeby cokolwiek tu osiągnąć. Nauczysz się też epatować swoich wrogów bezbrzeżnym spokojem, obmyślając w duchu plan dźgnięcia ich pod żebro. A jeśli kiedykolwiek będziesz przemieszczała się z kimś między krainami, będziesz musiała ująć w swoim umyśle jego całość, nie tracąc swojej odrębności. Istotą druidyzmu jest takie wyćwiczenie umysłu, żeby radził sobie ze sprzecznymi danymi wejściowymi i bez trudu generował sprzeczne dane wyjściowe.

<To raczej przepis na polityka, a nie na druida>.

Że co? A. Aha.

<4:1 dla psa>.

Postanowiłem ponudzić jeszcze trochę, żeby jakoś zatuszować to, iż dostaję łupnia od własnego psa.

– Między innymi dlatego wymagam od ciebie znajomości tak wielu języków, że każdego z nich możesz używać w funkcji innej przestrzeni myślowej. Pozwolą ci na działania wielozadaniowe i pomogą unikać błędów. Staroirlandzki przyda się do magii, a angielski do używania na co dzień, co już oddziela ci sferę spłotów od zwykłej rozmowy. Potem wybierzesz sobie jakiś inny język do komunikacji z żywiołakami.

– Ale ja już zaczęłam mówić do nich po angielsku – przyznała zaniepokojona. Dwa żywiołaki podarowały jej bowiem małe kawałki siebie, żeby mogła rozmawiać z nimi, zanim zostanie podłączona do ziemi.

– Przecież tylko z Sonorą i Ferrisem – uspokoiłem ją. – Jest tyle innych żywiołaków, a chodzi o to, że jeśli po splecieniu z ziemią będziesz nadal używała do komunikacji z nimi angielskiego, może się to skończyć nienaumyślnym wezwaniem któregoś i przekazywaniem im swoich emocji, kiedy zupełnie tego nie chcesz.

– Ale właściwie dlaczego język w ogóle ma tu jakiegokolwiek znaczenie?

Przecież porozumiewam się z nimi za pomocą emocji i obrazów.

– Znów chodzi o tę przestrzeń myślową. Każdy język daje ci inną. Tworzy inne wzory myślenia i odmienną siatkę znaczeń. Kiedy kontaktujesz się z żywiołakiem, używając danej przestrzeni myślowej, on się do niej automatycznie dostraja. Z

Sonorą i Ferrisem będziesz już zawsze musiała myśleć po angielsku. Ale jeśli będziesz się trzymać angielskiego także przy innych żywiołakach, możesz naprawdę je wzywać zupełnie nieświadomie, bo będą podłapywały twoje myśli, kiedy się wściekniesz albo podekscytujesz. Będą myślały, że do nich przemawiasz. A wtedy już jesteś o krok od zirytowania ich.

– Oj... A ty jakiego języka używasz w komunikacji z żywiołakami?

– Łaciny. Ponieważ to język martwy, struktura moich myśli pozostaje stała bez względu na zmiany w kulturze popularnej. Ale ty możesz sobie wybrać grekę, rosyjski czy co tam chcesz.

– Używanie łaciny rzeczywiście ma sens – mruknęła.

Kiwnąłem z uznaniem. Zrobiła już naprawdę duże postępy w łacinie. I w... nie wiem, jak to określić... w oddaniu dla sprawy może? Odkąd wróciłem z Asgardu, była jakaś inna, ale nadal nie udało mi się namierzyć ogona osiołka imieniem Dłaczego. Dotąd było bardzo mało czasu na rozmowę, a ten, który mieliśmy, zużyliśmy i tak na łamanie sobie głowy nad tym, co się mogło stać z panią MacDonagh oraz jak przeżyjemy zemstę Nordów. Zresztą masę czasu spędziłem też na dumaniu w bezproduktywnym milczeniu nad obydwoma tymi problemami. Okoliczności naprawdę nie sprzyjały spokojnemu uczeniu Granuaile ani przygotowywaniu jej umysłu do druidyzmu.

Przed oczyma znów stanął mi nieumyty, zarośnięty odprysk moich wspomnień. W jednej dłoni trzymał bochen chleba, w drugiej cisową łaskę, a jego małe oczy spoglądały na mnie spod nastroszonych brwi z potępieniem. Był to mój archdruid, który powinien nie żyć już od wielu stuleci, ale w pewnym sensie wciąż był żywy: jego głos nadal rozbrzmiewał w mojej głowie. Jego łaska mignęła mi przed oczami i niemal poczułem ból uderzenia, gdy obijał mnie nią po łbie: „Skup się, Siodhachan! – krzyczał. – Bo znowu wszystko spieprzysz!”.

Miał rację. Ale wyszkolenie Granuaile na druida musiało poczekać, póki nie skończę warzyć tego, co sobie zamówił Kojot. Zatrzymaliśmy się u podnóża wzniesienia i usiedliśmy po turecku. Oberon przeciągnął się i sapiąc, wywalił jęzor na bok.

– Będę musiał teraz trochę nad tym popracować – wyjaśniłem.

Granuaile obejrzała się na słońce (rutynowe działanie osób o jasnej karnacji, które w Arizonie żyją w ciągłym strachu przed upieczeniem się żywcem) i zobaczyła, że cienka warstwa rozciągniętych bawełnianych chmurek zasłoniła styczniowe promienie. Kiwnęła zdawkowo głową.

– Dobra. I tak powinnam się pouczyć łaciny – powiedziała. – Wyciągnę sobie laptopa z samochodu. Ale przedtem muszę cię jeszcze o coś spytać: co wiesz o ceremonii Błogosławionej Drogi?

Było to trudne pytanie. Zmarszczyłem brwi, po czym sformułowałem podstawowy disclaimer:

– Nie jestem ekspertem. Raczej słabo poinformowaną osobą postronną.

– Lepsze to niż nic.

– Z tego, co wiem, szkolenie na hataańskiego trwa nawet dłużej niż na druida.

Coś koło dwudziestu lat, może nawet więcej. Dużo pamięciówki, jeszcze więcej praktyki, zbieranie materiałów niezbędnych do rytuałów i tak dalej. Co nam to mówi

o Franku?

– Jest prawdopodobnie dużo bystrzejszy ode mnie i z dziesięć razy cierpliwszy.

– Hm. Niewykluczone, że jest mądrzejszy. Pewnie wie także więcej niż ja na temat medycznych właściwości tutejszych roślin. I z całą pewnością masz rację co do jego cierpliwości. To w dużej mierze przychodzi z wiekiem. – Zrobiłem wdech, żeby uporządkować myśli. – Dobra. Są różne rodzaje tych ceremonii. Błogosławiona Droga to cały dział praktyk rytualnych. W języku nawahijskim określana jest terminem *hózhóji*. Można na przykład odprawić ceremonię Błogosławionej Drogi dla matki i jej nowo narodzonego dziecka lub dla żołnierza idącego na wojnę. Można pobłogosławić dzięki niej cały budynek, żeby stał się święty, i to właśnie zamierza zrobić Frank. Jest też Wroga Droga, której z kolei używa się w celu wyeliminowania złego albo w wypadku ludzi, którzy zbyt długo byli daleko od plemienia i muszą wrócić do swoich korzeni. Na wszystkie te ceremonie składają się pieśni i modlitwy, w których Nawahowie zwracają się do Świętych Ludzi, przypominają ludziom o ich pochodzeniu i przywracają równowagę między nimi a wszechświatem. Często towarzyszy temu tworzenie obrazów z piasku, które przedstawiają Świętych Ludzi i pomagają sprawie. Tylko wtedy zresztą można ich wizualnie przedstawiać, więc tak naprawdę te wszystkie piaskowe obrazy, które kupują turyści, to tylko sztuka dla sztuki, religijnie nie mają żadnego znaczenia. Słowo *hózhó*, które oznacza wszelkie dobro, przyjęło się tłumaczyć jako „błogosławieństwo”, ale to także piękno, pokój, harmonia, porządek, zdrowie, szczęście i wiele więcej. No i jest jeszcze inny dział tych praktyk, który nazywa się Przekłęta Droga, a wywraca wszystko do góry nogami. Wolałbym raczej nie natknąć się na nikogo, kto ją praktykuje. Frank poprowadzi ceremonię Błogosławionej Drogi, ale sama się przekonasz, że nie będzie to nic przesadnie sformalizowanego. Ludzie nie będą pochylać głów i klękać jak jakieś dewotki na dźwięk zawodzących organów. Będą jeść albo rozmawiać podczas jego śpiewu. Będą się cieszyć obecnością innych i przepelniać całe miejsce miłością. Wszystko to element ceremonii. I my też możemy w tym uczestniczyć, postaramy się tylko nie wchodzić Frankowi w drogę, kiedy będzie zajęty swoimi sprawami.

Zamierzałem go mieć na oku. Magia w jego aurze świadczyła o tym, że nie jest to zwykły hataalii, choć z drugiej strony w towarzystwie Kojota raczej nie miałem prawa spodziewać się nikogo zwykłego.

– Brzmi to nieźle. Dzięki, sensei. To teraz rób swoje.

Jej kroki zachrzęściły za moimi plecami, a Oberon westchnął ciężko.

Co się dzieje, chłopie?

<Nudzi mi się. Nie ma tu żadnych zapachów, znaczy poza waszymi. Same skały, trochę trawy, żadnej zwierzyny. I nawet nie ma kablówki>.

Biedny, biedny piesek. Zdrzemnij się.

<Kiedy nie chce mi się spać>.

To może przeprowadź jakiś nowy eksperyment?

<Nawet jeszcze nie skończyłem pierwszego. Sophie raczej nie może stanowić reprezentatywnej próbki, Atticusie. Chyba to rozumiesz>.

Może mógłbyś mi przy okazji wyjaśnić, do czego właściwie dążysz. Bo nie rozumiem za bardzo, jak by się to miało przyczynić do wzrostu ludzkiej wiedzy.

<Próbuję udowodnić wpływ imion na ludzkie zachowanie. Gdybyś przedstawił

mnie jako Oberona albo Łamacza Kręgosłupów, albo Pożeracza Wątrób, jej głos byłby tak niski jak zwykle>.

To spory przeskok myślowy.

<Wiem. To tylko hipoteza. Dlatego właśnie musisz mnie przedstawić olbrzymiej liczbie obcych kobiet. Ale nie wolno ci z nimi flirtować! Bo mi zaburzysz dane. Jest tu gdzieś w okolicy olbrzymia liczba obcych kobiet? Bo nadal mi się nudzi>.

Westchnąłem.

Możesz iść ponękać robotników dla rozrywki. Daję ci nawet pozwolenie na wążanie im tyłków.

Oberon przestał sapać i nastawił uszy.

<Serio?>

Jasne, czemu nie? To robotnicy. Zobaczysz, będą się śmiać jeden z drugiego, szczególnie jeśli potem będziesz kichał. Ale lepiej ich nie przestrasz, żeby ci odruchowo nie przywalili w łeb.

Oberon podniósł się z ziemi, machając ogonem.

<Dobra. To może nawet być zabawne. Dzięki, Atticusie>.

Proszę bardzo.

Potruchtał w stronę robotników, zostawiając mnie samemu sobie. Czas było nawiązać kontakt z okolicznym żywiołakiem. Znajdowaliśmy się na Wyżynie Kolorado, w olbrzymim regionie rozciągającym się na cztery stany, toteż dla wygody nadałem temu żywiołakowi imię Kolorado. Wziętem głęboki oddech, skupilem się na swojej łacińskiej przestrzeni myślowej i przez tatuaże łączące mnie z ziemią wysłałem następującą wiadomość: //Druid pozdrawia Kolorado / Życzenia zdrowia / Harmonia//.

Minęła dłuższa chwila, nim otrzymałem odpowiedź. Prawdę powiedziawszy, gdy przyszła, już się szykowałem do powtórzenia mojego powitania.

//Kolorado pozdrawia druida / Witaj//

Zmarszczyłem brwi na tak krótką replikę. Żywiołaki z reguły nie są zbyt rozmowne, znaczy się właściwie to w ogóle nie mówią – to ja robię, co mogę, żeby ich obrazy i uczucia przełożyć na słowa, ale Kolorado wydał mi się jakimś wyjątkowym milczkiem, wręcz gburem. Zwykle bowiem żywiołaki nie posiadają się z radości, gdy się do nich odzywam. Każą mi się zrelaksować, popołować sobie, życzą mi harmonii i takie tam.

//Pytanie: zdrowie? / Harmonia//

//Nie// padła odpowiedź.

Cholera. Pogrzebałem w pamięci, żeby przypomnieć sobie, kiedy ostatnio z nim gadałem, i jakoś nic nie znalazłem. Pamiętałem niby, że w szesnastym wieku jechałem tędy z Coronado i Don Garcia Lopezem de Cárdenas, ale potem... To mogła być moja pierwsza wizyta od tego czasu. Zaniepokoiłem się, że żywiołak może się obraził. Czyżby był zazdrosny, że przez ostatnie dziesięć lat co rusz to zagaduję do Sonory, Kaibaba i innych arizońskich żywiołaków, a do niego nie?

//Pytanie: źródło dysonansu?//

Ogłuszająca cisza. No pięknie. Kolorado przechodzi bunt żywiołaka. Należy zastosować pochlebstwo w trybie natychmiastowym.

//Druid tu szczęśliwy / Zostanie długo / Harmonia//

Na co padła odpowiedź:

//Pytanie: druid zostanie?//

//Tak/ Długa wizyta//

//Pytanie: jak długa?//

Cholera. Obietnica długiego pobytu szybko zdołałaby mi zaskarżyć jego przychylność, ale ja naprawdę nie wiedziałem już, co mogę obiecywać. Mimo wszystko jednak, jeśli tylko Nordowie i reszta uwierzyli, że nie żyję, rezerwat będzie naprawdę dobrym miejscem na dokończenie szkolenia Granuaile. Postanowiłem więc sformułować to tak:

//Druid chce zostać czterdzieści pór / Może więcej//

Chcieć to nie to samo co obiecać.

//Radość / Zadowolenie / Harmonia// powiedział Kolorado.

//Harmonia// zgodziłem się. Lody przełamane. Wróciła Granuaile i siadła przy mnie, a tymczasem Kolorado zaczął się rozwodzić nad swoimi problemami. W ostatnich latach opady deszczu były wyjątkowo marne. Poziom wód gruntowych jest zatrważająco niski, a co najgorsze: jeszcze ta irytująca sprawa kopalni węglowych, które nie tylko złościły rany na jego ciele, ale i zaostrzały problem z wodą.

A od mojej ostatniej wizyty wymarło mu piętnaście gatunków. To mniej niż u innych żywołaków – znacznie mniej – ale każdy gatunek Kolorado opłakiwał z wielkim smutkiem. Pocieszałem go całe popołudnie i pół wieczoru, nim w końcu odważyłem się go o cokolwiek poprosić. Słońce poszło spać wcześniej, robotnicy ruszyli z powrotem do Kayenty, a Oberon kimał przy Kojocie. Dopiero wtedy spytałem Kolorado, czy nie zechciałby mi pomóc w zbudowaniu drogi od podnóża góry aż na sam szczyt.

Zbudować łagodne wzgórze dla dawno niewidzianego kumpla? Nie ma sprawy. Kolorado dawno nie miał okazji się przed nikim popisać i odwalił całą robotę w niecałą minutkę, za to z wielkim hukiem pękających skał, który obudził Oberona i Kojota. Granuaile zerwała się na równe nogi ze swojego miejsca przy ognisku, które rozpałała kawałek dalej. Kojot był teraz w swojej zwierzęcej postaci i zaraz zaczął piszczeć z radości, gdy ujrzał nowo powstałą drogę.

– Wielka szkoda, że jestem do dupy w budowaniu – powiedziałem do niego. – Bo w takim razie będziesz musiał jutro jakoś wyjaśnić, skąd się wzięła ta droga beze mnie.

Kojot aż się przewrócił ze śmiechu, a Oberon patrzył na niego lekko rozbawiony.

<Co jest śmiesznego w przesuwaniu skał?> spytał. <Czy jest tu jakiś ukryty żart, którego mi nie wyjaśniłeś?>

Nie, Kojot po prostu docenił mojego psikus. Ośmieszył mnie dziś przed swoimi ludźmi, ale ja obróciłem to przeciwko niemu. A jak ci poszło obwąchiwanie tyłków?

<Ale się ubawiłem! Śmiechu było co niemiara. Zarobiłem też kanapkę z masłem orzechowym. Tylko nikt nie miał mleka. Wyobrażasz sobie coś takiego?>

Podziękowałem Kolorado za wspaniałą robotę i obiecałem, że porozmawiamy jeszcze rano. Będę w okolicy zajmował się szkoleniem uczennicy, więc bardzo by mi

się przydała jego pomoc przy uczeniu jej o potrzebach ziemi. Strasznie się tym przejął i mało nie pękł z dumy na samą myśl, a potem zapewnił mnie jeszcze, że to był najlepszy dzień od stuleci.

Gdy ja pogrążony byłem całe popołudnie w swego rodzaju transie, skupiony na rozmowie z Kolorado, Granuaile wyskoczyła do miasteczka po jedzenie. Nad ogniskiem zainstalowała prosty ruszt, umocowany kilkoma kamieniami, i teraz piekła na nim kotlety posypane czosnkiem. Na żeliwnej patelni smażyły się na oliwie grzyby z cebulką.

<Mógłbyś jej powiedzieć, że lubię czystą krew?> poprosił Oberon. <Smażone reducenty tylko mi zepsują smak, a od tej całej cebuli mogę dostać anemii hemolitycznej!>

Myślę, że ona to już raczej wie, ale dobrze, powiem jej na wszelki wypadek.

Zawsze starannie pilnowałem diety Oberona i rozplatałem mu kofeinę w herbacie, ale on i tak nie tracił czujności i strzegł się wszelkich alergii i nietolerancji na wypadek, gdybym coś przeoczył.

Kojot przepostaciowił się w człowieka i zachichotał.

– Niezłe, niezłe, panie Druid. Ale czemu tyle to zajęło? Lepiej by wypadło, jakby wszyscy tu jeszcze byli.

– Masz zupełnie utwardzoną drogę aż na sam szczyt stoliwa, i to w jeden dzień, a ty narzekasz, że za długo to trwało?

– Wcale nie narzekam. Mówię tylko, że mogłeś pan się bardziej postarać.

– Zapamiętam to sobie, panie Benally.

Gdy już zjedliśmy, Kojot opowiedział nam kilka historii, część naprawdę starych, na przykład o swoim spotkaniu z Rogatą Ropuchą i z Błękitnikiem, a parę zupełnie nowych, na przykład o tym, jak się sprzymierzył z Grzechotnikiem, żeby nastraszyć jakiegoś turystę, który zatrzymał się przy drodze, żeby się wysikać. Potem ja opowiedziałem o tym, co robiłem w bitwie nad Kałką, a Oberon zrelacjonował nam swoje przygody przed tym, jak wylądował na rancho w Massachusetts, gdzie go znalazłem, i wreszcie byliśmy gotowi skryć się w śpiworach. Rzeczony śpiwory znajdowały się w samochodzie Granuaile, która wozila je już tam od dłuższego czasu, jako że wiedzieliśmy, iż prędzej czy później przyjdzie nam spać pod gołym niebem. Teraz wyciągnęła je z bagażnika, a ja posłużyłem się odrobiną mocy, żeby wyrównać podłoże, i ułożyliśmy się do spania. Kojot znów wrócił do swojej psowatej postaci i zwinął się przy Oberonie blisko ognia, a Oberon tak się ucieszył, że ma towarzystwo, iż nawet zapomniał z tego wszystkiego, że wygrał dziś ze mną w punktacji. To oznaczało, że może uda mi się jutro jakoś z tymi punktami nadgonić. Już się nie mogłem doczekać, jak Kojot wyjaśni rano sprawę nowej drogi.

Zawiódł mnie jednak. Ku mojemu rozczarowaniu wywinął się beczelnym kłamstwem:

– Przecież była tu cały czas – powiedział po prostu, gdy Darren Yazzie spytał, jakim cudem zbudowaliśmy w nocy drogę. Na co wtrąciła się Sophie Betsuie i powiedziała, że nie, na sto procent jej tu nie było i ona dokładnie pamięta, jak jeszcze wczoraj o tym rozmawialiśmy. A wtedy Kojot przeniósł wszystko na poziom „kto tu rządzi?” – Zarzucasz mi kłamstwo? – ryknął groźnie.

I to wystarczyło, bo w końcu on tu był szefem, więc choć dzielna Sophie

owszem, chciała mu zarzucić kłamstwo, w tej sytuacji już się w zasadzie nie dało. Trzeba natomiast przyznać, że się nie ugięła i nie powiedziała, że to nie jest kłamstwo, tylko obróciła się na pięcie i sobie poszła, a jej milczenie powiedziało wszystko. Kojot posłał mi złośliwy uśmieszek. Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja ta nie wytrąciła go ani na chwilę z naturalnej u niego pewności siebie. Może i byliśmy sojusznikami, ale to nie znaczy przecież, że nie może mnie próbować okpić na każdym kroku.

Zaczęto więc wwozić drewno na hogan. Budowali go na wpół tradycyjną metodą, to jest na klepisku, ale jeśli chodzi o samą konstrukcję, wybrali nowsze rozwiązanie: mały dźwig szybko układał przycięte już pale.

Frank Chischilly zaczął śpiewać tradycyjne pieśni. Gdy wbijano słupy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, poczynając od wschodu, śpiewał do każdego z nich. Rozwinął też sobie swój *jish*, czyli skórzany tobołek na leki, który zawierał wszystko, co potrzebne do ceremonii Błogosławionej Drogi. Na razie nie dotykał nawet większości z tych skarbów, ale były tam najróżniejsze grzechotki i pióra, kamienie i małe sakiewki z ziołami, pyłkami, kolorową gliną i piaskiem do obrazów. Gdy skupił się na pracy przy południowym słupie, przyjrzałem mu się w magicznym spektrum. Długo nie działało się nic niezwykłego, potem nagle, gdy już skończył, błysnęło jasne, białe światło na ziemi między wschodnim i południowym słupem. Zgasło szybko i nie zdążyłem zrozumieć, co by miało ono znaczyć poza tym, że z pewnością rozciągnięto tu jakąś magiczną energię. To na pewno wykraczało poza rutynowe działania hataalii. Frank musiał być czymś więcej.

Zaoferowałem pomoc Darrenowi Yazziemiu i pod jego czujnym okiem w ciągu kilku godzin, nim zaszło słońce, mieliśmy już budynek w stanie surowym. Trzeba będzie jeszcze się zająć izolacją, położyć coś na dach poza folią, ale jednak bryła już była i prezentowała się niczego sobie. Granuaile bardzo się przejęła, że Frank będzie kontynuował Błogosławioną Drogę także w nocy, a zatem ona będzie mogła się bliżej przyjrzeć ceremonii (dzień spędziła na kuciu łaciny i zapewnianiu rozrywek Oberonowi).

Gdy ekipa Darrena gromadziła większy sprzęt w prowizorycznie zbudowanej zagrodzie, hataalii stanął na samym szczycie drogi, z trzydzieści metrów od hoganu. Trzymał w ręce butelkę wody i spoglądał w dół. Po chwili zawołał nas swym zachrypłym głosem, nie odrywając oczu od czegoś na północy. Podbiegliśmy do niego z Granuaile i Kojotem, ale Oberon i tak dotarł pierwszy. Zjeżył się od razu i zaczął na coś czekać.

<Atticus, musimy uciekać!>

Dlaczego? Kto tam jest?

Moralltach leżał w samochodzie Granuaile, na dole. Nie byłem przygotowany na walkę. Gdy zrównałem się z Oberonem i położyłem mu dłoń na karku, żeby go uspokoić, krew odpłynęła mi z twarzy na widok samotnej postaci kuśtykającej w naszą stronę przez suchą, czerwoną pustynię. Wyglądała jak mała staruszka, która pasowała tu mniej więcej tak, jak Elmo na zjeździe motocyklistów w Sturgis, w Dakocie Południowej.

Granuaile, która dobiegła do nas chwilę później, jęknęła głucho.

– Ale jak ona nas tu w ogóle znalazła?

– Znacie ją? – spytał Frank. – Nadchodzi z północy. To zły znak. I nawet stąd widzę, że ma bardzo złe wibracje.

Odnutowałem sobie skrzętnie tę jego uwagę, bo jeśli przypadkiem nie mówił w przenośni, to musiał dysponować przynajmniej podstawowym wzrokiem magicznym.

<Szkoda gadać. Z takimi wibracjami mogłaby być Lordem Sithów albo dyrektorem z Wall Street>.

Kojot wbił wzrok w zbliżającą się kobietę i pokiwał głową.

– To nie żadna staruszczyzna.

– Znałem ją – powiedziałem. – Powinna nie żyć.

Frank splunął na ziemię.

– Mówisz pan, że to zombi albo inne jakieś takie popaprane gówno?

– Nie zombi, ale jeśli chodzi o jakieś popaprane gówno... hmm. Tak, myślę, że się kwalifikuje.

– Żaden z pana geolog, panie Collins, co? – spytał cierpkim tonem Frank.

Uśmiechnął się niewesoło i miał taką minę, jakby wręcz oczekiwał, że teraz wszystkiego się wyprę, ale jego tym i tak nie oszukam – ani nie urażę. Tylko że skoro on widział, że wdowa ma coś wspólnego z magią, to z pewnością czuł też, że nie jestem byle przeciętnym obywatelem. Dlatego postanowiłem niczego nie udawać. W końcu to i tak była sprawa Kojota, nie moja.

– Taki ze mnie geolog, jak z pana Benally'ego dobroczynny przedsiębiorca – mruknąłem.

Frank zachichotał, gdy Kojot syknął na mnie, żebym się zamknął. Z tego wynikało, że Frank nie zna jednak prawdziwej natury Kojota, choć domyśla się, że nie jest on normalną osobą.

– Co to w takim razie takiego? – spytał hataalii, wskazując wdowę szybkim ruchem brody.

– Nie wiem. Ale czas się dowiedzieć.

Postać zbliżająca się pieszko od północy wyglądała zupełnie jak wdowa MacDonagh, ale wiedziałem, że to na pewno nie ona. Popędziłem z boczem w dół po miecz.

Rozdział 5

Po powrocie z Asgardu dowiedziałem się od Oberona, że wdowa nie żyje. Biedna pani MacDonagh walczyła z wieloma chorobami, gdy wyjeżdżałem, a w trakcie mojej nieobecności jedna z nich w końcu ją pokonała. Zmarła w łóżku podczas snu. Lecz z opowieści Oberona wynikało, że potem wstała z martwych, zaczęła się dziwnie zachowywać, nic nie mówiła i nie jadła. I nawet nie tknęła whisky. Nie ulegało więc wątpliwości, że jej ciało zostało opętane, choć nadal nie wiedziałem, przez kogo lub co. Domyślałem się tylko, że ten ktoś czekał, aż wrócę po swojego psa. Mogła to niby być ta hinduska wiedźma, Laksha Kulasekaran. Ona zdołałaby bez trudu dokonać takiego myku. Ale wydawało mi się, że Laksha raczej by jednak nie złamała danego mi słowa i nie nastawała na moje życie w tak nieprzyjemny sposób. Czulem przez skórę, że to coś znacznie niebezpieczniejszego. Zresztą Jezus ostrzegł mnie przecież w Rúli Búli, że moje działania przyciągną uwagę czegoś potężnego.

Wyciągnąłem Moralltacha z samochodu Granuaile, obnażyłem go i potruchtałem na spotkanie z byłą panią MacDonagh. Oberon, Granuaile, Kojot i Frank Chischilly podążyli za mną, zachowując bezpieczny dystans. Włączywszy szkło faeryczne, stwierdziłem, że wdowa nie ma już ludzkiej aury. Widziałem dość ludzkopodobny kształt, który jednak pulsował i zmieniał się nieustannie, jak te fraktalne wygaszacze ekranu, i aż kipiał od białej mocy magii. To coś było tak potężne, że zacząłem się obawiać, iż to jakiś bóg.

Serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłem z bliska, co zostało z wdowy. Jej bawełniana sukienka w łączkę była poplamiona i popruta w szwach. Z jej oczu zniknęło światło, a twarz zwisała nienaturalnie luźno, póki nie zatrzymałem się z dziesięć metrów przed nią i nie uniosłem miecza.

– Kim jesteś? – krzyknąłem.

Wtedy twarz rozciągnęła się w upiornej imitacji uśmiechu. Wargi nie do końca przylegały już do czaszki i zobaczyłem o wiele więcej wewnętrznej tkanki, niż powinienem. Wdowa nie odpowiedziała po angielsku. Przemówiła do mnie w staronordyckim, co potwierdziło moje najgorsze przeczucia.

– Nie znam tego języka – oświadczyła. Jej głos w niczym już nie przypominał śpiewnego, życzliwego tonu Katie MacDonagh. Był to raczej świszczący zgrzyt, jakby ktoś jej przejechał papierem ściernym po strunach głosowych. – Jeśli to ty jesteś właścicielem tego psa, z pewnością mnie rozumiesz. Czy władasz staronordyckim?

Skinąłem głową i odpowiedziałem już w tym języku, co oznaczało z kolei, że pozostali byli teraz wyłączeni z naszej rozmowy:

– Kim jesteś? – zapytałem ponownie.

Nie mógł to być żaden wszechwiedzący bóg, bo taki przecież nie musiałby mnie tropić po Oberonie. To wykluczało Odyna, ale pozostawiało w zasadzie wszystkich innych bogów z tego panteonu.

Istota w ciele wdowy zachichotała, a raczej: wydała z siebie odgłos taki, jaki

wydaje pękająca kra na wiosnę, przy czym ciało zatrzęsło się z uciechy.

– Mam władzę nad starymi i chorymi, chromymi i sparaliżowanymi, wszystkimi poległymi niewybranymi przez walkirie, wszystkimi, których Freja porzuci przed swoim Fólkvangrem. Niech cię nie zwiedzie to przebranie. Z pewnością zgadniesz.

W ostatniej chwili powstrzymałem się od wzruszenia ramionami.

– Hel – wyszeptalem.

Córka Lokiego, władcy umarłych w Niflheimie.

Znów rozdziawiła gębę w makabrycznym uśmiechu.

– Taaaaaaaak.

– Dlaczego przybyłaś do Midgardu?

– Jestem tu dzięki tobie... Jak mam cię zwać?

– Możesz mi mówić... Roy.

– To nie jest twoje prawdziwe imię.

– Ale na razie wystarczy. Co się stało z wdową?

– Z tą kobietą, której skórę noszę? Powędrowała już na tamten, chrześcijański świat, tak jak tego chciała. Jej dusza do mnie nie należy, tylko ciało.

– Ciało też do ciebie nie należy. To zbrodnia, że śmiałaś je sobie przywłaszczyć. Uwolnij ciało i wtedy pogadamy.

– Bzdura – odparła Hel. – Nie mogę chodzić w swojej prawdziwej postaci. Nikt nie chce wtedy ze mną rozmawiać. Albo wrzeszczą, albo wymiotują, albo coś bełkoczą, ale nigdy nie mówią do rzeczy. Choćbyś nie wiem jak był oburzony, że przejęłam skórę tej staruszki, przynajmniej możemy porozmawiać w spokoju twojego ducha.

Nie upierałem się dłużej, bo może i nie przesadzała, ale nie podobało mi się to wszystko i nie chciałem, żeby się przywiązywała do ukradzionego ciała. Rodzina wdowy naprawdę nie powinna zostać pozbawiona prawa do pochówku.

– Rozmawiajmy więc. Ale potem z szacunku dla zmarłych odniesiesz to ciało tam, gdzie je znalazłaś.

Znów powrócił śmiech lodołamacza.

– A na co zmarłym szacunek? Ale może wyświadczę ci tę przysługę.

Zobaczmy. Należy ci się w nagrodę za umożliwienie mi tej wizyty w Midgardzie.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Czyż nie ty zabiłeś Norny i zmieniłeś Odyna w kalekę?

– Tak, ja.

– A to oni właśnie więzili mnie w Niflheimie. Teraz mogę odwiedzać sobie każdą krainę połączoną z Drzewem Świata. Winnam ci za to podziękowania.

Powoli opuściłem Moralltacha. Nie wyglądało na to, że zanosi się na atak. Jeszcze nie.

– Przebyłaś taki szmat drogi tylko po to, żeby mi podziękować?

– Nie. Przybyłam z ciekawości. Wybiłeś nam Norny i wielu Azów, ale nie wiem dlaczego. Nienawidziłeś ich?

– Nie. Znalazłem się w Asgardzie w wyniku skomplikowanych zobowiązań, a gdy już tam byłem, mogłem tylko zabić lub pozwolić, by mnie zabito. Przeżyłem. To wszystko.

– To wszystko? – Wyglądała na szczerze ubawioną. – Żadnej wendety? Żadnej walki o władzę? O bogactwa?

– Nie. Jeśli o mnie chodzi, to nie.

Wendeta była, ale Leifa. I Gunnara Magnussona, który przypłacił ją życiem. Co do bogactw, to naprawdę mieliśmy je w nosie. Zostawiliśmy nawet młot i pas Thora. Niby należały się Leifowi, ale on się jakoś nie palił, żeby je brać. Kto wie, w czyje ręce w końcu wpadły. Ja wziąłem tylko włócznię Odyna, zwaną Gungnirem, bo zdobyłem ją w walce, ale nie zamierzałem jej sprzedawać na eBayu ani nic.

– Nie chodzi ci o zasiadanie w Asgardzie, o nagrodę z Niflheimu?

– Nie. Tak jak powiedziałem: wciągnięto mnie w ten konflikt, wcale go nie chciałem.

– A jednak ułatwiłeś mi osiągnięcie mojego celu – zagrzmiała Hel.

– A co jest twoim celem?

– Ragnarök oczywiście! Teraz, gdy Norny nie żyją, gdy zginął Thor, Heimdall i inni, zwycięstwo synów i córek Lokiego stało się możliwe. Mogę zacząć się szykować, bo któż nas powstrzyma? Midgard i pozostałe krainy zostaną przemienione według uznania mego ojca. Myślę, że spali je wszystkie, żeby zacząć od początku. Czas zbierać siły, toteż przybywam z pytaniem: czy dołączysz do nas? Czy chcesz być z nami, gdy narodzi się nowy początek?

Zrobiłem krok do tyłu, jakby mnie pchnęła, tak mnie odrzuciło na samą myśl. Usiłowałem jednak zachować neutralny wyraz twarzy, wręcz wyglądać na zastanawiającego się poważnie nad tą propozycją, bo urażenie bogini umarłych nie jest ani grzeczne, ani mądre. Najlepiej odmówić jej bardzo ostrożnie.

Odchrząknąłem.

– Nowy wspaniały świat – powtórzyłem, kiwając głową, jakby ten pomysł przypadł mi do gustu. – Nieraz o tym myślałem. Zachodziłem w głowę, jak by to było, gdyby ludzie, którzy męczą ziemię dla własnych, egoistycznych celów, zniknęli raz na zawsze. – Więcej mi się nie udało wykrzesać na tak zadany temat, więc machnąłem ręką, jakby odganiając mrzonki. – Lecz po co się łudzić, po co tracić czas na takie spekulacje? Nie mnie sądzić, kto zasługuje na śmierć. A nie ma nowego początku bez unicestwienia także tego, co piękne, co niewinne i chwalebne. Nie przyłożę ręki do dzieła zniszczenia.

Twarz biednej wdowy znów obwisała luźno.

– Staniesz więc przeciwko nam? – Słowa Hel były zimne jak lód.

– Jeśli będę musiał.

Hel uniosła dłoń wdowy i przyłożyła ją do lewej strony, w okolicy żeber. Zanurzyła ją w głąb tkaniny i wyciągnęła z wdziękiem wielki nóż ozdobiony runami. Nie zobaczyłem żadnej pochwy – zupełnie tak, jakby wyciągnęła broń z samej swojej istoty. Zacisnąłem dłonie na Moralltach, szykując się na atak, a publiczność za mną wstrzymała oddech.

Hel zarechotała na widok naszej reakcji.

– Ten twój faeryczny miecz jakoś się nazywa, prawda?

– Tak. Moralltach.

– A oto Głód – rzekła, wymachując mi nożem przed nosem. – Może i wygląda skromnie przy twoim mieczu. Ale też żaden ze mnie wojownik. Nie słynę ze zwinnej

walki. Mimo to jednak ten nóż oznacza dla ciebie śmierć.

Broń zaczęła drżeć w jej dłoni.

– Widzisz? Spija twój zapach. Stworzenie, które nim zranię, będzie odtąd wiecznie głodne twojego mięsa. I nic innego nie zaspokoi tego głodu.

Może oczekiwała, że tak się przełęknę, iż zacznę ją teraz błagać o litość. W każdym razie wyraźnie czekała na jakąś reakcję z mojej strony, ale ja nie traćłem czujności i milczałem. Córka Lokiego przekrzywiła głowę z zaciekawieniem.

– Czy wydaje ci się, że nie znam istoty, która nie będzie się obawiała twego miecza?

Wzruszyłem ramionami.

Syknęła wściekle.

– Niech więc tak będzie, Roy.

Nóż przestał drżeć, a ona schowała „zbawczy puginał” do swej pochwy, którą był akurat jej brzuch, i nie wykazując żadnych skutków ubocznych takiego przechowywania broni, odwróciła się i pokuśtykała na północ – przedziwnie i wyjątkowo niezgrabnie, a jednak szybciej, niż kiedykolwiek udawało się to wdowie.

<A! Brawo, Atticusie! Odstraszyłeś ją!>

Nie za bardzo. Mam przekichane.

<Coś ty. Przecież ona właśnie ucieka!>

Nie. Tylko biegnie znaleźć kogoś, kto mnie zabije.

<O. To może powinieneś ją powstrzymać, co?>

Pewnie powinienem.

– Sensei? Co się stało? – spytała Granuaile.

Nie miałem czasu jej tego wyjaśniać, jeśli chciałem złapać Hel. Bogowie niejedyni, co ja w ogóle wygaduję? Złapać Hel? Po cholere miałbym ją w ogóle łapać?

Ale i tak rzuciłem się w pogoń, wywołując tym samym okrzyki rozpaczycy u ludzi za mną, którzy pojąć nie mogli, co ja wyprawiam. Usłyszałem, że mnie gonią, choć sam zajęty byłem ściganiem malutkiej irlandzkiej staruszczyki przez Wyżynę Kolorado. Przypomniałem sobie surowo, że ta słodka starsza pani jest już tylko podłą boginią nie z tego świata. I choćbym nie wiem jak tego nie chciał, prawda była taka, że ta bogini latała tu luzem z mojej winy. Ostrzegano mnie, że wyprawa do Asgardu wywoła bardzo poważne konsekwencje. Morrigan mi to powiedziała, Jezus mi to powiedział – ale to on właśnie wspomniał też, że tylko ja mogę zapobiec najgorszym kataklizmom. A kataklizmy te – teraz dopiero to do mnie dotarło – musiały widać mieć swoje źródło w Ragnaröku, bo moje działania sprawiły, że nordycka apokalipsa stała się znacznie bardziej prawdopodobna. Siły, które miały udaremnić Ragnarök, przepadły (zabite lub zmienione w kaleki), i to przeze mnie, i takim właśnie sposobem nagle stałem się jedyną osobą zdolną stawić czoło Hel i zapobiec piekłu na ziemi.

A do tego jeszcze było to proroctwo syren dla Odyseusza. O ile dobrze interpretowałem wydarzenia, syreny przepowiadały, że świat spłonie za trzysta lat od teraz. Być może ta przepowiednia miała związek z przyśpieszonym Ragnarökiem? Synowie Muspellheimu mieli przecież według starych przekazów podpalić świat. Czy do tego czasu Hel już zwerbuj swoje wojska? A może zrobi to znacznie

wcześniej? Tak czy siak czułem, że powinienem ją powstrzymać, choćby tylko dlatego, że groziła mi osobiście. Powinienem odzyskać nóż i uratować ciało wdowy. Nie mogłem znieść myśli, że jest teraz wykorzystywane jako awatar śmierci.

Pobrałem trochę mocy z ziemi i zwiększyłem prędkość, dzięki czemu zacząłem się do niej zbliżać. Usłyszała, że ją doganiam, i obejrzała się przez ramię. Na mój widok nagle zatrzymała się, a fasada staruszki opadła z niej niczym letnia suknia. Walnąłem ostro po hamulcach, gdy z głowy wdowy wyłonił się raptownie potwór wysoki na niemal cztery metry i ryknął. Musiała to być jej prawdziwa postać – w połowie gorąca, w połowie śmierdząca. Jej prawa część była gibka, jędrna i zbudowana tak, że z pewnością wywołałaby karambol na każdej autostradzie, nawet na wybrzeżu Pacyfiku: burza lśniących włosów, piękne oko i inne takie cuda. Gdybym był olbrzymem i akurat gustował w połówkach kobiet, na pewno bym ją zaprosił na randkę. Ale jej lewa strona – a granica przebiegała równiutko pośrodku – należała do jakiegoś wyjątkowo zaropiałego zombi: z kośćmi i mięśniami na wierzchu, i robakami żrącymi ciało. Była w ogóle ucieleśnieniem starego powiedzenia, że złość piękności szkodzi. Teraz widać było wyraźnie pochwę na miecz między najniższymi żebrami. Jeśli nawet ta seksowna połowa pachniała kawą i bułeczkami cytrynowymi, to nie czuć było tych aromatycznych zapachów ponad odorem gnijącego ciała. Wzięłem oddech, żeby krzyknąć coś doniosłego w stylu: „O, cholera!”, ale smród tak skutecznie zalał mi gardło, że zatoczyłem się, krztusząc i z trudem powstrzymując wymioty. Za sobą usłyszałem podobne krzyki przerażenia zduszone krztuszeniem się i głośnymi pluskami wymiocin lądujących na ziemi. Hel podeszła kilka kroków w moją stronę i zrobiła taki ruch, jakby chciała sięgnąć pod Głód, ale gdy uniosłem Moralltacha na znak, że odór nie powalił mnie zupełnie, uznała, że nie będzie ryzykować. Owiała mnie tylko kolejnym potwornym oddechem typu balrogowego, a potem zmniejszyła się znowu na tyle, że bez trudu wsiąknęła w ciało staruszki, które zalepiło się jako tako na głowie i podjęło swój makabryczny bieg na północ.

Miałem wielką chęć zaprzestać pościgu, ale przypomniałem sobie, o co toczy się ta gra.

Żeby uratować świat, po prostu wstrzymam oddech, gdy następnym razem uda mi się ją dogonić.

Hel wydłużyła jednak krok, aż w końcu zdawało się, że wykonuje coś w stylu niekończącego się trójskoku. Udało mi się jednak znacznie do niej zbliżyć, ponieważ Kolorado hojnie wspierał mnie energią. Gdy zauważyła mnie znów za sobą, tym razem nie wystrzeliła z głowy wdowy, żeby mnie zastraszyć, tylko zatrzymała się, obróciła, uniosła swoją martwą lewą rękę w moją stronę i warknęła:

– *Draugar.*

Stałem jak wryty na to słowo. Była to liczba mnoga od słowa „draugr”, a nie są to istoty, które w ogóle chciałyby się widywać w liczbie mnogiej. Właściwie to nawet w liczbie pojedynczej taki draugr może skutecznie zepsuć humor każdemu. Czekałem więc, aż pojawi się coś ohydneho. Ale nic się nie pojawiło. Twarz wdowy po raz ostatni rozdziawiła się w nieludzkim uśmiechu, a gdy Hel zarechotała upiornie, usłyszałem za sobą paniczny wrzask. Granuaile.

<Atticusie! Pomocy!> dodał swoje Oberon.

Obejrzałem się przez ramię i między sobą a przyjaciółmi ujrzałem trzy ciała o granatowej skórze. Były coraz bliżej nich, a ich wyciągnięte ramiona nie prosiły o przytulenie. Czyli że Hel może wzywać sobie draugry na zawołanie. Wielkie i nadmiernie napakowane nadal rosły w oczach jak popcorn w mikrofalówce. Bałem się odwrócić plecami do Hel, ale nie widziałem innego wyjścia. Mój pies i moja uczennica (o Franku i być może także Kojocie już nie wspominając) znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Ale Hel nie chciała mi wskoczyć na plecy – chciała się mnie tylko pozbyć. Odwróciła się i znów pobiegła na północ, zostawiając mi na głowie trzy nieludzko silne zombi: nie takie w stylu George'a Romera, które żywią się mózgiem, tylko zupełnie nordyckie, nabuzowane i – według niektórych przekazów – sprawnie posługujące się magią. Oberon szczekał ze wszystkich sił i najeżył się cały, ale draugry były coraz bliżej nich.

Nie trać czasu na szczenie. Nie są zdolne do strachu. Atakuj z boku albo od tyłu. Spróbuj je powalić, ale nie daj się złapać – wydałem mu pośpiesznie polecenia.

<Się robi> odpowiedział tylko i od razu pobiegł w bok od najbliższego potwora, który zupełnie go ignorował, bo tak był skupiony na Granuaile. Oberon wziął rozbieg i rzucił się potworowi na tors.

Dlaczego nauczyciele matematyki w liceach nigdy jakoś nie wymyślają takich zadań: jeśli wilczarz irlandzki ważący siedemdziesiąt kilo rzuci się na studwudziestokilowego draugra z prędkością dwudziestu siedmiu kilometrów na godzinę, to czy powali tego drania czy nie? Odpowiedź brzmi: tak!!! Powalił go w Hel-erę. Więcej – zdobył za jednym zamachem dwa punkty, bo draugr, którego powalił na ziemię, przy upadku złamał kolano drugiemu granatowemu boogeymanowi. Mój wspaniały pies z wdziękiem wywinął się jakiejś żalosnej próbie chwycenia go za sierść i podbiegł osłaniać Granuaile.

– Uciekaj! – krzyknąłem do niej, bo wreszcie byłem na tyle blisko, że mogła mnie usłyszeć. – Biegnij!

Bez żadnej broni i treningów Granuaile nie miała szans przy tych typkach. Bogom dzięki, posłuchała mnie natychmiast. Frank Chischilly też powinien wziąć sobie tę radę do serca. Nie był już młody i sapał głośno po biegu za mną. Kojot wrzeszczał na niego, żeby się usunął, ale on wyciągnął z tylnej kieszeni jakiś malutki jish i cofając się przed trzecim draugrem, rozwiązywał misternie zawiązaną skórę. Kojot chyba mu to odradzał, ale nie jestem pewien, bo mówili po nawahijsku. Ostatnie, co udało mi się zobaczyć, to że Frank w końcu rozwiązał węzły i wysypał sobie zawartość jisha na głowę. Zawartość ta okazała się dość skromna – garstka kolorowych ziółek, pyłków i piasku.

Potem musiałem się skupić na tych pierwszych dwóch draugrach, które powalił Oberon. Po chwilowej dezorientacji nie wstali wcale niepewnie, tylko rozplłynęli się we mgle, by za moment znów wrócić do dawnej postaci – tyle że już stojącej. Nadal byłem za nimi.

<Tak właśnie się pojawili> wyjaśnił Oberon. <Normalnie wyrosli ze skały jak jakaś cholerna mgła i nagle – bam – już byli jagódkami śmierci w natarciu>.

To zobaczymy, czy w kontakcie z mieczem też znikają we mgle. Z tego, co słyszałem, żelazo robiło im jakąś krzywdę, ale nie było zabójczo śmiertelną bronią.

Po prawdzie jednak nigdy dotąd nie miałem okazji tego zweryfikować. Choć pewnie Hel miała także inne siły na swoje zawołanie, draugry stanowiły trzon jej armii. Ubierała je w ciężkie hełmy z plecionką kolczą chroniącą im karki – było to bardzo tanie rozwiązanie, ale jednak utrudniało odrąbywanie im łbów. Poza tym draugry nie miały jednak na sobie wiele – tylko postrzępione pozostałości jakichś smętnych tunik i spodni, w których umarły dawno temu. Białe kości prześwitywały tu i ówdzie w miejscach, gdzie sine, obumarłe ciało odpadło albo zgniło.

Zaszedłem je od tyłu i zamachnąłem się na ramię tego z prawej pewien, że głównie przejdzie przez to martwe ciało bez większego trudu. Utknęła jednak, jakbym rąbał świeże drewno. Zaskoczony draugr szarpnął ostro i w ten prosty sposób pozbawił mnie Moralltacha, który teraz wystawał mu bez sensu z ciała. Faeryczna magia niby zaczynała działać – niebieskie ciało stawało się czarne – ale to tylko wywołało lekki dreszcz u mojego przeciwnika. Jego ciało już i tak było obumarłe, moje zaklęcie więc nie mogło jeszcze raz go zabić.

– Ja chcę mojego Fragaracha – jęknąłem głucho, gdy oba zombi ruszyły w moją stronę.

Puste oczodoły i szerokie, kościotrupie uśmiechy były coraz bliżej. Ten, na którego się przed chwilą rzuciłem z mieczem, nie zadał sobie nawet trudu wyciągnięcia ostrza z ciała, które puchło, przez co z pewnością tylko jeszcze trudniej mi będzie odzyskać moją jedyną broń.

Mógłbyś powalić tego niebieskiego, żebyś mógł zyskać na czasie? – poprosiłem Oberona. – *Bo najpierw muszę się zająć tym czarnym.*

<Łatwizna> zameldował Oberon. Był teraz za nim. Podkręciwszy sobie prędkość i siłę, rzuciłem się na szerniałego draugra, który powitał mnie z otwartymi ramionami. Oberon skoczył granatowemu na plecy, a wtedy ja padłem na ziemię, lekko na prawo, zaciskając zęby, gdy jakaś skała rozdarła mi skórę. Wylądowałem przy nodze draugra, więc podparłszy się rękoma, zamachnąłem się, żeby kopnąć go w kolano od tyłu. Opadł ciężko na plecy tuż przy mnie. Lewym łokciem tak mnie dźgnął w żebra, że zaparło mi dech w piersiach, ale z radością stwierdziłem, że pierwsza w ziemię rąbnęła rękojeść Moralltacha – i to z taką siłą, że miecz wyskoczył wreszcie z ramienia potwora i upadł luzem na ziemię. Nim draugr zdążył pomyśleć sobie, że może powinien rozplynać się we mgle, zamachnąłem się lewym ramieniem na jego gardło i przycisnąłem z całych sił, próbując przy okazji nabrać trochę powietrza w płuca. Zaczął wymachiwać rękami, także lewym łokciem, co ubodło mnie najbardziej, ale nie puszczałem. Trzasnęło kilka kręgów szyjnych, raptownie spadło napięcie mięśni i wreszcie udało mi się oderwać mu łeb od ciała. Wstałem z jego głową w dłoni, posapując zdrowo, i namierzyłem granatowego draugra ledwie z pięć metrów ode mnie – nowiutki, świeżo skryształizowany z mgły po tym, jak go powalił Oberon. Rzuciłem go głową kumpla i trafiłem prosto w twarz. Zatoczył się do tyłu na kilka kroków. To dało mi czas, by zlokalizować i odzyskać Moralltacha. Gdy szykowałem się na spotkanie z draugrem, usłyszałem potężny ryk na prawo ode mnie. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie w stronę źródła dźwięku i ujrzałem najdziwniejsze opętanie w życiu.

Frank Chischilly był teraz niewiarygodnie silny – trzymał sobie nad głową w jednej ręce głaz, który musiał ważyć ze dwie tony. Na moich oczach skoczył z nim

wysoko w powietrze (jednym z tych skoków anime – zupełnie niepotrzebnych, ale za to olśniewających), a potem cisnął nim jak piłką do kosza (dwutonową piłką z piaskowca) prosto w głowę trzeciego draugra. Potwór zniknął pod skałą, a Frank wylądował w kucki na głazie. Gdybyśmy byli w jakimś filmie, zostałyby tam, by unieść się powoli, bohatercko, a pył opadłby wokół niego, on tymczasem zeskoczył od razu na ziemię i natarł na ostatniego draugra, który pędził właśnie w moją stronę. Koszula Franka napinała się niepokojąco, jakby mięśnie, których nigdy przedtem nie miał, chciały dosłownie eksplodować. Jego oczy były zupełnie białe i trochę świeciły. Przystawiałem się na magiczne spektrum i zobaczyłem, że Frank nie ma już tej uroczej białej kresczki w swojej aurze – była ona teraz zupełnie przesiąknięta białą magią na poziomie niepokojąco zbliżonym do boskiego. Zamachnął się na głowę draugra prawą ręką jak do bekhendu, a gdy pięść trafiła, łeb draugra poszybował po niebie ku północy za Hel, granatowe ciało zaś opadło na ziemię. Frank zaryczał, nabrzmiały mu żyły na szyi, boloł go pękł i pofrunął gdzieś na bok. Masywne, drżące mięśnie na piersi przywodziły na myśli Lou Ferrigno. Wydawszy jednoznaczny opinię o draugrze, obrócił się wkoło w poszukiwaniu następnych wrogów. Wyglądał na rozczarowanego, gdy okazało się, że nikogo już nie ma, a Hel dawno zniknęła. Lśniące oczy patrzyły na nas przez długie sekundy, jakby chciał się upewnić, czy nie stanowimy przypadkiem dobrego celu. A potem nagle zaczął się kurczyć, światło zgasło w jego oczach, zakaszlał raptownie i osunął się nieprzytomny. Kojot rzucił się go łapać. Frank był znów wątłym staruszką.

Rozdział 6

Dobra, Koj... znaczy: panie Benally, co tu się stało?

– Mnie pan pytasz, panie Collins?! – warknął na mnie Kojot. – A kim była ta kobieta? I te stwory? He?

– Najpierw chcę się dowiedzieć wszystkiego o Franku. Czy dojdzie do siebie?

– Taaa. Dojdzie, dojdzie – mruknął Kojot, a złość w jego głosie przeszła w rozżalenie. Piers Franka podnosiła się i opadała. – Ale szkoda, że zrobił, co zrobił. Drugiej szansy już nie dostanie, a tak jakby liczyłem na niego w innej sprawie.

– Ale co on właściwie zrobił?

– Wezwał Zmienną Kobietę i powiedział jej, że mamy tu potwory. Pozwolił jej użyć swojego ciała, rozumiesz pan? Żeby mogła wysłać swojego syna, Zabójcę Potworów, żeby nam pomógł w ramach jednorazowej zapomogi.

Aha. Czyli to naprawdę był bóg. W dodatku trafnie nazwany.

Od południa usłyszeliśmy kroki Granuaile.

– Rozumiem, że już jesteśmy bezpieczni? Fuu – prychnęła, zobaczywszy bezgłowe ciała. – Co to było?

– Coś jakby zombi na Red Bullu z domieszką duchów – wyjaśniłem.

Frank jęknął i otworzył oczy. Natychmiast jednak je zamknął i uniósł rękę do głowy. Powiedział po nawahijsku coś, co rozśmieszyło Kojota. Z pewnością miał właśnie zabójczą migrenę. Kojot pomógł mu podnieść się do pozycji siedzącej i poklepał po plecach.

– Dobrze, panie Collins – rzekł Kojot. – Teraz pańska kolej. Kim była ta kobieta?

– No właśnie – dodał Frank. – Mało nie narobiłem w gacie ze strachu.

– To Hel – powiedziałem. – Nordycka bogini śmierci.

Frank spojrział na Kojota, żeby sprawdzić, czy to kupuje.

– To nie żadne brednie?

– Nie. Ten facet zwykle nie łąże na temat bogów – odpowiedział Kojot. A mnie spytał: – Czego od pana chciała?

– Yyy... pomocy.

– Pomocy? W czym? – prychnęła Granuaile. – W higienie osobistej?

– Yyy... w zniszczeniu świata. – Odrzuciłem na bok Moralltacha, siadłem w czerwonym pyłe koło Franka i zakryłem twarz dłońmi. Wydukane tych kilku słów trochę mnie kosztowało. Co ja takiego narobiłem, że typy tak podłe jak Hel zgłaszają się do mnie jako do potencjalnego sojusznika?! Całą tę wyprawę do Asgardu zorganizowałem głównie po to, żeby ratować własny honor i nie złamać danego słowa. Teraz jednak zrozumiałem, że bynajmniej nie uratowałem honoru. Skoro to przeze mnie rozpoczął się Ragnarök, to naprawdę dla nikogo już nie będzie miało znaczenia, czy dotrzymałem jakiejś tam obietnicy. Żaden miły historyk nie napisze z tego powodu peanów na moją cześć.

Zwykle staram się dusić w sobie wszelkie emocje, które karmi się żalem, bo są one zawsze ledwie aperitifem do głównego dania z depresji, a dla osób

długowiecznych to idealny przepis na samobójstwo. Nie znaczy to jednak, że czasem mnie podstępnie nie zaskoczą.

A wtedy już rozkładają mnie na łopatki.

Poczułem lekki zawrót głowy, gdy dotarło do mnie, co tak naprawdę uczyniłem. Cicho opłakałem panią MacDonagh, Leifa, Gunnara, Väinämöinen, nordyckich bogów i całe to cierpienie, które dopiero nadejdzie z winy moich niefortunnych decyzji. Druidzi mają chronić, nie niszczyć, i naprawdę nie dało się ukryć, że moja durna duma zmieniła mnie w ostatnią kanalię.

Granuaile przykucnęła przy mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Wygląda na to, że nie bardzo jej się spodobała twoja odpowiedź na tę propozycję – powiedziała.

– Tylko tak się upewnię – rzekł Frank ponurym głosem – ale na moje oko geologowie raczej nie są zwykle zapraszani do zniszczenia świata. Czy coś mi się może pomieszało?

Pokręciłem głową schowaną za rękoma.

– Nie – szepnąłem. – Nie są. – Otarłem łzy dłońmi i opuściłem ręce na kolana. – Ale niech mnie pan nie pyta, kim czy czym teraz jestem. Powinienem być martwy.

– To jakiś dzień martwych ludzi – mruknął Frank. – I rozkładających się. – Wskazał palcem ciała draugrów, które już zmieniały się w popiół mieszający się z pyłem wyżyny.

– A o co chodziło jej z tym paskudnym nożem? – spytał Kojot.

– Nóż nazywa się Głód. Powiedziała, że istota, którą nim zatnie, nie spocznie, póki mnie nie zeżre.

– O – powiedziała Granuaile.

Oberon zaraz próbował mnie pocieszyć.

<Powinna mimo wszystko dostać punkcik za oryginalność. „Specjalność dnia: druid”. Ale za to zabieram jej trzy miliony punktów za ten smrodek>.

Frank Chischilly zmrużył oczy.

– Czy powiedziała, że to zadziała tylko na jedną istotę, czy na tyle, ile jej się akurat uda zaciąć?

– To dość szczegółowe pytanie. Dlaczego pan pyta?

– Bo trochę na północ stąd mieszka para skórokształtnych. A ona pobiegła właśnie w tę stronę.

<Co to jest skórokształtny?> zapytał Oberon.

Granuaile zmarszczyła się.

– To jakiś rodzaj zmiennokształtnych? Wchodzą w zwierzęcą skórę czy coś?

Chischilly pokiwał głową.

– Do każdej przemiany potrzebują innej skóry. Zwykle trzymają się na uboczu, póki nie wkroczy się na ich terytorium.

– I mówi pan, że blisko stąd są akurat aż dwaj? – spytałem.

– Za ranczami, kilka mil w tym kierunku. – Machnął w stronę, gdzie zniknęła Hel.

Przeniosłem wściekły wzrok na Kojota.

– Zatem rozumiem już, skąd ten upór, żeby właśnie tu budować kopalnię – wycedziłem przez zęby. – Wcale nie chodzi o siłę roboczą z Kayenty. Chodzi o tych

skórokształtnych. Roi pan sobie, panie Benally, że ich dla pana zlikwiduję, gdy pojawią się bronić swojego terytorium.

Kojot wzruszył ramionami. Nawet nie zadał sobie trudu, by się zaprzeć w żywe oczy.

– Sam się ich przecie nie pozbędę. Gdyby mnie zabiły, zrobiłyby się potwornie silne.

Frank Chischilly zmarszczył brwi, jakby nie mógł zrozumieć, jak zabicie kogoś może wzmocnić skórokształtnych. Ale ja zrozumiałem. Skórokształtni nie mogą użyć ludzkiej skóry – mają swoją – ale Kojot nie jest człowiekiem i tego właśnie Frank widać sobie jeszcze nie uzmysłowił. Kojot był jednym z Pierwszych Ludzi i za każdym razem, gdy umierał, zostawały po nim jego resztki. Gdyby skórokształtni dorwali się do jego skóry niczym do skóry zwykłego kojota, strach pomyśleć, do czego byłyby zdolne z całą tą mocą. Nie ulegało wątpliwości, że Morrigan miała rację co do po trzykroć przeklętych bogów oszustw. To obmierzłe gnidy zamęczające w równej mierze potępionych, jak i niewinnych. Żeby zająć czymś uwagę hataaliiego, żeby nie zadał Kojotowi jakiegoś niewygodnego pytania, powiedziałem:

– Jak się walczy ze skórokształtnym, panie Franku?

Tak go tym zaskoczyłem, że wybuchnął śmiechem, który szybko zmienił się w rwący kaszel. Kiedy przeszedł mu atak kaszlu, powiedział:

– Się nie walczy. Się przed nimi chroni i czeka do świtu.

Normalnie jakby mówił o wampirach.

– Nie da się ich zabić?

Frank odchrząknął i splunął na ziemię czymś zielonym.

– Może i się da, ale w życiu nie słyszałem o nikim, kto by próbował. Na pewno nie da się tego zrobić w żaden normalny sposób. Są szybkie jak diabli.

– Ale wychodzą tylko nocą? – spytała Granuaile.

– Zwykle tak. Słońce ich nie zabija, ale i tak za nim nie przepadają.

– Czyli już pan na nie kiedyś wpadł? Zna je pan z własnego doświadczenia?

Frank pokiwał głową.

– Dawno temu.

– I jak sobie pan z nimi wtedy poradził?

– Odwróconą klątwą. Inaczej w życiu by się nam nie udało przeżyć.

Skórokształtny strzelił w jedno z nas paciorkiem z kości, a potem wrócił następnej nocy, żeby sprawdzić, czy przekleństwo zadziało. Wtedy go dorwaliśmy, bo przez chwilę stał nieruchomo.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Jak to dorwaliście?

– Strzeliliśmy go tym samym paciorkiem. Tym przeklętym. Skórokształtni często używają magii, więc jeśli się wie, jakie rzucili przekleństwo, można je obrócić przeciwko nim. Ale ci skórokształtni nie są tacy jak tamci, których spotkałem dawniej. Nie posługują się magią. Po prostu fizycznie męczą ludzi. Przez to nie da się niczego obrócić przeciwko nim.

– Hmm. Skoro pojawiają się w nocy, lepiej schowajmy się przed zachodem słońca.

– Ano – zgodził się hataalii, po czym poklepał się po piersi, gdy Kojot pomagał mu wstać. – Cholera. A gdzie się podział mój bolo?

– Pękl z takim hukiem, że strzelił aż tam – powiedział Kojot, wskazując gdzieś za siebie.

Gdy wszyscy zaczęli rozglądać się niepewnie za ozdobą hataaliiego, która dawno wyszła z mody, przesłałem mojemu psu szybką prośbę.

Oberonie, nie mógłbyś go znaleźć?

<Jasne! Taki niebieski kamyk, nie? Niebieski to ja akurat widzę>.

Potruchtał w kierunku domniemanego toru lotu turkusu.

Wstałem z ziemi i podniosłem Moralltacha, ale Frank zatrzymał mnie, nim zdołałem przejść choć krok w kierunku hoganu.

– Czymkolwiek pan jest, panie Collins, jeśli to w ogóle jest pana nazwisko, mam przeczucie, że jesteśmy tu jako Plan B. – Oczami wskazał mi Kojota. – Tylko że teraz pan jest Planem A.

Posłałem Kojotowi kolejne przepelnione wściekłością spojrzenie.

– Taaak. Zaczynam dopiero teraz widzieć ten plan – powiedziałem. – Ilu z pozostałych wie o nim?

– Ma pan na myśli Darrena, Sophie i resztę? Wszyscy oni wiedzą o skórokształtnych.

– A niech cię, Frank – zazgrzytał zębami Kojot.

– Co? On nie miał wiedzieć? To po co tu jest?

– Teraz już za późno. Powiedźcie mi wszystko – zażądałem.

– Pan Benally mówi, że zbudujemy tę kopalnię i tak dalej, ale przy okazji tą budową rozwiążemy sprawę skórokształtnych. Widzi pan, nie wszyscy w nie wierzą. Wielu wydaje się, że to tylko jakieś mity. Nawet Diné kupują te bzdety, że nie istnieje na tym świecie nic poza nauką. Uważają mnie za wariata, którego powinno się zamknąć za to, że mówię co innego. Ale pan Benally mi wierzy, tak jak Sophie i reszta załogi. A pan, panie Collins? Czy pan wierzy mi, gdy mówię, że skórokształtni naprawdę istnieją?

– Jeśli o mnie chodzi, to wierzę, że niemal każdy potwór istnieje albo w każdym razie istniał w swoim czasie.

– Tak właśnie myślałem. – Frank pokiwał głową. – Facet, który gada z nordycką boginią, powinien raczej wierzyć w kilka potworów.

– Skoczę tylko na chwilę do samochodu. Spotkamy się na budowie – powiedziałem mu. Pomachał mi i ruszył w górę stoku, a ja dałem Kojotowi znak, żeby został. – Masz, Kojocie, tyle godności co borsuk z rzeźączką. Byle ślimak ma porządniejszy kręgosłup od ciebie. Przywiążę cię jajami do przodu do klatki z małpami i nagram składankę z tego, co będzie potem słycać. Wezmę torbę pianek cukrowych i parę wielkich, babciowatych gaci i...

Kojot uniósł ręce na znak, że się poddaje, i tak cicho, żeby odchodzący Frank nie usłyszał, szepnął:

– Dobra, dobra, panie Druid, ale mnie to naprawdę bez różnicy. Sam pan chciałeś zawrzeć umowę, zgodziłeś się pan na moje warunki, to o co chodzi?

– Nie zgadzałem się na żadne polowanie na skórokształtnych.

– A Frank nie zgadzał się na zabijanie żadnych granatowych zombi.

– Nie, ale to nie ja go tu przyprowadziłem, żeby z nimi walczył. Nie wyobrażaj sobie, że ci dam jakiegokolwiek gratisy. Ci skórokształtni to twój problem.

Kojot zachichotał.

– Mnie się widzi, że pański też, szczególnie jeśli pańska bogini śmierci zatnie je tym sprytnym nożem. Za to przecież nie możesz mnie pan winić, panie Druid. Ja jej tu na pewno nie zapraszałem, że już o przynoszeniu głodnego srebra nie wspomnę.

Oberon wrócił z turkusem Franka w pysku.

<Jeden obśliniony kamień na wynos> zameldował. <Płaci pan smakołykiem od ręki?>

– Dzięki, Oberonie – powiedziałem, wycierając turkus o dzinsy. – Chodźmy do samochodu zobaczyć, czy tam nie ma czegoś smakowitego.

Bez słowa obróciłem się plecami do Kojota. Nawet nie spytał, co bym mu zrobił tymi gaciami.

Co ciekawe, to Granuaile postanowiła podrażnić temat.

– Sensei, co zamierzałeś zrobić z tymi piankami i gaciami? – szepnęła, gdy szliśmy razem do samochodu. – Znaczący domyślałam się, że coś strasznego, ale ten zestaw jakoś nie brzmiał zbyt groźnie w porównaniu z tym koszmarem z małpami.

– To nie był koniec składników do tego przepisu – przyznałem. – Przerwał mi, nim wymieniłem jeszcze maść rozgrzewającą i węża zbożowego.

– I co byś z tym zrobił?

– Sama to rozgryź w ramach ćwiczenia.

Uznałem, że lepiej będzie odtąd zawsze mieć przy sobie Moralltacha. Nie pomoże to pewnie w utrzymywaniu fikcji, że jestem sobie zwykłym geologiem, ale teraz priorytety się zmieniły. Frank i pozostali mogli sobie myśleć o mnie, co im się żywnie podobało. I tak w życiu się nie domyślą, jaka jest prawda.

O wiele bardziej niepokoiło mnie to, z kim właśnie rozmawia Hel, odkrywając już, że morderca Norn chodzi sobie po Arizonie kilka dni po tym, jak rzekomo zginął. Mój dopracowany do ostatniego szczegółu plan zniknięcia poprzez udanie zgonu spełnie na niczym, jeśli Hel rozpowszechni wieść, że żyję sobie w najlepsze. Trzeba i ją jakoś oszukać – albo wyeliminować. Tylko że wycieczka do Niflheimu w celu zmierzenia się z Hel na jej terenie nie wydawała mi się jakoś specjalnie kuszącą perspektywą. Będzie tam miała niekończące się zasoby draugrów na każde skinienie, księżycolubnego wilka w piwnicy, który tylko czeka, by rzucić się w wir walki, i prawdziwie piekielnego psiaka, Garma, dla którego byłbym ledwie małą przekąską.

Wyciągnąłem pochwę z bagażnika Granuaile, schowałem do niej Moralltacha i zarzuciłem sobie ją na plecy. Zanim zatrzasnąłem bagażnik, wyłowilem jeszcze smakołyk dla Oberona i rzuciłem mu go prosto do pyska.

<Hej, Atticusie, czy automatycznie czujesz się jak większy skurczybyk, kiedy masz ten miecz na plecach?> spytał Oberon.

W trójkę ruszyliśmy nową drogą w kierunku przyszłej budowy kopalni.

Przystanąłem, żeby się nad tym zastanowić.

Tak, chyba tak – przyznałem.

<Miecz na nic by mi się nie zdał> stwierdził ze smutkiem Oberon. <Ale czułbym się o wiele lepiej, gdybym miał taką pukawkę, jak mają Predatorzy.

Załatwiłbyś mi taką?>

Nie masz dość szerokich ramion, żeby ją zawiesić – zaoponowałem.

<Oj, to mi ją zainstalujesz na plecach. Jak będę chciał otworzyć ogień, to tylko schylę głowę>.

Hmm. Brzmi nieźle. To by wymagało bardzo skomplikowanej uprząży. Byłoby ci dość niewygodnie. Nie wiem, czy warto.

<Jasne, że warto! Za to, że się jest skurczybykiem, zawsze trzeba zapłacić. Neo był skurczybykiem w *Matriksie* i w *Matriksie Reaktywacji*, ale musiał za to zapłacić *Matriksem Rewolucjami*. Mimo wszystko jednak zyski przeważały straty i stawiam hipotezę, że tak samo byłoby i w tym wypadku. Tylko pomyśl o tym, co bym mógł wreszcie zrobić tym wszystkim nieznośnym kotom, które łażą po płotach i naigrawają się ze wszystkich psów jak świat długi i szeroki! Za cenę lekkiej niewygody i kilku obtarć stałbym się psim bohaterem wszech czasów!>

Tak, Oberonie, wierzę, że tak by się stało. Sęk w tym, że te pukawki Predatorów istnieją tylko jako rekwizyty i CGI.

<O nie! Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś! Ja tu sobie robię nadzieję, a ty ją zdusiłeś tak bezwzględnyimi słowy!>

2:4 dla druida – stwierdziłem, wielce zadowolony, że wreszcie zdobyłem jakiś punkt.

<Chwileczkę! Przecież wczoraj to ja wygrałem!>

Nie zaklepałeś wygranej, więc się nie liczy. Gra toczy się dalej.

<Dobra. Zaklepię wygraną dzisiaj i będziesz mi musiał kupić rostbefa>.

Robotnicy od razu zauważyli miecz, tak zresztą jak Darren i Sophie, ale z uprzejmości nikt nic nie powiedział.

Poprosiłem Oberona, żeby stanął na czatach, i weszliśmy z Granuaile obejrzeć wnętrze hoganu. Nie są to duże budynki, mają może ze dwadzieścia pięć metrów kwadratowych, ale grają ważną rolę w rytuałach Nawahów i żadne poważne przedsięwzięcie nie może się bez nich obyć. Ten hogan zbudowany był dość nowocześnie – na planie ośmiokąta; ściany prawie nie miały szpar, gdyż skonstruowano je z uprzednio przygotowanych bali, ale zamiast dachu miał na razie ułożone w kratkę belki zasłonięte czarną płachtą z plastiku. Jutro dach zostanie wykończony: to jest pokryją go błotem dla izolacji, tak zresztą jak i zewnętrzne ściany. Rzucano się w oczy, że nasz hogan nie miał żadnych okien. Powietrze wpadało jedynie przez drzwi i okrągły komin wyrastający na styku bali dachowych. Pośrodku podłogi widniało palenisko, a przy nim kucał Frank Chischilly i rozpałał niewielki ogień. Wokół ognia ułożone były okruchy skał wulkanicznych, a Frank posypywał je jakimiś ziołami. Białe języki dymu uciekały kominem.

Obejrzał się na mnie i powiedział do Granuaile:

– Zostaniemy tu dziś na noc. Tak będzie bezpieczniej.

Granuaile od razu zarejestrowała brak toalet.

– To może ja jeszcze przed zachodem skoczę do wychodka – mruknęła.

– Dobra. Gdy tylko wszyscy będą gotowi, zaczynamy śpiewać.

– Mogę wam jakoś pomóc? – spytała.

Frank spojrział na mnie kątem oka.

– Hmm. Jeśli przypadkiem znacie jakieś sposoby na odstraszenie złego – rzekł

zupełnie poważnie – bardzo by nam to pomogło.

Ciekawe wyzwanie.

– Złego jakiego rodzaju? – spytałem, nie wiedząc, przed czym mamy się właściwie chronić.

Frank popatrzył na mnie z niedowierzaniem i splunął w palenisko.

– A złe nie jest zawsze takie samo?

– Nie. Jest masę rodzajów złego, tak samo jak i dobrego. Musiałbym znać jego źródło. Nie mamy tu przecież do czynienia z diabłami z chrześcijańskiego piekła czy rakszasami z krain wedyjskich. Skąd pochodzi to złe? Z tej krainy czy jakiejś innej?

– A. Teraz rozumiem, o co panu chodzi. To duchy z Pierwszego Świata.

– Czyli z Czarnego, tak? – upewniłem się.

Znałem podstawowe fakty z wierzeń Nawahów, ale naprawdę nie byłem ekspertem w tej dziedzinie. Według ich mitu stworzenia ludzie przeszli przez kolejne podziemne światy, po drodze sami się rozwijając, aż w końcu dotarli do naszego. Z tego, co wiedziałem (a nie było to wiele), nasz świat był Czwartym Światem, nazywanym też czasami Lśniącym albo Białym. Granuaile miała zdeorientowaną minę, ale nie przerwała nam, żeby dopytać, o co chodzi.

– Tak, to by był Czarny Świat – potwierdził Frank.

– A skąd się wzięły aż tutaj? – spytałem.

– Odpowiedzi jest wiele. Chcecie wiedzieć, jakie jest moje przypuszczenie?

– Zdecydowanie.

– Wydaje mi się, że były tu cały czas, od samego stworzenia świata. Wiemy przecież, że potwory i duchy z niższych światów przybyły do Czwartego Świata na samym początku stworzenia. Ale Zmienna Kobieta wysłała swych synów Zabójcę Potworów i Wodne Dziecko, żeby je wszystkie pozabijali. Rzeczywiście wybili większość potworów, ale celowo niektóre zostawili, na przykład: Starość, Głód, Zimno i Biedę.

– Aha, czyli myślisz, że po prostu kilka zostało, tak?

– Tak. Duchy z Pierwszego Świata były duchami powietrza i w większości były to uprzykrzone owady: wściekle chrząszcze, mrówki, ważki, szarańcza i tym podobne. Wyrzucono je z innych światów, bo ciągle ze wszystkimi walczyły, nieustannie chciały dominować. Większość zmieniła się w prawdziwe owady, ale niektóre pozostały duchami. I ja to widzę tak: kiedy jakaś dusza staje się tak czarna jak Czarny Świat, przypomina tym starym duchom o ich domu, więc jeśli tylko je zaprosi, przyjdą. I tym właśnie są skórokształtni: to paskudne dupki z jeszcze paskudniejszymi duchami w środku.

<A! To ja je znam z parku> wtrącił się podsłuchujący za ścianą Oberon.
<Zwykle przyczepione są do Chihuahua>.

– Hmm. No dobra. Z takim czymś jeszcze nie miałem do czynienia, ale zobaczę, co da się zrobić.

Hataalii nic na to nie powiedział, tylko skinął głową i znów skupił się na ogniu. Wyszliśmy z Granuaile do Oberona, który nadal stał na zewnątrz. Odsunęliśmy się na bezpieczną odległość i mówiliśmy tak cicho, żeby nie słyszał nas nikt poza psem.

– To co, sensei? Masz jakieś sploty na tych skórokształtnych? – spytała Granuaile.

Pokręciłem głową.

– Nie. Nie mam nic gotowego w każdym razie. Nigdy nie byłem w Pierwszym Świecie ani nie natknąłem się na żadnego skórokształtnego. Od wieków nie musiałem walczyć z żadną magią rdzennych Amerykanów, bo kryłem się w miastach przed faeriami, a szamani i wszyscy święci ludzie kryją się z kolei w rezerwatach.

– Czyli kiedy ostatni raz spotkałeś cokolwiek indiańskiego?

– Bóg deszczu Majów dał mi się kiedyś trochę we znaki.

– Majów! Czyli wiesz, co się z nimi stało?

– Nie mam pewności, ale chyba opuścili po prostu tę krainę. Mieli tego kapłana, który umiał robić takie rzeczy. Ale to był zupełnie inny system wierzeń niż ten – zastrzegłem, machając w stronę hoganu – więc i zasady magii są tu inne. Żeby stworzyć sobie jakikolwiek splot zabezpieczający przed skórokształtnymi, musiałbym najpierw się z takim zmierzyć i obejrzeć sobie go w magicznym spektrum. Ogólne zabezpieczenia przeciwko magii z innych światów zadziałają albo i nie. I to jest problem z takimi zabezpieczeniami w ogóle – dodałem, uznawszy, że możemy wykorzystać tę chwilę w celach pedagogicznych. – Nie da się zabezpieczyć przed wszystkim, a czasami, choćbyś nie wiem jak się starała, jakiś podły typ i tak pokona twoje zabezpieczenia albo je jakoś obejdzie. I wiesz, co się wtedy dzieje?

– Podły typ wygrywa?

– Że co? Tak z automatu? Że niby wystarczy, że przedrze się przez sploty zabezpieczające, a już po tobie?

– Hmm. Ja tobym jeszcze z nim walczyła.

– Otóż to. Trzeba walczyć. Sęk w tym, że nie wiesz jak.

Granuaile wydeła wargi urażona.

– Chodziłam na lekcje kick boxingu.

Wyszczrzyłem zęby.

– Doprawdy? No to dawaj! – I ustawiłem się w obronnej pozycji.

Moja uczennica posłała mi podejrzliwe spojrzenie.

– Przecież użyjesz magii.

– Nie użyję, obiecuję. Ani ociupinki.

Nie brakowało jej odwagi. Obróciła się i strzeliła mi kopa w brzuch z obrotu, nim zdążyłem dokończyć zdanie. Tylko że ja też się obróciłem, więc ledwie mnie musnęła palcami. Wiedziałem, że jest wysportowana, ale nigdy jeszcze nie widziałem jej w akcji. Była szybka. Wygiąłem się i strzeliłem ją w brzuch, nim zdążyła wylądować. Zatoczyła się z jękiem. Nie ciągnąłem dalej walki i ona też wyglądała, jakby miała dość.

– Znasz ociupinkę więcej niż podstawy kick boxingu, co? – mruknęła.

Pokiwałem głową.

– Dużą ociupinkę więcej. Mógłbym może nawet udawać mistrza Pai Mei, ale wolałbym ci nie robić krzywdy, no i nie mam tej białej, powiewającej brody, żeby ją sobie imponująco głaskać.

<Gdybym zapuścił sobie włosy pod brodą, żeby wyglądać jak Pai Mei, czy obiecujesz mi je szczotkować, by były jedwabiście miękkie, a jednak budzące grozę?

>

Wlokłyby ci się po ziemi i brudziły, za każdym razem, gdybyś się schylał, żeby

coś powąchać albo zjeść. Wyglądałyby okropnie.

<Och. Masz rację>.

Dziękuję. 3:4 dla druida.

<Wrrrr!>

– Wierzę ci na słowo, sensei – wybąkała Granuaile, trzymając się za brzuch. – Muszę teraz zanieść wodę aż na sam szczyt wzgórza? Wypolerować samochód? Pomalować skały?

– Nie – zapewniłem ją, uśmiechając się na te aluzje filmowe. – Nie mam potrzeby łamania twojej woli. Ale musimy popracować nad twoimi mięśniami i powinnaś nauczyć się walczyć bronią.

– Czyli mam sobie sprawić miecz, tak?

– Tak, będziemy ćwiczyć szermierkę, ale czuję przez skórę, że to nie będzie twoja ulubiona broń. Z twoim wzrostem trudno ci będzie zdobyć przewagę podczas walki mieczem. Myślę, że najlepiej by ci się walczyło kijem, ale zobaczymy też, jak sobie poradzisz z nożami do rzucania.

– Jak by miały byle kij i jakieś noże pomóc mi przeciwko olbrzymowi z tarczą? Albo jakiemuś spryciarzowi z pistoletem?

– Doskonale pytanie. Każda broń ma swoje minusy. Przygotujemy cię na wszelkiego rodzaju przeciwników.

– A co z bronią automatyczną? Umiesz w razie czego strugać Neo i robić uniki?

<A nie mówiłem, że Neo jest cool?>

– Nie. Jeśli tylko mam czas, oszukuję i po prostu jakimś podstawowym zaklęciem rozplątuje mechanizm strzelający.

– A jak nie masz czasu? – Pytanie świadczyło o rodzącej się w niej paranoi, w której należało ją umacniać za wszelką cenę. – A snajperzy? – dodała, a ja mało nie pękłem z dumy. Zadowolilem się jednak zaciśnięciem dłoni w pięść i przyciągnięciem jej blisko ciała.

– Brawo! Zadaję sobie to pytanie wszędzie i zawsze. A odpowiedź brzmi: trzeba mieć oczy dookoła głowy. – Wskazałem jej skały nad nami. – Na przykład zupełnie bez sensu budują ten hogan. Okropny wybór lokalizacji. Idealny cel. A nie ma innego wyjścia, jak dojrzeć snajpera, zanim on zobaczy ciebie, ukryć się i rozplątać mu zabawkę na bezużyteczne kawałki metalu.

– Ale jeśli ich nie zobaczysz na czas albo mają akurat jeden z tych śmiesznych plastikowych pistoletów, to nic nie możesz zrobić.

– Ano tak. Jedyne, co wtedy możesz zrobić, to unik. Druidzi nie są niezniszczalni. Gdyby tak było, toby nas się więcej pałętało po świecie.

Granuaile obejrzała się na hogan, który zalany był teraz czerwienią zachodzącego słońca.

– To jak właściwie splata się zabezpieczenie?

– To trochę jak używanie operatorów Boole'a, takich jak w wyszukiwarkach internetowych. Zaczynasz od określenia zakresu, na przykład „życie jest okej”, a potem zaznaczasz wyjątki: „Wyłączając frakkin' Cylonów, wyłączając dupków, wyłączając sztormowców Imperium”.

– I już?

– Na tym polega zabezpieczenie. Największą trudność sprawia zdefiniowanie terminów. Skąd takie zabezpieczenie ma wiedzieć, na czym polega różnica między dupkiem a chłopakiem ze Scottsdale?

– No tak. – Granuaile pokiwała ze zrozumieniem. – To w zasadzie synonimy.

– Właśnie. Toteż dużo czasu trzeba poświęcić na magiczne definiowanie swoich terminów. A nie da się zdefiniować magicznego podpisu czegoś, czego się przedtem nie zobaczyło na własne oczy w magicznym wymiarze. Dlatego właśnie nie mam żadnego zabezpieczenia przeciwko skórokształtnym. Nie mam nawet co próbować.

– Ale masz zabezpieczenie przeciwko dupkom?

– Dupki! Ach, dupki! Wyobraź sobie, że okazuje się, iż nie są to w ogóle żadne magiczne stworzenia, tylko naturalnie występujące zjawisko, rodzaj ewolucyjnej mutacji współczesnego społeczeństwa.

Granuaile uniosła brew.

– Jak to ewolucyjnej? Sugerujesz, że dupki powstają w wyniku doboru naturalnego?

– Jasne. To śladowe pozostałości zachowań łowcy skonfrontowane ze słabnącą pozycją współczesnego mężczyzny, od którego nie oczekuje się już zdobywania pożywienia, zapewnienia schronienia ani nawet duchowego przywództwa w rodzinie, a jedynie, by zszedł z drogi i pojawiał się tylko i wyłącznie w sypialni.

– Tak? – Granuaile jeszcze wyżej uniosła brew, a jej głos ociekał sceptycyzmem.

– Niewykluczone. Choć wymyśliłem to na poczekaniu. – Odwróciłem się do Oberona. – Powiniennem dostać za to punkcik.

<Nie! Granuaile z nami nie gra! To się nie liczy!>

– Ja bym ci nie przydzieliła za to żadnego, ale jeśli wzięłeś sobie to za punkt honoru...

<Ha! Może jednak ona też gra... Pies: 4, Druid: 3, Bystra dziewczyna: 1>.

Gdy schowano już cały sprzęt, sześciuosobowa brygada Darrena Yazziego (a zaczynałem podejrzewać, że każdego z tych ludzi Kojot dobrał sobie osobiście) została na noc na budowie, żeby wziąć udział w ceremonii Błogosławionej Drogi. Wypakowali z samochodów kilka przenośnych lodówek, zapalili lampki naftowe i otworzyli puszki z napojami. Rozłożyli śpiwory i zaczęli naśmiewać się jeden z drugiego, kto będzie najgłośniej chrapał. Darren powiedział, że skoczy jeszcze do miasteczka po jakieś warzywka do podgryzania i więcej lodu, na co zareagowała tylko Sophie. Uśmiechnęła się do niego miło, a ja odniosłem wrażenie, że Darren biegnie specjalnie dla niej. Frank w ogóle ich wszystkich nie słyszał, pochłonięty przygotowaniami do ceremonii.

– Dlaczego oni zostają? – spytała Granuaile. – Znaczą domyślam się, że tego wymaga ceremonia, ale dlaczego tak konkretnie?

Wzruszyłem ramionami.

– Strzelam, że chodzi o to, żeby użyczyli swojej siły i energii w budowaniu ochrony. Im więcej ludzi, tym silniejsze błogosławieństwo. Albo samo zaklęcie. Przyjrzyj się temu w trakcie.

Wkrótce potem Frank zaczął śpiewać, choć na zachodzie wciąż widać było

jeszcze granatowy pas dnia. Tak jak przypuszczałem, nie zażądał, by wszyscy umilkli. Załoga sama przycichła nieco, a kilka osób nawet mu się przyglądało, ale bez ciśnienia. Rytualnym językiem był oczywiście nawahijski, którego nie znam, nie licząc kilku pojedynczych słów, ale Frank śpiewał i malował piaskiem na świętej skórze. Był to portret jednego ze Świętych Ludzi, choć nie byłem jeszcze pewien którego.

Włączyłem szkło faeryczne, żeby zobaczyć, czy towarzyszy temu jakaś energia magiczna, i wtedy odkryłem, że Frank robi coś znacznie bardziej skomplikowanego, niżbym się spodziewał.

Dla druida każde czary – bez względu na pochodzenie – polegają na splataniu i rozplataniu. Inne systemy magiczne różnią się od druidyzmu w tym sensie, że pozwalają splatać inne rzeczy w inny sposób, przy czym zwykle pobierają przy tym inne energie od Gai, ale wszystkie koła, pentagramy i ofiary dążą do jakiegoś splatania. Zwyczajowo związana jest z tym jakaś religia i sporo pomocnej wiary. Systemy szamańskie, w tym wiele wierzeń rdzennych Amerykanów, często skupiają się na mocniejszym spleceniu ludzi ze światem duchowym, by zapewnić im ochronę lub uzdrowić, albo odpleceniu od wpływów złych duchów. Wszystkie one niezwykle mnie fascynowały, choć także nieco niepokoiły, jako że – z wyjątkiem własnego zmieniania postaci, które ogranicza się do mojego i tylko mojego ducha – nie mam żadnego wpływu na świat duchowy. Wszystkie sploty druidów ograniczają się do świata fizycznego. Tymczasem to, co robił właśnie Frank, rozgrywało się niemal w zupełności na poziomie ściśle duchowym.

Potwierdziły się także moje podejrzenia, że wszyscy biorą udział w rytuale – i to bez względu na to, czy o tym wiedzą, czy nie, świadomie w nim uczestniczą czy nie. Część ich energii, ich ducha przyczyniała się do budowania ochrony hoganu. Nie wymagało to zresztą od nich żadnego wysiłku; to Frank tę energię zbierał, kanalizował i przekierowywał za pomocą swoich śpiewów i malowania piaskiem. Nigdy nie widziałem takiej ceremonii z udziałem hataaliiego, nie miałem więc pojęcia, czy to normalne, ale czułem przez skórę, że Frank może być czymś więcej. Na moich oczach energia wypływała z ludzi w wielobarwnych, szalonych kulach, które zmierzały ku piaskowemu obrazowi Franka, a stamtąd wracała już jako czyste promienie białego światła. Promienie te strzelały od razu w podstawę ścian. Frank twierdził, że ceremonia zostanie zakończona dopiero czwartego dnia, ale już te wstępne pieśni podczas budowy hoganu i śpiewanie teraz dawały elementarną ochronę.

I dobrze.

Oberon, który był z nami w środku, ledwie zdążył rzucić mi szybkie ostrzeżenie, nim rozpoczął się atak. Właśnie otwierałem sobie puszkę płynnego cukru, gdy mój pies nastawił uszy i warknął.

<Atticus! Coś nadchodzi!>

Noc rozdarł bestialski, koci wrzask, a północna ściana zatrzęsała się i zatrzęszczała od ciosu. Dach zachybotał się i posypały się przekleństwa wyrażające zaskoczenie. Zaraz potem nastąpiło uderzenie dokładnie za moimi plecami, a mnie zakryła chmura trocin i drzazg.

Rozdział 7

Każdy weteran wojenny wam powie, że jest poważna różnica między przygotowaniem się do walki a rzeczywistym wzięciem w niej udziału po raz pierwszy w życiu. Podobnie co innego ostrzeżenia, że czytanie Wiktora Hugo wyssie z ciebie wolę życia, a co innego naprawdę to zrozumieć po kilku rozdziałach, gdy masz szklany wzrok i muszą cię reanimować za pomocą defibrylatora. Sophie i sześciu robotników może i wiedzieli teoretycznie, że skórokształtni mają ponadludzką siłę i szybkość, ale gdy ujrzeli ich w akcji – wymiękli. Szczególnie że te potwory mało nie przebiły się przez ścianę już za pierwszym uderzeniem.

Frank Chischilly rzucił Sophie prośbę spojrzeć i nie przerwał pieśni. Nie mógł przestać teraz, bo to zatrzymałoby przepływ magii – musiał nadal śpiewać, nadal malować piaskiem.

– Kontynuujemy ceremonię! – ryknęła Sophie. – Przyłączcie się. Pomagajcie Frankowi, jak umiecie. To nasza najlepsza ochrona.

Pokiwali głowami i część przyłączyła się do śpiewania w tych miejscach, w których znali już słowa, bo refren się powtarzał.

Jakieś domysły co do tego, co się dzieje na zewnątrz? – spytałem Oberona.
<Śmierdzi kotem. Ale z tym kotem coś jest nie tak>.

Odwróciłem się, chcąc zapytać Kojota, ale okazało się, że w hoganie go nie ma. Jak tak się nad tym zastanowić, to ostatni raz widziałem go wtedy, gdy na niego nakrzyczałem.

– Gdzie pan Benally? – spytałem jednego z robotników.

– Dawno już sobie poszedł. – Wzruszył ramionami.

– Diabli by wzięli wszystkich zapchlonych oszustów – warknąłem pod nosem.

Zawsze znajdą sposób na zrobienie kogoś w odwalenie za nich czarnej roboty. Ale zaraz się uspokoiłem. Kojot nie bał się śmierci. Obawiał się raczej tego, co skórokształtni mogliby zrobić, gdyby dobrali mu się do skóry. Jego nieobecność świadczyła jednak o tym, że uważał, iż istnieje spore prawdopodobieństwo bliskiego spotkania ze skóropodobnymi – a to z kolei oznaczało, iż wszyscy bierzemy udział w trailerze, w którym facet o bardzo niskim głosie (w domyśle: około dwunastu paczek dziennie) informuje grzecznie: „Wkraczasz w niezwykle niebezpieczny świat”.

Stałem przy wschodniej ścianie, blisko drzwi, naprzeciwko Franka.

Przesunąłem się w północną część hoganu, bo tu znów nastąpił atak. Każdy kolejny był równie absurdalnie perkusyjny. Brzmiało to jak praca małego taranu. Słychać było trzask łamanego drewna, chrzęszczące drzazgi i kawałki drzewa strzelające na zewnątrz. W środku nie wyglądało to najlepiej. Jeżeli wszystkie te zniszczenia były dokonywane gołymi rękami, to te istoty miały siłę porównywalną do wampirzej. Czyli że ściany długo raczej nie wytrzymają. Przykucając, żeby spojrzeć przez szparę, która powstała między balami drewna, włączyłem dwa charmsy. Pierwszy dał mi noktowizję, żebym w ogóle mógł zobaczyć, co się tam dzieje. Drugim było oko faeryczne, bo w końcu miałem przecież okazję, by obejrzeć sobie magię skórokształtnych przy pracy.

Chwilę mi zajęło zlokalizowanie ich. Byli tak szybcy, że zamazywali mi się przed oczami. Gdy już wreszcie ich znalazłem, nie byłem wcale pewien, na co właściwie patrzeć. Każdy z nich był przerażającą mieszaniną trzech różnych stworzeń i gdyby Frank nie opowiedział mi trochę o starych duchach z Pierwszego Świata, w ogóle bym chyba nie zdołał pojąć tego, co przemyka mi przed oczami.

Fizyczną postacią wywołującą wszystkie te szkody był ryś rudy, ale zmutowany, wściekły i zwarpowany do jakichś koszmarnych wymiarów i prędkości. Była to zatem tylko skóra, chwilowe przebranie. Pod tą skórą zobaczyłem coś mrocznego, zawilego, jakby pstrokaty, insektopodobny koszmar o pomarańczowych ślepiach. Pod tym natomiast, połamany tak, że aż trudno go było rozpoznać, dosłownie zgnieciony przez pozostałe dwie istoty, ze szlachetną swą naturą skrzętnie zakrytą ciężkim pancerzem złości i agresji czał się człowiek.

To coś o oczach demona było widać rodzajem kleju spajającego pozostałe dwa stworzenia, czymś, co pozwalało temu człowiekowi zmieniać kształty za pomocą zwierzęcych skór. Ciekawe, jak to wyglądało w magicznym spektrum Franka. I nagle doznałem olśnienia. Może to przez to, jak te ciemne czułki oplatały się zarówno wokół rysia, jak i człowieka – w każdym razie nagle pojąłem, że to rodzaj magicznej symbiozy. W Czwartym Świecie ten mroczny duch powietrza był pozostawiony sam sobie i mógł się wyżyć tak mniej więcej, jak nauczyciel przychodzący na zastępstwo do znudzonej klasy maturalnej. Ale z pomocą podłego człowieka był oto w stanie pokonać niemal wszystko. Jedyna magiczna strategia, jaka mi przyszła do głowy, opierała się na pomyśle, by rozdzielić ducha od człowieka albo od rysia. Mało prawdopodobne, żeby któreś z nich było w stanie zrobić nam jakąkolwiek krzywdę w pojedynkę. Razem jednak byli jak czołg działający nieustannie aż do wschodu słońca.

Magia Franka nie skupiała się jednak na oddzielaniu niczego. Błogosławiona Droga otaczała hogan warstwą ochronną.

Przycupnąłem na czworaka, żeby dokładnie sobie obejrzeć działanie tych nitek światła, które wślizgiwały się pod najniższy bal. Musiałem rozpleść trochę celulozy przed oczami, żeby zrobić sobie małą dziurkę, do której przyłożyłem oko, i w końcu na ziemi na zewnątrz zobaczyłem dzieło Franka. Jego osłona wyrastała niejako w ziemi. Już teraz skórokształtni nie mogliby w żaden sposób dostać się do nas podkopem. Tylko że na tym się kończyło, bo ponad ziemię to jeszcze wiele nie wyrosło.

Na powierzchni ziemi widać było pajęczynę lśniących nici, nieprzyzwoicie wręcz jasnych w ciemności nocy – jakby ktoś wziął świetliki, którymi dzieciaki wymachują na imprezach, i napakował do nich plutonu. Próbowałem przefiltrować to światło, żeby zobaczyć, co się za nim kryje, ale nic nie zobaczyłem. Jeden ze skórokształtnych walnął w bal tuż przy mnie. Przyznaję bez bicia, że odskoczyłem odruchowo, ale ryś zawył, gdy tylko trafił na osłonę na ziemi, i czmychnął.

I wtedy dopiero zrozumiałem, że to może być po prostu światło. W Pierwszym Świecie, zwanym też Czarnym Światem, światła właściwie nie było. Była to więc najpotężniejsza anatema, jaką można było nałożyć na wszelkie mroczne duchy powietrza. Wystarczy odrobina światła w magicznym wymiarze, a neutralizuje się istota Pierwszego Świata. Brzmiało to prosto, ale tylko brzmiało. Nie robię w błyszczących czarodziejskich kręgach, w żarzących się w dłoni kulach ani nawet w

bladych, miłych światełkach. To po prostu nie należy do zasobu druidzkich trików. Na szczęście wyglądało na to, że Frank Chischilly i reszta uczestników Błogosławionej Drogi umieją wyprodukować trochę światła. Nie byłem jednak w stanie go zwiększyć. I nie przychodziło mi do głowy żadne inne zabezpieczenie przeciwko skórokształtnym, które można by zastosować w tym krótkim czasie, jaki nam pozostał, zanim wtargną do środka. A biorąc pod uwagę tempo, w jakim przedzierali się przez to drewno, szacowałem, że mamy może pięć minut. W tak krótkim czasie nie dam rady wykombinować żadnego magicznego pocisku, który by oddzielił poszczególne istoty z tej przerażającej symbiozy. Mogłem natomiast posplatać ze sobą bale i wzmocnić je maksymalnie. Było to męczące i czasochłonne rozwiązanie, ale wystarczyło, że będę po prostu podtrzymywał je do rana.

– Ha! To proste!

<Co jest proste?>

Powiedziałem to na głos?

<Tak>.

Nieważne. *Próbowałem tylko zachować optymizm.*

Nie wiem, czy istnieje jakaś onomatopeja, która by dobrze opisywała dźwięk diabelskiego rysia walącego łapą w drewno. Skrzypomiałomot? W każdym razie coś w tym stylu huknęło mi tuż nad głową i drzazgi trysnęły mi w twarz niczym znaki przestankowe. Wystarczy jeszcze jedno czy dwa takie uderzenia i przebiją się na wylot, a potem rysie będą już tylko musiały powiększyć dziurę, żeby przez nią przeleźć. Nie ma czasu do stracenia. Granuaile i Oberon coś do mnie powiedzieli, ale musiałem ich zupełnie odciąć i skoncentrować całą swoją uwagę na powstrzymaniu skórokształtnych przed wdarciem się do środka.

Skupiłem się na drewnie – na najgłębszym poziomie jego substancji, który normalnie ignoruję jako szum wzrokowy. To na tym poziomie zacząłem je splatać, powoli, po trochu, najprostszym możliwym splotem i choć przy następnym uderzeniu łapa rysia przeszła niemal całkiem na wylot, udało mi się zalepić dziurę szybciej, niż zwierzęta zdołały znów zadać cios. Gdy tylko skórokształtni zorientowali się, co jest grane, ich rozwścieczone kocie ryki podskoczyły o oktawę i osiągnęły poziom wścieklicy. Wycofały się na chwilę, jak się domyśliłem, ale ta chwila trwała. Kolejne uderzenia nastąpiły na dwóch zupełnie innych ścianach. Potem znów gdzie indziej. Widocznie uznały, że nie mam podzielnej uwagi i nie mogę wzmocnić kilku miejsc jednocześnie. Ale w ich atakach była pewna metoda, której wcześniej nie zauważyłem – zawsze uderzały na tej samej wysokości od ziemi, zawsze był to piąty pał. To w sumie miało sens: musiały uderzyć jak najmocniej ze skoku ponad tym pasem na ziemi, gdzie już pokazywała się osłona Błogosławionej Drogi, a potem odskoczyć w taki sposób, żeby na nią nie trafić. Gdyby celowały zbyt nisko, nie dałyby rady ominąć jej przy powrotnym skoku. Gdyby uderzały zbyt wysoko, nie miałyby problemów z powrotem na ziemię, ale za to siła uderzenia spadałaby znacznie, zgodnie z prostymi prawami fizyki. Jeśli więc uda mi się wzmocnić tylko piąty pał na każdej ścianie, rysie znajdą się już w o wiele gorszej pozycji.

Ich strategia osłabiania kilku miejsc działała teraz na moją korzyść. Mogłem spokojnie pozwolić im próbować zrobić jakieś nowe dziury, a w tym czasie wypróbować coś nowego. Staroirlandzką przestrzeń myślową zachowując dla

splotów, ułamek uwagi oderwałem od pracy i przekierowałem na angielski.

– Granuaile, weź łopatę – wskazałem jej narzędzie oparte o drzwi – i nałóż na nią jedną z tych skał wulkanicznych z paleniska. Przynieś mi ją tu szybko.

Od razu rzuciła się wykonać moją prośbę bez żadnych zbędnych pytań, wiedząc dobrze, że mam swoje powody, by wydać takie polecenie, i że wkrótce je pozna. Najlepsza uczennica na świecie. Oberon nic nie powiedział. Znał ten mój ton i to dalekie spojrzenie, które świadczyło o tym, że tak naprawdę w ogóle go nie widzę. Kilku Nawahów podążyło pytającym wzrokiem za Granuaile, zachodząc wyraźnie w głowę, co kombinujemy, ale w tej chwili naprawdę nie byli w nastroju, żeby odrywać się od ceremonii i zadawać jakiegokolwiek pytania. Pozwolili zabrać Granuaile jedną skałę z paleniska i przytargać ją do mnie.

– Świetnie. Teraz unieś ją aż do tego pala i przyciśnij tak łopatą, żeby skała stykała się z drewnem.

Granuaile popatrzyła na dymiącą, rozgrzaną skałę, potem na suche drewno i zwątpiła.

– Nie zapali się?

– Nie. Zaufaj mi. Tylko nie zabieraj łopaty, póki ci nie powiem, że już można.

– No dobrze, sensei. – Zrobiła, co jej kazałem, a ja znów skupiłem całą uwagę na magicznym wymiarze. Gdy skórokształtni atakowali różne odcinki ściany, zacząłem rozplątywać skałę na krzemionkę i węglany. Kiedy rozpadała się na pył, a ciepło buchało w górę niczym gorąco z pieca, wtoczyłem materiał w zewnętrzne ścianki celulozy bala, wzmacniając tym jego wytrzymałość. Nie starczyło mi krzemionki, żeby wzmocnić całą belkę, więc skoncentrowałem się na półmetrowym odcinku i wzmocniłem go na dziesięć centymetrów w głąb. Mimo wszystkich tych nienaturalnie potężnych mięśni skórokształtni będą mieli poważny problem z przebicciem się przez ten odcinek, a jeśli im się uda, pewnie zrobią sobie przy okazji krzywdę. Gdy zużyłem już całą krzemionkę, znów zmusiłem się do podzielności uwagi, żeby dać znać Granuaile, że może odjąć łopatę od ściany.

Nie wiedziałem, ile z tego zarejestrowali Nawahowie, lecz uznałem, że komu jak komu, ale im nie będę musiał wyjaśniać, jak skutecznie działa magia. Być może będą ciekawi, co i jak zrobiłem, ale nie będą na pewno wątpić w to, czy było to działanie możliwe. W końcu właśnie ich wiara połączona ze śpiewem i piaskiem Franka tworzyła zabezpieczenie znacznie skuteczniejsze niż wszystko, co ja mogłem tu wymyślić.

– Chcesz jeszcze jedną skałę? – spytała Granuaile.

– Nie. Zobaczmy najpierw, czy to zadziała. – Stałem dokładnie za wzmocnionym drewnem i głośniejszym krzyknąłem: – Kici, kici! – Cmoknąłem kilka razy donośnie. – Chodźcie tu do mnie, koteczki!

I jeden mnie posłuchał. W ułamku sekundy z nieprzenikniętych ciemności na północ od hoganu wypadło coś, co walnęło w ścianę z przerażającym – acz nieco niższym od poprzednich, bardziej tenorowym – hukiem, a potem skórokształtny padł na ziemię, i to dokładnie na osłonę otaczającą budynek. Ryś zawył i skoczył jak oparzony, bo też i pewnie nieźle go poparzyło. Zamarł na chwilę, żeby ocenić straty, co dało mi moment na przyjrzenie mu się. Na jego sierści zobaczyłem białe linie, układające się w pajęczynę podobną do tej, którą widziałem na osłonie. Widniała na

bardzo wąskim fragmencie jego ciała, dosłownie jakby go na kilka sekund rzucono na ruszt, ale jego powolne, nierówne ruchy świadczyły o tym, że bardzo mu to doskwiera – chyba że to uderzenie we wzmocnione drewno dało takie efekty. W każdym razie już nie będzie teraz skakał na hogan z takim impetem, jeśli w ogóle jeszcze będzie skakał. Uśmiechnąłem się leciutko i spojrzałem kontrolnie na bal. Nic mu nie było.

– Dobra. Dawaj jeszcze jeden taki kamyk – mruknąłem do Granuaile. – Ten dobrze się sprawił.

Granuaile ruszyła wykonać polecenie, ale Frank pokręcił głową z niepokojem. Sophie przemówiła za niego.

– Niech pani nie bierze więcej skał – szepnęła. – Są potrzebne do ceremonii.

Wciąż palili na nich jakieś zioła i wyglądało na to, że same kamienie są ważniejsze, niż mi się zdawało.

Moja uczennica spojrzała na mnie bezradnie.

– Nie szkodzi – powiedziałem jej. – Jakoś sobie poradzę. I tak szanse się już trochę wyrównały.

Skoro teraz będzie atakował nas już tylko jeden skórokształtny, łatwiej mi będzie radzić sobie z podtrzymywaniem struktury ścian. Zapowiadała się długa i pracowita noc, ale damy radę. Odetchnąłem z ulgą. Jednak przeżyjemy do świtu.

Odetchnąłem za wcześnie.

Zazgrzytały opony na żwirze, zahuczał V8 i wszyscy przypomnieliśmy sobie ze zgrozą, że Darren Yazzie pojechał przeciw do Kayenty po kilka smakołyków. A teraz wracał w wyjątkowo niefortunnym momencie.

Oczy wszystkich rozszerzyły się w panice, głosy przycichły. Tylko Frank Chischilly śpiewał dalej. Niedokończenie ceremonii mogłoby obrazić Świętych Ludzi, a to równałoby się zaprzepaszczeniu całego trudu.

– To Darren! – jęknęła Sophie, przyciskając dłoń do ust z niepokoju. – Poprosiłam go, żeby skoczył do miasteczka. Nie przypuszczałam, że pojawią się tak szybko! – Rzuciła się w stronę drzwi, ale jeden z robotników, któremu nie zostałem przedstawiony, zastąpił jej drogę.

– Nie damy rady mu pomóc. Pozostaje mieć nadzieję, że zorientuje się w sytuacji i zawróci – powiedział. – Każdy, kto wyjdzie na dwór, zginie na miejscu. Skórokształtni są diabło szybcy.

Miał rację. Te stworzenia były szybsze nawet od Leifa, a tym samym szybsze niż wszystko, z czym mógłbym się mierzyć nawet za pomocą czarów. Z Moralltchem czy bez, nie miałem przy nich żadnych szans. Były też tak obce mojemu systemowi magicznemu, że być może nawet Tuatha Dé Danann nie daliby sobie z nimi rady.

<Atticus, zostań!> warknął Oberon.

Nic się nie martw. Nigdzie się nie wybieram.

Granuaile wyciągnęła z kieszeni džinsów komórkę, a jej twarz rozpromieniła się w nadziei.

– Mam tu zasięg! – ucieszyła się. – Mogę do niego zadzwonić!

Ale na to było już za późno. Walenie w hogan ustało i usłyszeliśmy tylko upiorny huk metalu i trzask rozpryskującego się szkła.

Podbiegłem do wschodniej ściany, w której były drzwi wychodzące na drogę, i spojrzałem przez szparę przy zawiasach. Frank śpiewał mimo przerażonych wrzasków Darrena. Przez maleńką szparę dużo nie widziałem poza reflektorami samochodu oświetlającymi wzgórze. Światła zatrzęsły się gwałtownie, gdy skórokształtni rzucili się na pojazd. Wrzask, dwa strzały – widocznie miał broń w samochodzie – więcej roztrzaskiwanego szkła, krzyk rysia, potem ludzki i światła zakołysały się powoli i zgasły. Usłyszeliśmy trzaski toczącego się samochodu, który spadał po skalistym zboczu z dobre pół mili w dół. Darren nie mógł tego przeżyć. Jedyna nadzieja, że przynajmniej przy okazji ukatrupił jednego ze skórokształtnych.

Frank nadal śpiewał. Pozostali milczeli. Sophie bardzo się starała zachować spokój, ale widziałem łzy na jej twarzy. Wiedziałem, że jeśli ktoś jej nie pomoże, przez lata będą ją męczyły wyrzuty sumienia.

Gdy czekaliśmy na jakiś odgłos, który by nam coś powiedział o losie skórokształtnych, zająłem się łataniem dziur w ścianach. Ale nie słyszeliśmy więcej ryków, rysie nie rzucały się na hogan. Minęło pół godziny i nic. Każde z nas modliło się o jeszcze jedną minutkę takiej ciszy na zewnątrz, bojąc się, że może się ona skończyć w każdej chwili. Ale ciszy nie przerwały ryki rysiów. Tylko ludzkie głosy – a raczej coś, co było na granicy ludzkiego głosu. Były przerażająco zachryple, aż kipiące złością i przemawiały po nawahijsku gdzieś na północ od hoganu.

Spoglądając przez szczeliny, ujrzałem skórokształtnych w ich ludzkiej postaci. Wciąż poruszali się tak szybko, że aż mi się zamazywali przed oczami, ale od czasu do czasu przystawali to tu, to tam, jakby biegali po jakimś niewidzialnym, wykropkowanym wzorze wyrysowanym na stoliwie. Gdy przystawali, widziałem ich smukłe, zwinne, nagie ciała. W tej postaci nie byli jednak ani trochę mniej przerażający – ich zło było skoncentrowane jak w pomarańczowym soku wzbogaconym witaminą Draństwa. Widać to było w ich oczach, które lśniły w oczodołach płynnym ogniem pozbawionym nawet źrenic. Skóry rysiów zniknęły, widać więc było teraz tylko ludzi otulonych podłymi duchami. Ludzkie aury mieli brudne od czarnego ichoru. Ciekaw byłem, gdzie dokładnie zacięła ich Hel, ale nie mogłem dojrzeć żadnych ran. Cokolwiek mówili, powtarzali to uparcie, a wszystkie oczy zwróciły się nagle ku mnie, po czym wszyscy natychmiast odwrócili wzrok, udając, że mnie nie ma. Frank drgnął, gdy za pierwszym razem padły te słowa, ale potem z ponurym wyrazem twarzy kontynuował swoją pracę nad piaskowym obrazem i prowadził śpiew.

Przełączyłem się na szkło faeryczne.

– Co oni mówią, Sophie?

Udała, że nie słyszy mojego pytania, a inni poszli jej śladem. Nikt nie patrzył mi w oczy. Wszyscy dołączyli do śpiewu Franka, który najwyraźniej dotarł do jakiejś części, w której musieli odpowiadać mu na jakieś zaśpiewy. I wydaje mi się, że normalnie byłby to zupełnie zwyczajny fragment, ale teraz wszyscy śpiewali pełną piersią, z przepony, jakby pragnęli przepędzić skórokształtnych samymi swoimi głosami. Mimo to skórokształtni bez trudu zdołali się przebić ponad ich głosami.

<Co się dzieje, Atticusie?> spytał Oberon.

Nie wiem, chłopie. Nie mówię w tym języku.

<Oni już nie śmierzają kotami. To zapach ludzi, ale z czymś jeszcze. Tak jakby

palona guma?>

– Sophie. Muszę wiedzieć, co oni mówią. – Zero odpowiedzi. – No ludzie. Niech mi ktoś wreszcie powie. Zniosę to dzielnie. Obiecuję.

Mężczyzna, który powstrzymał Sophie przed wybiegnięciem na ratunek Darrenowi – czym z pewnością uratował jej życie – zrobił krok w moją stronę i wyciągnął rękę. Ucisnąłem ją i skinąłem mu głową z wdzięcznością.

– Ben Keonie – przedstawił się.

– Yyy... Reilly – wymamrotałem.

– Wydaje mi się, że Sophie chce dokończyć śpiew – wyjaśnił, gdy tymczasem Sophie włączała się do pieśni w odpowiednich miejscach. – Ale mogę ci powiedzieć, co oni mówią, jeśli chcesz.

– Tak, byłbym bardzo wdzięczny.

– Mówią: „Rzućcie nam białego człowieka na pożarcie”.

Rozdział 8

Hel...era.

Oberon skoczył przede mnie, zjeżył sierść i zaczął warczeć na Bena.

<Jeśli ktokolwiek będzie próbował rzucić cię na pożarcie skórokształtnym, sam skończy jako żer dla wilczarza irlandzkiego>.

Spokojnie, Oberonie. Przestań warczeć. Widzisz przecież, że nikt nawet o tym nie myśli.

<To dlatego, że myślą o moich zębach>.

Okej. Ben już na pewno zrozumiał twoje przesłanie.

– Przestań warczeć – powiedziałem na głos, a Oberon umilkł, spojrzał na mnie i z zadowoleniem zamerdał ogonem.

<Jakie mięsko mi się należy za tak imponujący pokaz psiego oddania? Może jagnię? Uważam, że zasłużyłem co najmniej na comber albo chociaż na nogę, polaną sosem chili *ancho* i z miętową galaretką>.

Dość tego. Włączę „kontrolę rodzicielską” i zablokuję ci Food Network.

– Przepraszam za mojego psa – powiedziałem do Bena.

Pokręcił głową i uśmiechnął się do mnie ze smutkiem. Nie wziął tego do siebie.

– Kim ty jesteś, człowieku? Skąd ci skórokształtni w ogóle wiedzą, że tu jesteś?

– Hmm. To trochę... yyy... – Naprawdę nie chciałem mu wyjaśniać, że jestem na czarnej liście u kilku bogów i że jedna taka bogini zmieniła mnie w ulubiony przysmak rysi. Dołączałbym wtedy do Sophie jako kolejna osoba pośrednio winna śmierci Darrena plus miałbym wyrzuty sumienia, że narażam życie ich wszystkich na niebezpieczeństwo, choć prawdę powiedziawszy, to przecież i tak chcieli tu zwabić tych skórokształtnych. – Najlepiej będzie, jak poczekamy i pogadamy o tym z panem Frankiem. On wie dlaczego i najlepiej ci to wyjaśni.

– Att... Znaczy: Reilly? – powiedziała Granuaile. – Skoro są teraz w ludzkiej postaci, to co ich powstrzymuje od otworzenia drzwi?

Dobre pytanie. W drzwiach znajdowały się oczywiście zawiasy i inne wzmocnienia, ale zdawałoby się, że powinni przecież chociaż spróbować.

– Nie wiem – mruknąłem. – Sprawdźmy. – Znow włączyłem szkło faeryczne i gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem kształt drzwi lśniący białym blaskiem magii. Blask ten nie dochodził do górnej krawędzi, ale był już po obu stronach futryny i na dole. – To przez osłonę stworzoną dzięki Błogosławionej Drodze – powiedziałem z podziwem. – Zaczyna się przy samej ziemi i wznosi, obejmując drzwi. Drzwi hoganów zawsze wychodzą na wschód, łatwiej więc skonstruować to zakłęcie. Bardzo sprytne. Jeśli teraz skórokształtni dotkną drzwi, po prostu się poparzą.

Granuaile pokiwała głową, usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Przetawilem się na normalny wzrok i czekałem na koniec pieśni, gdy tymczasem skórokształtni nie przestawali marudzić, że chcieliby zjeść druida.

Pomyślałem, że usiądę sobie spokojnie z boku po północnej stronie hoganu,

ale skórokszałtni natychmiast przyleźli za mną, jakby przeklęty nóż Hel zrobił ze mnie jakąś chodzącą ambrozię. Oberon i Granuaile podreptali za mną i przykucnęli obok.

– Co teraz, sensei? – spytała półgłosem Granuaile.

– Teraz przed nami długa, bezsenna noc. A jeśli znów zaczną się rzucać na hogan, będę go naprawiał. Wystarczy, że doczekamy do rana. O wschodzie słońca powinni sobie pójść.

– A jeśli nie pójdą?

– To spróbuję wymyślić, jak się ich pozbyć magicznie, nie czyniąc im bezpośredniej krzywdy. Ale myślę, że sobie pójdą. To coś, co sprawia, że tak im błyszczą oczy, nie lubi światła.

Frank machnął uroczyście ręką, wszyscy zakrzyknęli coś zgodnie i pierwsza pieśń była zakończona. Frank usiadł wycieńczony. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, litania skórokszałtnych się zmieniła, co wywołało szepty wśród Nawahów.

Frank pokręcił głową, gdy tylko skończył się komunikat skórokszałtnych, a oni znów zaczęli marudzić w kółko o to samo.

– Gówno prawda – oświadczył Frank głosem jeszcze bardziej zachrypłym niż normalnie. Spojrzał na Bena, Sophie i pozostałych. – Nawet gdybyśmy mieli pewność, że nie kłamią, a nie możemy jej mieć, oni po prostu nie są zdolni do zawarcia uczciwej umowy.

<Umowy?> zaniepokoił się Oberon. <Jeśli ta umowa zakłada handlowanie twoim życiem, to zaraz będę miał coś na ten temat do powiedzenia>.

Poczekamy, zobaczymy.

– A jeśli on jeszcze żyje, Frank? Jeśli istnieje szansa, by go ocalić, czy nie powinniśmy przynajmniej spróbować? – nalegała Sophie.

– On nie żyje, Sophie. – Głos Franka był pełen współczucia.

– Ale skąd wiesz? – spytała z desperacją.

– Każę im udowodnić, że on żyje, to sama zobaczysz. – Frank odłożył na bok piasek i ostrożnie wstał, a potem podszedł do północnej ściany i stanął przy Granuaile twarzą do ściany. Krzyknął coś po nawahijsku.

Teraz już kumam. Skórokszałtni chcą oddać Darrena w zamian za mnie. Frank uważa, że blefują i że Darren już i tak nie żyje. Rozkaże im teraz udowodnić, że Darren wciąż żyje.

<A jeśli rzeczywiście żyje?>

Będziemy musieli zrobić coś więcej, niż tylko doczekać do świtu. Będziemy musieli go uratować.

<Ale nie kosztem oddania im ciebie, prawda?> A gdy nie odpowiedziałem, zaczął mnie przyciskać: <Prawda, Atticusie?>

Skórokszałtni syknęli wyraźnie rozczarowani tym, że Frank nie jest zainteresowany ich ofertą, skoro Darren już nie oddycha. Warknęli coś w odpowiedzi i cokolwiek to było, doprowadziło Sophie do płaczu. Frank posłał jej spojrzenie pod tytułem „A nie mówiłem?”, ale potem jego twarz ułożyła się w topografię żalu. Ukląkł przy swoimi jishu i oświadczył, że zaraz znów zaczyna śpiewać.

Darren nie żyje – powiedziałem do Oberona. – Możesz przestać się już o mnie

martwić.

<Och. Bardzo mi przykro. Darren pachniał mi na bardzo miłego faceta>.

Mnie także było przykro. Nie dane mi jednak było go opłakać, a Frankowi nie udało się zacząć nowej pieśni, bo z gardeł skórokształtnych dobył się huk niczym rozrywanej stali i znów zaatakowali ścianę, tym razem ludzkimi pięściami, ale z podkreconą mocą. Nie byli w tym tak skuteczni, jak kiedy mieli postać rysiów, bez trudu więc łątałem wszelkie drobne szkody.

Po kilku minutach dotarło do nich, że w ten sposób nic nie działają, i poddali się, ale choć pozostali odetchnęli z ulgą, mnie opadły złe przeczucia. Spotkałem już w swoim życiu aż nadto demonów i potworów, toteż wiedziałem, że zwykle są tak przepełnione wściekłością, iż po prostu nie mogą odpuścić, póki kogoś nie zabiją. Nie da się wywinąć przed walką z tego typu istotami. Jedyne, co można zrobić, to przewidzieć ich zachowanie i wykorzystać to przeciwko nim. Dotąd atakowali nas wypróbowaną sztuką walki Hulk-Smash. Ta cisza oznaczała tylko jedno: obmyślają jakąś inną strategię. Ale jaką?

Podłoga była bezpieczna. Tak jak i drzwi. Ściany już prawie były osłonięte światłem. Czyli został tylko... dach.

Dachowi daleko jeszcze było do końca. Plastikowe płachty na pewno nie wytrzymają ataku, a skórokształtni byli tak smukli, że mogli bez trudu prześliznąć się między belkami. Ale będą w takim wypadku musieli na chwilę się zatrzymać, żeby wyrwać dziurę w plastiku, a przez ten moment będą zupełnie bezbronni. Wstałem z kucek i zwróciłem się do wszystkich z prostym pytaniem:

– Czy ktoś ma strzelbę? – Spojrzeli na mnie tak, jakbym zapytał o coś równie paskudnego jak teoria skapywania albo poezja Williama Blake'a. – Dobra, a chociaż nóż?

Ben miał przy pasku całkiem porządną strzelbę. Skinął głową i podał mi go ręką do przodu.

– Dzięki – powiedziałem. Chwyciłem łopatę, której używała przed chwilą Granuaile, i odkręciłem drzewce od metalu. Nożem ostrugałem szybko drewnianą końcówkę, pomagając sobie przy tym pośpiesznym rozplątywaniem celulozy, i w mniej niż trzydzieści sekund miałem gotowy oszczep domowej roboty. W jednej ręce trzymając nóż, a oszczep w drugiej, wsadziłem jego końcówkę w ogień, żeby trochę się rozgrzała. Oczu nie spuszczałem z sufitu.

Granuaile i Oberonowi wystarczyło na mnie spojrzeć, żeby się domyślić.

– O, nie! Dach... – jęknęła Granuaile.

– Właśnie – mruknąłem. – Tędy mają największe szanse. – Ostrożnie rzuciłem jej nóż pod nogi. – Jeśli wedrą się do środka, najpierw rzucają się na mnie, bo tak nakazała im Hel. A gdy to zrobią, dźgnij każdego w plecy i uciekaj.

– To ich zabije?

– Pewnie nie, ale odwróci ich uwagę. Może da mi szansę na wyciągnięcie miecza, uratuje mi życie czy coś w tym stylu. – Posłałem jej szybki uśmiech, żeby jakoś osłabić ponury wydźwięk moich słów. Końcówka oszczepu zaczynała dymić i błyskać na pomarańczowo. Dobrze. Przesunąłem się pod północną ścianę, żeby skórokształtni zaatakowali od tej strony, jeśli rzeczywiście taki był ich zamiar. Podkreśliłem sobie siłę i zwinność tymczasowymi splotami z nadzieją, że to da mi

szansę na jakiś przyzwoity strzał. Bo będę miał tylko jedną szansę.

<Ale jak one niby tam wleżą?> zastanawiał się Oberon.

Obstawiam, że jeden podrzuci drugiego. Chyba mają dość siły na taką sztuczkę. Ledwie kilka sekund później okazało się, że rzeczywiście mają.

Weźcie dwa fordys z lat czterdziestych i przetrzyjcie jeden o drugi na prędkości pięciu kilometrów na godzinę, a potem ten dźwięk przepuście przez wzmacniacze na koncercie Motörhead – taki mniej więcej odgłos wydał skórokształtny, gdy wylądował na dachu nade mną i usiłował sparaliżować nas wszystkich strachem poprzez rozrywanie plastikowej płachty. Chyba wszyscy drgnęli zaskoczeni tym dźwiękiem i kierunkiem, z którego się dobywał. Gdy tylko zobaczyłem sylwetkę skórokształtnego na tle kobaltowego, rozświetlonego gwiazdami nieba, bez wahania cisnąłem oszczepem z nadzieją, że trafi, po czym natychmiast sięgnąłem po Moralltacha.

Oszczep poleciał całkiem nieźle, tylko że skórokształtny był na tyle szybki, że zdążył lekko odskoczyć, przez co oszczep wbił mu się nie w pierś, a w ramię. Moja podkrecona siła przydała się o tyle, że oszczep przeleciał na wylot i w rezultacie zupełnie zgruchotał mu to ramię, przy okazji strącając go z dachu. Wrzasnął przy upadku. Niestety nie trafił w osłonę Bezpiecznej Drogi, ale uznałem, że to przynajmniej wybiję im z głowy atakowanie nas od góry.

<Ha! Przyznaję ci za to cały punkcik, Atticusie>.

Bogowie niejedyni, Oberonie, to horrendalne! Właśnie złamałeś Traktat z roku 2010 o Zakazie Dowcipów Typu Schwarzeneggerowskiego.

<Co takiego? Wcale że nie!>

Owszem. Każda kpina odnosząca się do niszczących właściwości broni lub pozbywania się ciała ofiary stanowi z definicji Dowcip Schwarzeneggerowski. Czyli dostajesz dwadzieścia ujemnych kiełbasek, zgodnie z sankcjami wymienionymi w punkcie czwartym, paragraf drugi.

Mój pies zaskomlał z rozpaczy.

<Nie! Nie całe dwadzieścia! Dwadzieścia pysznych kiełbasek, których nigdy już nie wszamię?! Tego nie możesz mi zrobić! To poważne naruszenie praw zwierząt!>

Nie wykpisz się. Na traktacie widnieje odcisk twojej łapy. Zgodziłeś się przecież, że Dowcipy Schwarzeneggerowskie stanowią obrzydliwe pogwałcenie języka, które zasługuje na najsurowsze sankcje jedzeniowe, mające na celu w zupełności je wyrugować.

<Aaa! Ale to i tak twoja wina, że w ogóle wypożyczyłeś Komando! To wszystko przez ciebie! Ty to zacząłeś!>

Nie ma znaczenia, kto zaczął. To ty złamałeś postanowienia traktatu.

<To okropne. Okropne! Ale chwila: właśnie skończył się dzień, a ja i tak wygrywam 4:3! To znaczy, że zdobywam z powrotem co najmniej dziesięć karnych kiełbasek!>

Nie bądź śmieszny, Oberonie. Jedną.

<Osiem>.

Trzy.

<Pięć!>

Niech ci będzie. Możesz sobie odliczyć pięć karnych kiełbasek z tytułu tej drobnej wygranej.

Oberon położył się i zakrył sobie ślepią łapami.

<Na przewielgachne, buszujące w śmieciach niedźwiedzie, piętnaście ujemnych kiełbasek! To jakiś koszmar!>

I to było straszne, ale z powodu znacznie cięższego kalibru niż utrata produktów mięsnych. Z tego, co rozumiałem, skórokształtni byli najgorszą zmorą w świecie Nawahów, tym bardziej że wszystkie inne potwory zostały zlikwidowane już dawno temu przez Zabójcę Potworów. Obawiam się, że dla Nawahów nie było nic gorszego nad śmierć z ręki jednego ze skórokształtnych. Dla mnie także była to przerażająca wizja, bo naprawdę nie mogłem zrobić nic w wymiarze magicznym, by pokonać te typki, a fizycznie byli znacznie silniejsi i szybsi ode mnie. Czułem się nieprzygotowany jak skaut lewus. Magia skórokształtnych była tak stara jak moja, jeśli nie starsza, a powstawała zupełnie niezależnie od bliskich mi europejskich tradycji.

Przypomniał mi się tamten przedziwny dzień w mojej edukacji, gdy archdruid uczył mnie, jak rozplatać wampiry, mamić smoki i poskramiać mantykory.

– Nigdy ci się to pewnie nie przyda – zastrzegł się. – Ale jednak, gdybyś kiedyś wpadł na którąś z tych bestii, podziękujesz mi jeszcze, że cię tego nauczyłem. A teraz przestań się wreszcie gapić na tę dzierlatkę i skup się choć na chwilę, na miłość boską!

Byłem z pewnością uczniem niesfornym i trudnym. A jednak miałem przykrą pewność, że druidzkie mądrości nie przewidziały żadnych środków na tego typu sytuacje. Żeby stworzyć coś od zera – i to coś, co by dawało pożądane efekty – musiałbym mieć kilka dni, a może nawet tygodni na odpowiednie eksperymenty. Na takie luksusy raczej nie było nadziei. Tak jak i nie było szans na żadne więcej ostre przedmioty, którymi mógłbym cisnąć znów w górę, gdyby skórokształtni ponowili próby na dachu. Nie mieliśmy już więcej łopat ani niczego zresztą, co można by przemienić w broń rzutną. Chyba że cisnąłbym metalową częścią łopaty niczym kwadratowym frisbee.

Na szczęście jednak skórokształtni nie zamierzali ponawiać ataku. Musieli się zająć lizaniem ran, że nie wspomnę o ostrym drągu do wyrwania z ramienia, a nie byli (na razie) aż tak znowu głodni, żeby walczyć o moje mięso w takim stanie. Strasznie się pluli, gdy kuśtykali, skąd przyszli, a na twarzach Nawahów zajaśniały nieśmiałe promyki nadziei.

Frank odczekał chwilę, aż to uczucie w pełni nas ogarnie, a potem przemówił tymi słowami:

– Wróć. Jeśli nie dziś w nocy, to jutro. – To wywołało nerwowe szuranie nogami. – A jeśli wydaje wam się, że jutro możecie pójść na chorobowe, to powinniście to sobie poważnie przemyśleć. Nie możemy nawalić. Nie chodzi tu tylko o waszą pracę, ale o wszystkich. Poza tym ten człowiek tam nie chciałby, żebyśmy tak łatwo się poddali. A wiecie, że możemy to zrobić dobrze. – Robotnicy pokiwali głowami z powagą, Sophie zdusiła płacz i Frank zaintonował kolejną pieśń.

Granuaile spojrzała na mnie pytająco.

– „Ten człowiek”? – szepnęła.

Równie cicho odpowiedziałem:

– Mówi o brygadziście. Tym, którego zabili skórokształtni.

– Znaczy o Dar...

– Cii! – Uniosłem dłoń, żeby ją uciszyć. – W niektórych kulturach, u Nawahów też, nie wymawia się imion zmarłych.

Granuaile kątem oka sprawdziła, czy ktoś nie słucha naszych szeptów.

– Dlaczego nie?

– Przyczyny bywają różne w różnych religiach. Ale Nawahowie akurat boją się, że wywołają tym ducha zmarłego. Duch taki nazywa się *ch'įįdii* i bynajmniej nie jest życzliwy ludziom. Cała złość, cały niepokój, brak harmonii, jaki czai się w człowieku za życia, każda jego zła myśl, każdy impuls, który człowiek tłamsi za życia, ucieka po śmierci, by stać się *ch'įįdiim*.

– Ojoj. I to tak sobie lata po świecie?

– Nie. Jeśli nic ich tu nie trzyma, te duchy się po prostu rozpraszają. Ale żeby do tego doszło, muszą się znajdować na otwartej przestrzeni. Dlatego jeśli ktoś umrze w hoganie, nikt już w nim nie może mieszkać, chyba że budynek zostanie na nowo pobłogosławiony.

– O. Czyli hogan jest wtedy nawiedzony? Przez jakieś stwory, na które można wpaść w nocy? Poltergeisty i takie tam?

– Nie. Nic z tych rzeczy. *Ch'įįdii* może natomiast wywoływać u ludzi choroby. Nazywa się to chorobą duchów albo chorobą trupów. Skórokształtni posługują się nią, by zabijać swoje ofiary.

– W jaki sposób?

– Słyszałaś, jak Frank opowiadał mi o tym, jak dawno temu udało mu się odwrócić klątwę skórokształtnego i zaatakować go paciorkiem z kości?

– Tak.

– Kiedy skórokształtni strzelają kogoś kawałkiem kości, tak naprawdę zapraszają w ten sposób do ciała tej osoby takiego właśnie *ch'įįdiiego*. Sęk w tym, że *ch'įįdii* czają się w okolicy trupów. Są do nich uwiązane, póki się nie rozproszą. Ktoś uderzony kawałkiem ciała denata zostaje zarażony trupią chorobą i umiera. Podobno czarownicy wślizgują się do hoganów i wrzucają do komina prochy trupa, czyli zmielone kości pomieszane z popiołem. Wtedy wszyscy w domu wdychają tę mieszankę i koniec: już po rodzinie. To praktyki należące do Przeklętej Drogi.

– Co za potworne gówno – podsumowała ponuro Granuaile. – Czy ci czarownicy są podobni do europejskich czarownic?

– Nie. W przeciwieństwie do Europy, u Nawahów przeważają męscy czarownicy. A ich działanie polega na odwróceniu dobrych rytuałów Błogosławionej Drogi. Na przykład też malują obrazy, ale nie z piasku, tylko z popiołu. To trochę jak odprawianie czarnej mszy.

Granuaile zmarszczyła brwi.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego tak nie lubisz czarownic.

– No. Niby słyszy się o tych jakichś dobrych czarownicach, ale powaga, że jeszcze żadnej nie było mi dane poznać... może z wyjątkiem Maliny i spółki.

– A widziałeś już *ch'įįdiiego*? Mam na myśli, czy obserwowałeś go już w magicznym wymiarze.

- Nie. Nigdy dotąd nie miałem okazji.
- Wbiła wzrok w ziemię i mruknęła:
- Wygląda na to, że ta okazja nadarzy nam się już rano.

Rozdział 9

Większości z nas udało się przysnąć na jakieś trzy, cztery godziny, gdy już skórokształtni sobie poszli. Frank ogłosił chwilową przerwę w ceremonii i kazał nam odpocząć. Mnie męczyły sny o bezkształtnych jak dym demonach, które były zupełnie odporne na mój miecz, za to kąsały mnie i drapały okropnymi pazurami i zębami. Były ucieleśnieniem ciemności, a ja nie mogłem ani spleść ich tak, żeby przestały się poruszać, ani rozpleść ich istoty, bo też jak miałbym walczyć z brakiem światła?

O świcie Nawahowie powitali słońce zgodnie z tradycją, według której wraz ze słońcem wstają bogowie. To właśnie dlatego drzwi hoganów zawsze wychodzą na wschód. Potem poszliśmy zobaczyć Darrena.

Leżał na drodze, wywleczony z samochodu i pokiereszowany przez skórokształtnych. Jego krew wsiąkała już w ziemię, a czerwony pył wokół jego ciała stał się jeszcze czerwiejszy. Na północ od drogi widać było w dole pozostałości po jego samochodzie – kłęb powyginanej blachy i dywan ze zbitego szkła.

Sophie Betsuie straciła panowanie nad sobą i wróciła do hoganu, szlochając głośno. Obijała się pałką wystruganą ze słów „gdyby tylko”, a ja wiedziałem dobrze, co to za uczucie. Gdybym tylko zrobił... Gdyby tylko ktoś nie zrobił... Miałem nadzieję, że szybko zrozumie, iż nie da się cofnąć raz dokonanych wyborów, zarówno cudzych, jak i swoich. Jedyne, co można zrobić z przeszłością, to pozwolić jej przeminąć.

Załoga Darrena obeszła ciało wielkim łukiem. Wszyscy zmierzali do swoich samochodów. Niektórzy już po drodze wyciągali komórki, żeby zadzwonić po policję i pewnie do rodziny.

– Widzisz go? – spytała Granuaile, bezmyślnie głaszcząc Oberona. – Widzisz ch'įįdiiego.

– Niech spojrzę. – Włączyłem szkło faeryczne i spojrzałem w przestrzeń bezpośrednio nad ciałem Darrena. Drgnąłem na widok czegoś, co aż za bardzo przypominało mi dzisiejszy sen.

– Atticusie? Widzisz go?

– No. Usiądź. Splączę twój wzrok ze swoim.

Usiadła po turecku na ziemi przy Oberonie, a ja skupiłem się na jej aurze, żeby wyłapać nici jej świadomości. Wybrałem te, które odpowiadały za jej wzrok, i splotłem je ze swoimi. Wzięła płytki, raptowny oddech, gdy jej perspektywa zmieniła się na moją. Gdy tylko ujrzała ch'įįdiiego, cofnęła się odruchowo.

– Fuu! To coś... To wygląda paskudnie! – wrzasnęła.

– Wiem – powiedziałem.

Atramentowa chmura w kształcie lejka z bladymi, pustymi oczami wpatrującymi się w nas z uporem wiła się nad ciałem Darrena zgodnie ze wskazówkami zegara. Taki stały wzrok czegoś, co nieustannie jest w ruchu, budzi nieodzowny niepokój.

– Ale on się wydawał takim miłym facetem – szepnęła Granuaile. – Jakim

cudem czaiło się w nim coś tak paskudnego?

– Wszyscy mamy swoją mroczną stronę.

– Chcesz przez to powiedzieć, że i ja mam w sobie coś takiego? Że jak umrę, to wyleci ze mnie takie paskudztwo?

– Nie, jeśli nie wierzysz, że tak się stanie. To, co jest w nas nieśmiertelne, musi się jakoś wyrazić po naszej śmierci. On wierzył w ch'jidiich, toteż widzisz go tutaj.

– To jakieś popierniczone.

– Eee. Nie byłbym aż tak ostry w osądach. Nie jest aż tak źle. Zgodnie z jego rozumieniem sytuacji... według wierzeń Nawahów... to, co było w nim dobre, już jest w harmonii z wszechświatem. Dużą część duchowego życia spędzają oni na dążeniu do *hózhó*, czyli tego, co duchowo zrównoważone i piękne, a czy nie to właśnie jest pragnieniem nas wszystkich, bez względu na to, jaką nadajemy temu nazwę? To, co tu widzisz, to tylko duch powstały z jego ciemnej strony. Porównaj to sobie z tymi, którzy wysyłają całe swoje dusze do krainy wiecznych tortur i płomieni. Myśl, co chcesz, ale to i tak będzie nic w porównaniu z tym, co oni sami myślą o sobie.

Granuaile siedziała chwilę w milczeniu, przyswajając te informacje.

Najwyraźniej na wykładach z filozofii nie zetknęła się nigdy z czymś tak konkretnym. Przyszedł Frank Chischilly i stanął przy niej, ale nic nie powiedział. Widział, że oglądamy ciało Darrena. Gdy Granuaile w końcu się odezwała, jej głos przepełniony był smutkiem i przygnębieniem.

– I co z nim zrobimy?

– Ty tylko siedź – odparłem. – A ja zobaczę, czy nie dałoby się pomóc temu ch'jidiemu rozproszyć się nieco szybciej, żeby odszedł już w pokoju. Nie możemy czekać tu, aż sam się rozproszy. Zresztą i tak nie wiem, ile trwa rozpad tego typu duchów.

– Co takiego? – zaniepokoił się Frank, oburzony moim wtargnięciem na jego terytorium. – Pan widzisz ch'jidiiego?

– Zamierzasz go jakoś rozplątać? – w tej samej chwili spytała Granuaile.

– Nie żadnym zaklęciem. Spróbuję tylko dotknąć go zimnym żelazem. – Zrobiłem kilka kroków w stronę ciała, a ch'jiddi przesunął się, widząc, że się zbliżam.

– Panie Collins, nie podchodź pan za blisko. I nie dotykaj pan zwłok – ostrzegł Frank. – Ch'jiddi może uznać to za zaproszenie do pana ciała.

– Nie dotknę zwłok – zapewniłem Franka.

Ostrożnie, żeby nawet nie musnąć Darrena, wyciągnąłem pięść prosto do ch'jidiiego. Puste spojrzenie białych oczu utkwilo w moim ramieniu. Wijące się języki sadzy wysunęły się w moją stronę i oplotły moje ramię. Poczulem je na ręce – wilgotne, zimne, pełne zanieczyszczeń. Nie miałem już wątpliwości, że gdy coś takiego wślizgnie się do ludzkiego ciała, wywoła nieuleczalną chorobę. Ale te brudne macki natychmiast straciły gęstość w kontakcie z zimnym żelazem w mojej aurze. Spajająca je magia ulatniała się. Ch'jiddi wzmógł atak, zorientowawszy się widać, że jakimś sposobem robię mu krzywdę, ale milczał, zimny i ponury. Nie minęła minuta, a po mrocznej stronie Darrena Yazzie nie zostało ani śladu. Złe rozproszyło się w promieniach porannego słońca.

– I dobrze – pochwaliła mnie Granuaile. – Bez tego czegoś nad nim wydaje się taki spokojny.

– Bo już jest spokojny – powiedziałem. – Panie Franku, ch'ijdiiego już nie ma. Możemy go bezpiecznie przenieść.

– Widzę, że go nie ma. Tylko nie rozumiem, jakim cudem go pan widziałeś i jak się go pozbyłeś.

Westchnąłem zły na siebie.

– Powiniennem spleść pana wzrok z moim, żeby mógł pan to sam zobaczyć, ale jakoś nie pomyślałem o tym zawczasu. Spróbujemy to nadrobić, póki nikt nie widzi. Wierzę, że będzie pan trzymał gębę na kłódkę, więc pokażę panu, co pan zrobił wczoraj w nocy.

Frank zmarszczył czoło.

– O czym pan w ogóle mówisz, do cholery?

– Proszę się skupić i nie panikować. Jak rozumiem, ma pan jakiś rodzaj magicznego wzroku, ale idę o zakład, że mój jest trochę inny. Proszę podać mi rękę, żeby pan mi się tu nie przewrócił. Granuaile, stanęłabyś po drugiej jego stronie? Przywróć ci normalny wzrok i zajmę się panem Frankiem.

– Jasne, sensei. – Odplotłem jej wzrok od mojego, a ona uśmiechnęła się do Franka, wstała i wzięła go pod ramię.

Kiedy Granuaile się do człowieka uśmiechnie, bardzo trudno zachowywać się jak gbur, ale Frank był twardy – naburmuszył się groźnie i warknął:

– Chwileczkę, moi państwo! Nikt się tu mną nie będzie zajmował, nawet nie próbujcie.

– Niech się pan o nic nie martwi, panie Franku. Zaraz zobaczy pan na własne oczy cuda swojej medycyny. Będzie pan pierwszym w historii hataańim, który w ten sposób pojmie Błogosławioną Drogę. Będę panu wyjaśniał wszystko na bieżąco. Gotowy?

– Nie. Wcale nie jestem gotowy, bo pan jakieś brednie wygadujesz... hej! – Poleciał do przodu i przewróciłby się, gdybyśmy go nie przytrzymali. – Co się dzieje? Co się stało z moimi oczami?

– Nic się nie stało. Po prostu patrzy pan teraz przez moje oczy, a ja z kolei patrzę na świat w magicznym spektrum. Odfiltrowałem wszelkie szумы, żeby nie zarzucać pana nadmiarem informacji. A teraz obrócimy się i podejmiemy bliżej hoganu, żeby mógł pan zobaczyć, w jaki sposób w nocy chroniła nas pańska Błogosławiona Droga.

Zaprowadziliśmy Franka pod drzwi, a ja skupiłem się w pierwszej kolejności na osłonie wokół nich.

– Widzi pan tę białą pajęczynę? To pańskie dzieło. Jak mieliśmy okazję przekonać się wczoraj w nocy, jest to niesamowicie skuteczna ochrona przeciwko duchom z Pierwszego Świata. Pali je.

– Naprawdę? – wyszeptał Frank.

– O tak. Zobaczyłem to, kiedy jeden z tych rysiów upadł w tym miejscu na ziemię. – Wskazałem mu fragment osłony przy pierwszym palu. – Mówi pan, że ukończenie ceremonii zajmuje cztery dni?

– Tak. Cztery dni na budynki użyteczności publicznej.

– W takim razie domyślam się, że pod koniec czwartego dnia to zabezpieczenie zupełnie zakryje hogan, razem z dachem. A wtedy już wam nie będę

potrzebny.

– Kim pan jest, panie Collins? Tak naprawdę.

Sophie wciąż była w hogonie, mogła nas więc usłyszeć. Odplątałem jego wzrok od mojego i pokazałem mu ruchem dłoni, żeby odszedł ze mną kawałek. Gdy już byliśmy w bezpiecznej odległości, powiedziałem:

– Jestem druidem.

I czekałem na zwyczajowe w tym wypadku wyśmianie, ale zamiast tego zapadła cisza.

– Nie wiem co to takiego – przyznał Frank po chwili.

Roześmiałem się.

– To w sumie zrozumiałe. Tak w skrócie można powiedzieć, że moim zadaniem jest chronienie ziemi przed dupkami.

– Aha. – Frank zamilkł, po czym mruknął: – Nie chcę nic mówić, ale na moje oko dupki wygrywają.

– To dlatego, że mają przewagę liczebną.

– Ha. Wiem dobrze, o czym pan mówisz.

– Panie Franku, czy mogę pana o coś zapytać?

– Jasne, dawaj pan.

– To, co robił pan wczoraj w nocy, ta osłona, którą pan kładł, czy to rutynowe działanie hataalii?

– No niezupełnie. Śpiewam pieśni i robię wszystko to, co by zrobił normalny hataalii, ale jestem trochę jak ten kucharz w telewizji, który wrzuca czosnek do potrawy i krzyczy: „BAM!”.

Granuaile uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem.

– Czyli podkręca pan trochę?

– Otóż to. Normalna porcja plus ostry sos. To ja.

– A skąd bierze pan ten ostry sos, jeśli mogę zapytać? – dociekałem.

Twarz Franka wykrzywiła się lekko.

– Jeśli wam powiem, pomyślicie, że staruszkowi odbiło.

– Panie Franku, ja wierzę w niemal każde gówno. Sam pan widział wczoraj tę nordycką boginię. A to bynajmniej nie było pierwsze bóstwo, z jakim miałem do czynienia. Choć z pewnością najbrzydsze i najsmrodliwsze. Kto jak kto, ale ja sobie raczej poradzę z przyswojeniem pańskiej tajemnicy.

Frank obrócił głowę i splunął z namysłem.

– No dobra. Kilka lat temu byłem w Kanionie de Chelly i napadło na mnie kilku hipisów.

– Prawdziwych hipisów?

– A skąd... Tylko paru newageowych dupków, którzy się uparli nękać religie rdzennych, bo już im się wszystko przejadło jak świat biały i szeroki. Czają się na przesileniach i szukają naiwnych, którzy by ich nauczyli ceremonii uzdrawiania. Próbuja wyłudzić orle pióra, bo im się ubzdurało, że jest na nie jakiś szalony popyt na czarnym rynku. No i właśnie sześciu takich dorwało mnie w kanionie, a ktokolwiek im powiedział, gdzie mnie znaleźć, zasługuje na kopa w odwłok. Państwo sobie to wyobraźcie: ja siedzę spokojnie, odprawiam prywatną modlitwę, a sami wiecie, jak to jest, jak się już zacznie, nie wolno przerwać, bo to by mogło obrazić Świętych

Ludzi. Ale nie, ci hipisi nie raczyli poczekać, aż skończę. I zaczęli gadać: „Przepraszam pana”, „Hej, stary”, „No, chłopie, słyszysz nas?”, „Możemy zamienić słówko?”, a ja ich oczywiście ignorowałem i śpiewałem dalej. Jeśli mam wybór między obrażeniem Świętych Ludzi a obrażeniem sześciu białych, to zawsze wybiorę to drugie.

– Oczywiście – zgodziłem się, kiwając głową. Ja także nie przerwałbym raz rozpoczętej ceremonii.

– Tak, tylko że oni jakoś tego nie rozumieli. Coraz bardziej nalegali, zaczęli wrzeszczeć. Klepać mnie po ramieniu. Jeden tak mnie wałnął tutaj – wskazał prawe ramię – że aż mnie przewrócił na bok, przez co przerwałem śpiew.

– To okropne! – stwierdziła zbulwersowana Granuaile. – Jak bym takich dorwała, to tak bym im skopała tyłki, że dopiero by popamiętali!

Frank uśmiechnął się do niej szeroko.

– Tak to się mniej więcej skończyło! Nim zdążyłem wstać, poczułem ten wiatr. Zerwał mi kapelusz z głowy. Rozległ się jakiś hałas, jakby ktoś zatrzasnął drzwi przed burzą. Potem wszyscy oni unieśli się nagle nad ziemią, coś ich odepchnęło i po chwili upadli na tyłki. Nie poruszyli się więcej.

– Ojej! – przejęła się Granuaile. – Zabiło ich?

– A gdzie tam. Tylko byli nieprzytomni. Usiadłem wtedy wreszcie, spojrzałem na wschód i ujrzałem ją. Była to Zmienna Kobieta i wiedziałem to, nim cokolwiek powiedziała. Przeprosiłem ją za przerwanie śpiewu, a ona wybaczyła mi i powiedziała, że rozumie. Wyjaśniła, że przybyła z podarunkami. Uklękła przede mną, dotknęła moich oczu tu – wskazał palcami zewnętrzne kąciaki oczu – i powiedziała, że odtąd będę widział rzeczy, których nigdy dotąd nie widziałem. Rozplakałem się, no bo wiecie państwo, w końcu była to, do cholery, sama Zmienna Kobieta. Dotknęła mojego gardła i powiedziała, że odtąd Święci Ludzie będą lepiej słyszeć moje pieśni. Dotknęła mojej prawej ręki i powiedziała, że moje piaskowe obrazy będą idealne. A potem dała mi specjalny jish. Powiedziała, że jeśli wymówię odpowiednie słowa i go użyję, jeden jedyny raz wróci do Czwartego Świata jedno z jej dzieci, Zabójca Potworów. Powiedziała, że sam będę wiedział kiedy. A gdy wczoraj zobaczyłem, jak to wielkie coś wyłazi z głowy tamtej staruszki, myślałem, że to właśnie ta chwila. Że to coś, co nie należy do tego świata.

– I miał pan rację – zapewniłem go.

– Taaa. Ale teraz już sam nie wiem. Pan Benally wiedział o tym. Pan Benally mi wierzy. I próbował mnie powstrzymać. Mówił: „Zachowaj to na potem, na skórokształtnych”, ale ja nie posłuchałem. – Wskazał nam kciukiem ciało Darrena. – Teraz myślę sobie, że powinienem był poczekać.

Gdyby tylko...

– Nawet gdyby miał pan jeszcze ten jish, panie Franku, nie zdołałby pan uratować Darrena, nie przerywając ceremonii – zwróciłem mu uwagę.

– To prawda. – Westchnął. – Ale to nie zmienia faktu, że bardzo żałuję, iż tak się to wszystko potoczyło.

Nie mogłem mu na to powiedzieć nic mądrego poza tym jedynie, żeby za wszelką cenę zdusił ten żal. Wtedy da się dalej funkcjonować.

– Co się stało z hipisami? – spytałem, żebyśmy przestali się nad sobą uzalać.

– Z hipisami? Zmienna Kobieta powiedziała, że kiedyś się w końcu obudzą, ale nie powiedziała kiedy. Było lato i upał jak w kuźni, więc choć tak sobie trochę myślałem, że dobrze by im zrobiło lekkie poparzenie słoneczne, skoro tak chcieli się zmienić w czerwonych ludzi, to jednak wolałem, żeby za bardzo ich nie spaliło. Nie chciałem być odpowiedzialny za coś takiego. Więc próbowałem zaciągnąć ich w cień. Tylko że jeden był taki wielki, że nie dałem rady go ruszyć, to mu położyłem na głowie mój kapelusz. Mam nadzieję, że to wystarczyło.

– To było bardzo kochane z pana strony – odezwała się z uśmiechem Granuaile. – Wiem z doświadczenia, jak boli poparzenie słoneczne, więc bardzo dobrze, że pan ich przed tym uchronił.

– Jak zmienił się pana wzrok po tym dotknięciu przez Zmienną Kobietę? – zapytałem.

– Większość rzeczy jest taka sama. Ale nie wszystko. Zacząłem widzieć wokół mojego jisha kolory, których przedtem tam nie było. Widzę teraz, które domy zostały dobrze pobłogosławione, a które nie. A gdy odprawiam ceremonię, widzę, co robię. Widzę duchy wszystkich, widzę, jak pieśni i piasek je zmieniają, jak przywracają im harmonię ze Świętymi Ludźmi, jak świat duchowy łączy się z fizycznym. A czasami spotykam ludzi, którzy mają wokół siebie te kolory. Takich jak pan. Takich jak ta staruszka z boginią w środku.

– Takich jak pan Benally? – spytała Granuaile.

Frank spojrział na nią uważnie.

– Hmm... tak. On też. – Obejrzał się na mnie. – Pan wiesz, kim on tak naprawdę jest, tak?

– Tak mi się wydaje – przyznałem. – On...

– Sza! – Uniósł dłoń, żeby mnie uciszyć. – Nie powinny paść żadne imiona. To bardzo ważne.

Nie rozumiałem dlaczego, ale też nie zamierzałem się z nim spierać. Skoro uważał, że to istotne, na pewno nie będę tego negować.

– Wydaje mi się, że to jeden z Pierwszych Ludzi – powiedziałem, mając nadzieję, że nie naruszam w ten sposób żadnych zakazów.

– Taaa. Też mi się tak wydaje. Pytanie brzmi który. Oni naprawdę umieją człowieka zrobić na szaro. Lepiej nie mówmy o tym więcej.

Wzruszyłem ramionami. Wyglądało na to, że całkiem dobrze wie, kim jest Kojot, nie warto więc było drażnić tematu.

– Mogę pana tu na chwilę zostawić? – zapytałem.

– Jasne. Gdzie się pan wybierasz?

– Muszę iść z psem na spacer. – Oberon zamachał energicznie ogonem na moje słowa. – Może przejdziemy się na północ.

Frank utkwiał we mnie bystry wzrok.

– Bądź pan ostrożny.

Pokiwałem głową na znak, że będę, i zawołałem Oberona, który przyglądał mi się dotąd w milczeniu.

– Gotowy na małe polowanie, chłopie?

<Zawsze! A na co polujemy?>

Na skórokształtnych. – Przeszedłem na komunikację mentalną. – *Zobaczmy,*

gdzie się skryli. Jeśli siedzą w jakiejś jaskini, być może udałoby mi się poprosić Kolorado o zawalenie wyjścia, żebyśmy mieli problem z głowy.

<Dobra. Tylko muszę się najpierw napić>.

– No to chodźmy – powiedziałem na głos.

Granuaile ruszyła z nami i poszliśmy w stronę samochodu, omijając po drodze ciało Darrena. Oberon zaskomlał i przyłożył nos do ziemi.

<Szli tędy. Po podjeździe. Ten smród palonej gumy jest łatwy do wytropienia>.

Zatrzymaliśmy się przy samochodzie Granuaile i nalaliśmy trochę wody z butelki do składanej miski dla psa. Przy okazji zabraliśmy trochę krakersów i suszonego mięsa na drogę oraz po dwie butelki wody na głowę.

<Gotowy!> zameldował Oberon. Pobiegł z powrotem do podnóża stoliwa, węszył chwilę wokół i ruszył na północ. <Śa ślady stóp, śmierdzi strasznie, kilka kropel krwi tego, którego dźgnąłeś oszczepem. Prościzna>.

Obawiam się, że wkrótce przestanie być tak łatwo.

– Jaki plan, kiedy już ich znajdziemy, sensei? – spytała Granuaile.

Musieliśmy biec, żeby nadażyć za Oberonem.

– Zależy od sytuacji – odparłem. – Marzyłby mi się atak z powietrza, ale to się nam pewnie nie uda. Nic się nie martw, na pewno nie zamierzam ich budzić i proponować im pojedynku. Cokolwiek zrobimy, będzie to działanie z bezpiecznej odległości.

Trop skończył się na niewielkim pagórku trzy mile dalej. Tu leżał mój prowizoryczny oszczep, cały we krwi, i pełno było śladów i zapachów do odszyfrowania. Tylko że w ludzkiej postaci zupełnie nie umiałem temu podołać.

– Uczciwie ostrzegam, że się rozbieram – powiedziałem do Granuaile, zdejmując Moralltacha z pleców. Zrzuciłem koszulę. – Muszę zmienić się w psa i powęszyć z Oberonem.

Granuaile nic na to nie powiedziała, ale kiedy zdjąłem dzinsy, gwizdnęła głośno. Pośpiesznie przemieniłem się w wilczarza, żeby nie zauważyła, że się rumienię.

Kichnąłem od razu, co często mi się zdarza, kiedy zmieniam się w psa. Czujący węch jest znacznie większym szokiem niż nagła pozycja na czworaka. Moje nozdrza uderzył smród palonej gumy, o którym mówił Oberon. Tylko że było w tym zapachu coś jeszcze, coś znacznie gorszego. Normalnie jakbym przyłożył nos do rury wydechowej autobusu, kiedy rusza z przystanku. Śmierdziało nie tylko gumą, ale i asfaltem, olejem i wszystkim, co czarne i cuchnące. A pod tą niszczącą płucą chmurą było jeszcze coś: krew, pot, strach, złość dwóch ludzi, dwóch rysiów... i jeszcze coś.

<Atticusie? Czujesz to?> spytał Oberon.

<Masz na myśli to coś jakby kurczaka, ale nie do końca?>

<No. To jakiś duży ptak. Ale nie pachnie ani jak jastrząb, ani jak kruk. Wrona też to nie jest>.

<Hmm. Widzę tu ślady rysiów, a tu ludzkie...> Były to bardziej smugi na piasku niż porządne ślady, z których moglibyśmy coś odczytać. <Szukaj ptasich śladów. Uważaj, gdzie stajesz>.

<Chyba coś znalazłem. To nie są łapy rysiów>.

<Pokaż>. Podbiegłem do Oberona, który stał z nosem przy ziemi i przyglądał

się zarysowi dwóch długich pazurów. Ślad był niepełny, nie dało się z niego domyślić, co to za gatunek, ale nie ulegało wątpliwości, że to duży ptak.

<Myślisz, że stąd odfrunęli?> spytał Oberon.

<Tak. Myślę, że ten pagórek był ich prywatnym lotniskiem. Przylecieli tu ze skórami rysiów w pazurach. Wylądowali. Przebrali się w rysie skóry, a ptasie zostawili sobie tutaj na potem. Później nas zaatakowali, a jak już zabili Darrena, wrócili tutaj i zrzucili skóry rysiów, bo czuli potrzebę pogadania z nami. Kiedy dźgnąłem jednego, znów tu wrócili i przemienili się z powrotem w ptaki. Świetny sposób na zmylenie tropu i bezpieczną drogę do domu. Ale jeden jest ranny w ramię, więc pewnie jego kumpel musiał go dźwigać. Wątpię, żeby dał radę lecieć w takim stanie>.

<To w ogóle fizycznie możliwe? Jeden ptak może nieść drugiego?>

<Oczywiście. Niektóre większe ptaki mogą unieść ciężar równy ich własnej wadze albo nawet trochę więcej. Kiedy jestem sową, mogę udźwignąć coś, co jest dwa razy cięższe niż ja>.

<Aha, ale stu pięćdziesięciogramowy ptaszek nie uniesie półkilogramowego kokosa. Kumam>.

<Pewnie musiał krążyć w tę i z powrotem, żeby jeszcze potem zabrać rysie skóry>.

Spojrzałem w górę i wokół. Na północ i zachód było masę miejsc, w których ci skórokształtni mogliby chcieć się schować – najróżniejszych zagłębień i jaskiń w stoliwie. Gdyby Frank Chischilly wiedział dokładnie, gdzie się ukryli, powiedziałby mi. Ba! Gdyby Kojot wiedział, gdzie są, nie musiałby mnie wrabiać w to wszystko. Ale mnie wrobił. Toteż miałem tylko dwie opcje: możemy spędzić cały dzień na szukaniu z marną szansą na znalezienie czegokolwiek albo możemy wrócić do hoganu i ugryźć problem z innej strony.

<Szlag by to trafił, Oberonie. Są sprytniejsi, niż mi się zdawało. Zdecydowanie wolę, kiedy moi śmiertelni wrogowie są głupi>.

<Już tu skończyliśmy? Mogę już znaczyć teren?>

<Jasne. W sumie to chyba do ciebie dołączę, żeby było weselej. Normalnie nie pamiętam, kiedy pozwoliłem sobie ostatni raz na jakieś szczeniackie zachowanie>.

Ruszyliśmy więc z Oberonem obsikiwać każdy napotkany krzaczek, głąz i nawet oszczep.

Granuaile skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Ale pokazałeś klasę, sensei.

Zignorowaliśmy ją zgodnie.

Rozdział 10

Plan B zakładał przesunięcie złota pod górę, a potem szybką ucieczkę, żeby skórokształtni podążyli za mną – ich jedyną nadzieją na przerwanie klątwy Głodu – i zostawili Nawahów w spokoju. Problem polegał jednak na tym, że gdy już wróciłem na miejsce i poruszyłem temat z Kolorado, żywiołak po prostu odmówił współpracy.

//Opór / Niezgoda / Nienawiść do kopalń// oświadczył.

No dobra. Coś tu jest na rzeczy. Ale ja naprawdę musiałem go do tego przekonać, nie tylko żeby wypełnić obietnicę daną Kojotowi, ale także po to, żeby móc mieć wolne ręce do walki ze skórokształtnymi.

//Konieczność / Pilne// opowiedziałem.

//Pytanie: jaka konieczność?//

Trochę mi zeszło na wyjaśnianiu mu, dlaczego planowane przez Kojota eksploatawanie energii wiatru i słonecznej jest o wiele lepsze od kopalni węgla. Dla Kolorado kopalnia oznaczała po prostu wielgachną dziurę w ziemi, bandyckie zużycie wody i niezawodną metodę na zniszczenie środowiska naturalnego dla wszystkich istot żyjących w okolicy. Zgodził się jednak, że generowanie czystej energii jest znacznie lepsze niż kopalnie węgla – nawet jeśli rząd wymyślił sobie ostatnio, że będzie go nazywał „czystym węglem” (czytaj: oksymoron orwellowski, jeśli istnieje coś takiego). Mimo to jednak Kolorado twardo odmówił dostarczenia metalu szlachetnego, póki działa kopalnia węgla.

//Pytanie: kopalnia węgla zamknięta, kopalnia złota otwarta?// zapytałem.

//Tak / Kopalnia węgla zamknięta na zawsze//

//Zgoda / Harmonia// powiedziałem.

//Harmonia// Kolorado pokiwał mi mentalnie głową.

Kiedy się otrząsałem, robotnicy już robili sobie przerwę na lunch. Rano, gdy tylko zabrano ciało Darrena, zaczęli pracę na dachu. Sophie Betsuie nadzorowała realizację planów obmyślonych przez Kojota. Sam Kojot nie raczył się jeszcze pojawić na budowie. Granuaile uczyła się łaciny, a Oberonowi udało się znaleźć odważnego, który by chciał z nim przeciągać linę. Był to zresztą Ben Keonie, który musiał przejąć obowiązki brygadzysty.

<Atticus! Patrz!> krzyczał Oberon.

Widzę, widzę. Lepiej daj mu wygrać, Oberonie. Jeśli go pokonasz, straci twarz przed swoimi ludźmi.

<O. Dobrze, że mówisz, bo właśnie zamierzałem go przewrócić na tyłek i skoczyć mu na nogę, udając, że to moja suka>.

Baw się z nim ładnie, a zarobisz kielbasę. Inaczej czternaście ujemnych.

<Dobra, dobra. I tak mam niezły ubaw. Właśnie zaczął na mnie warczeć.

Byłby z niego niezły pies>.

Poprosiłem Granuaile na słówko i wyjaśniłem jej, że chciałbym, żeby mnie podwiozła do Black Mesa.

– Kolorado chce, żebym odwalił mały monkeywrenching, zanim przesunie tu złoto.

- Co to jest monkeywrenching?
- Nie czytałaś Edwarda Abbeya?

Granuaile wzruszyła ramionami.

- Nie.

– Teraz nazywają to ekoterroryzmem i muszę się zgodzić, że jak się coś wysadza, to raczej jest to trochę terroryzujące. Ale ja nie zamierzam niczego wysadzać w powietrze. Przeprowadzę sabotaż w bardzo spokojny, bezpieczny sposób. Będą musieli zamknąć kopalnię i wymienić cały sprzęt, zanim ją na nowo otworzą.

- Możesz zrobić coś takiego?

– Jasne. Przecież mnie nie powstrzymają. Muszę tylko wślizgnąć się na teren kopalni i rozpleść stal w silnikach. Albo spleść tłoki ze ściankami cylindrów. To je zmienia w wielkie kawały złomu, których nijak się już nie da naprawić.

- To dlaczego częściej tego nie robisz? To by chroniło Ziemię, nie?

– Tylko że mógłbym spędzić na tym resztę życia, a i tak bym ich wszystkich nie powstrzymał. Dziennie mogę załatwić jedną kopalnię, góra dwie. To najwyżej siedemset trzydzieści kopalń rocznie, jeśli nie zrobię sobie ani dnia przerwy i nigdzie nie zostanę na dłużej niż dwie noce. Czy ty masz pojęcie, ile jest kopalń w samych Stanach? Dziesięć tysięcy. Zamknę jedną, to zaraz otworzą mi następną. Nawet te, które już zlikwiduję, w końcu znów uda im się uruchomić. A pozostaje jeszcze problem zapór wodnych, przelawiania akwenów, wycieków ropy naftowej i wycinania lasów deszczowych, żeby je przerobić na pastwiska dla krów i jakiś tłuszcioch w Rio mógł sobie zjeść stek. Nie mam szans za tym nadażyć.

Granuaile zatknęła sobie pukiel włosów za ucho i westchnęła.

- Trochę to dobijające, jak się tak to przedstawi.

– Na pocieszenie zauważę, że to, co planuje tu Kojot, to zawsze krok w dobrym kierunku. Ma rację. Rzeczywiście do stworzenia infrastruktury dla nowej energii potrzeba sporego kapitału. Problem z generowaniem tak dużej ilości elektryczności polega na tym, że nie istnieje efektywny sposób przeniesienia jej do pozostałych części kraju, a rządy raczej nie rzucają się tworzyć niczego w tym zakresie.

- Właśnie miałam cię o to zapytać, sensei.

- O co?

– Skąd wiemy, że Kojot użyje złota tak, jak zapowiedział? A jeśli chodzi mu tylko o to, żeby się szybko wzbogacić i wystrychnąć cię na dudka? Może cała ta gadka w Tubie była jedną wielką ściemną? Przecież on cię dobrze zna, wie, jak tobą manipulować. Dlaczego bez żadnych zastrzeżeń kupujesz wszystko, co powie?

– Nie ulega wątpliwości, że w coś tu inwestuje – zauważyłem, wskazując jej podnóże stoliwa.

– Tak. Ale równie dobrze może to być kasyno. Albo Kojot płaci im za ułożenie belek w zabawne wzory tylko po to, żeby się potem z nas pośmiać.

– No dobra – poddałem się. – Sprawa rzeczywiście wymaga zbadania. Kojot zasłużył sobie na sceptycyzm z naszej strony. Poproszę Oberona, żeby trochę pospieszował. Ludzie naprawdę nieźle się zwierzają psom. – Przetawilem się na mentalną rozmowę z moim wilczarzem, który nadal bawił się z Benem Keonie. –

Hej, Tulasinku!

<Bardzo śmieszne, Atticusie>.

He, he. Słuchaj, zejdziemy na chwilę z Granuaile z budowy. Gdybyś mógł pokręcić się tymczasem przy Sophie Betsuie dziś po południu i zdać mi potem relację z wszystkiego, co od niej usłyszysz. Szczególnie skup się na informacjach dotyczących tego projektu. Chcę się dowiedzieć, co konkretnie oni tu budują.

<Przecież już to wiemy, nie? Budynki, które im pomogą skonstruować jakieś cuda na energię słoneczną>.

To jak z nierozprzeźrzeniem broni nuklearnej. Zaufanie, ale wsparte weryfikacją danych.

<Sam nie wiem, Atticusie. Ona mnie będzie ciągle głaskać i mówić mi, że jestem słodki. Wyznaczasz naprawdę ciężkie zadania swojemu psu o jakże delikatnej konstrukcji psychicznej>.

Ty wielki dzieciaku! Trzyńście ujemnych kielbasek.

<Dwanaście!>

Trzyńście, ale z szansą na bonus, jeśli twój raport będzie satysfakcjonujący.

<Umowa stoi! Wkraczam do akcji!>

Oberon natychmiast puścił linę, przez co Ben Keonie zatoczył się do tyłu.

– Co jest? – krzyknął, patrząc, jak Oberon pędzi w dół zbocza.

– Chodźmy już – powiedziałem do Granuaile.

W drodze do kopalni wyjaśniłem jej swój plan (a nie był on na razie zbyt rozbudowany). Kopalnia Black Mesa położona była około dwudziestu mil na południe od Kayenty. Granuaile wysadziła mnie na stacji benzynowej przy autostradzie. Zrzuciłem na siebie kamuflaż i ostatni odcinek do kopalni przebiegłem. Obiecała odebrać mnie w tym samym miejscu o piątej. Jeśli nie będzie mnie do wpół do szóstej, miała pojechać do Kayenty i znaleźć tam jakiś nocleg, a ja sam wrócę do hoganu następnego dnia rano.

Moralltacha zostawiłem w samochodzie, bo zabójcze faeryczne miecze nie są zbyt przydatne w niszczeniu ciężkiej maszyneryi. Gdy biegłem drogą dojazdową do kopalni, minęło mnie kilka ciężarówek, ale nic poza tym. Trafiłem na środek zmiany. Pracowano tu całą dobę, sześć dni w tygodniu. Węgiel przekazywano elektrowni w Page produkującej sporą część elektryczności w tym stanie. Jako że była akurat sobota, psułem im szyki tuż przed wolnym dniem.

Kopalnia okazała się większa, niż przypuszczałem. Najpierw był otoczony płotem teren, na którym stały wozidła i żółte maszyny w różne pasy. Brama była otwarta, wślizgnąłem się więc niezauważony przez nikogo, żeby przyjrzeć się każdemu pojazdowi na parkingu. Wykonanie pełnego rozplatania wymagało uważnego obejrzenia wnętrza maszyny. Nie był to prosty zabieg i nie miałem na niego żadnego charmsa. Nawet przy otwartej masce zajmował całe dwie minuty.

W wypadku włączonych maszyn musiałem dodatkowo pogłówkować. Znalazłem jakiś łom i zacząłem walić głośno w maski pojazdów, a spanikowani operatorzy maszyn wyłączali swoje warczące behemoty czy inne przenośniki taśmowe, żeby zbadać sprawę, zanim stanie się coś złego. Jeden po drugim schodzili na ziemię i otwierali mi ładnie maski, a wtedy mogłem pięknie rozpleść i ponownie spleść tłoki, łącząc je na zawsze z silnikiem, gdy tymczasem operatorzy gapili się

zdezorientowani. Gdy już uznawali, że wszystko chyba jest dobrze, i wracali na swoje stanowiska, żeby z powrotem włączyć maszynę, zapalały się czerwone światelka oznaczające awarię silnika. To z kolei wywoływało kolejną analizę sytuacji, a ja przesuwalem się do następnej ofiary.

Nim dotarłem do końca, wyłączyli wszystkie maszyny, żeby zapobiec dalszym tajemniczym awariom. Brygadziści szaleli z rozpaczy, przeliczając w głowie wszystkie stracone minuty, kiedy ich cenne maszyny nie wyrywają węgla z ziemi. Chwilę im zajmie, zanim zrozumieją, co się dokładnie stało. Będą musieli otworzyć silniki, żeby zobaczyć, że tłoki przylepiły się dziwnie, acz skutecznie, do cylindrów.

Mieli też maszyny do mycia węgla, więc na wszelki wypadek i na nich przeprowadziłem sabotaż, choć w sumie nie było to bardzo potrzebne, bo bez nowych dostaw węgla i tak by stanęły dzień, najdalej dwa dni później.

Pozwoliłem sobie na zadowolony uśmiešek. Faceci od PR mogli sobie słodzić na temat kopalni, ile chcieli, ale prawda była taka, że kopalnie odkrywkowe są paskudne, a monkeywrenching daje dużo satysfakcji. Nikt przy tym nie odniósł obrażeń, a tym bardziej nie zginął, choć będą zaraz musieli zamknąć całą kopalnię. Niestety tak się wczułem, że straciłem przy tym poczucie czasu. Gdy wreszcie skończyłem, słońce zachodziło już za horyzont, co oznaczało, że przepadło mi umówione spotkanie z Granuaile. Do Kayenty będę więc musiał wrócić piechotą. Mógłbym tam niby polecieć jako sowa, ale wtedy musiałbym ukraść jakieś ubrania, a takie rzeczy zawsze sprawiały, że czułem się podle (Dla porównania: gdy powoduję milionowe straty w kopalniach, czuję się świetnie). Kolorado da mi energię do biegu, ale mimo wszystko to jednak kilka godzin w drodze. Choć bieg na przełaj znacznie skróciłby mi drogę do Kayenty, wiązał się z ryzykiem napotkania przeszkód, których nie zdołałbym pokonać bez zmieniania postaci. Nie znałem okolicy, uznałem więc, że lepiej będzie trzymać się dróg. Gdy tylko wybiegłem z terenu kopalni na autostradę, zacząłem się zastanawiać, czy nie zrzucić kamuflażu, bo szczerze mówiąc, było to już chyba tylko niepotrzebne drenowanie ziemi. Była noc, nie miałem żadnych odblaskowych ubrań i nikt by nawet nie zauważył samotnego białego człowieka biegnącego przy szosie. Ale napad paranoi kazał mi go zachować. Gdzieś tam burczało w brzuchach dwóm skórokształtnym, a klątwa Głodu sprawiała, że ich męczarnia nie ustanie, póki nie wgryzą się w moje ciało.

Być może jeden ze skórokształtnych był akurat niedysponowany albo nie miał nastroju na polowanie na jadalnego druida, drugi jednak okazał się bardzo sprawny w śledzeniu mnie i kamuflaż zupełnie mu w tym nie przeszkodził. Szybkość tego ataku zupełnie mnie zaskoczyła. Mignęło mi tylko coś pod drutem kolczastym i nim zdążyłem ustalić, czy to szczuroskoczek czy kukułka, czy może jeszcze coś zupełnie innego, ryś już powalił mnie na ziemię i zatopił mi zębiska w szyi. Nie dałem nawet rady zakrzyknąć zupełnie bez sensu, żeby się ode mnie odczepił, a on już mi oderwał kawał szyi i tchawicy i na zimne powietrze trysnęła moja krew. Z trudem uniosłem rękę, żeby zapobiec dalszym atakom, ale on łapczywie zajął ten kawałek, który udało mu się zdobyć. Rozplotłem kamuflaż, skoro najwyraźniej był funta kłaków wart, i włączyłem charmsa odpowiadającego za uzdrawianie, skupiając się na odbudowywaniu tchawicy, choć czułem przez skórę, że to nie ma znaczenia. Ten skórokształtny i tak zeżre mnie żywcem, nim zdołam na tyle się podłatać, żeby stawić

jakikolwiek opór. Żałowałem teraz bardzo, że zostawiłem Moralltacha w bagażniku Granuaile.

Ledwie skończyłem tę myśl, ryś rozprawił się z moją szyją. Jego sierść drżała dziwnie, jakby coś się w nim gotowało albo jakby miał pod skórą skarabeusze, jak w *Mumii*. Jego martwe oczy – co ciekawe, wcale nie pomarańczowe jak w jego ludzkiej postaci – przyglądały mi się uważnie. Najwyraźniej się zastanawiał, co odgryźć w następnej kolejności, gdy nagle coś uderzyło w jego ciało z taką siłą, aż przeleciał mi z rykiem nad głową. Teraz dopiero usłyszałem strzał. Ryś zawył oburzony kolejnym atakiem i uciekł, czyli jak dla mnie bomba. Raczej bym nie przeżył kolejnego ugryzienia. Może nawet nie przeżyję tego.

Ciągnąłem rozpaczliwie moc z ziemi, usiłując jakoś odbudować tchawicę i opanować krwawienie. Zupełnie nie pojmowałem, dlaczego Morrigan nie ostrzegła mnie przed tą sytuacją. Po chwili dopiero przyszło mi do głowy, że spotkanie ze zwierzęciem, nawet jeśli oszukany, nie liczyło się pewnie w jej oczach jako bitwa, toteż pozostawało poza strefą jej wpływów. Byłem więc zdany na siebie, jeśli nie liczyć tajemniczego snajpera ze strzelbą. Osoba ta jednak musiała być naprawdę daleko, skoro z takim opóźnieniem dało się słyszeć strzały. Z drugiej strony w ogóle zdołała trafić w tego rysia, co świadczyło o tym, że mnie śledziła. Kto to taki?

Opadło mnie zmęczenie. Przemodne zmęczenie... Moje myśli stawały się coraz bardziej mgliste, mózg walczył z brakiem krwi i tlenu. Ale uzdrawianie było już na autopilocie – mój charms sam leczył wszystko w odpowiedniej kolejności: najpierw układ krwionośny i oddechowy, potem nerwowy i tak dalej. Odbudowywanie tkanki mięśniowej zawsze na końcu (zajmuje najwięcej czasu). Wziąłem potężny, bolesny oddech, gdy tylko załatała mi się tchawica, co odsunęło zemdlenie na kilka dodatkowych sekund. Ścianki były jeszcze cienkie i wątłe, ale wystarczyły do oddychania, gdy próbowałem reperować tętnice i żyły szyjne. obrażenia były poważne i całą moc skupiłem na przywracaniu ładu temu kawałkowi, żeby znów móc zacząć normalnie myśleć. Wiem, że straciłem przytomność – może na kilka sekund, może na kilka minut – bo na pewno nie miałem przed oczami żadnych butów, a potem nagle już tam były, choć wcale nie słyszałem żadnych kroków. Oślepiło mnie światło latarki i z góry dobiegł mnie lekko ubawiony głos:

– Skórokształtni chcą sobie zrobić z pana tatara, a pan latasz sam jeden po ciemku? Chociaż byś se pan przy sobie nosił jakieś gwiazdy ninja czy co. Jesteś pan chyba najdurniejszym białym, jakiego kiedykolwiek widziałem, a naprawdę spotkałem ich już aż nadto. – Kojot urwał, żeby splunąć z obrzydzeniem na drogę, a jego but zazgrzytał jak papier ścierny na żwirze. – Z drugiej strony nigdy jeszcze nie udało mi się utrzymać skórokształtnego na tyle długo w jednym miejscu, żeby można było w niego strzelić z tak dużej odległości, więc w sumie powinienem chyba pogratulować panu tak smakowitego zapachu, ha, ha, ha.

Wszelka bystra odpowiedź, jaką może zdołałbym z siebie wykrzesać, i tak okazała się niemożliwa – z braku strun głosowych. Nie mogłem nawet zadrzeć głowy i pokazać mu języka, bo moja szyja była zupełnie unieruchomiona. Kojot dobrze o tym wiedział i postanowił sobie poużywać.

– Panie, on nawet nie dodał sobie keczupu ani nic, normalnie żarł pana na surowo, bez frytek nawet, choćby kawałeczka ciasta na deser. – Buty Kojota

przesunęły się znowu, tym razem na północny wschód, w stronę autostrady. – Panie Druid, wiem, że pańska psina jest całkiem spora, ale tu na nas biegnie jakiś kundel wielkości ciężarówki i strasznie ma czerwone ślepie. Rosły jest na ze dwa metry w barach albo nie jestem Kojot, tylko rogata ropucha. Żaden skórokształtny nie dałby rady załatwić sobie skóry tego rozmiaru. Jakies pomysły, co to? Przyjaciel czy wróg?

Nie widziałem oczywiście tego czegoś, o czym mówił. Ale jeśli nie był to skórokształtny, musiało to być coś innego wysłanego przez Hel, a jedyny pies, jakiego miała Hel, to... bogowie niejedyni!

Pośpiesznie nabazgrałem palcem w piasku dwa słowa:

GARM. UCIEKAJ!

– Mam uciekać? A to nie mogę go po prostu zastrzelić?

Zakreślałem palcem słowo „uciekaj”, aż wreszcie do niego dotarło.

Usłyszałem, jak strzelba i latarka spadają na ziemię tuż przy mnie, a Kojot stęknął głucho, unosząc mnie i przerzucając sobie przez ramię.

– Pan jest normalnie gorszy niż wrzód na dupie, panie Druid. – Z cichym świstem otworzyła się na nowo moja tchawica, a przeszywające igły bólu zaatakowały mózg. Kojot zarechotał. – A ja pewnie gorszy niż wrzód w gardle, co?

Rozdział 11

Kojot zrobił jeszcze cztery kroki i nagle przerzucił nas gdzie indziej. Z suchej równiny zimową porą przenieśliśmy się raptem na wiosenny, bujnie porośnięty brzeg rzeki, i to w dodatku w środku dnia. Tłuste trzmiel zapylały kwiatki na krzakach, a rzeka śpiewała szumiącą pieśń, przepływając między kamieniami. Ptaki ćwierkały, wiatr wzdychał spokojnie i kojąco. Kojot odpowiedział na moje nieme pytanie.

– Jesteśmy w Trzecim Świecie. Czyli w Żółtym. Nad Wielką Męską Rzeką, niedaleko kryjówki Dziewczyny Białej Muszli. – Posadził mnie na miękkim piaszczystym nabrzeżu znacznie już ostrożniej. – Powinieneś pan tu spokojnie sobie odpocząć i wyzdrowieć.

Chciałem pokręcić głową, ale nie miałem jak. Nawet nie dawałem rady jej trzymać w pionie. Moc była tu bardzo potężna. Kraina ta musiała być silnie związana z Ziemią. Gdybym tylko miał czas, chętnie bym się tu kurował. Tylko że go nie miałem. Tu nie było bezpiecznie. Nigdzie nie było bezpiecznie. W przeciwieństwie do Hel Garm nie był przykuty do dziewięciu krain Drzewa Świata. Uniósłszy się z trudem, podparłem się łokciem i nabazgrałem na piasku cztery słowa:

Garm podróżuje między krainami.

Kojot przeczytał to i wzruszył ramionami.

– Wielkie mi rzeczy. Przecież nawet nie wie, gdzie nas szukać.

Jęknąłem cicho i napisałem z furją:

WYTROPI nas!

– O, cholera. – Nim Kojot miał czas znów wzruszyć ramionami, potężne brzuszysko plasnęło w wodę. Rozległ się nabrzmiął zaskoczeniem skowyt. Woda chlupnęła aż pod niebo, gdy słoniowych rozmiarów skoczek zanurzył się w nagle niemrawy nurt rzeki. – Co to za helerny sukinsyn, panie Druid!

Dopiero teraz mogłem się przyjrzeć goniącemu nas potworowi. Nie ulegało wątpliwości, że to Garm, osobista psiunia Hel: czarna sierść, a pod nią gigantyczne mięśnie, mocne kości i rozdziawiony pysk ukazujący zaślinione zębiska i niepokojąco czerwone dziąsła. Jego ślepia były jak lśniące żółtka o świdrującym spojrzeniu Golluma, od którego ścisną się wątroba. Wstał z dna rzeki, która była teraz głęboka może na metr, i otrząsnął się, zalewając oba brzegi wodą. Jego sierść sterczała na wszystkie strony w ostrych, mokrych kępach. Kojot już zarzucał mnie sobie z powrotem na ramię. Przemknęło mi przez myśl, że może dałbym radę biec sam, trzymając sobie głowę rękoma, ale byłem zbyt słaby, by nawet próbować. Garm na nasz widok wydał z siebie tak głębokie i dudniące szczeknięcie, że skryzalizowała mi się w głowie hipoteza na temat etymologii słowa subwoofer. Rzucił się w naszą stronę, ale woda na tyle spowolniła jego ruchy, że Kojot zdołał znów zrobić cztery kroki i przerzucić nas do jeszcze innej krainy.

Wylądowaliśmy gdzieś, gdzie ziemia była równie błękitna jak niebo. Zaskoczone naszym nagłym spadnięciem z jasnego firmamentu błękitne bażanty czmychnęły spośród błękitnych traw, pozostawiając po sobie błękitne łajno.

– To Błękitny Świat – wyjaśnił usłużnie Kojot, ale tym razem dalej uciekał i

nie zatrzymał się ani na chwilę, musiałem więc się skupić na trzymaniu głowy tak, żeby nie odpadła, i powstrzymaniu krwi przed wycieknięciem mi z ciała, które obijało się o jego plecy. – Ten piesek pewnie zaraz tu będzie, więc musimy szybko coś wykombinować. Pukaj pan raz na nie, a dwa razy na tak, dobra?

Puknąłem go dwa razy w tyłek.

– Wiesz pan, jak toto zabić? – Nie. – Czy to ma jakiś związek z tym nożem, którym wymachiwała tamta herod-baba? Będzie wracał, póki pana nie zeżre? – Tak. – Ona coś mówiła, że to działa na zapach, tak? – Tak. – Pachniesz pan tak samo w zwierzęcej postaci? – Nie.

Myślałem, że każe mi się zmienić w zwierzę i tak zostać, co może i by stanowiło jakieś doraźne rozwiązanie, ale jego plan był bardziej złożony.

– To co pan na to, żebym znowu skopiował pańską postać, łącznie z zapachem, a pan się zmienisz w jakieś zwierzę? Potem pobiegnę do Białego Świata i niech on sobie myśli, że to pan.

Był to plan genialny i... bohaterski. Nieoczekiwany. Zasługiwał na najwyższy komplement, ale musiałem zadowolić się dwukrotnym stuknięciem na tak.

– Dasz się pan radę przekształcić z tymi wszystkimi ranami?

Powinno się udać, choć ryzykowałem ponowne rozdarcie tkanek. Straciłem już tak dużo krwi, że wolałbym nie uронić więcej ani kropelki. Potrzebowałem czasu. Tylko że tego akurat nie mieliśmy. Jeśli nie spróbuję, nie ma nadziei na wymknięcie się Garmowi. Puknąłem więc na tak i w tej samej chwili mokry, wygłodniały czworonóg Hel pojawił się znów w naszym polu widzenia. Biegł jakieś pięćdziesiąt metrów za nami, szczerząc triumfalnie, od czego aż mi zadrżały kości. Mieliśmy tak na oko ze trzy sekundy.

– No dobra – mruknął Kojot. – To do dzieła, zanim się rozmyślę.

Przerzucił nas z powrotem do Żółtego Świata, trochę wyżej w górę rzeki niż poprzednio. Położył mnie przy brzegu i chwycił mocno za ramię.

– Schowaj się pan gdzieś tutaj. Wrócę po pana jutro – szepnął i skopiował mnie.

Robiliśmy to już kilka dni wcześniej, żeby zmylić tamtych pioruńskich bogów oraz Nordów. Zadziałało mimo mojej aury z zimnym żelazem, być może dlatego że celem magii Kojota był on sam, a opierał się w niej głównie na kontakcie skóra do skóry. Poczynając od dłoni, jego karnacja z brązowej przeszła w błądą, a jego ubrania zmieniły się w identyczne jak moje. Jego szyja przekrzywiła się upiornie, gdy pojawiła się na niej taka sama rana, aż się wzdrygnąłem na widok tak poważnych obrażeń. Tyle na tym przynajmniej zyskałem, że Kojot nie był już w stanie gadać. Gdy przekopiował wszystko, uniósł kciuki i machnął na mnie znacząco palcem, żebym zaczął swoją przemianę. Włączyłem charmsa, który splótł mojego ducha z ciałem wydry, bo miałem cichą nadzieję, że w mniejszym ciele łatwiej mi będzie naprawić tchawicę. Przekształcenie się udało, ale poczułem się jak ofiara studenta pierwszego roku akupunktury – igły bólu wbiły mi się w każdy najmniejszy kawałek ciała z prawej strony. Zniknąłem w odmętach własnej koszuli, ale po chwili odnalazłem drogę na zewnątrz przez dekolt i zacząłem pełznąć w stronę rzeki. Tymczasem Kojot wstał niepewnie i ruszył w przeciwną stronę, mocno wbijając nogi w ziemię. Chciał stworzyć jak najwyraźniejszy ślad i zostawić jak najwięcej mojego

zapachu, żeby odciągnąć Garm od rzeki, gdy ten tylko się zjawi.

Nurt Wielkiej Męskiej Rzeki był dość wartki i oszacowałem, że jeśli spróbuję ją przekroczyć, poniesie mnie dobry kawał w dół – co wcale nie było takim złym rozwiązaniem, biorąc pod uwagę, że zaraz będzie tu Garm. Dobrze byłoby natomiast przetrwać tę kąpiel. Rana na szyi wciąż była otwarta, choć teraz wydrzej wielkości, i pomyślałem sobie, że zanurzanie jej w wodę przy płynięciu, kiedy miałem tak osłabione ciało, nie jest może najlepszym pomysłem. Jeśli zemdleję, utopię się jak nic. Ale jeśli nie spróbuję, Garm połknie mnie niczym minibatonika, gdy tylko się pojawi.

Wszedłem więc w zimną wodę i od razu odkryłem, że muszę się położyć na plecach, bo inaczej nie dam rady utrzymać głowy nad wodą. Byłem może w jednej czwartej drogi na drugą stronę, gdy ujrzałem, jak Garm z impetem ląduje na płyciźnie, w której jeszcze przed chwileńką stałem. Obrócił łeb, a żółte ślepia prześlizgnęły się po mnie bez żadnego zainteresowania, bo przecież szukał nie jakiegś tam wydry, ale konkretnego człowieka. Gdy stwierdził jego zupełny brak, nosem przyłgął do ziemi i zaczął szukać mojego zapachu. Zawahał się przy moich ubraniach, a potem spędził trochę czasu nad samą rzeką, co mnie trochę zaskoczyło. W końcu byłem już przecież wydrą. Wtedy dopiero pomyślałem o naszyjniku, który nadal z pewnością miał mój zapach. Garm uniósł łeb i spojrzał na mnie przez wodę. Tym razem mnie zauważył i warknął, ukazując zęby wielkości moich dłoni. Płynąłem dalej, poruszając ogonkiem w tył i przód, ale nie łudziłem się, że uda mi się uciec, jeśli tylko postanowi rzucić się za mną w wodę. Wstrzymałem oddech (a raczej jego resztki) i przyjrzałem się z niepokojem mojemu dręczycielowi. Gdybym nie schrzanił przeznaczenia, ten pies walczyłby podczas Ragnaröku z Týrem. Teraz, gdy Týr już nie żył, zabity przez Kojota, kto powstrzyma tę psinę? Przecież nie ranna wydra brnąca przez Wielką Męską Rzekę.

Znów przywarł nosem do ziemi, ale ja byłem coraz bliżej północnego brzegu. Garm rozpoznawał wprawdzie mój zapach, lecz najwyraźniej szukał czegoś więcej niż przekąska, a ja nie pasowałem ani pod względem rozmiaru, ani kształtu do jego celu. Nie wiedziałem, jak dobrze Kojot mnie skopiował. Stworzenie zapachu to złożony proces chemiczny i trudno mi było uwierzyć mu na słowo, że umie to zrobić.

Garm skręcił i ruszył z powrotem po śladzie wydry, po czym nagle warknął, gdy jego nozdrza wyłapały mocniejszy zapach Pseudodruida. Po chwili już pędził za nim i zaraz zniknął mi z oczu. Usłyszałem jeszcze tylko jedno szczeknięcie, a potem już nic poza szmerem rzeki, świergotem ptaków i szumem liści na łagodnym wietrze.

Zalała mnie ulga niczym wody rzeki. Byłem sam.

W przeciwieństwie do Błękitnego Świata, Żółty Świat nie było monochromatyczny. Otoczenie przypominało południowo-zachodnią część Kolorado albo może co zieleńsze rejony na północy Nowego Meksyku – z wyjątkiem ptaków, które były tu niesamowicie aktywne. Wokół fruwały sójki, dzięcioły i kolibry, ćwierkając dumnie i zadziornie, broniąc swojego terytorium i kradnąc sobie nawzajem jakieś robaki. Ich zachowanie było tak ożywione, że zacząłem się zastanawiać, czy to nie jakieś auspicja, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Po chwili dotarł do mnie przekaz wróżby – choć nie przepadam za tą formą przepowiadania przyszłości, zdarza się, że jej treść jest równie delikatna jak pała

bejsbolowa waląca człowieka po łbie: niby możesz ją zignorować, ale na własną odpowiedzialność. Może to mój słaby stan sprawił, że łatwiej było mi pojąć, co próbują powiedzieć ptaki. A może to to, że praktycznie darły się nade mną.

Zdrada. Oto co zapowiadały. W mojej niedalekiej przyszłości czaiła się zdrada, to jest, jeśli wierzyć ptakom, a ja nie miałem zwyczaju ufać tym małym, rozświergotanym draniom, szczególnie draniom, które pochodziły z krainy pod patronatem boga oszustów.

Mimo wszystko takie auspycja nieco mnie zaniepokoiły. Kto mógłby mnie tu zdradzić poza Kojotem? A to z kolei nie miałyby sensu. Jeśli chciał mojej zguby, wystarczyło dać skórokształtnym mnie zeżreć. Albo uciec i pozwolić Garmowi mnie przeżuć. A może chodziło o to, że teraz, gdy Garm depcze mu po piętach, Kojota opadły wątpliwości...? Jeśli sprowadzi mi tu Garma z powrotem, będę musiał zmienić się w sowę i próbować odlecieć. W żadnej innej postaci nie mam szans mu umknąć.

Bo kto inny? Może Morrigan, której obecność była jakże zauważalna jeszcze niedawno, gdy tymczasem teraz, gdy ocierałem się właśnie o śmierć, jej nieobecność była tylko jeszcze bardziej zauważalna. Bez trudu mogłaby mnie teraz wykończyć.

Granuaile i Oberon byli automatycznie wykluczeni z listy podejrzanych. Miałem do nich żelazne zaufanie. Może to Siostry Trzech Zórz zamierzały złamać traktat o nieagresji? Ale to też nie miało sensu, bo przecież powinny być teraz zajęte przeprowadzką do Polski.

Uznałem, że te rozważania do niczego nie prowadzą. Najważniejsze to próbować się teraz uzdrowić. Schowałem się pod krzakiem jeżyny i skuliłem tak, jak tylko wydry potrafią. Westchnąłem raz jeszcze i odpłynąłem zupełnie, pozwalając ciału samemu się leczyć.

Rozdział 12

Obudziłem się w nocy z wielkim strupem na szyi i regenerującymi się mięśniami pod spodem. Oddychanie i krążenie wróciło do normy. Uznałem, że na tym etapie najważniejsze to odzyskać struny głosowe. Żadne mięśnie szyi nie uratują mi teraz życia, ale głośny krzyk „Pomocy!” owszem, może się okazać przydatny. Przez chwilę nasłuchiwałem, czy w ciemności nie czai się jakieś niebezpieczeństwo, ale nic nie wyłapałem. Kusiło mnie nawet, żeby zmienić się z powrotem w człowieka, ale poniechałem tego pomysłu, bo nie miałem przecież pewności, czy Garm – a z nim Hel – już uznali mnie za wystarczająco martwego. Jeśli przyjmę ludzką postać i okaże się, że klątwa Głodu jeszcze nie została przełamana, Garm pewnie wróci tu i mnie dorwie.

Powoli i tak cicho, jak tylko się dało, przemknąłem z powrotem na brzeg rzeki, żeby ugasić pragnienie. Doskwierał mi głód, ale bałem się, że mógłbym znów sobie coś rozerwać podczas polowania. Poza tym wołałem nie zwracać niczyjej uwagi. Nie mając nic innego do roboty, wróciłem do kryjówki pod jeżyną i pograżyłem się w leczniczym śnie.

Rano obudził mnie Kojot. Stał na drugim brzegu i krzyczał:

– Hej! Panie Druid! Gdzie się pan podziewasz? Panie Druid!

Wyściubiłem wydrzy nos spod krzaka i namierzyłem go wzrokowo. Paranoja kazała mi natychmiast przypomnieć sobie o wczorajszych auspicjach i podpowiadała, że być może Kojot nie jest sam.

Stał w tym samym miejscu, w którym mnie zostawił. Wyglądał znów jak on – niebieskie dzinsy, wysokie buty, biały podkoszulek bez rękawów, wielka, srebrna klamra przy pasku i lśniąca, czarne włosy wystające spod czarnego kowbojskiego kapelusza. Przez chwilę obserwowałem go i krzaki obok. Znów mnie zawołał i tym razem w jego głosie słychać było lekkie poirytowanie moim milczeniem.

– No przecież nie będę teraz na pana polować! Naprawdę nie jestem w nastroju! – darł się. Uznawszy, że warto zaryzykować, postanowiłem wypróbować struny głosowe i wydałem z siebie wysoki pisk wydry. Trochę to wypadło ochryple, ale głośności nic nie mogłem zarzucić. Kojot odwrócił głowę na ten dźwięk i zauważył mnie po drugiej stronie rzeki. – A, jesteś pan. Mogłeś się pan streścić.

Przystanąłem na brzegu i pisałem znów na niego. Teraz dobrze było mnie już widać, mógł więc wskazać mnie ewentualnym wrogim istotom, które być może gdzieś się tu ukrywały. Jeśli taki był jego plan. On jednak stał tylko z rękoma na biodrach, wyraźnie rozbawiony moim zachowaniem.

– Zgłupiałeś pan do reszty czy jak? Nie gadam przecież po wydrzemu. Na co pan czekasz? Chodź pan tutaj i wracajmy już do rezerwatu.

Korzystając z sytuacji, zasugerowałem mu, żeby sobie pożonglował jeżami, bo przecież i tak mnie nie rozumiał, a potem wślizgnąłem się do rzeki. Tym razem dawałem już radę utrzymać łypek ponad wodą, choć bolało to jak jakaś przemyślna tortura Torquemady.

Gdy wyszedłem na brzeg, ociekając wodą, Kojot przykucnął i przemówił do

mnie tak zjadliwym tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałem:

– Panu się może zdaje, panie Druid, że ja po prostu uwielbiam być zżerany przez wielkiego pieprzonego psa? Przeżuł mnie i połknął, ale ja wykitowałem dopiero, kiedy kwasy w jego żołądku zalały mi łeb, bo skurczybyk moją głowę wszamał sobie w całości. Pamiętam każdą cholerną sekundkę. A przypomnę panu, że tuż przedtem banda jakichś pioruńskich bożków przerobiła mnie na mielone. Już dwa razy za pana umarłem i za każdym razem w wyjątkowo koszmarny sposób. Lepiej, żebyś był pan tego wart.

Wydrze popiskiwanie nie wydały mi się odpowiednią repliką na takie dictum, przekształciłem się więc z powrotem w człowieka i jęknąłem z bólu, gdy przy okazji znów rozerwałem sobie kilka tkanek mięśniowych. Moje struny głosowe jakoś przetrwały tę przemianę, ale nie bez uszczerbku.

– Dziękuję – wycharczałem, leżąc na brzegu, nagi i zziębnięty. – Przepraszam za kłopot.

– Jeszcze mi pan nie dziękuj – warknął Kojot z niewesołym uśmiechem. – Zabieram pana z powrotem do skórokształtnych. Na pewno nadal mają chętkę na mięso z druida. A jeśli nawet nie, to są wkurzeni, że wkroczyliśmy na ich terytorium. Jakoś się ich trzeba pozbyć. – Urwał, jakby sobie coś nagle przypomniał, potem szczerknął ze śmiechu i dodał: – Plus pański pies i pańska dziewczyna zabiją pana gołymi rękami za to zniknięcie.

– Ona wcale nie jest moją dziewczyną – powiedziałem, co pewnie nie było odpowiedzią najmądrzejszą z możliwych.

Kojot prychnął szyderczo.

– Ta. Wszystko mi jedno.

– Jest moją uczennicą – pouczyłem go. Z jakiegoś powodu to natychmiast wywołało w mojej głowie obraz Leifa gotującego się do szekspirowskiego pojedynku i niemal usłyszałem, jak mówi: „Zda mi się, że ten druid przyrzeka za wiele”.

Kojot pokręcił tylko głową.

– Mam to gdzieś, panie Druid. Dasz pan radę iść?

W ramach eksperymentu podniosłem się na obu rękach, ale odkryłem szybko, że nie jestem w stanie utrzymać głowy ani znieść bólu, który wywołał ten ruch. Spięcie mięśni ramion i pleców odbijało się na zbyt jeszcze delikatnej szyi. Mógłbym niby zneutralizować ten ból, gdyby nie to, że wiedziałem, iż czuję go nie bez powodu. Spróbowałem więc unieść się za pomocą tylko lewej ręki, wychodząc z założenia, że tak będzie lepiej, bo przecież ranę mam po prawej. Założenie to okazało się błędne. Spięcie mięśni ramion powodowało panikę w gojącej się szyi.

– Czekaj. Może spróbujemy jakoś inaczej. – Ostrożnie przetoczyłem się na plecy i wyciągnąłem lewą rękę. – Pomóż mi. Tylko ciągnij delikatnie.

Kojot chwycił moją dłoń i pociągnął. Tym razem ból nie był zabójczy, jedynie nieznośny. Usiłowałem w miarę możliwości nie spinać ramion, a gdy już poczułem, że stoję, nie było nawet tak źle. Potrzebna by mi była tylko jakaś zmyślna orteza.

– Dajesz pan radę? – spytał Kojot.

– Noo. Będę musiał się poruszać bardzo powoli, ale chyba się uda, tylko głowę będę miał tak przechyloną jak zombi.

– Dobra. W Czwartym Świecie czeka na nas samochód.

– A w nim ubrania?

– Nie. Masz pan przecież tu swoje ciuchy. – Kojot wskazał mi dzinsy i koszulę na brzegu rzeki. Starannie obwąchane i podeptane przez Garma.

– Mokra i zabłocona.

– To lataj pan sobie na golasa, panie Druid. Co mnie do tego, hę?

Włożenie dzinsów okazało się wyczynem nie lada dla nas obu. Zimne i mokre spodnie w ogóle nie są najprzyjemniejszą rzeczą, jaką można próbować włożyć, ale kiedy trzeba jeszcze przy tym pamiętać o nieporuszaniu głową, robi się prawdziwa masakra. Przy koszuli się poddałem.

Kiedy dałem Kojotowi znak, że już jestem gotowy, powiedział tylko:

– Dobra, to teraz połóż mi pan rękę na ramieniu i chodź.

Zrobiłem, co kazał. Przeszliśmy cztery kroki i już byliśmy na drodze niedaleko miejsca, w którym skórokształtny rozerwał mi gardło. Stał tu niebieski ford, bez wątpienia kradziony. Kojot chciał od razu wsiadać i ruszać, ale uparłem się, że muszę jeszcze zająć się ziemią, w którą wsiąkała moja krew. Odrobiną mocy wzruszyłem ją i tak podwracałem, żeby zupełnie zakopać resztki krwi, by nikt jej nie mógł użyć przeciwko mnie.

– Myślisz, że tamten skórokształtny mógł tu wrócić i dorwać się do mojej krwi, kiedy mnie nie było? – zapytałem.

– Iii tam – zlekceważył moje zmartwienia Kojot. – Nieźle go trzepnąłem. Obie sztuki się zaszyły, żeby lizać rany. Pewnie nie zobaczymy ich przez kilka dni. Ale wrócą. Może do tego czasu mógłbyś pan łaskawie wrócić do formy.

Może. Wsiadanie do pikapa z nieruchomą głową jest zadziwiająco trudne, ale udało mi się ograniczyć ból do zaledwie kilku ostrych ukłuć.

Kojot otworzył okno i wychylił lekko głowę na zewnątrz, żeby poczuć wiatr na twarzy.

– To kiedy będzie to złoto, panie Druid?

– Jak zamkną kopalnię węgla – wycharczałem. – Żywiołak zażądał zlikwidowania jej raz na zawsze. Będziesz pan miał pod dostatkiem siły roboczej.

– A jeśli kopalnia węgla znów ruszy, złoto zniknie, tak?

– No – potwierdziłem i odkryłem, że monosylaby są w ogóle najlepsze. Szczególnie jeśli się akurat nie może kiwać głową.

– Znaczy się, będziesz pan tu musiał dłużej zabawić.

– No.

Kojot chrząknął, ale nic już nie powiedział. Gdy dojechaliśmy do obozu, natychmiast w naszą stronę rzucili się pędem Granuaile i Oberon.

Nim zdążyliśmy otworzyć drzwi, Kojot wyłączył silnik i powiedział:

– A tak w ogóle, panie Druid, to wypadł panu jeden dzień z życia. Jest poniedziałek rano.

Nie było mnie całe dwie noce? Oni mnie zabijają.

<Atticus! Gdzieś ty się podziewał?!>

Oberon zbliżał się do mnie w niepokojącym tempie, więc wysiadając ostrożnie z samochodu, poprosiłem:

Zwolnij i nie skacz na mnie, dobrze? Jestem ranny.

<Gdzie?>

Na szyi. Pod skórą. Nie da się zobaczyć. Zaraz i tak będę wyjaśniał to Granuaile, to wszystkiego się dowiesz.

Gdy pędziła w moją stronę, wyraz jej twarzy przeszedł cały cykl: od niepokoju, przez ulgę, aż po zacięcie sugerujące, że jeszcze jej za to zapłacę. Uniosłem ręce na wypadek, gdyby chciała mi się rzucić na szyję – żeby mnie przytulić lub udusić.

– Gdzie byłeś? – spytała groźnie, stając kilka kroków ode mnie i krzyżując ręce na piersi.

– Przepraszam, że się przeze mnie zamartwialiście – wycharczałem. – Wkrótce dojdę do siebie.

Jej wzrok przeniósł się na moje mokre, zabłocone dżinsy i rzucający się w oczy brak koszuli.

– Co ci się stało?

– Ktoś wykorzystał okazję.

Granuaile spojrzała niepewnie na Kojota.

– Hej! Nie patrz pani tak na mnie, panno Druid – oburzył się Kojot. – Jak dla mnie to on jest nówka, funkiel, nieśmigany.

Rzuciłem się więc wyjaśniać wszystko po kolei, nim Granuaile zdąży zareagować albo Oberon będzie miał czas zadać pytanie na temat tego konkretnego sformułowania.

– W drodze powrotnej z kopalni zostałem zaatakowany przez skórokształtnego, a potem jeszcze gonił za mną pies Hel, Garm.

Granuaile otworzyła usta ze zdumienia.

– Jakim cudem udało ci się uciec?

– Nie udałoby się, gdyby nie Kojot, który uratował mi życie.

– Co? Co? Panie Druid? – spytał Kojot, ostentacyjnie nadstawiając uszu. – Bo nie słyszałem?

– Tak, uratowałeś mnie. – Nie uśmiechało mi się opowiadać przy Kojocie o tym, jak otarłem się o śmierć, więc machnąłem ręką w stronę samochodu Granuaile.

– Jedźmy do miasta – powiedziałem. – Muszę załatwić parę spraw, i kupić sobie nowe ciuchy. Po drodze wszystko ci opowiem.

– Hej, a kiedy zamierzacie wrócić? – zaniepokoił się Kojot.

– Nic się nie martw, przed zmrokiem – zapewniłem go.

W drodze do miasta powiedziałem Granuaile i Oberonowi, że mało nie zginąłem oraz że to interwencja Kojota uratowała mnie przed śmiercią w paszczy skórokształtnego, a potem Garm. Bóg oszustów dwa razy uratował mi życie i już dwa razy za mnie umarł.

– Jestem teraz jego dłużnikiem – zakończyłem. – Szlag by to trafił.

– To wyjaśnia, dlaczego wczoraj było tak spokojnie w hoganie – stwierdziła Granuaile. – Jeden ze skórokształtnych ma ranę od oszczepu, a drugi dwie postrzałowe. Powrót do zdrowia powinien im zająć dłuższą chwilę.

Pozwoliłem sobie delikatnie zaoponować.

– Obawiam się, że raczej krótszą niż dłuższą. Ich rany też się szybko goją, a jeśli klątwa Głodu nadal działa, będą mnie chcieli dorwać za wszelką cenę. Choć mam nadzieję, że tak nie jest. Jak tam Błogosławiona Droga?

– Już prawie zakończona. Jutro rano hogan powinien być zupełnie bezpieczny. Wjechaliśmy na przedmieścia Kayenty i Oberon zaczął wymachiwać ogonem na widok zabudowań.

<Mają w tym mieście porządnego rzeźnika?>

– Z pewnością – odpowiedziałem. Granuaile spojrzała na mnie kontrolnie, ale zaraz się domyśliła, że to było do Oberona. Już się przyzwyczaiła, że czasem gadam od rzeczy.

– Dokąd teraz, sensei? – spytała.

– Do hipermarketu, żebym mógł sobie kupić jakieś ciuchy i kołnierz ortopedyczny. A raczej ty byś mogła. Mnie to raczej w tym stanie tam nie wpuszczą. I jeszcze marzą mi się sandały.

– Dobra.

Podaliśmy jej moje rozmiary i poszła, a my z Oberonem zostaliśmy na parkingu.

<Dokąd jedziemy potem?> spytał Oberon.

Na śniadanie. Przy autostradzie jest taka knajpka, która się nazywa Blue Coffee Pot.

<Wpuszczą mnie tam?> dopytywał się, wymachując ogonem z przejęcia i pukając nim o tylne siedzenie.

Mam nadzieję. Zakamufluję cię i jakoś się przecież wciśniesz.

<Klawo! Już niemal czuję ten zapach. Powietrze ciężkie od aromatu kawy, masła i kielbasy. Tego właśnie mi trzeba po trzech dniach brudu i suszonego mięsa>.

Przydałaby ci się kąpiel – stwierdziłem.

<Szczerze mówiąc, nawet bym nie odmówił. Choć nie zapominaj, że ledwo co się kąpałem kilka dni temu. A masz jakąś dobrą opowieść?>

Coś by się wymyśliło – powiedziałem. – A na jaką opowieść byś miał ochotę?

<Jakaś taką ninjową!>

Ninje są mało wdzięcznym tematem. Prawie zawsze są niewidzialni, a nawet jak nie, to łażą w tych czarnych pidżamach i o niczym nie chcą gadać. Może lepiej opowiem ci o samurajach? O jednym takim mam całkiem sporo do powiedzenia.

<Znałeś prawdziwego samuraja?>

No. Spędziłem kilka lat w feudalnej Japonii, póki mnie z niej nie wykurzył Aenghus Óg.

<Czy twój samuraj cierpiał straszliwe katusze z powodu drobnych ujm na honorze i dzielnie trzymał kamienną twarz, gdy jego świat walił się w gruzy?>

Naturalnie.

<Super! Brzmi świetnie! Już się nie mogę doczekać! Czekaj, odwołuję, co powiedziałem. Poczekam do śniadania i potem nie będę się mógł doczekać. Najważniejsze to ustalić sobie priorytety. Ale, ale, byłbym zapomniiał o raporcie>.

Jakim raporcie?

<No przecież kazałeś mi się kręcić wokół Sophie w przebraniu Tulasinka i dowiedzieć się, co ona wie. Była to misja, której podjąłem się z wielkim poświęceniem>.

A. Racja. Zatem słucham raportu, Tulasinku.

<To nie jest najlepsza ksywka dla tajnego agenta, co? No trudno. Otóż dowiedziałem się, że Sophie ma sekretną obsesję na punkcie laserów i chce w nie

wyposażać wszystko, co ma. Kiedy nikogo przy nas nie było, rozwodziła się długo na temat swoich planów umieszczenia wielgachnych, wypasionych laserów na swoim pikapie, na dachu domu i nad drzwiami wejściowymi w celu rozwalania nimi misjonarzy oraz dachowców, które jej robią kupy na trawniku. Sophie jest w ogóle niesamowita. Wyznała mi też, że woli stek z kością od polędwicy wołowej, a to oznacza, że jest jedną z najmądrzejszych osób na tej planecie.

Oberonie. Czego dowiedziałeś się na temat budowy?

<Już przecież mówię. No więc plany są bardzo rozległe i nie wiem, czy wszystko aby dobrze zrozumiałem. W jednym miejscu wybudują fabrykę komponentów solarnych, w drugim wiatrowych, a w jeszcze innym planują stację kolejową. Czy to ma sens?>

Tak. Będą jakoś musieli przecież transportować swoje produkty.

<Aha. W każdym razie pokazała mi raz przestrzeń za tym miejscem, gdzie ma być stacja, i powiedziała, że tam będą magazyny, a za nimi transformersi. Czy to znaczy, że Optimus Prime postanowił pomóc Nawahom osiągnąć niezależność energetyczną?>

Nie. Na pewno nie mówiła o transformersach, tylko o transformatorach. Takich do przenoszenia prądu. Są to niestety przedmioty nieożywione.

<Ach. Tak mi się właśnie zdawało, że to zbyt piękne, by było prawdziwe. No to jak? Jak mi poszło? Odzyskuję w nagrodę choć dwie kiełbaski?>

O tak. Spisałeś się na medal. Znaczą na kiełbaski. Masz już tylko dwanaście ujemnych.

<Sośnie!>

Sośnie w rzeczy samej. Pocieszyła mnie ta informacja, że Kojot rzeczywiście zamierza trzymać się planu. Chyba że tylko postarał się, żeby Sophie i pozostali wierzyli w tę całą budowę.

Granuaile wróciła z torbą pełną ciuchów i kołnierzem ortopedycznym. Najpierw założyłem kołnierz, który od razu zmniejszył trochę moje cierpienie. To pozwoli mięśniom znacznie szybciej się regenerować.

– Nie byłem pewna, jaka koszulka byłaby najlepsza, ale uznałam, że na pewno nie zwykły T-shirt, bobyś go musiał wkładać przez głowę i nadwierać przy tym kark. Dlatego kupiłam tę z guzikami – powiedziała, wyciągając czekoladową koszulę w jasne poprzeczne prążki – i jeszcze kilka podkoszulków, bo pomyślałam sobie, że będzie je łatwo włożyć.

Pokazała mi paczkę czarnych i szarych podkoszulków. Popatrzyłem na obie opcje i wybrałem jednak tę drugą, bo wydawało mi się, że kołnierzyk zapinanej koszuli może wyglądać dość dziwnie przy kołnierzu ortopedycznym. Poza tym nic mi się nie stanie, jak się trochę ochłodzę.

– Dzięki – mruknąłem, biorąc od niej pozostałe ciuchy. – Odwróć się i stań na czatach, dobra?

– Zamierzasz się tu przebrać, na środku parkingu?

Rzuciłem na siebie kamuflaż.

– Jasne. Nagość w miejscach publicznych, a bez skandalu.

– Cholercia. – Pokręciła głową, gdy rozmywałem jej się przed oczami. – Też bym tak chciała.

– Już tylko jedenaście lat i dziewięć miesięcy i też tak będziesz śmigać – zakpiłem, gdy się odwracała. Z ulgą zrzuciłem z siebie mokre, brudne dżinsy i włożyłem nowe. Nie kupiła mi żadnej bielizny. Albo o tym zapomniała, albo uznała, że mam latać na komandosa.

Rozerwałem paczkę z podkoszulkami i ostrożnie włożyłem sobie czarny przez głowę, a potem schowałem w spodnie. Wyglądałem teraz trochę jak Kojot, choć bez kowbojskiego kapelusza i na pewno nie zamierzałem się rozstawać z tatuażami. Zwykle nie noszę koszul, które by je odsłaniały, bo przyciągają za dużo uwagi i pytań typu: „Gdzie je zrobiłeś?”, które są nieco niewygodne, jako że prawdziwa odpowiedź brzmi: „W Irlandii, około 50 roku przed naszą erą, a co?”.

Stopy wsunąłem w sandały i powoli, korzystając z tego, że wreszcie mam unieruchomiony kark, obróciłem się dookoła, żeby zobaczyć, czy nikt nie patrzy. Dopiero wtedy zrzuciłem kamuflaż i oświadczyłem, że jestem gotów do dalszej drogi.

Granuaile zlustrowała mnie od góry do dołu, a jej spojrzenie bynajmniej nie było niewinne, ale powiedziała tylko:

– Znacznie lepiej – i obeszła samochód, żeby sięgnąć za kierownicą.

Blue Coffee Pot pękał w szwach, choć był przecież poniedziałek. Musieliśmy czekać na wolny stolik. Zapytałem właścicielki, czy zawsze tak tu jest rano, ale pokręciła głową.

– Zamknęli kopalnię, więc robotnicy mają dziś wolne.

– Zamknęli kopalnię? – spytałem, zabarwiając głos cieniem niedowierzania. – Dlaczego?

– Napisali o tym w gazecie – powiedziała, wskazując głową stojak z gazetą z Flagstaffu „Arizona Daily Sun”. Kupiłem sobie egzemplarz i uśmiechnąłem się na widok nagłówka SABOTAŻ W KOPALNI WĘGLA BLACK MESA. Autor artykułu twierdził, że zamknięcie jest chwilowe, że nowy sprzęt już jest w drodze i że za kilka dni, a najpóźniej w ciągu dwóch tygodni, kopalnia znów ruszy, tym razem ze znacznie lepszymi zabezpieczeniami, żeby nic takiego już się nigdy nie powtórzyło. Ich rzekome zabezpieczenia mnie nie przerażały. Po prostu będę musiał wybrać się tam za dnia, i to tak, żeby mieć dużo czasu na wydostanie się z terenu kopalni. I tym razem być może wezmę ze sobą miecz.

Ciekawe, że wiadomość o zamknięciu pojawiła się dopiero po tylu dniach. To świadczyło o poważnym wyparciu po ich stronie. Teraz natomiast oczywiście szukali winnych.

Na stronie siódmej znajdował się całkiem spory artykuł o mojej tajemniczej śmierci w Tubie. Nagłówek głosił: POLICJA ZDUMIONA PRZEDZIWNYM MORDERSTWEM. Nim zdołałem jednak cokolwiek przeczytać, zwolniło się miejsce i zagoniono nas do małego stolika pod oknem. Gdy tylko namierzyłem jego lokalizację, rzuciłem:

– Siadaj, ja jeszcze skoczę po coś do samochodu – i wyszedłem po Oberona. Zakamuflowałem go i wyjaśniłem mu, że będzie trochę ciasno.

<Jak zawsze. Czasami normalnie żałuję, że jestem taki olbrzymi. Nie marzy ci się mała psinka?>

Nieee. Z takimi małymi pieskami to ludzie od razu chcą się zaprzyjaźniać, a to

by mi było nie na rękę. Ty jesteś jak Sasquatch na smyczy.

<Sasquatch na smyczy! To mi się podoba>.

Swoją drogą to by była świetna nazwa zespołu rockowego.

<Albo linii kosmetyków dla mężczyzn, wiesz, tych wszystkich piżmowych mydełek i innych wód kolońskich. *Sasquatch na Smyczy: Okiełznaj Śmierdzącą Bestię*>.

Otworzyłem przed nim drzwi i wprowadziłem go do środka.

Uważaj na ludzi. Stolik jest tam, na prawo, pod oknem.

<Nie ma sprawy>.

Granuaile drgnęła, gdy poczuła, jak jej się Oberon ociera o nogi, przełaząc koło niej pod stolikiem, ale poza tym nie dała nic po sobie poznać, gdy na stopach rozłożył jej się potężny wilczarz irlandzki. Usiadłem ostrożnie, schowałem nogi pod krzesło i pochyliłem się do przodu.

Zamówiliśmy kawę, jajka i mnóstwo mięsnych przekąsek. Gdy czekaliśmy na jedzenie, wróciłem do gazety i przeczytałem na głos artykuł o mojej śmierci.

– „TUBA – Policja nadal nie wie, co myśleć o zagadkowym morderstwie, do którego doszło na pustyni w Tubie. W czwartek znaleziono tam pozostałości zwłok ofiary – Atticusa O'Sullivana (lat 31)”.

– Trzydzieści jeden? – przerwała mi Granuaile.

– Pewnie wyliczyli to sobie na podstawie prawa jazdy. Miałem niby dwadzieścia jeden lat, kiedy ktoś był na tyle głupi, że mi je wydał.

– Aha. – Granuaile pokiwała głową ze zrozumieniem. – Czytaj dalej.

– „Ciało zmasakrowano i porzucono pod wieżą ciśnień. Analiza wykazała, że na miejscu zbrodni znajdowało się od ośmiu do dziesięciu osób, które prawdopodobnie przyłożyły rękę do morderstwa, w tym jedna boso. Znajomi ofiary zidentyfikowali ją jedynie dzięki włosom i tatuażom...”. Co takiego? – Urwałem i podniosłem wzrok znad gazety. – Kto niby mnie zidentyfikował?

– Nie piszą kto?

– Nie. Ale posłuchaj tego: „Zgodnie z prawem dochodzenia w sprawie morderstw popełnionych na terenie rezerwatu prowadzi FBI. Choć agenci odmówili komentarzy, policja w Tempe zwraca uwagę na to, że A. O'Sullivan miał od jakiegoś czasu poważne problemy z prawem. Detektyw Kyle Geffert z komisariatu w Tempe powiedział: «A. O'Sullivan został kilka miesięcy temu postrzelony przez policję z Tempe oraz był obecny podczas Masakry w Satyrn w Scottsdale. Jeden z jego pracowników zmarł nagłą śmiercią w listopadzie zeszłego roku»”. Bogowie niejedyni! Słyszysz to?! Normalnie tak to przedstawił, jakbym to ja zabił Perry'ego i zasłużył sobie na ostrzelanie.

– No wiesz, nie wydawało ci się chyba, że zdobyłeś sobie jego serce podczas tamtego dochodzenia – odparła Granuaile.

– Dobra, ale to przecież jeszcze nie powód, żeby mnie tak obsmarowywać po śmierci, nie? – burzyłem się.

– Może powinieneś trochę zniżyć głos – zwróciła mi uwagę, wzrokiem dyskretnie wskazując stoliki obok.

– Racja. – Szukając wsparcia duchowego w tej sprawie, mruknąłem jeszcze pod nosem: – Oberon, a ty nie masz nic do powiedzenia?

<Ja bym powiedział, że należy zamówić jeszcze więcej boczku, a co?>

– Przecież nawet nam jeszcze nie przynieśli tego, co już zamówiliśmy.

<Pytałeś, to mówię, nie?> I tyle było, jeśli chodzi o wsparcie duchowe.

– Co jeszcze piszą? – spytała Granuaile znad kubka z kawą. Słońce wpadające przez okno rozświetlało jej rude włosy na złoto i dodawało blasku jej zielonym oczom. Promienie tańczyły na piegach na jej policzkach, co było niesamowicie wprost urocze i...

– Atticusie?

– Hę?

– Artykuł.

– A. Tak. – Uniosłem gazetę, żeby ukryć zawstydzenie.

<Ha! Znów cię przyłapała!>

Cicho tam. Muszę czytać.

– „A. O'Sullivan był właścicielem księgarni Trzecie Oko w Tempe. Jej aktualna kierowniczka Rebecca Dane była zszokowana, gdy dowiedziała się o zgonie swojego pracodawcy. «Kiedy widziałam się z nim ostatni raz, mówił, że wybiera się na wakacje na Antypody» – wyznała. – «Pojęcia nie mam, skąd się wziął w Tubie». Stały klient księgarni, Joshua Goldfried, zwrócił uwagę na zmianę w zachowaniu A. O'Sullivana w ciągu ostatnich miesięcy: «Gdzieś tak od połowy października zrobił się bardzo nerwowy. Dotąd zawsze był na miejscu, ale potem nagle zaczął znikać nawet na kilka dni». Pod koniec października A. O'Sullivan został we własnym sklepie postrzelony przez funkcjonariusza policji z Tempe, w wyniku czego pozwał miasto o odszkodowanie w wysokości pięciu milionów dolarów. Hal Hauk, prawnik A. O'Sullivana, potwierdził, że miasto Tempe właśnie zgodziło się wypłacić jego klientowi siedmiocyfrową sumę”.

– Ja cię! Jesteś bogaty!

– Już i tak byłem przecież bogaty. Poinstruowałem Hala, żeby oddał moją część odszkodowania rodzinie detektywa Faglesa. Słuchaj, bo teraz dopiero robi się ciekawie: „Morderstwo A. O'Sullivana to jedna z najbrutalniejszych i najbardziej krwawych zbrodni w całej historii Arizony. Choć samo zabójstwo zostało być może dokonane przez jedną osobę, do zmasakrowania ciała przyłożyło się znacznie więcej ludzi uzbrojonych w broń ostrą i tępą. Przed śmiercią widywano A. O'Sullivana w Tempe z mieczem. Policja z Tempe i Tuby odmówiła komentarzy na temat motywu tej zbrodni i zaprzeczyła, jakoby miała ona jakikolwiek związek z tajną lożą walczącą mieczami”.

Granuaile wybuchnęła śmiechem.

<No oczywiście, że zaprzeczyli> zauważył Oberon. <Pierwsza reguła wszelkich tajnych loży to nie mówić o istnieniu tajnych loży>.

Jedzenie pojawiło się, gdy jeszcze się z tego śmialiśmy. Kiedy kelnerka stawiała na stoliku talerz za talerzem, przejrzałem pobieżnie resztę artykułu.

– Jest coś jeszcze?

– Nie. Tylko upierają się, że widać zrobiłem coś bardzo niegrzecznego i sobie na to zasłużyłem. Co ciekawe, nie ma nawet wzmianki o ciałach Vidara i Týra. Ani o żadnych dowodach orgii Morrigan.

– Słucham? – Widelec Granuaile zamarł w połowie drogi do jej ust, a zielone

oczy, choć wciąż tak pięknie oświetlone słońcem, błyskały teraz chłodno i groźnie.

Pośpieszyłem z wyjaśnieniem.

– Kiedy już się stamtąd zbierałem – zacząłem – Morrigan wspomniała, że ma chętkę na orgię w błocie. Nie wiem, czy w końcu udało jej się zrealizować tę zachciankę.

– Orgię z kim?

– Liczyła na to, że uda jej się przyciągnąć jakąś okoliczną ludność – wybąkałem, nie wspominając o tym, że początkowo liczyła właściwie na mnie. – Ale być może w ogóle odstąpiła od tego zamiaru. Pewnie po prostu zjadła Týra i Vidara. We wroniej postaci ma zwyczaj zjadać trupy, sama rozumiesz.

Granuaile zbladła.

– Fuu. To obrzydliwe. – Spojrzała na wszystkie kielbaski i bekony czekające na stole. – Jakoś straciłam apetyt.

<Mój apetyt jest jak Sasquatch na uwięzi. Jeszcze chwila i się zerwie! Nakarm mnie, Seymour!>

A, oczywiście. Przepraszam, Oberonie.

Rzuciłem kamuflaż na talerz z mięsem i udając, że podnoszę coś z podłogi, postawiłem go przed Oberonem. Znajdzie go bez trudu po zapachu.

– Ale jak ona w ogóle zdołała pochłonąć dwóch wielkich mężczyzn? – spytała Granuaile, przełamując obrzydzenie.

– Nigdy nie zostałem, żeby popatrzeć. – Wzruszyłem ramionami. – Ani nie zapytałem. Oto wielka tajemnica.

Po śniadaniu nadszedł czas na załatwianie różnych formalności. Każde z nas musiało sobie najpierw sprawić skrzynkę pocztową, a potem spędzić kilka godzin na żmudnym zakładaniu konta bankowego. Uzbrojeni w adresy i dane kont mogliśmy załatwić sobie nowe komórki. Wtedy od razu zadzwoniłem do biura Magnusson & Hauk. Żeby w ogóle przebić się przez recepcję, musiałem się przedstawić jako „bliski przyjaciel pana Atticusa O'Sullivana” i trzy razy podkreślić, że jestem nowym klientem pana Hauka i chcę płacić z góry za kompleksowe usługi prawne.

– Hal Hauk, słucham – powiedział ktoś głosem znudzonym i dalekim.

– Dzień dobry. Mówi Reilly Collins. – Hal oczywiście wiedział, kim jestem. To on załatwił mi nowe prawo jazdy, świadectwo urodzenia i numer ubezpieczenia. Wiedział, że kiedyś w końcu zadzwonię, jak już znajdę jakieś nowe miejsce. Cała ta farsa miała na celu tylko zmylenie ewentualnych podsłuchujących. – Chciałbym zatrudnić pana do prowadzenia całokształtu moich spraw, a także spotkać się, ponieważ pilnie potrzebuję porady prawnej.

– Gdzie pan jest?

– W Kayencie. Chciałbym się spotkać jeszcze dzisiaj.

– To niestety niemożliwe. Mogę jednak wysłać jednego z moich pracowników ze wszystkimi dokumentami niezbędnymi do rozpoczęcia współpracy. Spotkałby się z panem dziś po południu.

– Czy mógłbym zobaczyć się z tą osobą jeszcze przed zachodem słońca?

– Hmm. To kawał drogi stąd, ale myślę, że jeśli się pośpieszymy, udałoby się zaplanować to spotkanie na wczesne popołudnie.

– Bardzo proszę o pośpiech. Mam ważną sprawę do załatwienia o zachodzie

słońca.

– Rozumiem. W takim razie wyślę Gretę. – Greta należała do watahy Hala i zawsze trafiały jej się jakieś dziwne zadania. Nie była prawniczką, ale można było na niej polegać jak na Zawiszy, choć za mną akurat nie przepadała. – Gdzie chciałby się pan umówić?

– W fast foodzie przy głównej autostradzie. Kupimy jej kanapkę z dodatkowym mięsem i w ogóle.

– To bardzo miłe z pana strony – odparł lodowatym tonem Hal. – Będzie zachwycona.

Podaliśmy mu mój nowy numer, wydaliśmy obydwaj odpowiednie odgłosy pożegnalne i z zadowoleniem zatrzasnąłem klapkę komórki.

– Dobra, gdy tylko upoważnię go do załatwiania wszystkiego za mnie, będzie mógł przelać mi pieniądze z innych kont.

– To ile masz tych kont?

– Setki. Są rozrzucone po całym świecie pod różnymi nazwiskami. Dzięki Aenghusowi Ógowi naprawdę nabrałem w tym wprawy. Ciągle musiałem uciekać, a najbezpieczniejsze kryjówki znajdowały się często w dużych miastach, gdzie bez pieniędzy raczej się nie da przeżyć. Hal zna około dwudziestu z nich.

– Czy aby nadal ich wszystkich potrzebujesz? Przecież Aenghus Óg już nie żyje?

– Hmm. Nie zaszkodzi mieć coś na czarną godzinę. Pieniądze leżą sobie i procentują. A nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.

Granuaile pokiwała głową na taką mądrość życiową.

– To co teraz, sensei?

– Do spotkania z Gretą zostało nam masę czasu. Skupmy się na treningu dla ciebie i zabawie dla Oberona.

Pojechaliśmy na obrzeża miasta. Mieszkało tu kilka królików i parę wyjątkowo płochliwych susłów i świszczki. Oberon mógł sobie je pogonić do woli, a ja przeszedłem z Granuaile te podstawy sztuk walki, które wymagały prostych pleców i szyi.

Kayenta było miejscem suchym i w swej prostocie wręcz surowym. Oczyma duszy mojej ujrzałem się już jednak jako szczęśliwego mieszkańca tej okolicy. To jest – jeśli świat mi na to pozwoli.

Rozdział 13

W latach osiemdziesiątych nie mogłem się nadziwić niemal nadprzyrodzonym mocom Steve'a Perry'ego. Kiedy śpiewał dla Journey, sprawiał, że ludzie zaczynali w siebie wierzyć, płakać nad związkami na odległość i pytać na stacjach o pociągi o północy. Wraz z kumplami z zespołu w pełni wydobył ukryte głębie i znaczenia słowa „lo-o-o”, wyciskając z niego konotacje i niuanse, które inaczej pozostałyby skryte przed ludzkim okiem na kolejne dwa tysiące lat syzyfowych badań. O zakład idę, że patos, jaki nadał sylabie „na”, nie ma, nie miał i nie będzie miał sobie równych w całej historii ludzkości.

Był bogiem rocka. Niemal rozwiązał wszystkie światowe problemy uzbrojony jedynie w kilka akordów i udręczone okrzyki do mikrofonu. Lecz nawet jego moc podnoszenia na duchu ma swoją granicę – granicę, śmiem twierdzić, nie do przekroczenia dla żadnego zespołu – a jest nią niezdolność przeciwstawienia się niszczącemu duszę dysonansowi wizualnemu serwowanemu w fast foodach wielkich korporacji. Od czasu do czasu jakiś znajomy zaciągał mnie do jednego z tych piekieł i wtedy pod wpływem zdradzieckiego ataku podstawowych kolorów na moje siatkówki Steve nieodzwrotnie zaczynał spuszczać z tonu i śpiewać na moim walkmanie „lo” zamiast porządnego „lo-o-o”. Nawet jego głos nie mógł bowiem nic zaradzić na szal opakowanych w papier cheeseburgerów uzbrojonych w gniewnie czerwony keczup i samotny plasterek ogórka.

Powinienem był o tym pamiętać, nim zaproponowałem fast food właśnie na miejsce naszego spotkania z Gretą. Wnętrze pomalowano tu na upiornie żółtą barwę z odcieniami zieleni, która zdawała się nadmiernie wojownicza.

– Fuu. Oczy od tego bolą – syknęła Granuaile. – Te kolory to obraza poczucia smaku.

Zakamuflowany Oberon od razu dołączył się do krytyki.

<Ma rację. Czuć tu warzywami. Ich smród niemal zupełnie zabił zapach szynki. To zdecydowanie obraza smaku>.

Co byś sobie życzył?

<Mogę ćwierć pieczonego wołu?>

Nie. Przykro mi. Najwyżej bułkę z podwójnym mięsem.

<No to proszę wołowinę, bez żadnych szaleństw>.

Ledwie siedliśmy z naszymi kanapkami przy krzykliwie żółtym stoliku, w progu stanęła Greta. Zmrużyła odruchowo oczy.

– Cholera – zakłęła, przystając i mrugając chwilę. – Brzydko tu aż furczy.

Ubrana była bardzo oficjalnie, przez lewe ramię przewieszoną miała torbę kurierską z brązowej skóry. Odkąd widziałem ją ostatni raz, urosły jej znacznie włosy, które splotła sobie w gruby warkocz. Na nasz widok uniosła lekko brodę w ramach oschłego powitania i podeszła do naszego stolika. Zdjęła torbę, rzuciła ją na krzesło, które dla niej zostawiliśmy, i wystawiła dłoń w moją stronę.

– Szef powiedział, że stawiasz mi wczesną kolację.

Granuaile szczęka opadła, ale ja niemal oczekiwałem takiego właśnie

zachowania. Greta nigdy za mną nie przepadała, a moje akcje spadły na łeb na szyję, kiedy zabrałem jej poprzedniego alfę, Gunnara Magnussona, na małą wycieczkę i wróciłem z jego pokiereszowanym trupem. Skinąłem głową i położyłem w jej dłoni dwie dwudziestki.

– Cóż za hojność – wycedziła przez zęby i bez słowa podziękowania poszła stanąć w kolejce.

Granuaile pochyliła się w moją stronę i szepnęła z niepokojem:

– Atticus, co u dia...?

– Cierpliwości – przerwałem jej. – Wiesz, że wilki mają wyśmienity słuch, prawda?

– Och – jęknęła. – To ja sobie zjem mojego hamburgera.

Uśmiechnąłem się do niej z wdzięcznością.

<I ja bym nie pogardził kanapczką> upomniał się spod stołu Oberon.

Wybacz, chłopie – przeprosiłem go skruszony. – *Trochę mam problemy z koncentracją.*

Odpakowałem mu jego hamburgera i położyłem na podłodze na papierze. I tak nie było tu nikogo poza Gretą.

<Wiem. Często masz problemy z koncentracją. Tak łatwo pozwalasz, by błahe sprawy tego świata odwracały twoją uwagę od spraw naprawdę ważnych. Takich jak zapełnianie ziejącej pustki mego żołądka na przykład>.

Greta wróciła z dwiema wielgachnymi kanapkami z mięsem oraz czymś do picia. Jedna z kanapek zawierała podwójną wołowinę. Greta rozpakowała ją ostentacyjnie i położyła na podłodze dla Oberona. Był to jej sposób na pokazanie mi, że mimo kamuflażu wie o obecności mojego psa. Pewnie wyczuła zapach jego kanapki i celowo zamówiła mu drugą. Nasz stolik nie stał na widoku, więc nie musiała się z tym kryć.

<Łooo! Jeszcze jedna kanapka? Super! Podziękuj jej ode mnie! Ale wiesz, to trochę dziwne. Wilkołaki nie mają zwyczaju robić miłych rzeczy>.

– Mój pies jest ci bardzo wdzięczny – powiedziałem. – Ja również.

– Przekaż mu, że nie ma sprawy – odparła. – Z pewnością jest głodny jak wilk – dodała, jakby robiła mi jakieś wyrzuty.

Granuaile zmrużyła oczy, ale nic nie powiedziała. Starłem się zachować obojętny wyraz twarzy.

<A! No i jest typowe wilkołacze zachowanie. Sytuacja wróciła do normy>.

Greta szybko i skutecznie pochłonęła swoją kanapkę z indykiem, nie przestając się przy tym gapić na nas z nieskrywaną wrogością. Była tu z rozkazu swojego nowego alfy i zrobi wszystko, co jej polecił, ale nie prosił przecież, żeby była dla nas miła, więc nie będzie. Ponieważ nie należałem do Watahy z Tempe, mogła mi posyłać tyle pogardliwych i wrogich spojrzeń, ile jej się tylko podobało. Niemal czułem, jak w Granuaile się zagotowało. Miałem tylko nadzieję, że nie rzuci się na przynętę, którą Greta wymachiwała nam przed nosem. Posłałem jej uspokajające spojrzenie i zrobiłem gest ręką, który miał jej przekazać, że ma trzymać swoją złość na wodzy, a ona skinęła głową na znak, że przyjęła to do wiadomości. Muszę wyjaśnić jej koniecznie, jak należy sobie radzić z wilkołakami.

Przełknęliśmy ostatnie kęsy kanapek, zmięliśmy papierki z głośnym szelestem

i wyrzuciliśmy je do kosza. Greta otworzyła torbę i zaczęła wyciągać dokumenty i długopis. Żadnych tam przyjacielskich pogawędek.

– Tu wpisz dane bankowe i te de. Podpis na dole. – Przeszła od razu do konkretów.

Zrozumiawszy, że niepytana nic mi nie powie, zacząłem ją zagadywać, gdy wypełniałem formularze.

– Jak sobie radzi Rebecca Dane z księgarnią? – spytałem.

Kazałem Halowi sprzedać jej cały interes za z kapelusza wziętą sumę dwóch dolców i siedemdziesięciu dwóch centów.

– Bez zarzutów. Ci sami stali klienci nadal odwiedzają ją regularnie.

– Co z Leifem?

– Wrócił.

Podniosłem wzrok znad dokumentu, który podpisywałem.

– Żartujesz? Wygląda tak samo?

– Tego bym nie powiedziała. Ale cuchnie tak samo. Śmiercią.

Coś w jej tonie mnie zaniepokoiło.

– Co jest z nim nie tak?

Wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Nie jest szczęśliwym wampirem. Może dlatego, że ma ostatnio dużo towarzystwa. Nie jest już sam w mieście.

– Coś mi się obilo o uszy. Dlaczego nie zlikwiduje konkurencji tak jak zawsze?

– Mówi, że tym razem nie może. Sytuacja polityczna uległa zmianie.

– Wampolityczna?

– Ludzką ma raczej gdzieś, więc tak, wampolityczna. Chce się z tobą zobaczyć, ale oczywiście nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś, póki rano nie zadzwoniłeś. Mamy mu podać twoją lokalizację, jak się obudzi wieczorem?

– Hmm. Nie – mruknąłem. Jeśli zmieniła się sytuacja wampolityczna, to Leif nie jest już górą. A jeśli nie jest górą, to najprawdopodobniej będzie musiał dzielić się swoimi informacjami z kimś, kto jest. Także informacjami o mnie. – Nie podawajcie mu mojego nowego nazwiska.

Greta zrobiła zaskoczoną minę.

– Nie chcesz się z nim zobaczyć?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu chcę się z nim spotkać na neutralnym gruncie. Powiedz mu, żeby przyszedł jutro wieczorem do Granny's Closet. Około wpół do dziewiątej. To we Flagstaff.

– Jasne, przecież wiem gdzie – burknęła Greta. – Mają tam świetne skrzydełka. I zimne piwo.

– To prawda. Co wiesz na temat reakcji na moją śmierć?

– Czyjej reakcji?

– Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz.

Przewróciła oczami i westchnęła. Postaraliśmy się nie brać tego do siebie.

– Hal musiał się użerać z FBI. Teraz, jak już nie żyjesz, bardzo się tobą nagle zainteresowali. Ze szczególnym naciskiem na to, co właściwie robiłeś, zanim się pojawiłeś w Arizonie jako Atticus O'Sullivan, ponieważ wcześniej nie notują cię żadne banki ani nikt.

– Och, gdyby tylko wiedzieli, jaki jest rozmiar tej góry lodowej.

Ta uwaga wywołała u niej przelotny uśmiezek.

– Hal oczywiście nic nie wie o twojej przeszłości z czasów, zanim zostałeś naszym klientem, a nawet gdyby wiedział, toby nie powiedział. Detektyw Geffert za to opowiada wszystkim wszystko, co wie.

– Co za miły człowiek.

– Tak. Jego teoria, a przedstawia ją każdemu, kto się napatoczy, jest taka, że byłeś odpowiedzialny za Masakrę w Satyrn, zajście w Tubie było zemstą za tamte zabójstwa, a nie można się doszukać żadnych danych na temat twojej przeszłości, ponieważ byłeś tajnym agentem jakiegoś wrogiego państwa.

Odrzuciłem na chwilę amerykański akcent i przemówiłem jak chłopak z Tipperary:

– Śpiący agent z Irlandii? Zadający cios Ameryce poprzez wymordowanie dwudziestu paru bogaczy? W jakim celu?

– Hmm. Co do motywu trochę się wikła w swojej hipotezie.

– W życiu nie słyszałem większej bzdury. – Wróciłem do mojego standardowego amerykańskiego akcentu. – A ma jakieś dowody?

– Bardzo żałuję, że umarłeś, zanim zdołał przeprowadzić dochodzenie i cię aresztować.

– Ha! Piękne! I co jeszcze?

– Mam coś dla ciebie. – Wyciągnęła z torby lawendową kopertę z woskową pieczęcią i moim imieniem wypisanym ciemnofioletowym atramentem. Takiej kaligrafii nie widziałem od dziewiętnastego wieku. – Od Maliny Sokolowski.

– Ach. A ona gdzie bywa ostatnio? – Przyjrzałem się kopercie w magicznym wymiarze, bo jednak więdźmy to więdźmy. Tak jak podejrzewałem, poza zwykłym woskiem nałożona na nią była także pieczęć magiczna. Malina dowie się natychmiast, gdy zostanie złamana.

– Nie wiem nic poza tym, że jej sabat wyjechał z miasta. Pewnie więcej możesz się dowiedzieć z listu. – Greta wskazała ruchem głowy kopertę. – Z firmą zawarły taki sam układ jak ty. Dadzą nam znać, kiedy znajdą nową siedzibę, ale nawet wtedy nikomu nie mamy mówić. Hal kazał ci podziękować za to, że polecieś im naszą kancelarię.

– Nie ma za co. Mogę zadać ci jedno pytanie na temat Watahy?

Zacisnęła szczęki, ale pokiwała głową.

– Czy kiedykolwiek natknęliście się na skórokształtnych?

Takiego pytania się nie spodziewała. Zdezorientowana pokręciła głową.

– Nic to. Tak tylko pytam.

Greta nie drażyła tematu. Wróciła wzrokiem do papierzysk, dając mi znak, że mam się streszczać. Nie był to taki głupi pomysł, skoro powinniśmy się stawić w hoganie przed zachodem słońca.

– Chciałbym, żeby Hal przelał na oba nasze konta po czterdzieści tysięcy – powiedziałem, kończąc wypełnianie dokumentów. Przesunąłem je do Granuaile, żeby je podpisała. – Niech weźmie mniejsze sumy z kilku kont, żeby nie przyczepił się żaden urząd podatkowy. Potrzebuję tych pieniędzy na jutro.

– Zrobione.

- Pozdrów ode mnie Hala, Snorriego i resztę Watahy.
- Pozdrowię.

Bez słowa spakowała papiery do torby. Skinęła nam krótko, co miało wystarczyć za całe pożegnanie, wstała i wyszła na parking. Położyłem palec na ustach, żeby dać Granuaile znać, że jeszcze nie jest bezpiecznie. Gdy czekaliśmy, aż Greta odjedzie, otworzyłem kopertę od Maliny. W środku znajdowała się jedna kartka, zapisana tym samym starannym pismem co adres.

Szanowny Panie,

Wzięliśmy sobie do serca Pańską radę i postanowiliśmy przenieść nasz sabat w nowe miejsce. Jeśli kiedykolwiek będzie Pan pragnął skontaktować się z nami, proszę uczynić to przez pana Hauka.

Podczas ostatnich naszych rytuałów wróżebnych dowiedzieliśmy się, że sytuacja wampolityczna w Tempe stanie się wkrótce wyjątkowa niestabilna i niebezpieczna. Pojawiły się sugestie, że ktoś potężny, być może Pan, może zostać jakoś w nią wciągnięty. Z całego serca radzimy Panu tego w miarę możliwości unikać – dla własnego bezpieczeństwa.

Z wyrazami szacunku,

Malina Sokolowski

Pokazałem list Granuaile.

- Wiesz, co to może oznaczać?

Przebiegła tekst oczami.

- Że nie powinieneś się jutro spotykać z Leifem.

– Otóż to. Ale jednak należy mu się jakiś uprzejmy gest po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. Poza tym jestem ciekaw, w jakim jest stanie. Gdybyś ty go widziała. Znasz tego komika, Gallaghera? Tego, co rozwała arbuzy młotem oburęcznym? Łeb Leifa był zupełnie jak taki arbuz.

Granuaile zmarszczyła brwi.

- Niestety nie mam przyjemności.

<Biedny Atticus. Kolejna bezowocna analogia>.

Oberon! Wstydzilbyś się!

<To nie był dowcip schwarzeneggerowski! Nasz traktat nie obejmuje owoców, więc możesz się wypchać!>

– A nie mógłbyś poprosić Hala, żeby ci wysłał jego zdjęcie z komórki albo coś? – zasugerowała Granuaile. – Po co ryzykować? Poczekaj, aż sytuacja się ustabilizuje.

- I tak jedziemy jutro do Flagstaff.

- Jedziemy? Ja też?

- No. Nadszedł czas na twoją śmierć.

Rozdział 14

Granuaile zbladła.

– Boję się, że matka się trochę zmartwi. Tata też może uroni łzę. Za to ojczym będzie się śmiał, to jest jeśli matka nie będzie patrzeć.

Przypomniałem jej, że to nie jest konieczne. Jeszcze może się wycofać. Znów być barmanką z dyplomem z filozofii i żyć wśród normalnych ludzi.

– Nie. Ta opcja nie wchodzi w grę. To, że wyrażam swój żal z powodu nieuniknionych wypadków, bynajmniej nie znaczy, że nie chcę tego zrobić. Ale nie mówmy o tym w tej chwili. Porozmawiajmy raczej o tym, co się właśnie stało, skoro wreszcie możemy. Nieuprzejmość tej kobiety była wszelkie rekordy. Dlaczego ona była dla ciebie taka niegrzeczna?

– No tak.

Wyszliśmy z fast foodu w ramach aktu miłosierdzia dla naszych oczu. Gdy jechaliśmy z powrotem do hoganu, wyjaśniłem Granuaile zawilosci trudnej sztuki dogadywania się z wilkołakami, gdy samemu jest się zmiennokształtnym, a jednak nie należy się do watahy. Kpiący głos – tak; kpiące spojrzenie – nigdy, a wiele ujdzie ci na sucho.

<Nadal uważam, że wszystkim by to wyszło na zdrowie, gdyby wilkołaki po prostu przyjmowały smakołyki> upierał się Oberon.

Dla wilkołaka smakołyk to coś, co się bierze, a nie dostaje – przypomniałem mu.

Kiedy dojechaliśmy do hoganu, okazało się, że jest w znacznie lepszym stanie. Ściany i dach pokryto już porządną warstwą izolującego błota, a w wymiarze magicznym ściany w zupełności osłonięte były przez zabezpieczenia Błogosławionej Drogi. Skórokształtni mogli dziś w nocy próbować tylko jednej drogi, żeby się nie poparzyć – przez dach. Wiedzieli o tym i wiedzieli, że my wiemy i że będziemy na nich czekać. Istniała też szansa, że wciąż nie doszli do siebie na tyle, żeby próbować takiego draństwa.

Ceremonia już się rozpoczęła, a Frank Chischilly wyglądał na zmęczonego, ale zdeterminowanego. Ben Keonie z załogą byli już w środku. Sophie Betsuie także ich nie opuściła. Co ciekawe, również Kojot zaszczycił nas swoją obecnością, jako pan Benally wspierając osobiście pracę w tę ostatnią noc ceremonii. Miał na sobie szarą bluzę z kapturem, ale nie zrezygnował z czarnego kowbojskiego kapelusza. Uśmiechnął się kpiąco na widok mojego kołnierza ortopedycznego i czarnego podkoszulka. Powitano nas powściągliwymi skinieniami głowy, odpowiedzieliśmy więc grzecznymi uśmiechami i staraliśmy się nikomu nie wchodzić w drogę.

Skórokształtni się pojawili, ale nie zaatakowali hoganu. Podejrzewałem, że nadal jeszcze liżą rany. Słyszeliśmy ich jednak obu w ciemności nocy. Krążyli z pół godziny wokół budynku, warcząc, sycząc i wygrażając nam, a potem zapadła cisza. Nikt chyba nie wierzył, że naprawdę sobie poszli. Po prostu czekali, aż któreś z nas będzie tak durne, że wyjrzy na zewnątrz sprawdzić. Ale nikt się nie kwapił.

Nie wiedziałem, czy ich pojawienie się świadczy o tym, że przekleństwo

Głodu nadal działa mimo tego, co zeżarł sobie Garm, czy też przybyli tu tylko z chęci zemsty i obrony terytorium. Nie ponowili jednak żądań, by im rzucić mnie na żer, co wzięłam za dobrą monetę.

Minusem tak porządnie zrobionej osłony było to, że zupełnie ich już nie widziałem. Musiałbym sobie zrobić jakąś małą dziurkę w osłonie. Korciło mnie, żeby zobaczyć, czy nadal są tak szybcy jak przedtem, czy też odniesione obrażenia choć trochę ich spowolniły. To, że w ogóle tu byli, aż za wiele mówiło o ich zdolnościach leczenia się, które musiały być porównywalne do moich. Ale w jakim właściwie byli stanie?

Niewiele mogliśmy zrobić, ale przy tym całym śpiewaniu i modleniu trudno było spać. Zresztą i tak bałbym się zasnąć przy Kojocie. Jedyne sposoby na spokojny sen przy bogu oszustwa to upewnić się, że on też śpi. Dla zabicia czasu Granuaile zapytała o mój przyjazd na kontynent.

<Właśnie! Nigdy mi jeszcze o tym nie opowiedziałeś!> poparł ją Oberon.
<Szkoda, że nie mamy popcornu>.

– Dobra – zgodziłem się cicho. – Czemu nie.

*

Dawno, dawno temu, kiedy każde ludzkie zgrupowanie śmierdziało łajnem i nic się z tym nie dało zrobić, zamarzyła mi się nowa, pachnąca kraina. Moje marzenie wynikało z bardziej praktycznych przesłanek niż tylko zmysł powonienia – tatuaże czyniły mnie potencjalną ofiarą przemocy w każdym niemal zakątku Europy i już naprawdę wykorzystałem wszystkie możliwe pomysły na kryjówki. Rzymianie wycięli w pień druidów na kontynencie i popalili nam gaje, których używaliśmy do podróżowania międzykrainowego, a na Wyspach święty Patryk i inni misjonarze wyniszczyli nas cierpliwym szerzeniem chrześcijaństwa. Od lat byłem ciągle w drodze, żywiłem się tym, co dawała mi ziemia lub co udało mi się zdobyć w jakimś przygodnym gospodarstwie. Powoli przyzwyczajałem się do nowej rzeczywistości: druidzi nie mieli już żadnego wpływu na ludzi. Żeby przetrwać we wsi, musiałem udawać, że jestem analfabetą i nic nie wiem o ziołach. I śmiać się z głupich dowcipów wieśniaków.

A musiałem trzymać się wiosek. Uznałem, że to najmniejsze zło. Gdybym wypuszczał się gdzieś dalej na łono natury, przeklęte faerie Aenghusa Óga z łatwością by mnie namierzyły. Po upadku Rzymu, gdy zapadła długa noc Wieków Ciemnych, pozwoliłem sobie w obecności Morrigan na głośną myśl, że być może istnieje jakieś przyjemniejsze miejsce na tym świecie – miejsce, w którym nie musiałbym cały czas uciekać przed Aenghusem Ógiem i motłochem polującym na każdego, kogo by się dało spalić na stosie. Morrigan powiedziała, że się nad tym zastanowi, i przy następnym spotkaniu zabrała mnie do Starego Człowieka Morza, Manannana Mac Lira.

Strasznie się zestresowałem. Fragarach był w końcu jego mieczem, sami wiecie, i Manannan miał znacznie większe prawo być na mnie obrażony za to, że go ukradłem, niż Aenghus Óg. Moje niepokoje okazały się zupełnie niepotrzebne.

Gdy Morrigan nas sobie przedstawiła, Manannan tylko machnął na rękojęść wystającą mi zza ramienia i powolnym, donośnym głosem rzekł:

– Ponoć trzymasz go z dala od Aenghusa Óga. Dobra robota, chłopcze.

– Nie jesteś na mnie zły?

– Zły? Na grzmiące oceany, mój chłopcze, czemuż miałbym być zły? Aenghus to marudny kretyn i wie o tym każdy, kto ma choć krztynę rozumu we łbie. Masz moje błogosławieństwo. – I uśmiechnął się serdecznie. Był wyższy ode mnie, niebieskooki, o czarnych włosach, długiej brodzie, twarzy pogodnej i naznaczonej zmarszczkami od śmiechu. Na ramieniu srebrną broszą upięty miał płaszcz w odcieniu morskiego błękitu z wijącymi się, jasnoniebieskimi wzorami. – A teraz napijmy się piwa.

Poprowadził nas ku skromnej chacie z kamienia, stojącej na klifie nad Morzem Irlandzkim. Nie wyglądało to jak mieszkanie boga. Rzucił kilka słów i drzwi załśniły, otwierając bramę do jego domostwa w Tír na nÓg, które było znacznie większe niż wnętrze chatki i bogatsze niż cokolwiek, co widziałem wtedy w życiu. Bogato tkane dywany na drewnianych podłogach, misternie rzeźbione meble, posągi z brązu, szkła i drewna w niszach i na półkach. Usługiwały nam faerie, bo wtedy jeszcze nie miałem amuletu, a moja reputacja Żelaznego Druida była sprawą odległej przyszłości. Faerie nawet mnie wtedy lubiły – w każdym razie te, które nie były akurat potomstwem Aenghusa Óga. Tamte faerie akurat były poddanymi Fand, żony Manannana, nazywanej też często Królową Faerii. Manannan preferował selkie i kelpie – raczej logiczne – ale Fand kochała je wszystkie.

Usiedliśmy przy dużym dębowym stole. Przed nami stało piwo i leżał chleb.

– Morrigan wspomniała, że chciałbyś się gdzieś wynieść na jakiś czas – zagadnął Manannan.

– Tak, bardzo chętnie. Najlepiej jak najdalej od pewnego boga miłości.

Oczy Manannana błysnęły rozbawieniem.

– Tak, to rozumiąłem. Mam dla ciebie propozycję. Zabiorę cię poza zasięg wpływów Aenghusa Óga, a ty wyświadczysz mi pewną przysługę. Będiesz miał co robić przez kilka następnych stuleci.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem.

Manannan pił piwo w zadumie. Wreszcie, zebrawszy myśli, rzekł:

– Te święte gaje, które spalili nam Rzymianie, kosztowały nas masę pracy.

Sploty te założyli dawno temu Tuatha Dé Danann. Większość tych na kontynencie splótł Ogma. Jeśli dobrze pamiętam, Morrigan też dołożyła kilka swoich. – Urwał, a ona skinęła głową na potwierdzenie jego słów. – Ja zająłem się Éire i Anglią. Wciąż istnieje wiele innych sposobów na dotarcie do Tír na nÓg, przejść przez jaskinie i leśne gąszcze, ale głównie służą one faeriom i nigdy przedtem nie uczyliśmy o nich druidów. Zresztą część z nich jest zupełnie dla druidów niezdatna do użytku.

Martwimy się jednak, że druidzi wymierają. Obawiamy się, że nie ma co liczyć na zwycięstwo z chrześcijaństwem. Należysz do ostatnich druidów, Siodhachanie. Jeśli ty i pozostali macie mieć szansę na przetrwanie, musicie mieć do dyspozycji jakąś porządną drogę ucieczki, kiedy przyjdą po was chrześcijanie. Morrigan wpadła na pomysł, że najlepiej będzie w tej sytuacji nauczyć cię tworzenia własnych ścieżek na Tír na nÓg. Zgodziłem się to zrobić. Chcę jednak, byś zbudował te ścieżki w Nowym Świecie.

– Gdzie, przepraszam? – spytałem.

– Daleko, za tym oceanem znajduje się inny kontynent, ogromny, zielony, niezniszczony. Żywołaki są tam mocne, a ludzie czują więź z ziemią. Nie ma tam ani jednego chrześcijanina. Wyznawcy Chrystusa nie wiedzą w ogóle o istnieniu tego świata. My sami odkryliśmy go bardzo niedawno. Zabiorę cię tam i zostawię, a ty zbadasz tę ziemię, splatając ją przy okazji z Tír na nÓg. W ten sposób dasz faeriom dostęp do świata za oceanem, a sobie i innym druidom zapewnisz schronienie. Z pewnością znajdziesz tam uczniów i będziesz mógł ich w spokoju nauczać. W tym samym czasie my zajmiemy się podobną pracą tutaj. A kiedy pewnego dnia wrócisz do Europy, będziesz miał do dyspozycji możliwości, które teraz po prostu nie istnieją.

– Nowy Świat musi być fascynujący – odezwałem się. – Ale mam kilka pytań.
– Mów.

– Jeśli pozakładam sploty łączące go z Tír na nÓg, czy nie będą mogli mnie tam dorwać wysłannicy Aenghusa Óga?

– Tak, i tego problemu nie da się obejść. Chcemy, żeby faerie mogły tam podróżować. Możesz jednak założyć też swoje własne sploty, zastrzegając w ten sposób niektóre przejścia tylko dla siebie – tłumaczył Manannan. – Tak jak my ograniczyliśmy drogi dostępne dla druidów do tych umieszczonych w świętych gajach, ty możesz ograniczyć liczbę przejść dostępnych dla faerii. A poza nimi możesz stworzyć znacznie więcej splotów, którymi będą mogli przechodzić tylko druidzi.

– Ile takich splotów miałbym założyć?

– Dla faerii? Powiedzmy jedno przejście co sto mil. A dla druidów oczywiście tyle, ile uznasz za stosowne.

Uznałem, że to wspaniała okazja, i przystałem na propozycję Manannana. Ustaliliśmy, że faerie będą mogły podróżować tylko w miejscach, w których występują dęby, jesiony i głóg. Tam, gdzie rośliny te nie występowały, miałem je zasadzić, o ile pozwalał na to klimat. A jeśli nie pozwalał, to faerie miały się trzymać od tego miejsca z daleka.

Morrigan udała się w swoją stronę, a ja zacząłem się szykować do podróży, czyli zapakowałem Fragaracha w nieprzemakalną osłonę i dorzuciłem jeszcze nóż, zestaw ubrań oraz zapas żołądki, orzeszków jesionu i owoców głogu.

Gdy już byłem gotowy, znów przeszliśmy przez Manannanowe drzwi i znaleźliśmy się przed chatą nad morzem. Tu przemieniliśmy się w ptaki – ja w sowę, a on w burzyka wielkiego. Bóg morza sfrunął z klifu i tuż nad falami przemienił się w swoją wodną postać – orkę. Gdy znów wypłynął na powierzchnię, zleciałem z klifu z wodoodporną torbą w pazurach. Położyłem ją na jego płetwie, a potem zmieniłem się w wydrę. Do Nowego Świata popłynąłem na grzbiecie Manannana.

Manannan stanowi wśród druidów i Tuatha Dé Danann wyjątek, ponieważ umie pobierać moc nie tylko z ziemi, ale i z wody. Podarowała mu tę zdolność sama Gaja i jego tatuaże odzwierciedlają ten fenomen. Płynie, zupełnie się nie męcząc. Najpierw popłynęliśmy na Islandię, gdzie przez kilka dni eksperymentowaliśmy ze splotami. W tamtych czasach Islandia nie była jeszcze związana z Tír na nÓg, a jej żywołaki były liczne i niewielkie, stanowiła więc wymarzone miejsce do nauki. Gdy już nabrałem wprawy i udało nam się przejść po moim splocie z Islandii do Tír na nÓg i z powrotem, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Na brzeg wyszliśmy w Nowej Fundlandii i tu założyliśmy pierwszy spłot łączący Nowy Świat z Tír na nÓg. Następnie Manannan Mac Lir pożegnał się ze mną i przeniósł do Tír na nÓg. Przedtem jednak zasugerował mi, żebym zaczął od brzegu, a potem dopiero przeniósł się w głąb lądu. Tak też zrobiłem. Mając Ocean Atlantycki po lewej ręce, ruszyłem na południe i połączyłem wschodnie wybrzeże kontynentu z Tír na nÓg. Poznałem wiele wspaniałych plemion i kilka niesamowitych żywiołaków. Potęga Gai znów objawiła mi się w pełnej krasie. Ujrzałem to, co potem opisał F. Scott Fitzgerald – „świeży zielony przyczółek nowego świata”.

Nie minął jednak tydzień, a ja już czułem się samotny. Spotkałem zwierzę, które było dla mnie zupełnie nowe. Później dowiedziałem się, że ludzie nadali mu nazwę rosomaka. Splotłem jego świadomość ze swoją, tak jak robię to z Oberonem, i nazwałem go Faolan na cześć najwierniejszego spośród Fianna. Był to optymistyczny wybór imienia. Jak się okazało, rosomak Faolan nie był z natury skłonny do lojalności. Za to świetnie ostrzegał mnie przed wszelkimi faeriami i nie bał się sam ich likwidować. Wtedy też zaprzyjaźniłem się z żywiołakiem żelaza Ferrisem, który podąża za mną po całej Ameryce Północnej i Środkowej, gdy tylko jestem na kontynencie. Ale jedna z najciekawszych przygód podczas tej pierwszej podróży po Ameryce przytrafiła mi się kilka lat po przybyciu na kontynent. Znajdowałem się wtedy na terenie współczesnej Florydy.

W tamtym czasie na południe od jeziora Okeechobee rozciągały się wielkie bagna, które teraz nazywamy Everglades. Tamtejszy żywiołak był bardzo potężny. Gdy tylko dotarłem na miejsce, ostrzegł mnie przed zagrożeniami, których można by się tu spodziewać – takimi jak aligatory i trujące węże – ale potem wspomniał także o jakichś istotach dwunożnych, bardzo dzikich, choć występujących w niewielkiej liczbie. Po jakimś czasie natknąłem się na plemię tubylców i na chwilę z nimi zostałem, próbując nauczyć się kilku słów, by móc się z nimi porozumiewać. Opowiedzieli mi o roślach, włóchatych ludziach, którzy od roku już zamęczali ich nocnymi napadami na wioskę, zwykle kradnąc przy tym trochę jedzenia, ale raz porwali też kobietę. Kobiety tej nigdy już nie odnaleziono.

Trzy noce później obudziły mnie okropne wrzaski. Wypowiedziałem pośpiesznie spłot dający mi noktowizję, gdyż nie miałem jeszcze charmsów, a potem podążyłem za hałasem. Ujrzałem dwa olbrzymy z kobietami przewieszonymi przez ramiona. Mężczyźni z plemienia chcieli ratować niewiasty, ale nic nie widzieli po ciemku, a bali się rzucać włóczniami na oślep, żeby ich nie zranić. Tylko ja mogłem im pomóc, chwyciłem więc Fragaracha i popędziłem za nimi, a za mną biegł Faolan.

Wyglądało na to, że olbrzymy też mają całkiem przyzwoitą noktowizję, ale nie aż tak dobrą jak mój magicznie podkrecony wzrok. Jeden z nich potknął się o gałąź i z hukiem upuścił porwaną kobietę. Jej krzyki ustały, gdy uderzyła o ziemię. Jego towarzysz nawet się nie obrócił, tylko uciekał dalej z drugą kobietą.

Gdy olbrzym się podnosił i próbował dosięgnąć swojego ukradzionego dobra, dogoniłem go i wymierzyłem mu sprawiedliwość – wbiłem Fragaracha w jego szyję. Głowa opadła mu z chlupotem na pierś porwanej kobiety, a ciało osunęło się bez sił. Pobiegłem dalej, bo bałem się, że jeśli się zatrzymam, by sprawdzić, co z tą kobietą, stracę z oczu drugą.

Faolanie, dałbyś radę zaprowadzić ją z powrotem do obozu? – poprosiłem.

<Niby w jaki sposób?> spytał.

Wydawaj miłe dźwięki, które ją zwabia.

<Takie jak ona?>

Nie! To są krzyki.

<Robi strasznie dużo hałasu> narzekał. <Nawet mnie nie usłyszysz>.

Wymyśl coś, żeby się nie zgubiła i żeby nic jej nie zjadło.

<Nie jest moim małym>.

Ale udawaj, że jest, proszę. Zaraz wracam.

<Niech ci będzie, ale chcę dostać za to łosia>.

W tej części świata nie ma łosi!

<Wiem. O to właśnie chodzi. Chcę wrócić do śniegu. Tutaj robale są tak wielkie jak zające>.

Drugi olbrzym miał naprawdę długi krok i był niesamowicie wytrzymały. Choć robiłem wszystko, co w mojej mocy, nie byłem ani trochę bliżej. Ale w przeciwieństwie do niego ja się nie męczyłem.

Przebiegłszy około mili, obejrzał się, żeby sprawdzić, co się dzieje za nim. Zamiast swojego towarzysza zobaczył mnie – mizernego człowieczka. Zatrzymał się i cisnął swoją wrzeszczącą zdobyczą o ziemię. Uciekła od razu, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Ryknął na mnie i rozstawił nogi, szykując się do walki. Trochę mnie tym rozczarował. Miałem cichą nadzieję, że doprowadzi mnie do swojej kryjówki, której byłem bardzo ciekaw.

Stałem ze dwadzieścia jardów od niego i przyjrzałem mu się uważniej. Nigdy jeszcze niczego podobnego nie widziałem, z wyjątkiem może Firbolgów w Irlandii. Firbolgowie byli nieco od niego wyżsi, ale ten z kolei dystansował ich pod względem brzydoty. Miał szerokie czoło, wielkie usta, a jego ciało z wyjątkiem dłoni pokrywało grube, ciemne futro. Smukłe, umięśnione ciało miało mniej więcej ludzkie proporcje, tak zresztą jak i sprzęt rozrodczy.

Instynkt przetrwania swoją drogą, ale jednak opadła mnie wielka chęć pogadania z tym typem. Był potężną, łązącą beczką testosteronu – istotą tak przedziwną, że chciałem jak najwięcej się o nim dowiedzieć, skoro tubylcom nie groziło już żadne niebezpieczeństwo z jego strony. Niestety nie podzielał moich przekonań na temat komunikacji. Rzucił się na mnie nagi, uzbrojony jedynie w swoją agresję i wielkie ręce, przy czym zupełnie zignorował lśniący przedmiot w mojej dłoni.

Potraktowałem go mniej więcej tak jak Luke Skywalker Wampę – odciąłem mu prawą rękę przy samym ramieniu i odsunąłem się. Niestety Fragarach nie ma właściwości kauteryzujących. Drań wykrwawił się zaledwie w kilka chwil.

Gdy obejrzałem potem jego ciało, potwierdziły się moje przypuszczenia. Nie był to tylko wysoki, włochaty człowiek, to była zupełnie inna istota. Wtedy jeszcze nie znałem Afryki ani żadnych tropików, nie miałem więc porównania do antropoidów. Ale nie przypominał ich za bardzo. Był dwunożny, a kłykcie nie służyły mu do podpierania się podczas chodzenia.

Nie udało mi się odnaleźć jego kryjówki. Żywiołak powiedział, że nie wie o żadnych innych przedstawicielach tego gatunku, obawiam się więc, że nienaumyślnie zabiłem dwa ostatnie osobniki – dwa samce, które rozpaczliwie usiłowały znaleźć

sposób na przedłużenie gatunku. Mimo nieuchronności ich losu po dziś dzień wyrzucam sobie, że być może jestem bezpośrednio odpowiedzialny za wymarcie tych istot.

Obie kobiety bezpiecznie dotarły do obozu, a tubylcy wyprawili ucztę na moją cześć, ale obawiam się, że tak naprawdę tamtej nocy zabiłem Wielką Stopę.

*

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Granuaile.

– Naprawdę. Cała ta współczesna fascynacja Wielką Stopą wynika moim zdaniem z wydarzeń tej jednej nocy przed wiekami.

– Nie. To się nie trzyma kupy – upierała się Granuaile, kręcąc głową. – Wszystkie opowieści o Wielkiej Stopie alias Sasquatchu pochodzą z Wybrzeża Północno-Zachodniego. Literatura przedmiotu w ogóle nie wspomina o Florydzie.

– Chcesz powiedzieć, że jest coś takiego jak literatura na temat Wielkiej Stopy?

– No dobra. W nielicznych wzmiankach na ten temat. W każdym razie nikt nigdy nie widział Wielkiej Stopy na Florydzie.

– Niech ci będzie. To akurat prawda. A teraz zastanów się: jak ci się wydaje, kto w ogóle zaczął całe to zamieszanie wokół Wielkiej Stopy vel Sasquatcha, he?

<O nie! Nie mówisz poważnie>.

Mina Granuaile zdradzała poważne wątpliwości.

– Atticusie, wszyscy wiedzą, że sprawa Wielkiej Stopy nabrała rozgłosu w wyniku filmu Pattersona, który przez wielu jednak uważany jest za głupi żart.

– Bo też był to żart. Przecież to ja latałem w tym przebraniu małpy. Łatwizna: wystarczyło sobie załatwić włochate piersi i tak dalej, a gdy tylko zniknąłem im z oczu, przemieniłem się i mała nie umarłem ze śmiechu.

Granuaile patrzyła na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie. Przykro mi bardzo, ale nie kupuję tego.

– A kto inny dałby radę paradować najpierw w takim przebraniu, a potem nagle zniknąć bez śladu?

– To proste – odparła Granuaile. – Keyser Söze. – Dmuchnęła na opuszki palców. – Puf! I już go nie ma.

<Jeśli Sasquatchem naprawdę jest Keyser Söze, to nic dziwnego, że go nigdy nie namierzyli!>

– Nie – zaperzyłem się i puknąłem się w pierś. – To ja to zrobiłem. Ja!

– Jasne. Atticusie, po co niby miałbyś to robić?

– Z nudów. Czasami mam ochotę sprawdzić, jak łatwowierni są ludzie. No sama powiedz: wielka małpopodobna istota w północno-zachodniej części Ameryki? Przecież wszystkie małpy na świecie żyją w strefach międzyzwrotnikowych! Kto by uwierzył w coś takiego?

– Znaczący odsetek Amerykanów.

– No tak. Ale prawda jest taka, że wieki temu istniały dwie takie istoty, dwa samce, ale na południe od jeziora Okeechobee, które znajduje się w strefie podzwrotnikowej.

Granuaile prychnęła tylko.

– Mam ci w to niby uwierzyć po tym, jak mi powiedziałeś, że zmyśliłeś całą tę historię o Wielkiej Stopie?!

<Największym trikiem Sasquatcha było przekonanie świata o swoim nieistnieniu>.

– Wszystko mi jedno. Nie mam zamiaru burzyć twojej fortecy sceptycyzmu. Zresztą odkrycie Sasquatcha było tylko dygresją w tej opowieści. Wracając do rzeczy: niemal zupełnie samodzielnie połączyłem Nowy Świat z Tír na nÓg, choć zajęło mi to wiele lat. Wiele samotnych, otepiałających umysł lat, w których jedynym towarzyszem był mi gburowaty Faolan. Ale moja misja miała jeszcze jedną zaletę, o której nie powinienem zapominać w tej opowieści. Dziewicze piękno tej ziemi zupełnie mnie zadziwiło – normalnie jak tego typka z Internetu, który zwariował na widok podwójnej tęczy na niebie. Pamiętasz go? Wciąż pytał, co to znaczy. A odpowiedź na to pytanie nie jest wcale taka trudna. To znaczy, że jesteśmy darzeni miłością tak jak wszystkie istoty, którym daje życie Gaja. Jest prawdziwa poezja w szumiących lasach i w łagodnych stokach wzgórz. Jest pieśń w wietrze, błogosławieństwo – w pocałunkach słońca. Są całe opowieści w szemraniu wody w strumieniach i epepeje w przypływach oceanu. Są takie drzewa, które dosłownie jakby całe lata rosły tylko po to, by poczuć na korze mój dotyk, takim mnie witają serdecznym szumem. Kiedyś i ty poczujesz tę serdeczność pod skórą dłoni. Poczujesz ją pod stopami, gdy będziesz chodzić po ziemi. Już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę w twoich oczach całą tę miłość.

– Już ją czuję, sensei. Sonora pokazała mi to wszystko, kiedy byłeś w Asgardzie.

Oczy zaszły jej łzami, a kpina z mojego Sasquatcha zniknęła bez śladu. Wiedziała dobrze, o czym mówię. Zmieniła się. Rozumiała już. I stała się przez to po prostu nieznośnie piękna.

– Tak, widzę – powiedziałem. Westchnąłem i usiłowałem pchnąć myśli na właściwe tory. – Gdy już zakończyłem łączenie zachodniej półkuli z Tír na nÓg, a proces ten zajął mi całe wieki, zawsze wyglądałem nowych okazji do związania dodatkowych miejsc z irlandzkimi krainami. Wiele z tych splotów zniszczyły budowy, ale kilka przetrwało do dzisiaj.

– Są jakieś w okolicy?

– Kilka znajduje się pod Flagstaff. Ostało się jeszcze coś trochę na zachód stąd, na wyżynie Kaibab. Poza tym jednak nie ma tu zbyt wiele lasów.

Przyjęła to do wiadomości bez zbędnych komentarzy, za to Oberon wtrącił się od razu ze swoim pytaniem.

<Atticusie? A co się stało z twoim przyjacielem rosomakiem?>

To zupełnie inna historia, Oberonie. I niewesoła. Był przy mnie jednak prawie sto lat. Tęsknię za nim tak jak za wszystkimi.

<A my ile lat już jesteśmy razem? Tak ze czterdzieści siedem na oko, nie?>

Pogłaskałem go i pocałowałem w łeb.

Nie. My jesteśmy przyjaciółmi zaledwie od dwunastu lat.

<Tylko tyle? To normalnie teraz będę o niego zazdrosny. A jak smakuje łoś?>

Trochę jak karibu.

<Aha. Yyy... A jak smakuje karibu?>

Jak jeleń, tylko trochę inaczej.

<Możemy zapolować na łosia albo karibu, jak już się to wszystko skończy?>

Jasne, czemu nie. Tylko będzie trochę zimno, bo one żyją na dalekiej północy.

<Dawaj! Nie boję się nic a nic>.

To, że skórokształtni już nie podchodzili do nas bliżej i nie prosili o tatara z druida na kolację, przekonało mnie, że klątwa Głodu została przełamana. Hel była zatem przekonana, że nie żyję. Z tego, co mówił Frank, wynikało, że skórokształtnym chodzi przede wszystkim o obronę terytorium. Wiedziałem więc, że w końcu będzie trzeba się jakoś z nimi zmierzyć, ale kiedy właśnie zastanawiałem się, jak miałbym im dorównać prędkością, moja lewa dolna powieka zaczęła drżeć. Ta sprawa naprawdę mogła poczekać jeszcze jedną noc, a może nawet dwie. Pozwolę jej poddusić się dobrze w mojej nieświadomości, gdy będę załatwiał sprawy we Flagstaff.

Gdy nadszedł czas powitać słońce, a skórokształtni skryli się w swoich paskudnych legowiskach – które z pewnością pełne były kości i skór – wziąłem Kojota na stronę.

– Muszę dziś skoczyć do Flagstaff, pozałatwiać to i owo. Poradzisz sobie beze mnie, nie?

Kojot obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, jakby myślał, że zamierzam uciec.

– Może i sobie poradzę, ale myślałem, że już wczoraj załatwiłeś pan w Kayencie, co miałeś załatwić.

– Mam jeszcze kilka spraw. Powinienem się do jutra z tym wyrobić.

Kojot zacisnął usta.

– Może powinienem panu w tym pomóc.

– Jak masz ochotę, możesz jechać z nami, ale wydaje mi się, że tu cię bardziej potrzebują.

– A co pan takiego musisz tak koniecznie załatwić, jeśli można wiedzieć?

– Moja uczennica musi zniknąć. I być może uda nam się jakoś rozwiązać problem wampirów.

Rozdział 15

Kluczowa sprawa przy upozorowywaniu śmierci to gruntowna wiedza na temat lotu tryskającej krwi tętniczej. Nie wystarczy już w dzisiejszych czasach maznąć trochę krwią tu i tam. Współcześnie spece od medycyny sądowej znają się na rzeczy troszkę lepiej niż kiedyś. Jeśli dojdą, że zabójstwo to ściema, powiedzą rodzinie i rzeczona rodzina nigdy nie dostanie zwłok. Bez zwłok koroner nie wystawi aktu zgonu, choć policja może łaskawie zamknąć sprawę, jeśli się ich uda przekonać, że istnieje spore prawdopodobieństwo śmierci.

Odkryłem, że medyczne torby z krwią świetnie się sprawdzają do obryzgiwania, jeśli się je dobrze przekłuje i ściśnie od dołu. Wystarczy odrobina wprawy, a można pisać historie o rzezi i ody do posoki.

Pędzelek wachlarzowy – taki, jakiego używał ten śmieszny typek, żeby malować śliczne drzewka – może stworzyć drastyczne bryzgi, jeśli się go tylko odpowiednio przyciśnie do powierzchni. Nigdy nie używaj natomiast szczoteczki do zębów. Jej wzór jest zbyt rozpoznawalny. Możesz nawet mówić do siebie, jak wspomniany malarz. Dajmy na to, strzelasz tą krwią i mówisz: „Może jeszcze ładna rana kłuta tutaj. I nie wiem, może też kilka tu, na plecach. Tak, wiele kłutych ran. To nie ma znaczenia... jak tam wam w duszy gra”.

Jeśli chodzi o samą krew, moja polityka była długo taka, że należy użyć cudzej. Mogłeś sobie nawet zostawić na miejscu zbrodni czyjeś włosy, jeśli oczywiście były tego samego koloru. Była to naprawdę najlepsza praktyka, ponieważ w ten sposób nie mieli cię potem jak dorwać użytkownicy magii. Tylko że to rozwiązanie nie wchodzi już w grę. Policja rutynowo wysyła krew i inne próbki biologiczne do laboratorium, żeby sprawdzić DNA, bo część z tego może przecież należeć do podejrzanego. W dzisiejszych czasach znacznie trudniej jest oszukać gliny, ale ja tam lubię takie wyzwania.

Za to mojej uczennicy w ogóle jakoś nie wciągnęła sprawa planowania sceny zbrodni. Zwyczajnie zmieniła temat.

– Intryguje mnie, jakim cudem obchodzisz kwestie formalne – powiedziała.

Wiozła nas właśnie do Flagstaff. Oberon drzemał na tylnym siedzeniu.

– Jakie sprawy formalne?

– Chodzi mi o udokumentowanie życia przed momentem przyjęcia nowej tożsamości. No wiesz, nie można przecież tak się pojawić nie wiadomo skąd. Potrzebujesz przecież całej masy dokumentów. Choćby taka historia kredytowa. Jak to załatwiasz?

– Od jakiegoś czasu zrzucam to po prostu na prawników. W zmienianiu tożsamości specjalizują się wilkołaki, które przecież od czasu do czasu muszą zrobić przeprowadzkę całej swojej watahy na nowe terytorium, więc siłą rzeczy mają wprawę w efektywnym odwalaniu tej roboty. Kancelaria Hala należy do najlepszych w tej branży, ale na dobrą sprawę możesz spokojnie podejść do pierwszego napotkanego wilkołaka, a na pewno pomoże ci skombinować nowe dokumenty.

– Aha. Dobrze wiedzieć. Ale skąd oni je biorą?

– Zrobmy więc sobie typową listę. Potrzebny ci będzie najpierw akt urodzenia. Potem jakieś informacje o szkołach i szczepionkach. Prawo jazdy. Paszport, wiza i zielona karta.

– Co? Zielona karta? Dlaczego?

– Bo bez względu na to, jakich używamy w danej chwili nazwisk, zawsze jesteśmy z Panamy.

– Tak? A dlaczego?

– Bo tam siedzą na stołkach najbardziej skorumpowani urzędnicy. A w każdym razie ci, z którymi współpracuje wataha Hala. Tak więc Reilly i Caitlin Collins urodzili się w Panamie, w rodzinie irlandzkich emigrantów, którzy zginęli śmiercią tragiczną, gdy byliśmy jeszcze mali. Wychowaliśmy się jako sieroty. Mamy akty urodzenia, świadectwa szkolne i wszystko. Tak na marginesie ja miałem lepsze stopnie od ciebie.

Zignorowała mój żart i spytała:

– Czy to samo zrobiłeś, kiedy zaczynałeś jako Atticus?

– Tak. Najważniejsze to mieć prawo jazdy, numer ubezpieczenia i konto. Choć jeśli pojawiaasz się w banku z dużą ilością gotówki, to w zasadzie wszystko im jedno, skąd jesteś.

– A skąd bierzesz numer ubezpieczenia społecznego?

– Też od skorumpowanych urzędników. Takich co bardziej zdeterminowanych, bo obejście wewnętrznych zabezpieczeń staje się coraz trudniejsze. Ale wszystko da się zrobić, jak się ma pieniądze.

– Czy te dokumenty są na tyle porządne, że wytrzymają śledztwo? Bo idę o zakład, że teraz naprawdę porządnie sprawdzają Atticusa O'Sullivana.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie muszą wytrzymać. Kiedy czujesz, że ktoś się za bardzo tobą zainteresował, znikasz. Fałszywa tożsamość ma tylko zmylić ludzi na pierwszy rzut oka. Jeśli wydaje się autentyczna, nikt cię tak zaraz nie będzie porządnie sprawdzał.

– Kim byłeś, zanim stałeś się Atticusem?

– Sobą. Tylko pod innym nazwiskiem.

– Może powinnam się zwracać do ciebie jakoś inaczej? Używać prawdziwego imienia?

– Nie. Atticus brzmi dobrze. Lubię to imię.

– To dobrze, bo ja też. Jak brzmiało najgorsze imię, jakie nosiłeś?

– Nigel. Wyjątkowo niewygodne. Nigdy się do niego nie przyzwyczaiłem.

Granuaile roześmiała się.

– Nigel? Kiedy to było?

– Miałem tak na imię tylko przez trzy miesiące w Toronto w 1953, ale każdy dzień był nowym ciągiem upokorzeń. Nie chciałybyś być Nigelem w Toronto.

Gdy dotarliśmy do Flagstaff, podjechaliśmy do sklepu medycznego, żeby Granuaile zapłaciła gotówką za kilka strzykawek, torebki na krew, rękawiczki chirurgiczne oraz mnóstwo innych rzeczy, których nigdy nie użyjemy. Tak długi rachunek zbije z tropu policję, jeśli kiedykolwiek dotrą aż tak daleko.

Zakamuflowałem się i wszedłem do sklepu pierwszy, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś kamery, która by nagrała naszą transakcję. Oczywiście była, więc

poluzowałem odrobinę sploty krzemionki w szklanych soczewkach, a potem posplatałem je w innej konfiguracji. Światło nie przechodziło już przez soczewkę kamery, która od teraz nagrywała tylko szum. Granuaile weszła do sklepu. Większość zakupów wyrzuciliśmy do anonimowego kosza w jakiejś dzielnicy mieszkaniowej, a zatrzymaliśmy sobie tylko to, co było nam potrzebne.

Potem pojechaliśmy na Shultz Pass Road w północnej części miasta i zaparkowaliśmy, gdy tylko zobaczyliśmy na dole po prawej Shultz Tank – zbiornik retencyjny pełen stojącej wody. Wokół nie ma żadnych domów ani biur. Po obu stronach drogi rosną tu lasy sosnowe, a jeżdżą tędy tylko rowery górskie i turyści chcący dotrzeć do jakiegoś szlaku, ale tych z kolei nie należało się spodziewać w dzień powszedni. Oberon potruchtał w dół drogi, żeby ostrzec nas przed nadjeżdżającymi samochodami, zauważając przy okazji, że jego zdaniem to idealna lokalizacja na miejsce zbrodni dla kilku wiewiórek. Trzymał się pobocza, gdzie na grubym dywanie z igieł sosnowych nie widać było jego śladów, żebym nie musiał niczego potem po nim sprzątać. Wiedział, gdzie nas znajdzie, jak już skończymy.

Pobrałem krew Granuaile. Nie całe pół litra, ale prawie.

– A nie znajdą tu potem twoich odcisków? – spytała, wskazując wewnątrz samochodu.

– Tak, ale to nie szkodzi. I tak już nie żyję, więc nie mogłem cię zabić. Założę, że to jakieś stare ślady. Ale idę o zakład, że detektyw Geffert strasznie się podnieci, jak o tym usłyszy. Twoja śmierć tylko potwierdzi jego podejrzenia, że planowałem coś wyjątkowo podłego. Słabym elementem tej układanki jest Oberon. Znajdą jego ślady i będą zachodzić w głowę, gdzie się podział, jako że nie znajdą go porzuconego przy samochodzie ani wałęsającego się po okolicy. Ale z tym niewiele da się zrobić.

Kiedy zakończyliśmy już pobieranie krwi i przylepiliśmy Granuaile plaster w zagięciu łokcia, zapakowaliśmy do plecaka wszystkie potrzebne rzeczy i dla pewności powtórzyliśmy plan. Założyłem rękawiczki chirurgiczne i ostrożnie włożyłem sobie igłę w usta. Czego się nie robi dla sztuki. Granuaile zostawiła torebkę ze swoimi starymi dokumentami na siedzeniu pasażera. Znalazłem odpowiedni konar sosny i starannie starłem swoje ślady wokół samochodu. Nie zlikwidowałem natomiast niewyraźnych śladów wychodzących z lasu, bo były to tylko lekkie wgniecenia w igłach i trawie.

Oberonie, jak tam? Nikt się nie zbliża?

<Droga wolna, Atticusie>.

Dobra, to zaczynamy.

<Okej>.

Granuaile musiała siedzieć w samochodzie, bo inaczej szkło nie rozprysłoby się odpowiednio wokół jej ciała. Trochę ją to pewnie porani, ale tego nie dało się uniknąć. Zakryła twarz plecakiem, zamknęła drzwi pilotem, włączyła alarm i włożyła kluczyki do stacyjki. Niech sobie potem do woli łamie głowę nad tym, dlaczego siedziała tu w zamkniętym samochodzie. Dla nas nie miało to znaczenia.

Stojąc przy samochodzie i trzymając konar niczym pałkę bejsbolową, zacząłem odliczanie. Granuaile wzięła starą komórkę i zadzwoniła na policję. Zacząłem walić z całych sił w jej okno, co z kołnierzem ortopedycznym okazało się nieco trudniejsze, niż przypuszczałem. Granuaile wrzeszczała do dyżurnego, że ją

atakują... Shultz Pass Road... o Boże!... Nie!... i takie tam. Nie musiała wcale udawać strachu, bo szkło naprawdę leciało jej prosto na głowę. Gdy ona zajęta była darcieciem się w telefon, ostrożnie włożyłem rękę przez wybitą dziurę i ręcznie otworzyłem drzwi. To uruchomiło alarm, co stanowiło sygnał dla Oberona, że ma zejść ze swojego posterunku i pobiec na miejsce spotkania. Poza tym alarm dobrze wszystko zagłuszał na resztę rozmowy z policją.

– Zamknij się! – warknąłem, starając się wypaść na typowego zbója drogowego, po czym rąbnąłem mocno drążkiem w kierownicę. Granuaile wrzasnęła i upuściła komórkę, nie rozłączając się jednak. Bez słowa podała mi plecak, a ja założyłem go sobie kolejno po jednym pasku, przekładając za każdym razem drąg do drugiej ręki. Granuaile miała trochę porozcinane nogawki dżinsów, ale poza tym wyglądała całkiem nieźle. Wziąłem z dachu torbę z krwią i igłą, którą nadal trzymałem w ustach, zrobiłem w niej małą dziurkę. Połałem nią jedną stronę konaru, a Granuaile dodała jeszcze kilka swoich włosów. Zanurzyłem chronione rękawiczką palce we krwi i pochyliliem się w stronę Granuaile, żeby starannie ubrudzić kilkoma kroplami zagłówek po obu stronach jej głowy, palce kierując w stronę, w którą zwróconą miała twarz, bo przy tak frontalnym uderzeniu niewiele kropel przysnęłoby za jej głowę. Zadowolony z efektu rzuciłem konar na ziemię przy tylnej oponie i podałem torbę z krwią Granuaile, dziurką do góry, żeby jeszcze nie ciekła. Teraz czekał nas prawdziwy wyczyn. Musiałem wytargać ją z samochodu, jakby była nieprzytomna, a może nawet martwa, więc istniało duże ryzyko, że przy okazji Granuaile potnie się o potłuczone szkło. Nie powinna nawet jęknąć, bo wciąż miała połączenie z policją i w słuchawce słycać było nawoływanie dyżurnego.

Trzymała torebkę z krwią przy swoim prawym policzku jak przy pchnięciu kulą – tylko taką czerwoną, miękką kulą. Chwyciłem jej lewą rękę swoją lewą i zacząłem ciągnąć. Gdy już była poziomo, prawą ręką podtrzymałem jej zębra. Granuaile przesunęła torbę dziurką do dołu i lekko przycisnęła, żeby zostawiać ślady na wyjściu z samochodu. Nogom pozwoliła luźno zwisać, przez co zacięła się, choć była w spodniach, w lewą łydkę, ale to tylko dodawało nam wiarygodności. Gdy wreszcie znalazła się na ziemi na plecach przed samochodem, zacząłem ją ciągnąć za lewą rękę. Przesunęła torbę na wysokość prawego ramienia i ścisnęła delikatnie, żeby trochę ciekła, bo uznaliśmy, że gdyby ktoś ją ciągnął nieprzytomną i ranną w twarz za lewe ramię, jej głowa opadłaby na prawo i krwawiła po tej stronie. Gdy już znaleźliśmy się z tyłu samochodu, pociągnąłem ją po zboczach w stronę zbiornika retencyjnego. Było to dla niej wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie, ale nie ma lepszego sposobu na upozorowanie ciągnięcia ciała po ziemi jak ciągnąć ciało po ziemi. Chodziło nam o to, żeby trąć o sosnowe igły, zostawiła, gdzie trzeba, wszystkie te nitki, włosy i inne drobiazgi.

A gdy już o igłach mowa, czas było pozbyć się tej, którą wciąż trzymałem w ustach. W połowie zbocza, gdy już byliśmy daleko od telefonu Granuaile, wyciągnąłem igłę z ust i szepnąłem:

– Świetnie ci idzie. Wytrzymasz jeszcze chwilę?

– Obiecuj mi, że kiedyś będę mogła to samo uczynić dla ciebie – odparła przesłodzonym głosem.

– Nie ma sprawy. Ale może z wyjątkiem tego, co nastąpi teraz. Bo to może być

naprawdę nieprzyjemne. Ta woda wygląda na okropnie brudną.

– Świetnie. A nie mógłbyś przynajmniej zaleczyć mi tych ran, zanim mnie tam wrzucisz? Strach pomyśleć, jakie tam żyją bakterie.

– Jasne. Mogę ci zasklepić skórę. Proszę bardzo. Zresztą potem na wszelki wypadek przeleczymy cię antybiotykami. Poczekaj chwilę.

Przyklęknąłem i poprosiłem ziemię, żeby zajęła się igłą. Przyjęła ją i schowała tak głęboko, że policja na pewno jej nie znajdzie, a jeśli nawet, to przecież nie połączy jej z wydarzeniem na drodze, skoro tuż obok samochodu nadal leżał wielki, ociekający krwią konar.

<Hej! Atticusie! Chyba już słyszysz syreny> odezwał się Oberon. <Twoje żałosne ludzkie uszy też je zaraz usłyszą>.

Dzięki za ostrzeżenie – powiedziałem, ciągnąc Granuaile dalej w dół zbocza. – Oberon mówi, że już jedzie policja, więc musimy się pośpieszyć.

Kilka metrów przed zbiornikiem zatrzymałem się i puściłem rękę Granuaile. Opadła bezsilnie w błoto. Podszedłem do jej nóg i popatrzyłem na obrażenia. Małe zacięcia na udach nie martwiły mnie zbyt, ale kawał szkła, który przejechał jej po łydce, pozostawił znacznie głębszą ranę. Zdjąłem rękawiczki, włożyłem je do kieszeni swoich dżinsów i delikatnie ująłem jej nogę. Zwykle nie leczę innych ludzi, bo ryzyko skutków ubocznych jest zbyt duże, ale przekonanie skóry, by szybciej zarosła, jest dość bezpiecznym zabiegiem.

– Wyciśnij trochę więcej krwi, żeby było wiadomo, że przystanęliśmy – powiedziałem. – A potem resztę wylej, kiedy już będziesz twarzą do dołu i potem w wodzie.

– Dobra – szepnęła.

– Tu już skończyłem robotę. Rany masz pozamykane. – Wstałem, chwyciłem ją za stopy i obróciłem tak, żeby leżała równolegle do linii wody. – Gotowa?

– Miejmy to już za sobą – syknęła.

– Pamiętaj, żeby odruchowo nie szukać dna nogami. Trupy raczej nie stają na płyciźnie.

– Postaram się nie zapomnieć. Tylko szybko mnie wyciągnij.

Teraz już oboje słyszeliśmy syreny. Powinniśmy naprawdę stąd zniknąć, zanim namierzy nas policja.

– No to już.

Przyklęknąłem przy jej tułowiu i zacząłem ją toczyć w stronę zbiornika. Za każdym razem, gdy lądowała twarzą w dół, wyciskała więcej krwi. Potem wzięła wdech, a ja wtoczyłem ją do brudnej, stojącej wody. Popychałem ją unoszącą się na powierzchni na coraz większą głębokość, aż stałem w wodzie po biodra. Staralem się przy tym nie zamoczyć plecaka.

Poklepałem ją po ramieniu i krzyknąłem tak głośno, żeby usłyszała mnie, choć woda wlewała jej się do uszu:

– Możesz już wstać!

Podniosła głowę, nabrała powietrza i natychmiast wydała swoją opinię na temat czystości wody.

– Co za obrzydlistwo! – warknęła.

– Przykro mi – mruknąłem.

Naprawdę wyglądała dość żałośnie: z jej włosów zwisały wodorosty i diabli wiedzą co jeszcze. Zdjąłem plecak i trzymałem go teraz przed sobą, a Granuaile wskoczyła mi na plecy i zarzuciła ręce na szyję. W prawej dłoni wciąż miała pustą już torbę po krwi. Wyszedłem z błota, zostawiając widoczne ślady stóp dla policji. Najpierw założą, że ciało Granuaile jest gdzieś w zbiorniku, i dopiero po kilku dniach poszukiwań dojdą, że musiałem ją stamtąd wynieść. Przebiegłem brzegiem zbiornika jak najdalej i zacząłem się wspinać po zboczu. Oberon już na nas czekał w cieniu sosen. Na stosunkowo dobrze kryjącym ślady podłożu z igieł zrzuciłem plecak i poprosiłem Oberona, żeby mi go poniósł trochę w zębach. Dzięki temu mogłem chwycić rękoma nogi Granuaile i biec o wiele szybciej. Gdy pokonaliśmy zaledwie sto metrów w głąb lasu, usłyszeliśmy, że przy jej samochodzie staje policja. Mało brakowało...

Popędziliśmy przez las na wschód i po paru milach znaleźliśmy ładną grupę skał.

– Te się nadadzą – oceniłem. Gdy znalazłem się na szczycie, zdjąłem Granuaile z pleców i poprosiłem Oberona o plecak. W środku były ubrania na zmianę dla nas obojga oraz nowe dokumenty i rozliczne inne dobra, takie jak okulary przeciwsłoneczne i czapki bejsbolówki. Każde z nas schowało się za swoją stroną skały, żeby się przebrać, a mokre ciuchy zapakowaliśmy do plecaka.

– Musimy coś zrobić z moimi włosami – powiedziała Granuaile. Nadal tkwiły w nich jakieś funkowe istoty obce, igły sosnowe oraz długa zielona alga. – Są okropne i nie pokażę się tak nikomu – oświadczyła.

Miała rację, ale uznałem, że lepiej zbyt energicznie nie przytakiwać. Poza tym zresztą prezentowała się świetnie w czystych dżinsach i koszulce oraz nowiutkich trampkach.

– Dobra, zanim pojedziemy do salonu, wynajmiemy pokój w jakimś hotelu, żebyś mogła je umyć. Jeszcze raz cię przepraszam za to wszystko.

Teraz mogła już biec ze mną, a ja użyczałem jej swojej energii, żeby się nie zmęczyła. Zamierzaliśmy kierować się na południe i dotrzeć do miasta od wschodniej strony, tam bowiem znajdował się salon samochodowy. Colorado był tak kochany, że zgodził się zatuszować nasze ślady na kilometr od skał. Nie przeszkadzało mi natomiast, że komuś uda się wyśledzić moje pojedyncze ślady prowadzące do nich.

Zatrzymaliśmy się na pół godziny w tanim hotelu, żeby Granuaile mogła umyć i wysuszyć włosy. Potem podeszliśmy do salonu i powiedzieliśmy sprzedawcy, że płacimy od ręki za SUV-a z napędem hybrydowym, jeśli nam go załatwi w ciągu dwóch godzin. Pokazaliśmy mu mój kołnierz ortopedyczny, by usprawiedliwić pośpiech i to, że nie mamy starego samochodu do oddania.

– Skasował mi samochód w wypadku – wyjaśniła Granuaile, a sprzedawca uśmiechnął się, że bardzo nam współczuje. Powiedziała mu wprost, że ma nie sprawdzać nam przy sprzedaży historii kredytowej, bo ona nie chce przeze mnie tracić punktów kredytowych. Zapłacimy od ręki przelewem. Podaliśmy mu numer konta Granuaile, zadzwonił, a potem związał się jak w ukropie, by zadowolić panią Caitlin Collins. Poczęstował nawet gratisowymi parówkami Oberona, który cierpliwie czekał przed drzwiami salonu.

<Mmm, rurki z mięsa trzeciego gatunku!> ucieszył się Oberon. Żeby go jakoś

zabawić, zrobiłem mu napis: „Mam na imię Tulasinek. Jestem bardzo przyjacielskim psem!”, i postawiłem go tuż przy nim, żeby mógł zbierać dane do swojego eksperymentu.

Sprzedawca pomachał nam serdecznie, gdy odjeżdżaliśmy zaledwie dwie godziny później. Niewątpliwie miał nas za największych frajerów, jacy kiedykolwiek gościli u niego w salonie. Nawet się przecież nie targowaliśmy.

Słońce pożegnało się z nami plamami różowych i purpurowych chmur. Szyja zupełnie mnie już nie bolała, zdjąłem więc kołnierz i rzuciłem go na tylne siedzenie. Oberon popatrzył na niego niepewnie.

<Czy to mój nowy gryzak?>

Jeśli chcesz. Ale obawiam się, że te plastikowe części nie będą zbyt smakowite.

Nadeszła pora kolacji, ale zostało nam jeszcze kilka godzin do spotkania z Leifem w Granny's Closet. Zapytałem Granuaile, czy nie miałaby ochoty na wyzwanie dla swoich kubków smakowych. Posłała mi podejrzliwe spojrzenie.

– Co masz na myśli? Chcesz, żebyśmy zjedli cały słoik salsy habanero czy coś w tym stylu? Bo jeśli tak, to wolę zaoszczędzić sobie trudu i od razu podpalić tyłek zapalką.

– Nie, to coś znacznie ciekawszego i mniej bolesnego. Lubisz próbować nowego, niezwykłego jedzenia? Czegoś, czego nigdy jeszcze nie jadłaś i pewnie nie będziesz już miała nigdy okazji zjeść?

– A. Rzeczy, które jesz tylko po to, żeby potem móc powiedzieć „Jadłem to kiedyś”?

– Otóż to. Jest tu takie miejsce, które ma naprawdę niezwykle menu. Możemy spróbować tam zajść, a potem pojechać do Granny's, żeby zapić to piwem.

– Dobra. – Granuaile wzruszyła ramionami. – Wchodzę w to. Brzmi zabawnie.

<Czekaj! Czy ty ją chcesz zabrać do tej knajpy, gdzie serwują dziwaczne mięsa i sery z najróżniejszych ssaków, które nie są krowami?>

Hehe. Tak! Taki właśnie jest mój plan. Pamiętaj ser z mleka nikaraguańskiej chupacabry?

<Okej, ale stawiam pięć kielbasek, że Granuaile nie wytrwa do piątego dania>.

Zakład przyjęty. Pożegnaj się z tymi pięcioma kielbaskami. Bo wiem na pewno, że owszem, wytrwa. To twarda sztuka.

Rozdział 16

Restauracja, o której tu mowa, nosi malowniczą nazwę Double Dog Dare Gourmet Café. To jedyna knajpa, jaką znam, która wyposaża swoich klientów w torby na wymiociny – i to bynajmniej nie dlatego, że jedzenie jest źle przyrządzone. Wręcz przeciwnie: jest wyśmienite. Chodzi tylko o to, że serwują tu rzeczy, których większość Amerykanów nie jest w stanie przełknąć ze względów kulturowych, a ich reakcje mają podłoże czysto psychiczne.

Funkcjonuje tu bardzo dziwny sposób zamawiania i obsługiwanie klienta. Każdy gość otrzymuje inne menu i nie zamawia z niego dla siebie – zamawia dla osoby towarzyszącej. Wybiera się pięć dań, po cichu się je zakreśla na karcie i przekazuje ją kelnerowi. Wszystkie zostają podane twojemu towarzyszowi w niewielkich porcjach na jednym talerzu, a ty dostajesz to, co on zamówił dla ciebie. Zgodnie z zasadami nie należy zdradzać zawartości talerza, póki nie zostanie ona zjedzona. Stąd te torby na wymiociny. To należy do uroku tego miejsca.

Kelnerzy starannie wypytyują zawczasu o alergie i zdarza się, że musisz coś tam podpisać, zanim zostaniesz obsłużony.

Gdy wyjaśniono Granuaile zasady, uśmiechnęła się szeroko i skupiła na karcie dań, zdecydowana obrzydzić mi kolację. Odpowiedziałem podobnym uśmiechem. Zamawianie tu to niezła zabawa. Przez chwilę wahałem się, czy mieć nad nią litość, ale wiedziałem, że ona nie okaże miłosierdzia, a poza tym chciałem dać Oberonowi szansę na wygranie tych kiełbasek. Mając w pamięci wrażliwość Granuaile na zapachy, wybrałem najbardziej cuchnące potrawy poza jedną smażoną.

Musiałem przyznać, że nie było to do końca sprawiedliwe – chodziłem już po tym świecie od jakiegoś czasu i miałem nieraz okazję próbować przedziwnych dań, toteż wiedziałem, że dam radę zjeść wszystko, co mi podadzą. Granuaile mogła mnie wprawdzie czymś zaskoczyć, ale byłem pewien, że nic nie wywoła u mnie wymiotów.

Postanowiliśmy nie szaleć z napojami i zamówiliśmy sobie zwykłą mrożoną herbatę. Oberon siedział zakamuflowany na zewnątrz, w bezpiecznej odległości od drzwi. Zamówiłem mu dużą porcję wątroby z jaka, o czym zaraz go zawiadomiłem.

<Brzmi świetnie> powiedział. <Słuchaj, Atticusie, nie chcę cię straszyć ani nic, ale odnoszę wrażenie, że ta baba, która właśnie weszła do knajpy, jest wampirem. Śmierdzi śmiercią>.

Siedziałem twarzą do drzwi – stary nawyk paranoika, więc spojrzałem od niechcienia na brunetkę o ostrych rysach, której towarzyszył jakiś pulchny student. Przerzuciłem się na wymiar magiczny i stwierdziłem, że rzeczywiście jest wampirem: otaczała ją martwa, szara aura, a w okolicy serca i w głowie płonęły dwa węgielki wampiryzmu. Student był tylko naiwną ofiarą. Jego aura świadczyła o sporym napaleniu i nadziei na udany wieczór. Będzie to z pewnością niezapomniany wieczór, ale czy udany, to wątpię.

Bynajmniej nie była cała w czerniach, jak zwykli wyobrażać sobie wampiry współcześni. Włożyła dzinsy z dziurami na kolanach i bardzo obcisły T-shirt z

amerykańskim orłem, a na to cienki biały płaszczyk (ten ostatni w roli modnego akcentu, a nie rzeczywistej ochrony przed chłodem). Do tego – słowo daję – ubrała prawdziwe vansy! Naprawdę bardzo się starała wtopić w tłum.

Nie mogłem na nią wskazać Granuaile ani nawet szepnąć: „Uwaga! Pijawka!”, bo wampirzyca by mnie natychmiast usłyszała. Sam musiałem więc wtopić się w tłum.

Brawo za spostrzegawczość, Oberonie. Już masz tylko jednaście ujemnych kielbasek.

– Atticusie? – Granuaile zmarszczyła brwi. – Co się stało?

Uśmiechnąłem się do niej.

– Właśnie sobie o czymś przypominałem – mruknąłem. – Masz może w torebce jakiś długopis albo co? Muszę to szybko zapisać, bo zaraz znowu zapomnę.

Była to słaba wymówka dla każdego, kto cokolwiek wiedział o druidach. Druidzi nigdy nie zapominają. Ale liczyłem na to, że ta wampirzyca nie wie, kim jestem.

– O – wybąkała Granuaile. – Czekaj.

Poszperała w torbie i znalazła jakiś rachunek, żebym miał na czym pisać. Odwróciłem go i nabazgrałem: „Nic nie mów na głos, bo ona usłyszy. To wampirzyca. Nic się nie martw. Muszę to przemyśleć. Pogadamy, jak już stąd wyjdziemy”.

– Dzięki – powiedziałem i podsunąłem jej notatkę. Przeczytała, skinęła głową i schowała ją do portmonetki.

Wampirzyca i jej chłopak/przekąska usiedli dwa stoliki od nas na lewo. W ogóle nie powinno jej tu być, gdyby Leif zachowywał się tak jak zawsze. Miał dotąd w zwyczaju natychmiast eliminować wszelkie wampiry znajdujące się na jego terytorium. Czy była jakimś jego sojusznikiem w tej nowej wampolitycznej sytuacji czy też może wrogiem? Mogłem z miejsca ją rozpleść i biedny student musiałby ujrzeć, jak jego laska rozplywa mu się przed oczami, ale uznałem, że lepiej będzie poczekać, na wypadek gdyby jednak była po stronie Leifa. Choć w głębi duszy wątpiłem w to, by Leif wszedł we współpracę z kimkolwiek. Znacznie bardziej prawdopodobne, że była jednym z wielu wampirów usiłujących przejąć jego terytorium. I obawiałem się, że nie znalazła się tu przypadkiem.

Pojawiło się nasze jedzenie i uśmiechnąłem się złośliwie do Granuaile, gdy z namaszczeniem postawiono przed nią talerz. Odwzajemniła uśmiech, gdy pojawiły się moje potrawy.

– Dobra, po jednej rzeczy naraz, tak? – powiedziała.

– Tak.

– Starsi mają pierwszeństwo. Zacznij od tego smażonego tam. – Wskazała mi jakieś podejrzone kawałki przypominające kalafiora, zmieszane z warzywami i smażonym brązowym ryżem.

– Okej – zgodziłem się i nabrałem sobie spory kęs widelcem. Granuaile patrzyła, jak wkładam to do ust i żuję, a na jej twarzy malowała się fascynacja podszyta przerażeniem.

Kalafiorowe kawałki bynajmniej nie były kalafiolem. Były gąbczaste, trochę galaretowate. Miały przyjemny, ostry smak, choć nie jakiś specjalnie wyjątkowy.

Tylko wygląd był intrygujący.

Granuaile odczekała, aż połknę, i dopiero wtedy oświadczyła:

– Gratulacje. To była bheja, czyli kozi mózg.

– Mózg? Kazałaś mi zjeść mózg jak jakiemuś zombi? Fuu!

– Móóóóóózg! – jęknęła, przewracając gałkami.

– Idę o zakład, że każde zombi zasmakowałoby w mózгах z takimi przyprawami. Dobra, to teraz twoje smażone. Umocz w sosiku koktajlowym i zajadaj.

Granuaile popatrzyła nieufnie na swój smakołyk, jakby miał ją zaraz zaatakować. Wyglądało to jak duży kawałek panierowanego kurczaka, choć oczywiście nim nie było.

– Co znajduje się pod tą panierką? – spytała.

– Dowiesz się, jak zjesz. Takie są reguły gry.

Zrobiła, co jej kazano. Odgryzła mały kawałek i uniosła pytająco brew.

– Zjedz wszystko – poleciłem.

Westchnęła i przeżuła całość.

– Niezłe – stwierdziła, ocierając usta serwetką. – Co to takiego?

– Ostrygi z Rocky Mountain, znane także jako klejnoty z Montany.

– Nie! Czy ja właśnie zjadłam jaja byka?

– Tylko jedno, ale tak: właśnie zjadłaś smakowite jądro. Gratulacje!

Obrzydzenie wykrzywiło jej twarz na chwilę, ale zaraz zastąpiło je zacięcie.

Zmrużyła oczy i ścisnęła obrus, jakby wyobrażała sobie, że to moja świeżo zagojona szyja.

– Nigdy, przenigdy nikomu o tym nie mów.

– Nie powiem – obiecałem. Po prostu o tym napiszę. Zanim zdołała się zastrzec, że mam nie rozpowszechniać tej informacji w żaden sposób, wskazałem na mój talerz i spytałem: – To co mam teraz spróbować?

Walczyliśmy z kolejnymi delikatesami, ale jednym uchem nasłuchiwałem, co się dzieje przy wampirzym stoliku. Brunetka nic nie zamówiła poza wodą z cytryną, a i ta stała na jej stoliku nietknięta i pociła się leniwie.

W pewnym momencie obróciła głowę i popatrzyła na mnie przeciągle. Leif zawsze powtarzał, że moja krew smakuje inaczej niż współczesnych ludzi. Z pewnością miała także odmienny zapach. Wampirzyca nie wiedziała być może, kim jestem, ale moja krew była dla niej tak egzotyczna jak dla mnie stek z leniwca. Istniało spore ryzyko, że będzie próbowała mnie dorwać, gdy się już pozbędzie swojego studenta. Jeśli w ogóle nie przyszła tu z mojego powodu.

Zapłaciłem za obiad, wziąłem na wynos wątrobę z jaka dla Oberona i powiedziałem:

– O tej drugiej rzeczy to już porozmawiamy potem u babci. – Granuaile pokiwała głową ze zrozumieniem.

Zabraliśmy Oberona, ale nie rozplątałem mu kamuflażu.

Lepiej żebyś został w ukryciu przez cały czas, kiedy będziemy w Granny's Closet. I miej nozdrza szeroko otwarte na wypadek, gdyby pojawiło się więcej wampirów.

<Dobra. A dają tam normalne jedzenie? Bo ten jak był pycha, ale trochę

ciężkawy. Jak to jak>.

Daję, daję. Kupię ci stek i wyniosę na zewnątrz – obiecałem, gdy wsiadaliśmy do samochodu.

<W dechę. A wygrałem zakład?>

Odpowiedziałem mu na głos, bo byłem ciekaw reakcji Granuaile.

– Wytrwała wszystkie pięć potraw, chłopie. Przykro mi. Wracasz do szesnastu ujemnych kiełbasek.

<Kot by ją drapał! Powinienem był postawić jakieś warzywka zamiast kiełbas, toby tak teraz nie bolało. Choć z drugiej strony wygrać jarzynę to żadna radość. Muszę sobie przemyśleć całą tę sprawę zakładów>.

– Chwileczkę – zainteresowała się Granuaile. – Oberon obstawiał przeciwko mnie? No wielkie dzięki, Oberonie.

<Powiedz jej, żeby znalazła pocieszenie w moim cierpieniu>.

Zajechaliśmy na parking za Granny's Closet i poszukaliśmy miejsca dla Oberona. Parking znajdował się na północ od restauracji, a wejście na zachodniej jej ścianie, zostawiliśmy go więc po północnej stronie.

Gdy się weszło do środka, część restauracyjna rozciągała się po lewej stronie, a bar po prawej, kuchnia zaś wciśnięta była między nimi. Skręciliśmy od razu na prawo i weszliśmy do pomieszczenia z ciemnego drewna, oświetlonego delikatnym czerwonym światłem. Bar był na zachodniej ścianie, a pozostałe trzy zabudowano kanapami, przy których stały stoły i po drugiej stronie krzesła. Pośrodku pomieszczenia znajdowały się stoliki tak małe, że poza szklanką zmieściłby się na nich najwyżej talerzyk ze skrzydełkami.

Siedliśmy przy stole na wschodniej ścianie, tak żeby mieć na oku całe pomieszczenie. Wyfiokowana i spushupowana kelnerka przyjęła nasze zamówienia przy barze. Obok przystojny barman w typie zawadiaki mieszał drinki. Granuaile przyjrzała mu się z zawodowym zainteresowaniem. A może z czymś więcej... Jej wzrok przeniósł się na mnie i oczywiście przyłapała mnie na tym, że na nią patrzę (była w tym zadziwiająco dobra). Spuściła wzrok, lekko rumieniąc się na szyi. Zrozumiałem, że tym razem to ona czuje się przyłapana, dołączyłem więc do niej w pełnym współczucia rumieńcu. Jeszcze nie tak dawno temu zwykliśmy niezobowiązująco ze sobą flirtować – no dobra, muszę przyznać uczciwie, że z mojej strony nie było to może tak niezobowiązujące. Kiedy ona była tylko barmanką, a ja tylko klientem, obydwoje mieliśmy do tego prawo. Teraz nasza relacja zupełnie się zmieniła i – przyznam – miałem z tym pewien problem.

Problem polegał na tym, że nie mogłem przestać się na nią gapić. Granuaile nie należała do tych *femmes fatales* z burzą rudych włosów w typie Jessiki Rabbit. Była po prostu naturalnie piękna. Często w ogóle nie miała makijażu poza tuszem na rzęsach i błyszcznikiem na ustach, które pobłyskiwały teraz ciepłą czerwienią. Takie wargi aż by się chciało pocałować. Ale teraz była moją uczennicą, toteż każda taka myśl powodowała u mnie nerwowe drgnięcie, jakby ktoś wrzucił mi za kołnierz zwinną śmierdzącą fretkę. Nie znoszę sumieniofretek.

Nie wiedziałem, czy Granuaile ma podobny kłopot, czułem jednak między nami pewne charakterystyczne napięcie, które powinniśmy za wszelką cenę zlikwidować. Sęk w tym, że nie wiedziałem za bardzo, jak by ten problem jakoś z

wdziękiem rozwiązać. Gorzej – byłem prawie pewien, że to mi się nie uda.

– Yyy, słuchaj, Granuaile... – Urwałem niepewny, jak zacząć.

– Co takiego? Czego nasłuchujemy?

– Nie, nie, niczego nie nasłuchujemy. Cholera. Słuchaj, przepraszam, że powiem teraz coś trochę dziwnego, ale wydaje mi się, że te słowa muszą paść. Nie chciałbym, żebyś żyła w przekonaniu, że bycie druidem wymaga celibatu czy czegoś w tym stylu. Idea celibatu jest po prostu okropna i wymyślili ją ludzie, którzy nienawidzą samych siebie i chcą, żeby wszyscy czuli to samo. Powinnaś robić to, na co masz ochotę, rozumiesz?

– Słucham? – Jej ton był lekki, ale w oczach zobaczyłem ostrzegawczy błysk. Zignorowałem go.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Ani o kogo. – Ruchem głowy wskazałem jej przystojnego barmana, któremu tak się przed chwilą przyglądała.

Granuaile nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej oczy zmrużyły się groźnie.

– Czy ty mi właśnie dajesz pozwolenie na seks? – Teraz jej ton był już dość ostry. Nawet bardzo ostry. Właściwie to tak ostry, że mógłby bez trudu przecinać aluminiowe puszki i kpiąco pytać: „No? To ile byś dał za takie ostrze?”.

– Nie. Mówię właśnie, że nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

– No ja myślę.

– Dobrze. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

Miałem nadzieję, że te kilka miłych słów ją udobrucha, ale gdzie tam. Jej oczy miały pioruny.

– Co?! O, nie. Nie doszliśmy do żadnego porozumienia. Skąd w ogóle taki temat? Czy tobie się może wydaje, że jestem jakąś wygłodzoną seksluzerką?

– Jesteś w końcu Amerykanką.

– Co takiego?!

Na ropiejące cycki tapira, co ja najlepszego powiedziałem. Cała ta rozmowa popłynęła tak źle, że nie pozostawało mi nic innego, jak dać nura w głębiny i liczyć na to, że kiedyś jeszcze wypłynę.

– Chodzi mi tylko o to, że masz wszystkie te amerykańskie bariery w tym temacie. Zaraz się obrażasz, jak poruszam temat, który powinien być sprawą zupełnie naturalną i relaksującą.

– To bardzo tani chwyt retoryczny. Zarzucając mi, że się obrażam, usiłujesz zepchnąć mnie na taką pozycję w rozmowie, w której cokolwiek powiem, udowodni, że się obrażam, przez co nie będę mogła udowodnić ci, że to ty gadasz od rzeczy. A gadasz, ponieważ założyłeś sobie, że masz cokolwiek do powiedzenia na temat mojego życia erotycznego.

– Słuchaj, przecież uprzedziłem, że powiem coś dość dziwnego. Chciałem tylko się zastrzec, że nie jestem żadną policją do spraw czystości, więc jeśli masz ochotę na upojną noc z panem Drinky McDrinky, to nic nie stoi na przeszkodzie.

Granuaile zacisnęła usta tak mocno, że została po nich tylko cieniutka kreseczka.

– Każdą inną osobę po prostu spralabym za coś takiego po gębie – wycodziła.

– W takim razie bardzo cię przepraszam i doceniam to, że zrobiłaś dla mnie wyjątek. Gdybyś jednak mogła mi wyjaśnić, co właściwie powiedziałem nie tak.

Naprawdę nie chciałem cię urazić. Nigdy jeszcze nie miałem z nikim takich relacji jak z tobą, więc nie mam wprawy.

– A jakie to twoim zdaniem mamy relacje?

– No takie. Nie mów mi, że nie czujesz się dziwnie. Przecież jeszcze niedawno flirtowaliśmy, Granuaile, a teraz nagle nie możemy, bo zostałeś moją uczennicą.

– Chwileczkę. Ledwo mi oświadczyłeś, że nie jesteś policją do spraw czystości i że celibat jest dla ludzi, którzy nienawidzą samych siebie, a teraz mi mówisz, że nie możemy flirtować?!

– Tak.

– I nie widzisz tu żadnej sprzeczności?

Pokręciłem głową.

– Nie. Relacja między uczniem a nauczycielem to rzecz święta. Tak jest i było zawsze we wszystkich kulturach świata.

Granuaile prychnęła tylko.

– Chyba sobie żartujesz. Flirt z nauczycielem to rzecz stara jak świat.

– Tak, ale zawsze kosztem nauki. Gdy już przekroczy się tę granicę, diabli biorą cały proces nauczania. Czułbym, że muszę cię oszczędzać, żeby nie zranić twoich uczuć. Albo zaniżałbym wymagania, żeby mieć pewność, że ci się powiedzie. Skończyłabyś jako znacznie słabszy druid, a obydwójce przecież nie znosimy mierności. Dlatego właśnie nie możemy się nawet zbliżyć do tej granicy.

Odwróciła wzrok i wbiła go w swój kieliszek, starannie zachowując neutralny wyraz twarzy. Może lekko skinęła głową, ale nie byłem pewien. Natomiast nie ulegało wątpliwości, że jej się to nie podoba. A to oznaczało, że już tkwimy w kłopotach po uszy. Granuaile miała ten sam problem ze mną, co ja z nią, ale dotąd naprawdę nie dojrzałem jego oznak. Znów drgnąłem i Granuaile też. Jak ja nie znoszę sumieniofretek.

<Atticusie, martwy potwór tu nadchodzi>.

Leif?

<Nie wiem. Nie widzę go, ale wyczułem swąd śmierci. Pojawia się i znika. O, znów jest. To chyba po drugiej stronie budynku>.

Uniosłem wzrok w kierunku wejścia do baru i ujrzałem Leifa. Wszedł z rękoma w kieszeniach i od niechcienia obrzucił wzrokiem pomieszczenie, jakby nas szukał. Uniosłem dłoń, żeby nas zauważył. Ruchem brody dał znak, że widzi, ale nie podszedł do naszego stolika, tylko starannie obejrzał sobie całą salę, jakby szukał pułapek, a może wyjść awaryjnych. To od razu obudziło moją drzemiącą paranoję, więc też się zacząłem czujniej rozglądać.

Oberonie, nadal czuć tam u ciebie martwiakiem?

<Nie. Już nie>.

Z tego, co widziałem w magicznym spektrum, wszyscy w barze byli zwykłymi ludźmi, z wyjątkiem Leifa oczywiście. Gdy obaj się uspokoiliśmy, podszedł do naszego stolika.

Granuaile nigdy przedtem nie spotkała Leifa, bo prowadził całkowicie nocny tryb życia, podczas gdy ona noce starała się spędzać w mieszkaniu. Dlatego nie miała szans stwierdzić, czy bardzo się zmienił. Ale gdy podszedł bliżej, musiałem się naprawdę skupić, żeby moja twarz nie zdradzała przerażenia, jakie mnie opadło. Leif

bynajmniej nie doszedł w pełni do siebie.

Rozdział 17

Wciąż mogłem go bez trudu rozpoznać – nawet z odległości i w przyćmionym świetle – ale z bliska okazało się, że jego skóra przypomina raczej twór z plasteliny, i to ulepiony niewprawnymi, niezdarnymi palcami. Jego włosy – niegdyś tak bujne i lśniące – zwisały w tłustych strąkach. Brakowało całych kępek. Prawdę powiedziawszy, w Asgardzie udało mi się przylepić mu tylko kilka włosów, więc to i tak cud, że aż tyle mu odrosło. Efekt był jednak dość żalony.

– Wiem, że były czasy, kiedy lepiej się prezentowałem, Atticusie – rzekł, wyciągając rękę na powitanie. – Ale były też i takie, kiedy prezentowałem się znacznie gorzej. Dzięki tobie nadal jednak się leczę. – Nie byłem wcale pewien, czy zasłużyłem sobie na te podziękowania. Choć zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by posklejać mu kawałki głowy po tym, jak Thor przerobił ją na miazgę z mózgu i kości, nie dało się teraz na niego patrzeć bez obrzydzenia. Symetria przepadła. Cienie układały się jakoś nie tak, jak powinny. Jedno oko było wyżej od drugiego. Choć pewnie i tak dobrze, że w ogóle ma oczy.

Ścisnąłem jego dłoń i ze zdziwieniem stwierdziłem, że tu skórę ma zaskakująco gładką i zdrową.

– Leifie, to moja uczennica, Granuaile.

Zwrócił na nią swój przerażający wzrok i skinął głową.

– Miło mi.

Granuaile odpowiedziała skinieniem głowy. Usta zacisnęła mocno. Być może bała się, że zwymiotuje. Widok głowy Leifa było znacznie trudniej strawić niż wszystko, co jedliśmy w Double Dog Dare Café.

– Siadaj, proszę – powiedziałem.

Usiadł naprzeciwko mnie. Gdy pojawiła się kelnerka, żeby przyjąć jego zamówienie, drgnęła lekko na widok jego twarzy i pośpiesznie wbiła wzrok w swój notes. Potem znów drgnęła, gdy zamówił tylko wodę.

– Czyli będziesz jeszcze się goił? – spytałem.

– Tak. Włosy wciąż mi rosną. Kości trochę się przesuwiają.

– A co z pamięcią?

– Mam kilka luk – przyznał. – Hal powiedział mi, że odnieśliśmy sukces, ale że Gunnarowi się nie udało.

Szczęka mi opadła.

– Nie pamiętasz zabicia Thora?

Pokręcił markotnie głową.

– A szkoda, co? Ale mimo to cieszę się, że już nie żyje i że przyczyniłem się do jego śmierci.

– A co ostatnie pamiętasz z naszej wyprawy?

– Olbrzymy mrozu rzucające się na Heimdalla. Udało im się przeżyć?

Wzruszyłem ramionami.

– Części chyba tak. Ostatni raz, jak ich widziałem, gonili za Freją. Czyli nie pamiętasz większości bitwy?

– Nie. Mógłbyś mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Jasne. – Spędziliśmy więc dłuższą chwilę na omawianiu wycieczki do Asgardu: kto zginął, kto przeżył i co się działo potem. Gdy opowiedziałem mu o jego pojedynku z Thorem, Leif uśmiechnął się szeroko. Jego zęby nie były zbyt proste.

– To co teraz, Atticusie?

– Jak to „co teraz”? Żyjemy sobie w spokoju. Przynajmniej ja do tego dążę.

– To nie takie proste. Moja sytuacja stała się trochę niebezpieczna.

– Masz na myśli te nowe wampiry? Na pewno wkrótce sobie z nimi poradzisz. Potrzebujesz tylko trochę czasu. Po prostu jeszcze się wystarczająco nie wykurowałeś.

Leif westchnął wyraźnie niezadowolony. Coś próbował mi powiedzieć, choć pojęcia nie miałem co. Nagle przechylił głowę na prawo, jakby wpadł na jakąś myśl.

– Mówiłem ci kiedyś przypadkiem, że jestem skurczybykiem? Czy tylko coś mi się zwidziało?

– Tak, mówiłeś – potwierdziłem z uśmiechem.

– No to widzisz: ja już nie jestem skurczybykiem, Atticusie. – Zamachał palcem w stronę swojej twarzy, jakby dla wyjaśnienia znaczenia. – Jestem bardzo osłabiony i nie wiem kiedy, jeśli w ogóle, wrócę do formy.

– Czyli te wampiry są tu, żeby cię zniszczyć?

– Niektóre. Inne pracują dla Zdenika.

– Dla Zdenika? Twojego twórcy?

Leif pokiwał głową.

Uniosłem kufel i w zamyśleniu wziąłem łyka.

– Ale on jest w Pradze, nie?

– Nie. W Phoenix.

Przez co mało nie wlałem sobie trochę Smithwicka do płuc. Pokrztusiłem się chwilę i odstawiłem kufel na stół.

– Yyy... Dlaczego?

– Jak pewnie pamiętasz, podczas naszej podróży do Asgardu złożyłem mu wizytę w Pradze. Zostaliście wtedy z Gunnarem w lesie pod Osinalicami.

– Tak. Powiedziałeś, że musiałeś złożyć mu swoje uszanowanie.

– Przy okazji zgodziliśmy się, że przejmie moje terytorium, jeśli zginę lub będę ciężko ranny.

– Leif! To był wyjątkowo głupi pomysł!

– W danej chwili wydawał się całkiem rozsądny. Tylko że teraz Zdenik kupił zamek Copenhaver. Ten na górze Camelback. Znasz to miejsce?

– Nie da się mieszkać w dolinie i nie słyszeć o tym zamku. Ponoć jest tam wanna na dwanaście osób. Bara bara riki tiki, co?

– Tak, ale są tam także przestronne lochy, co, jak przypuszczam, przeważyło sprawę. Właśnie remontuje i fortyfikuje zamek. Nie jest to zachowanie typowe dla wampira, który zamierza wrócić na swoje stare terytorium.

Powiedział to tak, jakbym powinien był się tym przejąć. Pośpieszyłem więc z zapewnieniem, że mi to zwisa i powiewa, to jest wzruszyłem ramionami.

– Sam jesteś sobie winien. Było nie umawiać się, że zajmie twoje terytorium.

– Zgodnie z naszą umową miał wrócić do Pragi, gdy tylko w pełni dojdę do

siebie. Aktualnie robi wszystko, by udowodnić mi, że to się nie stało. Sugeruje, że byłoby z jego strony zaniedbaniem opuścić teren i pozwolić na jatkę. Twierdzi wprost, że wraz ze swoimi porucznikami wyświadcza mi przysługę, bo broni terytorium przed ewentualnymi uzurpatorami. Ale sprowadza sobie coraz więcej tych poruczników. Wcale ich tutaj tyłu nie potrzebuje. W całym stanie ma już czterech, a ja mam jakoby zajmować się wschodnią doliną, bo on opiekuje się zachodnią.

– Są starsi i mocniejsi od ciebie?

– Nie są starsi – prychnął. – Nie mają więcej niż pół wieku. Ale teraz nie dorównuję im chyba siłą. Martwi mnie natomiast to, że wydają spore sumy na bardzo porządne domostwa. Boję się, że gdy już zupełnie wyzdrowieję, dadzą mi nakaz wyprowadzenia się z okolicy.

– Wielkie mi rzeczy. To im wtedy skopiesz wszystkim tyłki i po sprawie.

Patrzył na mnie w milczeniu i kilka razy zabębnił palcami o blat, po czym rzekł:

– Nie bądź śmieszny. Nie mogę przecież zabić swojego stwórcy.

Granuaile zmarszczyła brwi.

– Przepraszam, że się wtrączę – powiedziała – ale dlaczego nie?

Leif przeniósł na nią wzrok swoich nierównych oczu.

– To rodzaj wampirzej kontroli. Nie sposób obrócić się przeciwko temu, kto uczynił cię martwiakiem. Zdenik może mi rozkazać, co mu się żywnie podoba, a ja muszę być mu posłuszny. To trochę tak jak wtedy, gdy hipnotyzują człowieka.

– Ojej – mruknąłem. – Naprawdę nie miałem pojęcia, Leif. Nigdy jakoś się nie interesowałem życiem społecznym wampirów. Rzeczywiście bardzo przykra sytuacja. W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak znaleźć sobie nowy rewir. Powodzenia.

Wzrok Leifa znów zawisł na mnie.

– Liczyłem na coś więcej z twojej strony niż dobre życzenia, Atticusie.

– Czego ode mnie jeszcze chcesz? – Uśmiechnąłem się kpiąco i machnąwszy w stronę jego nietkniętej wody, którą kelnerka przyniosła nam w połowie rozmowy, zaproponowałem: – Wiem już co: zapłacę ci za tę szklankę wody.

Ale Leif nie poznał się na żarcie. Głosem zimnym jak lód oświadczył:

– Chcę, żebyś pomógł mi usunąć Zdenika z mojego terytorium.

Uśmiech zamarł mi na ustach.

– Wykluczone. Bredzisz, Leifie. Co ja bym niby z tego miał? Zresztą na moje oko ty też byś nic na tym nie zyskał. Zapomniałeś już o naszej rozmowie na Syberii? Przecież przyznałeś mi się wtedy, że przyjechałeś do Arizony tylko po to, żeby na mnie poczekać, a potem zaprzyjaźnić się ze mną i wrolować w swoją wendetę przeciwko Thorowi. Wszystko to już osiągnąłeś: zaprzyjaźniłeś się ze mną, Thor nie żyje, zemsta się dokonała. Nie musisz już tu tkwić. Nadal jesteś skurczybykiem, w każdym razie wkrótce znów nim będziesz. Lekką ręką możesz przejąć sobie każde inne terytorium w Stanach, a Zdenik niech sobie tu siedzi, skoro się uparł. Chłopie, idę o zakład, że pewnie mógłbyś przejąć całe jakieś mniejsze państwo. Taką Kostarykę na przykład. Bardzo ładne miejsce. Czemu tam nie pojedziesz?

– Nie rozumiesz, Atticusie.

– Nie i dobrze mi z tym! Może ty tu czegoś nie rozumiesz, Leifie. Niczego ci

nie jestem winien. To raczej ty jesteś winien mnie. Nie tylko spłaciłem swoje długi wobec ciebie, ale jeszcze posklejałem ci łepetynę i przytargałem z powrotem z Asgardu. Gdybym tego nie zrobił, w ogóle byś tu nie siedział i nie wygadywał tych bzdur.

- Jestem tego świadom i przepelnia mnie wdzięczność. Pozwól, że ci wyjaśnię.
- Zaoszczędźmy sobie czasu i od razu ci odpowiem: Nie!

Leif pochylił się i dźgnął mnie palcem. Jego usta wykrzywiły się niczym u Billy'ego Idola.

– Zgodnie z Układem Rzymskim w tym stanie może stacjonować aż sześćdziesiąt pięć wampirów.

Ach! Jakże cudownie się zapędził. To właśnie największa z zalet doprowadzania ludzi do furii – zaczynają mówić rzeczy, których normalnie za nic by nie powiedzieli. Nigdy przedtem nie udało mi się wydusić z Leifa, czy wampiry rzeczywiście kontrolują swoją populację, a teraz proszę: sam to przyznał. Z tego, co powiedział o dozwolonej populacji na Arizonę, wynikało, że na sto tysięcy ludzi przypada jeden wampir. Przy okazji potwierdził też, że to Rzym jest stolicą wampirzego świata.

– Tymczasem od wieków byłem tu jedynym wampirem – ciągnął Leif. – To dosłownie dziewicze tereny łowieckie. Są tu smaki i odmiany krwi, których nikt nigdy nie kosztował, poza mną oczywiście. Tutejsi ludzie... oni dosłownie smakują słońcem. To już samo w sobie czyni to terytorium niezwykle atrakcyjnym, Atticusie. A gdy do tego dochodzi jeszcze prestiż związany z odbiciem go mnie... I jeszcze ci kabaliści zwani Młotami Boga zdołali zadźgać kilku z nas, co naturalnie podbiło piłeczkę. Wreszcie wieść niesie, że mieszkał tu ostatni na świecie druid. Jednym słowem to najcenniejszy kawał ziemi na całej planecie. Wampiry ze Starego Świata nie puszczaają takich rzeczy mimo uszu.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– A powinno. Ten, kto przejmie Arizonę, zdobędzie niesamowity prestiż, ale co ważniejsze: będzie z pewnością najokrutniejszym, najpaskudniejszym wampirem, jaki chodzi po świecie. Chyba że mi pomożesz.

– Nie, Leifie.

– Zdenik bierze ludzi do niewoli i tworzy nowe wampiry, które dopuszczają się w jego imieniu najgorszych okrucieństw – upierał się Leif. – Ja nikogo nie biorę do niewoli i nie tworzę żadnych nowych wampirów. Istnieje spora różnica między moim sposobem sprawowania kontroli nad tym terytorium a jego. I weź pod uwagę, że Zdenik nie jest najgorszy z nich.

– Słuchaj, Leif, jeśli o mnie chodzi, to naprawdę nie istnieje na tym świecie wampir gorszy od byle bossa naftowego. A mimo to nie zabijam ich, tak? – Kątem oka zarejestrowałem ostre spojrzenie Granuaile. – Mam dość, Leifie. Nie mogę więcej nadstawiać karku. Zadałem sobie dużo trudu, żeby zniknąć, co i tobie radzę.

Tak nas pochłonięła ta rozmowa, że zupełnie straciliśmy czujność, przez co w ogóle nie zauważyliśmy, kiedy weszła do baru ta sama wampirzyca, którą widziałem w Double Dog Dare Café. Nie wiadomo kiedy stanęła za Leifem i zorientowałem się, że tam jest, dopiero kiedy się odezwała. Na jej piersi nadal widniał bielik amerykański, ale nie miała już na sobie tego modnego płaszczyka. Brakowało jej też

studenckiej przekąski. Głos miała niski i ciężki od czeskiego akcentu.

– Ten człowiek umie zabijać wampiry, Leifie? Nic dziwnego, że jego krew tak dziwnie pachnie. Kto to?

Uznałem, że Leif powinien się nią przejmować, nie ja. Ja martwiłem się o Oberona. Dlaczego mnie przed nią nie ostrzegł?

Oberonie? – Cisza. – Oberonie?!

Rozdział 18

Ach. – Leif wyglądał na zmieszanego. – Natalio, to jest... hmm... mój przyjaciel.

– Domyśliłam się. Kim jest ten człowiek?

Leif nie był pewien, jak mnie przedstawić. Wiedział, że nie powinien nazywać mnie Atticusem, ale Hal nie zdradził mu naszych nowych tożsamości. Nie chciałem zresztą, by wampirzyca je poznała, więc z głupia fant (obstawiając, że zagraniczna wampirzyca nie okaże się znawczynią heavymetalowych perkusistów) rzuciłem:

– Lars Ulrich. Miło mi. – I skinąłem głową.

– Nie odzywaj się niepytany – warknęła, wbijając we mnie przyszywające spojrzenie. Chciała mnie zahipnotyzować, ale jej nie wyszło.

– Ale się rządysz, dziewczyno – mruknąłem z przekąsem. Zbladła. – W sumie trochę to z twojej strony nieuprzejme. Choć oczywiście to jeszcze nie znaczy, że i ja mam zapominać o manierach. Przysiądziesz się? – Wskazałem jej niewielką przestrzeń na kanapie obok Leifa.

Patrzyła na mnie podejrzliwie.

– Dziękuję, postoję. – Pochyliła się w stronę Leifa i spytała: – Kim jest ten Lars Ulrich? Dlaczego oparł się mojemu urokowi?

W głowie pośpiesznie analizowałem możliwe scenariusze wydarzeń. I w żadnym z nich nie udawało nam się wywinąć z tej sytuacji samą tylko bystrą gadką. Wiedziała już, że umiem zabijać wampiry, więc cała moja przyszłość była zagrożona. Będzie drążyć temat i prędzej czy później dotrze do prawdy, a wszystkie moje wysiłki upozorowania własnej śmierci spełzną na niczym. Biorąc pod uwagę opowieść Leifa, jej akcent i zachowanie, postawiłem hipotezę, że mam przed sobą jednego z poruczników Zdenika. Nie powinna wyjść z tego spotkania żywa. Czy też martwa. W ogóle nie powinna wyjść. Gdy tylko zejdzie mi z oczu, wystarczy jeden telefon. A nie miałem przecież pewności, że dam radę ją dorwać, zanim go wykona.

– To nawet lepiej – rzekłem, sam szykując się, by wstać. – I tak muszę wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza. Duszno tu. Pogadamy na zewnątrz?

– Wolę zostać w środku – syknęła, przesuwając się tak, że teraz Leif siedział dokładnie między nami. – Najpierw pan Helgarson odpowie mi na moje pytania.

Przypomniało mi się, że Leif twierdził, iż wszyscy ci ludzie Zdenika są dużo młodszy od nas. W takim razie nie mówią po staronordycku. Pozostawało mi tylko liczyć na to, że Leif też nie zapomniał tego języka. Nim zdołał wydusić jakąkolwiek odpowiedź, przemówiłem szybko w jego ojczystym języku:

– Splotę jej członki i usta – mruknąłem. – Wstań tak, żeby nie upadła.

Na szczęście mnie zrozumiał. Wstał, Natalia zrobiła krok do tyłu, a ja przeszedłem na staroirlandzki i zacząłem splatać skórę jej ust.

Z punktu widzenia ziemi wampiry to krążące po świecie i zamęczające żywych ludzi wory węgla i śladowych ilości minerałów. W związku z tym mogę im robić, co mi się żywnie podoba – Gaja ma to w nosie. Nie chciałem jednak rozplątywać Natalii w barze, bo nabrudziłbym przy tym okropnie, wywołał panikę i niepotrzebnie zwrócił

na siebie uwagę. Rozsądniej byłoby ją stąd zabrać, i to najlepiej gdzieś, gdzie nie ma więcej wampirów. Poza tym chciałem koniecznie sprawdzić, co z Oberonem.

– Dość tego. Chcę się natychmiast dowiedzieć, kim jest ten człowiek, albo powiem Zdenikowi – syknęła do Leifa. Były to jej ostatnie słowa. Zakończyłem splatanie i już więcej nie otworzyła ust. Gdy to odkryła, rozszerzyła oczy i była tak uprzejma, że uniosła ręce do twarzy, dzięki czemu mogłem wykonać krótszy splot (czytaj: wcisnąć „powtórz”), zmieniając tylko jego cel: teraz jej ręce przylepiły się na trwałe do ust, z których wydobywały się spanikowane pomruki.

– Otocz ją ramieniem, jakbyś się martwił o jej samopoczucie, ale nie puszczaj pod żadnym pozorem – nakazałem Leifowi po staronordycku. Gdy wykonał moje polecenie, miotła się przez chwilę, ale w końcu udało mu się ją złapać. Zacząłem splatać wewnętrzne szwy nogawek jej dzinsów, żeby nie mogła nam uciec. W ten sposób w zaledwie piętnaście sekund zupełnie ją unieruchomiłem bez jednego niepotrzebnego ciosu i krzyków, które mogłyby ściągnąć nam na głowę jakichś ochoczych bohaterów.

Rozpaczliwe pomruki wywołały jednak zainteresowanie innych klientów i kilka zmarszczonych twarzy obróciło się w naszą stronę. Ich właściciele wyraźnie chcieliby wiedzieć, czemu ta biedna kobieta tak się denerwuje i czy ten mężczyzna obok nie zrobił jej może jakiejś krzywdy.

– Uczulenie – wyjaśniłem po angielsku trochę głośniejszym, niż powinienem. – Musimy ją natychmiast zabrać do lekarza. Chodź, chodź.

Miny gości baru wyrażały teraz współczucie dla nieszczęsnej alergiczki. Leif z wdziękiem podjął grę.

– Wyjdźmy na dwór – powiedział pocieszającym tonem i także trochę za głośno, bo chciał mieć pewność, że wszyscy usłyszą. Przyciskając ją lewą ręką do boku, dosłownie wyniósł ją z lokalu, żeby stopy nie ciągnęły jej się po podłodze. Z rękoma przy ustach i popiskując wciąż straszliwie, Natalia naprawdę wyglądała, jakby coś jej poważnie zaszkodziło.

– Zostań tu – poleciłem Granuaile i ruszyłem za Leifem. – Zaraz wracam.

– Idę z wami – oświadczyła, wstając.

– Nie – syknąłem twardo. – Musisz tu zostać. – Jeśli na zewnątrz czaiło się więcej wampirów, mogłaby stać się zbyt łatwym celem. – Naprawdę. – Patrzyła na mnie uważnie, jakby szukając oznak, że zmienię zdanie, ale widać ich nie znalazła, bo opadła z powrotem wyraźnie niezadowolona, ale nie kontynuując walki. – Dziękuję – szepnąłem i pobiegłem gonić Leifa.

Oberonie! – nawoływałem go mentalnie, mknąc między stolikami w stronę wyjścia.

<Hę? Co takiego?>

Nic ci nie jest?

<Nic. A co? Już stąd idziemy?>

Odetchnąłem z ulgą i wyszedłem na dwór.

Wszystkim bogom z dwudziestu panteonów dzięki! Dlaczego wcześniej nie odpowiadałeś?

<Nic nie słyszałem>.

Dwa razy cię wołałem – powiedziałem, rozglądając się za Leifem. Znalazłem

go na lewo ode mnie. Wciąż trzymał Natalię i szedł w stronę niewielkiej stacji benzynowej tuż obok. Oberon został na parkingu na prawo ode mnie.

<O. Hmm> mruknął przeproszającym tonem. <Chyba trochę przysnąłem, Atticusie. Ale jestem prawie pewien, że tylko na chwileczkę. Następnym razem, jak będziesz mi zamawiał wątrobę z jaka, to pamiętaj poprosić kelnera o taką nieusypiającą>.

Wejź na chodnik i skręć w lewo – nakazałem mu. – Stamtąd już mnie zobaczysz. Idź za mną i wyglądaj wampirów. Paranoję podkręcamy na maksa. Nie zapominaj też o dachach.

<Okej. Już cię widzę. Jedyne wampiry, jakie tu wyczuwam, to te przed tobą: Leif i ta kobieta>.

Dobrze. Donoś o wszelkich zmianach.

Za restauracją Leif zatrzymał się i obejrzał na mnie niepewny, jaki mam plan. Podbiegłem do nich i wskazałem mu wąską przestrzeń między knajpą a stacją.

– W głębi powinny być kontenery na śmieci – powiedziałem po staronordycku. Nie chciałem jeszcze bardziej wkurzać Natalii. Na razie.

Usiłując zachowywać się jak najnormalniej w tych okolicznościach, weszliśmy między budynki. Leif nadal otaczał Natalię opiekuńczym ramieniem i tak przeszliśmy ze trzydzieści metrów aż na tył budynku, znikając z oczu przechodniom z South Milton Road. Stały tu wielkie, przemysłowe śmietniki. Otworzyłem pokrywę jednego z nich, płosząc kilka tęgich much sterczących tu mimo zimna.

Zdejmuję ci kamuflaż, Oberonie. Proszę, upewnij się, że nikt tu do nas nie zajrzy.

<Załatwione>.

– Wrzucaj ją – powiedziałem do Leifa, celowo posługując się angielskim.

Gdy tylko to usłyszała, tak się wkurzyła, że udało jej się nawet rozdzielić nogi. Rozerwała dzinsy w szwach. Spodziewałem się takiej reakcji, ale widać Leif nie. Zaklął zdrowo, gdy go pokopała. Spokojnie splotłem znów jej nogi, tym razem skóra do skóry, więc już ich raczej nie da rady rozłączyć.

– Co robisz? – spytał Leif.

– Chciałem pogadać na osobności i bez strachu, że ktoś nam przy okazji ucieknie. A więc. Masz w swoich łapach jednego z poruczników Zdenika. Co zamierzasz zrobić?

– Ja? To nie rozplączesz jej?

– Nie. To twój wróg i twoje terytorium. Chciałeś pomocy, to ją masz. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby komukolwiek powiedziała, że żyję. Ale nie jestem twoim płatnym mordercą. Sam odwalaj swoją brudną robotę.

Leif wzruszył ramionami, po czym ściągnął ją tak, że spadła ze śmietnika twarzą na asfalt. Wbił jej stopę między łopatki, chwycił jej głowę rękoma i stęknąwszy cicho, oderwał ją jednym sprawnym ruchem, czemu towarzyszyły odgłosy pęknięcia kości i głośne chlupnięcie. Tak mocno splotłem skórę jej palców z twarzą, że teraz kilka oderwało się od rąk i zwisało jej luzem z ust. W pozostałych miejscach to skóra twarzy oderwała się i została na palcach. Zgodnie z moimi przewidywaniami była to eksterminacja szybka, brutalna i wywołująca masę bałaganu. Leif wrzucił zakrwawioną głowę do śmietnika, a ja zacząłem ją rozplatać –

po części po to, żeby zlikwidować ślady, a po części, by mieć pewność, że ta wampirzyca już nie wstanie z martwych.

– Dziękuję, Atticusie – powiedział, ostrożnie podnosząc z ziemi ciało, tak żeby się przy tym nie upaprać krwią.

Zakończyłem rozplatanie i patrzyłem w magicznym wymiarze, jak czerwone światełko wampiryzmu gaśnie w czaszce i znika wśród resztek jedzenia, papierowych toreb i plastikowych siatek.

– Nie chcę, żebyś mi dziękował, Leifie – oświadczyłem. – Chcę, żebyś mnie zostawił w spokoju.

– Rozumiem – mruknął i cisnął ciało do śmietnika. Nie zamilkł jednak, mimo że wymawiałem kolejne zaklęcie rozplatające. Musiałem zająć się światełkiem w jej piersi, bo w innym razie dałaby radę wrócić, choć pewnie w znacznie gorszym stanie niż Leif. – Musisz jednak przyznać, że bardzo sprawnie nam to poszło. Razem posprzątalibyśmy cały stan w zaledwie kilka dni. Proszę, Atticusie.

Natalia, która przeżyła pewnie z jakieś trzydzieści lat, a potem jeszcze egzystowała przez wiele dodatkowych, wysysając krew z żywych, rozpływała się w swoim T-shircie i podartych dżinsach. Skinąłem w stronę jej pozostałości i powiedziałem:

– Przykro mi, ale to całe sprzątanie, jakiego się możesz po mnie spodziewać, Leifie. Jednego rywala masz już z głowy. Śmierć reszty zorkiestruj sam. Choć nadal uważam, że powinieneś po prostu stąd wyjechać. Niech harmonia będzie z tobą.

Od razu wyłapał w moich słowach pożegnalny ton. Odwróciłem się w stronę przejścia między budynkami.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– Po prostu sobie stąd idę – odparłem i ruszyłem po Oberona i Granuaile. – Widzisz, jakie to proste?

Zostawiłem go tam pewien, że więcej go już nigdy nie zobaczę.

Rozdział 19

Jednym z najprzyjemniejszych elementów budzenia się o poranku jest to błogie przekonanie, że najprawdopodobniej dożyje się do śniadania. Jasne, że można się na przykład obudzić z brobdingnagowym kacem i przekonaniem, że życie jest podłe, ale nawet wtedy jednak ma się to życie, na które można narzekać, a lek na kaca z pewnością da się znaleźć gdzieś w kuchni. Zawsze jakieś ptaszki ćwierkają, jakiś pies nadstawia się do pieszczot i przez kilka chwil można sobie pomyśleć, że miło by było przeżyć dziś jakąś przygodę.

Z drugiej strony, kiedy żyje się już dość długo, odkrywa człowiek nowe ekscytujące sposoby na obudzenie się, które nie zawierają tego elementu błogostanu i następują zwykle kawał czasu przed świtem. Łasice w śpiworze – oj, niedobrze. Hunowie plądrujący miasto i gwałcący kobiety – oj, bardzo niedobrze. Wampiry wyłamujące drzwi do twojego pokoju hotelowego i zatapiające kły w twojej świeżo zagojonej szyi, nim nawet zdążysz się ruszyć – dużo gorzej już być nie może.

Spałem sobie spokojnie w pokoju numer 403 w hotelu Monte Vista, gdzie ponoć nocował kiedyś sam Freddy Mercury. Wieczorem poprzedniego dnia podśpiewywałem sobie jeszcze *Bohemian Rhapsody*, gdy wślizgiwałem się do łóżka i opatulałem kołdrą. Usnąłem, zastanawiając się leniwie, czy Scaramuccia wykona fandango czy nie.

Wampir uczepony mojej szyi był niesamowicie silny, a drzwi do pokoju – niemal zupełnie zgruchotane. Przebił się przez nie i zaatakował mnie tak szybko, że nawet nie zdążyłem się obudzić od hałasu, o wstaniu i bronieniu się już nawet nie wspomnę. Hotelowe progi nie są za wysokie na wampirze nogi.

Na czwartym piętrze, odcięty od ziemi, miałem dość ograniczony zasób magii w niedźwiedzim charmsie. Trochę pobrałem, żeby wzmocnić prawe ramię i strzelić go w skroń. Złamałem sobie przy tym trzy kłykcie, ale przynajmniej udało mi się go na chwilę oderwać od mojej szyi. Aktywowałem charms uzdrawiania i zacząłem wypowiadać słowa zaklęcia odplatającego. Syknął i rzucił się znów na mnie.

Nie miałem się nawet od czego odbić, a po trzykroć przekłęta przytulna kołdra, która tak mi się podobała wieczorem, teraz świetnie mnie trzymała w miejscu i podawała wampirowi jak na tacy. Nim zdołałem wyplątać z niej nogi, krwio pijca już znów był na mnie, nie miałem więc co liczyć na zastosowanie nawet podstawowych kopnięć. Odpychałem go od szyi, ale ledwo-ledwo i tylko dzięki magicznemu wzmocnieniu. Trochę to przypominało mi zapasy z Leifem, tylko było znacznie gorzej, bo ten typ był silniejszy, a i z pewnością starszy. Z doświadczenia wiedziałem, że długo tak nie pociągnę, tym bardziej z trzema złamanymi palcami. W moim charmsie z zatrważającą prędkością kończyły się zapasy. Wampir trzepnęła mnie po gębie, żebym przestał wypowiadać zaklęcie rozplatające, i podziałało. Musiałem zacząć od początku.

<Atticusie, co to za hałas?> spytał z pokoju obok Oberon, który postanowił wczoraj spędzić tę noc u Granuaile.

Jeden taki wampir próbuje mnie zabić.

Zaczął szczebrać i usłyszałem, że Granuaile się poruszyła. Pewnie obudził ją hałas roztrzaskiwanych drzwi. Chciałem krzyknąć: „Nie! Zostań w pokoju! Ratuj się!”, ale żeby to zrobić, musiałbym znów przerwać rozplatanie.

Gdy moje magiczne paliwo zniknęło w oczach, dotarło do mnie, że muszę dokonać wyboru: albo dam radę jeszcze kilka sekund dłużej odpychać wampira od mojej skóry podkreconą magicznie siłą, albo puszcę go i dorwie się wtedy do mojej szyi, ale ja całą magię będę mógł pchnąć w przyspieszenie rozplatania, licząc na to, że uda się je zakończyć, zanim wampir mnie wykończy. Z braku lepszych pomysłów wybrałem to drugie, a gdy moją szyję od wampira dzieliła już tylko zwykła, po ludzku słaba ręka, przywarł do mnie i rozszarpał mi skórę tak, że krew trysnęła na poduszki i do jego ust. Twardo nie przerywałem zaklęcia, ale czułem, że rozerwał mi ją na dobre i życie ze mnie ucieka.

Usłyszałem warknięcie i poczułem nagle dodatkowy ciężar na piersiach – do pokoju musiał wpaść Oberon. Wskoczył na plecy wampirovi, więc i pośrednio na mnie. Usiłował się przebić zębiskami przez czaszkę napastnika. To odwróciło uwagę wampira i oderwał się od mojej szyi z głośnym, poirytowanym sykiem, po czym cisnął Oberonem – niemal siedemdziesięcioma kilogramami żywej wagi – przez drzwi, aż pies uderzył z hukiem w wytapetowaną ścianę na korytarzu. Usłyszałem chrzęst łamanych kości i skowyt bólu, a zaraz potem pełen przerażenia wrzask Granuaile i huk opadającego na podłogę cielska Oberona.

Uratował mi życie, bo te kilka sekund wystarczyło: dokończyłem rozplatanie i zmieniłem wampira w krwawą miazgę. Zachlupotał i zaczął się kurczyć w swoim garniturze, a po chwili został po nim tylko astronomiczny rachunek za pranie chemiczne. Chciałem wstać z łóżka, żeby pomóc Oberonowi, ale tylko stoczyłem się w pobojowisko na podłodze, zbyt słaby, żeby utrzymać się na nogach. Szyja krwawiła obficie, a nie miałem już żadnej magii, żeby się ratować.

– Zadzwoń po weterynarza! – jęknąłem cicho i były to, jak sądzę, całkiem niezłe ostatnie słowa (w każdym razie słyszałem wiele gorszych).

Widziałem Granuaile klęczącą przy Oberonie, który w ogóle się nie poruszał. Nie słyszałem go też mentalnie. Granuaile podniosła głowę. Ktoś zbliżał się korytarzem. Otworzyła usta ze zdumienia.

Leif Helgarson wszedł do pokoju, jak gdyby nigdy nic, z rękoma w kieszeniach i uśmiechem na swojej niekształtnej twarzy. Uśmiešek zmienił się w uśmiech, gdy Leif ujrzał pozostałości ciała, na których leżałem.

– Moje gratulacje, Atticusie – rzekł. – Właśnie zabiłeś wampira niemal dorównującego ci wiekiem. To właśnie Zdenik, były pan Pragi oraz, tymczasowo, stanu Arizona.

Nic dziwnego, że był tak silny.

– Ty... ty go na mnie nasłałeś? – wyszeptalem.

Leif wyciągnął ręce z kieszeni i uniósł je bezradnie.

– Czyż to nie ty poradziłeś mi, żebym zorkiestrował śmierć rywali? Zrobiłem, co powiedziałeś. Dziękuję, że odegrałeś swoją rolę.

Z pokoju ulotnił się cały tlen i wdychałem już czystą trwozę. Czyli wszystko to uczynił Oberonowi i mnie – a hipotetycznie także Granuaile – w ramach swoich małych, nic niewartych gierki terytorialnych?! Robiło mi się już czarno przed

oczami, szyja nadal krwawiła, a do głowy nie przychodziły mi żadne słowa, które by oddawały głębię mojej odrazy i nienawiści. Gdybym miał choć trochę siły, rozplątałbym go na miejscu. Jako że to było jednak niemożliwe, sięgnąłem po Shakespeare'a, wiedząc, że Leif rozpozna cytaty i zrozumie kontekst. Resztką mocy powtórzyłem za Benedyktem z *Wiele hałasu o nic* słowa, które skierował do byłego przyjaciela:

– „Jesteś nikczemnik – mówię bez żartu” – po czym chlupnąłem w kałużę własnej krwi.

Rozdział 20

Nie lubię Snów – takich przez wielkie S, pełnych złowieszczych znaków, zapchanych lśniącoymi symbolami, tajemniczymi sigilami i chórami we mgle. Osoby, które organizują takie nocne przekazy czaszkowe, rzadko mają do powiedzenia coś miłego. W sumie ma to pewnie sens. Istoty nadprzyrodzone są z pewnością zbyt zajęte, żeby ganiać od głowy do głowy i mówić ludziom: „Gratulacje! Gdy tylko się obudzisz, spotka cię coś miłego”. Żeby w ogóle było to warte zachodu, muszą wypowiadać słowa znacznie cięższego kalibru, więc zrzucają na ciebie bomby, zapowiadając różnorakie kary za twoje przewinienia, albo z miejsca ci mówią, że musisz udać się w daleką podróż, by zdobyć Magiczny McWihajster, żeby pokonać takiego czy innego Pana Ciemności i uratować wieś, świat lub galaktykę. Choć trzeba przyznać, że czasami dają w ten sposób do zrozumienia, iż jeśli już ci się uda, spotka cię coś miłego. Tylko oczywiście nie wspominają o tym, że do tego czasu będziesz już fizycznie i psychicznie tak do cna wykończony, iż w nosie będziesz miał wszelkie miłe rzeczy.

Ja czułem się już do cna wykończony pod każdym względem, toteż pojawienie się Snu zaraz po tym, jak zemdlałem, implikowało, iż z moim życiem będzie tylko jeszcze gorzej, zanim w końcu będzie lepiej. Z drugiej strony należało docenić to, że w takim razie jednak będę miał jakieś życie. Nie warto przecież marnować Snów na osoby, które i tak mają rychło zejść z tego świata.

Nie leżałem już w koktajlu z mojej własnej krwi zmieszanej z posoką czeskiego wampira, tylko cały i zdrowy szedłem sobie przez dżunglę zaraz po popołudniowej ulewie. Szerokie liście ociekały wilgocią, a słodki, przesycony tropikalnymi aromatami tlen zalewał moje płuca. Moją uwagę zwrócił jakiś zwierzęcy odgłos. Zadarłem głowę i zobaczyłem langura złocistego, który siedział na gałęzi i wytykał mnie palcem. Przez liście przebijało słońce, zalewające ściółkę dżungli miękkimi plamami światła, i być może to światło właśnie sprawiało, że małpa wyglądała na niezwykle ubawioną. Szelest na lewo kazał mi odwrócić wzrok od zwierzęcia. Zrobiłem krok do tyłu, gdy ujrzałem, że spośród listowia wylania się łeb słonia. Cofnąłem się jeszcze o krok, gdy uświadomiłem sobie, że ten łeb bynajmniej nie jest przyczepiony do ciała słonia, ale do ludzkiego – nagiego torsu o czterech rękach, wielkim brzuszysku i z nogami odzianymi w pomarańczowe jedwabne szarawary oraz obutymi w sandały. Trąba słonia poruszyła się, ślepia zmrużyły zaintrygowane i spokojny głos z silnym tamilskim akcentem zapytał:

– Znasz mnie?

– Wyglądasz jak Ganeśa – wybąkałem. W księgarni Trzecie Oko sprzedawałem wiele popiersi hinduskich bogów. Rebecca Dane pewnie nadal miała je na półce.

– Tak. Jam jest Pan Przeszkód. – Brakowało mu jednego z kłów. Dwie ręce położył sobie na biodrach, a drugą parę złożył jak do modlitwy.

– Strasznie miło mi cię poznać – odparłem, starając się, by wypadło to nonszalancko. – Czy istnieją jakieś przeszkody, które nie pozwolą mi się obudzić i

pomóc mojemu psu?

Szmer liści za mną musiał mi starczyć za całe ostrzeżenie. Odwróciłem się szybko i ujrzałem jakiegoś obdartusa, który zdzielił mnie cisowym kijem po łbie.

– Skup się, Siodhachan! – syknął. – Bo znów wszystko spieprzysz!

– Archdruid?

Zniknął jednak natychmiast w dżungli, a Ganeśa westchnął ciężko.

– To robota jednego z kolegów. Usiłuje pomóc poprzez wyciągnięcie z twojego umysłu jakiegoś autorytetu, który by skierował twoje myśli na właściwy tor.

Przyznaję, że brak mu subtelności. Wybacz.

– Yyy – powiedziałem, trąc głowę. – Niech wam będzie. To o kim właściwie rozmawiamy? Albo o czym?

– Rozmawiamy o przeszkodach.

– Aha. Aż się boję, jak na to zareaguje mój archdruid, ale czy coś stoi na przeszkodzie temu, żebyśmy pogadali o tym przy piwie?

W dwóch dłoniach Ganeśi pojawiły się dwa zimne dzbany. Podał mi jeden z nich.

– To w końcu twój Sen, więc czemu nie.

W dzbanach znajdował się pilzner o ostrej, rześkiej nucie. Smakował zaufaniem, spokojem i umiłowaniem nauki. Ganeśa wetknął trąbę do dzbana i opróżnił go jednym potężnym siorbnięciem. Słonie nie umieją pić trąbami, ale ten widać miał to w nosie. Był bogiem, był częścią Snu i mógł sobie pić piwo trąbą, jeśli taką akurat miał ochotę. Westchnął z zadowoleniem i dzban po prostu zniknął.

– Bardzo odświeżające – stwierdził.

Zgodziłem się z nim i zamilkłem, czekając, co mi powie. Może i byłem gospodarzem tego spotkania (odbywało się ono w końcu pod moją czaszką), ale jednak to on je zaaranżował, uznałem więc, że odpowiada za jego przebieg, skoro i tak nie zamierzałem się tak szybko budzić.

– Chcielibyśmy pogratulować ci twojej niedawnej śmierci – zaczął Ganeśa.

– Mam nadzieję, że mówisz o tej upozorowanej?

– Tak, oczywiście. – Zatrąbił ze śmiechu.

– Dziękuję. Sam byłem z niej dość zadowolony.

– Najbardziej mnie ubawiła w tym wszystkim rola Indry.

– On nadal nie wie, że to była fikcja, prawda?

– Nie. Zarówno on, jak i pozostali bogowie o... że się tak wyrażę... niższym rozumieniu zupełnie dali się nabrać. Ja jednak reprezentuję grupę bogów o lepszym wzroku. Zaintrygowałeś nas.

– Mogę spytać, kto jeszcze należy do twojej grupy?

Ganeśa roześmiał się.

– Powiedzmy, że wszyscy robimy w Usługach Społecznych.

O, bogowie. Nie chciałem się pojedynkować na gry słowne z tymi typami. Wyczuwałem ich obecność wkoło. Nie było ich widać, ale najwyraźniej tkwili gdzieś w mojej głowie. Kimkolwiek byli, chcieli na razie pozostać w ukryciu. Być może to jacyś inni hinduscy bogowie, ale czułem przez skórę, że to kolesie z różnych panteonów, a Ganeśę wybrali tylko na swojego mówcę.

– Co was tak zaintrygowało?

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, co zamierzasz zrobić w sprawie Hel?
– A nie możecie tego po prostu odczytać w moim umyśle?
– Moglibyśmy, gdybyś już podjął decyzję. – Kąciki ust słonia uniosły się w stronę pojedynczego kła. – Byłeś jednak trochę zajęty.
– Umiesz bawić się niedomówieniami – skomplementowałem go. – Jak się domyślam, preferujecie jakąś decyzję i chcielibyście, żebym ją teraz właśnie podjął?
– Bystre rozumowanie – pochwalił mnie Ganeśa.
– A jeśli wolałbym się później nad tym zastanowić?
– Wówczas byłbym zmuszony przyznać, że jest to jeden z tych Snów, z których można się już nie obudzić.
– Aha.

Zatem Ganeśa miał w miły sposób przedstawić mi bardzo niemiłe ultimatum: „Rób, co ci każemy, śmiertelniku, albo już po tobie”.

– Masz dla mnie jakąś radę? Podpowiedz co do tego, czego ty i twoi kumple po mnie oczekujecie?

– Na cóż mamy ci radzić?! – spytał skromnie Ganeśa, unosząc dłonie w geście bezradności. – Radzono ci już. Dobrze ci radzono. Lecz byłeś głuchy na dobre rady. Ba! Radzono ci także nie wtrącać się w sytuację wampolityczną i proszę bardzo. Zobacz, jak ty wyglądasz. Nieprzytomny, zupełnie wyssany z magii, ledwie trzymający się życia.

– Czy mój pies żyje?

– To nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma!

Ból znowu zalał moją czaszkę, gdy duch archdruida ponownie postanowił mnie przywołać do porządku.

– Skup się, Siodhachan! – wrzasnęła, a potem, gdy już krył się z powrotem w gąszczu, dorzucił: – Bo znów wszystko spieprzysz!

– Auć! To bolało, do cholery! Jak ty to robisz?

– Skoncentrujmy się, proszę – rzekł Ganeśa – i zobaczmy, czy uda nam się usunąć przeszkody uniemożliwiające twoją dalszą egzystencję.

Dobra. To mogę zrobić.

– Zacznę od tego, że jestem zupełnie otwarty na wszelką dyskusję w wypadku, gdyby nie spodobała ci się moja odpowiedź – zastrzegłem się.

– Rozumiem. – Ganeśa przechylił lekko łeb, jakby kiwał na zgodę, a pod jego samotnym kłem znów pojawił się uśmiezek.

– W tej chwili wydaje mi się, że choć Hel zasłużyła sobie na majcher pod żebrem, i to po tej seksownej części, na jakiś czas mam już dość spotkań z nią i pozostałymi Nordami. Mam uczennicę do wyszkolenia i przyjaciela w korytarzu...

– Zatem zamierzasz ścigać ją później? – przerwał mi Ganeśa.

– Znacznie później. Kiedy Granuaille będzie już pełnym druidem. Po to właśnie upozorowałem tę moją śmierć, żeby mieć szansę ją wyszkolić. Odrzucanie tego teraz byłoby czystą głupotą. A swoją drogą to mam nadzieję, że nie będziecie rozpowiadać na lewo i prawo, że tylko trochę umarłem.

Ganeśa patrzył na mnie chwilę w milczeniu. Nagle dżungla zaszumiała jakąś niepokojącą energią. Bogowie – kimkolwiek byli – naradzali się.

– To nas jak na razie satysfakcjonuje – oświadczył w końcu Ganeśa. –
Będziemy w kontakcie. Żegnaj!

Odwrócił się do mnie plecami i odmaszerował w dżungłę, nie dając mi w ogóle czasu na odpowiedź.

– Zaczekaj! – krzychałem, biegnąc za nim. Liście obijały mi twarz i ręce, gdy przedzierałem się przez krzaki. – Mam tyle pytań! Skąd mam wiedzieć, czy to jest naprawdę? A jeśli to tylko sen małą literą? Jeśli jutro zmienię zdanie na temat Hel?

Zatrzymałem się. Ganeśa zniknął, ale wciąż czułem czyjąś obecność.

Odwróciłem się w prawo i próbowałem namierzyć, gdzie się skryli pozostali bogowie. Pędziłem jak szalony pośród gęstwiny, ale czułem, że uciekają przede mną, więc pytałem pośpiesznie: – Dlaczego nie wszyscy posługują się systemem metrycznym? Co się stało z yeti? Dlaczego nigdy nie spotkałem mojego archdruida w Tír na nÓg? Czy to on jest Najbardziej Interesującym Mężczyzną Świata? Dlaczego Tobogan to nie mieszkaniec Trynidadu i Tobago? Czy znacie jakąś poezję vogońską?

Przedarłem się z powrotem na polankę, na której się pojawiłem na początku Snu. Langur złocisty zapiszczał i znów na mnie wskazał. Zupełnie jakby się śmiał. Potem nagle zniknął – bez żadnych efektów dźwiękowych ani nic. Może był tylko boskim awatarem. A może właśnie budziłem się ze swojego Snu.

Rozdział 21

Szpitala to budynki śmierci i ciarki mnie w nich oblatują. W przeciwieństwie do wrzosowisk zalanych zbawiennym słońcem nie dają mi poczucia, że dzień ten przyniesie samą radość – dają mi poczucie, że będzie to mój ostatni dzień na tym padole i że umrę odcięty od natury. I dlatego właśnie gdy tylko obudziłem się w szpitalu we Flagstaff, chciałem się z niego wydostać.

Przy mnie była Granuaile i natychmiast powstrzymała mnie dłonią.

– Nie ruszaj się, sensei. Nic ci nie jest.

– Oberon? – wydusiłem.

– Nic mu nie jest. Znaczy nie do końca może nic, ale w każdym razie żyje.

Zgruchotał sobie większość żeber na prawym boku i prawą łapę.

Oddech, który wstrzymywałem, uleciał ze mnie z ulgą i łzy napłynęły mi do oczu.

– Bogom niech będą dzięki – wykrztusiłem. – Za nic nie chciałbym go stracić.

– Wiem – powiedziała Granuaile. Policzki miała mokre od łez. – Ja też nie.

– Co się stało? – spytałem. – Myślałem, że już po mnie.

Jestem pewien, że Granuaile nie widziała na mojej twarzy żadnych oznak Snu.

Po pokoju nie pałętał się żaden bóg z palcem na czerwonym przycisku.

Tylko zdrajca.

– Kiedy zemdlałeś, Leif zaleczył ci szyję jakimś wampirzym trikiem.

– Co takiego? Niby w jaki sposób? – Jeśli był to proces magiczny, mój amulet powinien był go powstrzymać. Sprawdziłem, czy mam go na szyi. Miałem. Być może Leifowe uzdrawianie nie było ściśle magiczne, lecz raczej radykalnie biologiczne.

– Nie wiem, co dokładnie zrobił. Przykucnął przy tobie i jego ciało zasłaniało mi widok. Byłam wtedy na korytarzu przy Oberonie. Ale kiedy wstał, nie krwawiłeś już, więcej: twoja szyja wyglądała idealnie. – Moje palce przesunęły się z amuletu na skórę i nie natrafiły na żadne bandaże, strupy czy rany. – Nadal byłeś nieprzytomny, ale nie traciłeś już więcej krwi – dodała. – Dzięki temu udało nam się tu przyjechać.

– A co na to gliny? Zostawiliśmy w tym pokoju niezłą Masakrę.

– Leif zahipnotyzował ich wszystkich, tak żeby o tym zapomnieli. Potem zadzwonił po jakichś ghuli, żeby zajęli się zwłokami. Już i tak byli w mieście. Zamówił ich sobie z Phoenix zaraz potem, jak zadzwonił do Zdenika i powiedział, że odnalazł najstarszego druida świata.

– Powiedział ci to wszystko?

– Tak. – Jej wzrok odpłynął, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. – Powiedział też, że bardzo mu przykro, że Oberon ucierpiał. I że ma nadzieję, iż kiedyś mu to wybaczysz.

Pokręciłem głową.

– Niech się wypcha.

Granuaile skinęła głową na znak, że słyszała, ale ciągnęła swoją opowieść, jakby recytowała wyuczony tekst.

– Powiedział też, żebyś się nie martwił, bo więcej już tego nie zrobi. Resztą wampirów sam się zajmie.

– Dobrze. Nie chcę mieć z nim więcej do czynienia. Chwileczkę! – Mrugała jak szalona powiekami i rozglądała się wokół zdezorientowana. – Czy on rzucił na ciebie urok, żebyś wszystko to powiedziała?

Moja uczennica wbiła we mnie zagubione spojrzenie.

– Żeby co niby powiedziała?

– Co za drań! Rozplączę go, jak tylko go dorwę!

Granuaile zrobiła taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale chyba się przestraszyła mojego wybuchu. Zanim zdążyłem się opamiętać i spytać, co chciała powiedzieć, do pokoju wparował lekarz – niczym chmura z waty wyciętej w kształt laboratoryjnego kitla. Jego śladem podążyły dwie pielęgniarki. Miał krótkie jasnobrązowe włosy i rogowe okulary, zza których spoglądał na mnie jakby nieco podejrzliwie.

– Ach, pan Collins. Lepiej się czujemy, co?

Zamrugalem, bo w pierwszej chwili nie rozpoznałem swojego nowego nazwiska.

– Chciałbym wyjść na dwór – powiedziałem wreszcie.

– Ho! Ho! – wykrzyknął z fałszywą uciechą. Nawet próbował radośnie zarechotać, ale nie wzbudził tym mojej sympatii. – Na to jest z pewnością za wcześnie.

Na jego piersi widniało irlandzkie nazwisko O'Bryan. Bardzo nietypowa pisownia. W normalnej sytuacji zainteresowałaby mnie wyjaśniająca ją historia, ale teraz nie czas, nie miejsce było po temu.

– Najpierw musimy zrozumieć, co się z panem dzieje – rzekł lekarz.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że jestem pod kroplówką, a wokół mnie stoją małe drogie skrzyneczki, które pikają i zbierają dane na temat mojego stanu zdrowia. Nie zostało mi już ani kropli magii, żeby się leczyć, a wystarczyło jedno spojrzenie w stronę okna, żeby stwierdzić, że znajdujemy się kilka pięter nad ziemią. Byłem wystawiony na łaskę amerykańskiej służby zdrowia. Wzdrygnąłem się na tę myśl, a jedna z małych, drogie skrzyneczek zapiszczała w panice. Chwyciłem dłoń Granuaile, bo zrobiła taki ruch, jakby chciała się wycofać i ustąpić miejsca lekarzowi.

– Ojoj! A to co było? Proszę się uspokoić – powiedział O'Bryan.

– Niedobór witaminy D. Muszę natychmiast wyjść na zewnątrz – ryknąłem.

– Proszę pani – zwróciła się jedna z pielęgniarek do Granuaile. – Musimy panią na chwilę przeprosić.

Granuaile znów spróbowała wstać, ale ja nie puszczałem.

– Ona nigdzie nie idzie – wycharczałem – chyba że ze mną na dwór!

Doktor O'Bryan wymienił znaczące spojrzenie z pielęgniarką. Wyraźnie dawał jej znak, że ma póki co zostawić Granuaile.

– Być może potem uda nam się zaplanować jakąś wycieczkę – rzekł. – Na razie jednak muszę zadać panu kilka pytań na temat pana samopoczucia. Musimy się upewnić, że pana stan jest stabilny.

– Mój stan jest stabilny, panie doktorze, a ja jestem zdrowy na umyśle. W tej chwili wypisuję się ze szpitala. Odmawiam przyjęcia wszelkiej pomocy medycznej.

Proszę natychmiast wyciągnąć mi z ręki tę kroplówkę.

Lekarz postanowił uderzyć w bardziej upupiający ton:

– Panie Collins, nie uzyskaliśmy nawet jeszcze informacji na temat pana ubezpieczenia, niezbędnych z formalnego punktu widzenia do przyjęcia pana do szpitala.

– Nie ma żadnego ubezpieczenia. Rachunek proszę wysłać na kancelarię Magnusson & Hauk w Tempe. Ich numer telefonu to 480-555-8675. Poczekam, aż pan do nich zadzwoni i upewni się, że zapłacą moje rachunki, ale ani chwili dłużej. Znikam stąd. A teraz wyciągnie mi pan tę kroplówkę czy sam mam to zrobić?

Granuaile szybko podała lekarzowi swoją komórkę.

– Proszę. Może pan już do nich dzwonić.

I to przeważyło szalę goryczy. Bezradny pacjent na łóżku? To mógł znieść. Ale bezczelność Granuaile? Tego nie przełknął. Uniósł dłoń i nie ukrywając już dłużej irytacji, oświadczył:

– To nie jest teraz mój priorytet.

– Nie? – zdziwiła się Granuaile, nadal uparcie podtykając mu telefon. –

Przecież przed chwilą dał nam pan do zrozumienia, że najważniejszą rzeczą jest ubezpieczenie albo jakaś inna forma zapłaty za pana opiekę. To zrozumiałe i dlatego dajemy panu to, czego pan potrzebuje, żeby mógł pan nas stąd wypuścić i zająć się pacjentami, którzy naprawdę potrzebują pańskiej opieki.

– Pozwoli pani, że najpierw zadam panu Collinsowi kilka pytań na temat jego zdrowia.

– Nie chcę żadnych pytań, panie doktorze – zapewniłem go. – Powtarzam, odmawiam przyjęcia pomocy medycznej. Musi pan tylko odczepić mnie od tej kroplówki i wszystkich tych monitorów oraz wystawić mi rachunek.

Teraz O'Bryan naprawdę się wkurzył. Lekarze nie zwykli tracić kontroli nad rozmową z pacjentami. Gdybym miał choć odrobinę paliwa, rzuciłbym na siebie kamuflaż i po prostu stąd wyszedł, ale że wyczerpałem się do cna, musiałem grać według jego reguł, żeby się stąd jak najszybciej wydostać. Gdybym po prostu wyrwał sobie kroplówkę, pewnie uznaliby mnie za nieporozumiałego, a te pielęgniarki naprawdę wyglądały na wystarczająco potężne, żeby mnie obezwładnić.

Wiedziałem dobrze, o co chce mnie spytać: Jakim cudem brakuje panu tyle krwi, skoro nie widzę żadnej dziury, przez którą by ona mogła wypłynąć? A czułem, że jeśli dopuszczę do tego, by to pytanie padło, mogę nie wytrzymać i wrzasnąć: WYSSAŁ MNIE DO SUCHA JEDEN PIEPRZONY WAMPIR! i wtedy to już na pewno mnie wyślą do małego wyściełanego pokoiku bez klamek, za to z porcjami galaretki naszpikowanej chlorpromazyną. Jeśli chciałem uratować Oberona, musiałem zachować spokój.

– Panie Collins, nie jest pan teraz w stanie postawić sobie sam diagnozy.

Przerwałem mu, nim zdołał rozwinąć tę myśl.

– Granuaile, zadzwoń, proszę, do Hala i spytaj go, czy możemy pozwać tego człowieka za kontynuowanie leczenia mimo mojej odmowy.

– Chwileczkę. To po prostu...

– Po amerykańsku – dokończyłem za niego. – Co to za zabawa płacić prawnikom, skoro się ich nie używa w takich wypadkach? To jak będzie, doktorku?

Wolisz zadzwonić do moich prawników i dostać zapłatę czy lepiej, żebym to ja do nich zadzwonił i cię pozwał?

Teraz już naprawdę nie mógł na mnie patrzeć. Zacisnął pięści, wziął głęboki wdech i odwrócił się w kierunku pielęgniarek.

– Pacjent odmówił przyjęcia opieki medycznej. Proszę go przygotować do wypisania ze szpitala. – Potem spojrział na Granuaile i dodał: – Będzie pani uprzejma udać się teraz ze mną w celu podania mi danych potrzebnych do uregulowania płatności.

– Oczywiście – zapewniła go i gdy tym razem wstawiała, pozwoliłem jej odejść.

Pielęgniarki rzuciły się na mnie jak sępy i zaczęły wyłączać monitory i wyciągać mi kroplówkę. Nie odzywały się do mnie. Nie zasługiwałem na dobre maniery przy łóżku. W końcu wkurzyłem ich doktora.

– Gdzie są moje ubrania? – zapytałem. Dopiero kiedy te słowa już padły, przyszło mi do głowy, iż może w ogóle ich nie miałem. Raczej pewnie nie dostarczono mnie szpitalowi zalanego krwią, bo wtedy miałbym na głowie także policję. Pielęgniarka po mojej prawej wskazała mi stolicek nocny w kącie pokoju. Na nim stała paskudna plastikowa lampka. Gdy już oswobodziłem się z macek aparatury, usiadłem na łóżku i spuściłem nogi na podłogę. Zamarłem. Aż mi się zakręciło w głowie od osłabienia i utraty krwi. Na pewno wpompowali we mnie jakąś zastępczą ciecz, ale najwyraźniej to nie wystarczyło. Nieważne – wyleczę się, gdy tylko wydostanę się z tego klinicznego, szarego pudła śmierci.

Pochyliłem się do przodu i wstałem ostrożnie. Poczulem nieprzyjemny chłód na tyłku. Widać szpitalna piżama nie była z tyłu zapięta, ale guzik mnie to obchodziło. Pielęgniarki mogą sobie nawet strzelić fotkę komórkami i podrzucić na Flickr, byle tylko nie było na niej mojej twarzy.

Gdy zrobiłem krok do przodu, załała mnie fala mdłości, ale była to jedna z tych delikatnych, kołyszących fal, a nie żaden dziesięciometrowy, zabójczy bałwan Posejdon. Dam radę. Sunąłem dalej powoli i ostrożnie, aż wreszcie oparłem się o stolik nocny i otworzyłem szufladę. Mało się nie przewróciłem, kiedy usłyszałem tuż za sobą głos Granuaile.

– Mmmmmmm! – zamruczała.

Rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu ciasteczek, do których musiało się to odnosić, ale ponieważ zorientowałem się, że nie ma tu niestety żadnych wyrobów cukierniczych. Jedyne, co było na widoku, to mój goły tyłek, z czego wyprowadziłem wniosek, że uważa, iż prezentuje się on apetycznie. Spłonilem się i wyciągnąłem z szuflady złożone ubrania, a potem obróciłem się, żeby szpitalna piżama dała mi choć odrobinę osłony. Pielęgniarki wyszły w milczeniu, a ja zapytałem Granuaile, czy lekarz dostał w końcu to, czego chciał.

– Wkurzył się strasznie. Hal kazał ci do siebie zadzwonić, ale poza tym wszystko pod kontrolą. Możemy iść. Pomóc ci się ubrać?

Wiedziała, że odmówię. Usta wygięła w złośliwym uśmiechu.

– Dziękuję, poradzę sobie – mruknąłem. Uniosłem dzinsy. – Ty je tu włożyłaś?

– Tak. Nie ma za co.

– Dzięki. – Wyciągnąłem niemal białą koszulę o jakichś niejasnych aspiracjach

do bladej zieleni. Aż tak designerskiej bym sobie nie kupił. – Skąd to wytrzasnął?

– Flagstaff ma kilka całkiem przyzwoitych sklepów – stwierdziła. – To henley o odcieniu „kremowy koper”. Zauważyłam, że nie lubisz polo, to kupiłam ci taką.

– Zmyśliłaś to, tak? Brzmi to jak dressing do sałatki. O dziwnie pornograficznej nucie.

– To ostatni krzyk mody, Atticusie. Będą je teraz nosić wszyscy irlandzcy druidzi.

Uśmiechnęła się do mnie łobuzersko. Wskazałem jej głową drzwi i powiedziałem:

– Daj mi dwie minutki.

Obróciła się na pięcie, ręce oparła na biodrach i wyszła powoli, kołysząc się seksownie. Naprawdę nie rozumiałem, w co ona gra. Przecież ledwie wczoraj rozmawialiśmy o tym, że musimy przestać flirtować, tak? Robiła mi na złość? Czy to może wcale nie był żaden flirt, tylko taki jej sposób na rozśmieszenie mnie w tych ciężkich chwilach? Wypchnąłem ten problem z głowy. Teraz naprawdę musiałem przede wszystkim dostać się do Oberona.

Oparłem się o łóżko, żeby nie upaść, i włożyłem dżinsy oraz kremowo-koperkową koszulę. Na stopy już czekała para sandałów. Gdy tylko je wsunąłem, niezdarnie podążyłem ku drzwiom. Granuaile właśnie posyłała zachmurzonym pielęgniarce swój boski uśmiech. Zrzuciłem jej rękę na ramię.

– Jeszcze nie do końca trzymam pion. Pomożesz mi się stąd wydostać?

– Jasne, sensei.

Byłem z siebie dumny. W drodze do wyjścia tylko raz zrzuciło mną na lewo i tylko dwa razy się potknąłem. I ani razu nie dotknąłem jej włosów.

Na zewnątrz, na dekoracyjnej trawce, wśród kilku drzewek widniała tabliczka: CENTRUM MEDYCZNE FLAGSTAFF. Ziemia pod moimi stopami była tak wspaniała, chłodna, serdeczna, a dotyk Gai pełen czulej, delikatnej, napełniającej mnie mocy.

– Uff! – Moja twarz rozpromieniła się w uśmiechu pełnym ulgi. – Granuaile, pojęcia nie masz, jakie to okropne uczucie być odciętym od ziemi, kiedy się już jest z nią związanym.

– To nie trwało nawet doby, Atticusie. Z pewnością bywało, że musiałeś wytrzymać dłużej.

– O tak. Więzienie to był istny koszmar.

– Co? Jakim cudem komukolwiek udało się wsadzić cię do więzienia?

– Dorwali mnie w szpitalu takim jak ten, więc byłem zupełnie wypompowany z magii. Aenghus Óg nasłał na mnie we Włoszech sukkuba. Laska mało mnie nie wykończyła, no bo, wiesz, niezła była. W skrócie: zmuszony byłem porąbać ją Fragarachem na środku piazza pełnej ludzi, a Włosi, bogowie niech im błogosławią, nie przepadają za ludźmi, którzy siekają im seksowne kobiety. Już i tak kończyły mi się zapasy na tym bruku, nawet nie starczyło mi na kamuflaż, a potem tłum mnie dorwał i sprali mnie na kwaśne jabłko. Policja uratowała mnie z ich łap i zabrała do szpitala, żeby trochę doszedł do siebie, po czym sama sprala mnie na kwaśne jabłko, żeby się przyznał. Ze szpitalnego łóżka zabrali mnie prosto do samochodu i potem do betonowej celi.

– A gdzie się w tym wszystkim podział Fragarach?

– Policja mi go zabrała.

– Nie!

– Ryzyko wliczone w cenę. Zresztą w przeciwieństwie do Faglesa tamci policjanci nie byli kontrolowani przez Aenghusa Óga, a wielkim plusem siedzenia w odciętej od ziemi celi było to, że nie mogły mnie dorwać żadne faerie. Po prostu nie wiedziały, gdzie jestem.

– A co z naszymi? z naszymi?

– Z tym było gorzej. Oczywiście starali się mi go odebrać, ale był ze mną spleciony i splot ten nie jest zależny od mojej mocy. Nawet przecięli łańcuszek, ale dużo im to nie pomogło. Amulet i charmsy tkwiły dalej wokół mojej szyi.

Wyobrażasz sobie, to budziło wiele podejrzeń. Po jakimś tygodniu zabrali mnie na takie małe zakurzone podwórko, żebym trochę rozprostował kości, a gdy tylko się tam znalazłem, zdjąłem buty i tyle mnie widzieli. Napełniłem sobie niedźwiedziego charmsa, rzuciłem na siebie kamuflaż i po ninjowemu wykradłem im Fragaracha z kanciapy, a potem wyszedłem stamtąd i nigdy już nie wróciłem do Włoch.

Złośliwy uśmieszek zaigrał na jej ustach.

– Jak się wtedy nazywałeś?

– Poszukiwany jest tam nadal niejaki Luigi Fittipaldi. Bardzo niebezpieczny mężczyzna, lecz ich zdaniem dość już teraz wiekowy. To było we wczesnych latach siedemdziesiątych.

– Nosileś te łamane kołnierzyki i w ogóle?

– Cóż, wiesz dobrze, że zawsze staram się wtopić w tłum...

Roześmiała się.

– Bosko. To co? Podładowany?

– Tak – powiedziałem i ruszyłem za nią do naszego nowego SUV-a. – Dzięki za to, że zajęłaś się mną i Oberonem. I cieszę się, że nic ci się nie stało.

– Nie ma za co, sensei. Jedziemy od razu do weterynarza?

– Nie. Musimy jeszcze załatwić kilka spraw.

Najpierw zajechaliśmy do Winter Sun Trading Company na San Francisco Street, żeby kupić trochę ziół, a gdy już je zmieszałem i posplatałem odpowiednio, zjechaliśmy na południe, przejechaliśmy przez tory i wylądowaliśmy w kawiarni Macy's na Beaver Street, żeby zdobyć nieco ciepłej wody na herbatkę oraz ich słynne cappuccino. Zrobiłem wielką porcję herbatki „Młodości Czar”, podkreślonej dodatkowo w celach leczniczych, a potem jeszcze tylko wstąpiliśmy do spożywczego i już byliśmy gotowi jechać do weterynarza.

Pani weterynarz powitała nas podejrzliwym spojrzeniem, jakby myślała, że ponoszę przynajmniej część winy za opłakany stan Oberona. Nazywała się April Flores i naprawdę szkoda, że spotkaliśmy się w tak niemiłych okolicznościach. Wyglądała na niezwykle bystrą osobę i z pewnością miło by się z nią rozmawiało na inne tematy niż ciężko ranne czworonogi.

– Pana pies ma szczęście, że w ogóle żyje – oświadczyła. – Nigdy jeszcze nie widziałam tak rozległych obrażeń. Jak to się w ogóle stało, że pozwolił mu pan zaatakować niedźwiedzia?

Spojrzałem z ukosa na Granuaile, która zrobiła przepaszającą minę. Była to

pewnie najlepsza opowieść, jaka jej przyszła w danej chwili do głowy, i nawet całkiem przekonująca, gdyby nie to, że żadne z nas nie wyglądało na poszarpane przez misia, więc trudno było tłumaczyć zachowanie Oberona instynktami opiekuńczymi. A spotkania z niedźwiedziami w Arizonie – choć niezupełnie niemożliwe – nie są znowu takie częste. Doktor Flores wyraźnie miała problem z łyknięciem tej historyjki i dobrze ją rozumiałem. Ale w to i tak było łatwiej uwierzyć niż w prawdę, więc na tym musieliśmy poprzestać.

– Wie pani, jakie są psy – rzuciłem. Fraza ta była zupełnie pozbawiona sensu, ale za to pozwoliła mi uniknąć kłamstwa. Nie żebym jakoś z zasady unikał kłamstwa, ale doktor Flores była taką miłą osobą i taką szczerą miłośniczką zwierząt, że postanowiłem uniknąć łągania ze strachu przed kolejnymi sumieniofretkami.

Doktor Flores zmarszczyła brwi, gdyż nie odpowiedziałem na jej pytanie. Zaprowadziła nas pod salę dla zwierząt.

– Przez jakiś czas nie będzie mógł się w ogóle poruszać. Kości już są nastawione, ale zanim się zrosną, trochę potrwa. Szczególnie źle wygląda kość barkowa. Poza tym ma podziurawione płuco i obitą śledzionę.

Otworzyła drzwi i zobaczyłem Oberona. Leżał na stole na lewym boku. Jego prawa strona była wygolona i zabandażowana. Wyglądał strasznie. Na mój widok zaczął walić ogonem w blat.

<Atticusie! Ty żyjesz! Nikt mnie tu o niczym nie informował, normalnie nie wiedzą, jak rozmawiać z psem!>

Witaj, chłopie. Dobrze cię widzieć. – Wszedłem do pokoju i pochyliłem się, żeby znaleźć się na poziomie jego oczu. Papierową torebkę i herbatę postawiłem na podłodze pod jego głową, zaraz pod krawędzią stołu. Jego wzrok powędrował za moimi rękoma, a potem zaraz wrócił, kiedy zacząłem drapać go delikatnie po głowie. Granuaile i pani weterynarz coś tam mówiły o rekonwalescencji, ale ja zupełnie je zablokowałem i w pełni skupiłem się na Oberonie.

<Hej! Co masz tam w torbie?>

Może jakiś prezencik dla ciebie.

<Zwierzę, roślina czy minerał?>

Byłe zwierzę. Aktualnie nieboszczyk.

<Smakowite i soczyste?>

Sam będziesz musiał to ocenić.

<No? To na co czekamy? Proszę wstać. Sąd idzie. Wysoki Trybunał Smakowy jest gotów rozpatrzyć sprawę>.

Najpierw będziesz musiał wypić trochę herbatki.

<O, nie! Tej śmierdzącej?>

Może być nawet bardziej śmierdząca niż zwykle.

<Nie nadawałbyś się na domokrażcę, wiesz o tym?>

Prychnąłem, ale przypomniałem sobie, że nie jesteśmy sami. Obejrzałem się na Granuaile i doktor Flores.

– Mogę zostać z nim na chwilę na osobności? – spytałem.

– Tylko proszę go nie ruszać – ostrzegła pani weterynarz. Jej oczy skoncentrowały się na torbie. – I żadnego jedzenia.

<Dlaczego ona jest taka okrutna?>

– Oczywiście – zapewniłem ją i uśmiechnąłem się, co miało ją uspokoić. Granuaile na odchodnym puściła do nas oko, bo dobrze wiedziała, że złamiemy ten zakaz.

Gdy tylko wyszły, poszukałem jakiejś miski i wlałem do niej herbatę.

Musisz to wypić, Oberonie – powiedziałem. – Do dna. To bardzo ważne.

Szybciej wtedy wyzdrowiejesz. Jak się czujesz?

<Wszystko mnie boli. Ale cieszę się, że tu jesteś>. Zaczął chleptać herbatę.

<To smakuje jak nastoletnie kwiatki z depresją, które w ramach buntu przeciwko rodzicom postanowiły śmierdzieć stopami umoczonymi w serze pleśniowym>.

Wiem, Oberonie, ale i tak musisz to wypić.

<Dobra, dobra, ale byle śmietnik lepiej pachnie niż to>.

W torbie mam dla ciebie kielbasę Andouille. Tylko wypij to najpierw.

Od razu zaczął bardziej się przykładać do picia.

<Normalnie już mi lepiej!>

Świetnie. Tak mi przykro, że oberwałeś, Oberonie.

<Trudno. Zawsze trzeba w końcu zapłacić za to, że się jest skurczybykiem, Atticusie. Albo skurczypsem. Tak czy siak widzę więcej zysków niż strat. W końcu przecież żyjesz>.

Łza spłynęła mi po policzku.

Tak, tylko dzięki tobie. Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

<Nie ma za co. Hej! Czy uratowanie ci życia nie powinno przypadkiem wymazać moich ujemnych kielbasek?>

O, zdecydowanie. Ile miałeś? Chyba szesnaście, prawda? W takim razie jestem ci winien szesnaście kielbas.

<Och! Ale sośnie! Jakiego rodzaju?>

Jakiego tylko chcesz, chłopie! Rzuć nazwą, a ja ci je zdobędę. Ale na razie pij, pij.

<Dobra. Pamiętasz, jak raz mnie zabrałeś do Szkocji i kupiłeś te słodkie kielbaski z dzika? Mogę takich dostać?>

Te, na których cześć ułożyłeś pieśń pochwalną?

<No! Zapomniałem już o tym zupełnie. Jak to szło?>

Wydaje mi się, że jakoś tak:

Dobrze wie, po co nam dzik,

każdy Szkot, choćby i laik.

Dzika sprawi nam on w mig,

położy na talerzyk

kielbasę z dzik...

a!!!

<No to jest klasyk! Ja to mam talent, nie? Powinienem dostać Grammy. Może nie dorównuje to finezji poematu pod tytułem *Chrzan smakuje śmiercią i rozpaczą*, ale tego nigdy pewnie nie uda mi się przebić>.

Skończył herbatkę, więc odstawiłem miskę na miejsce.

Jak się teraz czujesz? – spytałem.

<Czuję, że czas zajrzeć do tej torby> odparł.

Jak się czujesz na ciele, nie na umyśle, Oberonie.

<Dalej mnie wszystko boli, Atticusie, choć może już nie aż tak bardzo>.

To dobrze. Nie dałem ci za wiele przeciwbóli, bo nie wiem, co zamierza pani weterynarz. Teraz będziesz zdrowiał znacznie szybciej, niż ona by się spodziewała. Kości i tak już ci ponastawiała, a reszta zagoi się w ciągu kilku dni i wtedy ustanie też ból.

<A wampira się pozbyłeś na zawsze?>

O tak. Dzięki tobie. Udało mi się go rozplątać, a ghule zeżarły wszystko, co po nim zostało. Ale musisz zapamiętać sobie teraz, że Leif nie jest już naszym przyjacielem. To on napuścił na mnie tego wampira, narażając na śmiertelne niebezpieczeństwo ciebie i Granuaile.

<Leif to zrobił?>

Tak. Zdradził nas. Przeszedł na ciemną stronę mocy. Od teraz, kiedy tylko wyczujesz jakiegoś wampira, z nim włącznie, dajesz mi natychmiast znać. Zrozumiane?

<Zrozumiane>.

Podniosłem torbę z podłogi i wyciągnąłem kiełbasę, a on zaskomlał cicho.

<Naprawdę przyniosłeś tylko taką jedną, samotną kiełbaskę?>

Musisz na razie uważać z jedzeniem – tłumaczyłem mu cierpliwie, karmiąc go powoli. – Pani weterynarz z pewnością wpompowała w ciebie tyle chemii, że w ogóle nic nie powinieneś jeść.

<To znaczy, że mnie trochę rozpieszczasz, co?>

Nie da się ukryć, że tak. Jesteś najlepszym psem na świecie.

Uderzył kilka razy ogonem o blat, a jego pysk rozdziawił się w uśmiechu.

Rozdział 22

Nie miałem ochoty zostawiać Oberona, ale niewiele więcej mogłem teraz dla niego zrobić. Potrzebował czasu, żeby wyzdrowieć. Tymczasem ja miałem masę roboty w Kayencie i obiecałem, że dziś tam wrócę. Nie mogłem zawalić swojej strony umowy z Kojotem i dać mu pretekstu do jakichś świństw.

Zanim wyjechaliśmy z zasięgu, zadzwoniłem jeszcze na autostradzie 89 do kancelarii Magnusson & Hauk. Hal nie chciał mi uwierzyć, że Leif nasłał na mnie Zdenika. Trochę mi już przerywało jego warkliwy głos, ale wątpliwości było słycać całkiem nieźle.

– To nie pasuje do jego charakteru – stwierdził.

– On już nie ma tego charakteru co kiedyś, Hal. Zmienił się po Asgardzie. Albo w ogóle cały czas nas oszukiwał. To też niewykluczone.

– Czyli teraz, mówisz, uważa, że już jest w stanie przejąć z powrotem kontrolę nad tym stanem?

– Tak powiedział Granuaile. Ale najpierw ją zahipnotyzował, żeby mieć pewność, że ona mi to przekaże.

– W głowie się nie mieści.

– Niech ci się lepiej zmieści. Był już w biurze?

– Nie. Od powrotu z Asgardu jest na chorobowym.

– W takim razie pozwolę sobie zasugerować ci, byś płynnie zmienił chorobowe w wypowiedzenie. Przede wszystkim jednak Leif nie jest już moim prawnikiem, tak? Chcę, żeby nie miał żadnego dostępu do moich danych. I od razu mówię: jeśli kiedykolwiek go spotkam, tym razem naprawdę umrze. Możesz mu to powtórzyć. Żałuję teraz, że w ogóle go poskładałem do kupy!

– Zapominasz, że mam wyśmienity słuch, Atticusie.

– Przepraszam. Nie chciałem się na ciebie wydzierać, Hal. Tylko jestem cholernie wkurzony.

– Polujesz teraz na niego?

– Nie. Mam ważniejsze rzeczy na głowie, ale Leif ma mi na zawsze zniknąć z oczu.

– Dobrze. Wyślij mi jeszcze podpisany list, w którym oficjalnie go zwalniasz, na wypadek gdyby robił jakieś problemy. Ale w tej chwili odcinam go od twoich danych. I dzięki za ostrzeżenie. Powiem Watasze, żeby na niego uważali.

Gdy się rozłączyłem, Granuaile prowadziła chwilę w milczeniu. Gapiłem się przez okno i wściekałem do woli. W końcu jednak przerwała ciszę.

– Nigdy jeszcze nie widziałam cię w takim stanie, więc musisz mi powiedzieć wprost, co mam robić – powiedziała. – Chcesz, żebym dała ci rozpaczać w milczeniu, czy wolisz o tym pogadać?

– Hę. Wiesz, od tak długiego czasu nie miałem z kim pogadać, że nawet mi to do głowy nie przyszło. Przepraszam.

– Aż się boję myśleć, o jak „długi czas” chodzi.

– Będzie już kilka stuleci, odkąd zginęła moja żona.

Granuaile na chwilę oderwała wzrok od drogi i spojrzała na mnie.

– Zastanawiałam się nawet nad tym. Tak myślałam, że kiedyś pewnie musiałeś się z kimś związać.

– Wiązałem się wiele razy, w taki czy inny sposób – wyjaśniłem. – Aenghus Óg wypłoszył mnie jednak z wielu związków. Nawet zaczynałem już podejrzewać, że robił to specjalnie. Pozwalał mi zostać gdzieś na tyle długo, żebym kogoś pokochał, a potem zjawiał się i wywoływał cierpienie. A może to, że się zakochałem, pozwalało mu łatwiej mnie namierzyć, bo w końcu to uczucie należało do jego specjalności. Gdy tylko zdawało mi się, że go już jednak zgubiłem, znajdował mnie, a wtedy stawałem znowu przed tym samym wyborem: zostać, walczyć i najprawdopodobniej wszystko stracić czy uciekać i opuścić ludzi, których pokochałem. Zawsze uciekałem. Zawsze żyłem terazniejszością, bo moja przyszłość stała pod znakiem zapytania. Byłem przez to okropnym mężem i jeszcze gorszym ojcem. Lecz jedno małżeństwo trwało naprawdę długo i to nie Aenghus Óg je zniszczył. Ponad dwa stulecia byłem w Afryce mężem kobiety imieniem Tahirah. Mieliliśmy wiele pięknych dzieci, a one miały swoje dzieci. To jedyne moje wnuki, które udało mi się zobaczyć.

Musiałem urwać. Granuaile pozwoliła ciszy zapaść między nami, zanim nieśmiało spytała:

– A ci, których opuszczałeś... Czy kiedykolwiek do nich wracałeś?

– Tak, w tajemnicy. Czasami lepiej im się wiodło, czasami gorzej. Tym, którym życie się nie układało, pomagałem, jak mogłem, ale prawdziwy powrót do ich życia nie wchodził w grę. Nawet gdyby chcieli mnie z powrotem przyjąć, nie mogłem sobie na to pozwolić.

Znów na jakiś czas zapadła cisza. Myślała o tym długo, wreszcie powiedziała:

– Ja... no... Nie rozumiem, jak ty sobie radziłeś z depresją? Jakim cudem w ogóle jeszcze jakoś funkcjonujesz?

– Uciekam od niej. Zawsze od niej uciekam. Większość ludzi nie ma takiej możliwości. Ludzie zwykle utykają albo wydaje im się, że utknęli. Nie mają nadziei na lepsze jutro. Ja zawsze mam gdzie iść, mam nowe życie, nową kulturę, nowy język do nauczenia się.

– I zupełnie nie wiesz, co się stało z twoimi rodzinami?

– Niestety wiem bardzo dobrze, co się z nimi stało. Przeżyli swoje życie i odeszli z tego świata.

Granuaile dmuchnęła cicho i odsunęła sobie kosmyk z oczu.

– Wiesz, zwykle po prostu ignoruję twój wiek, ale czasami, jak sobie o tym pomyślę, to...

– No wiem. Nie jest to takie znowu łatwe i przyjemne, jak by się wydawało. Nieśmiertelność ma swoje kolce i ciernie. I nie da się ich uniknąć. Całkowite odsunięcie się, kompletne unikanie związków z ludźmi sprawia, że zupełnie odrywasz się od ludzkości. Ból, żal, wstyd wynagradzany jest radością, choćby i ta radość była sporadyczna i krótkotrwała. Widziałem, co się dzieje, kiedy człowiek próbuje się od tego izolować.

Granuaile zamyśliła się. Potem tak cicho, że ledwo ją usłyszałem, spytała:

– Mogę spytać, co się stało z Tahirah?

– Jasne. – Jak to łatwo powiedzieć. Ale potem musiałem wziąć głęboki oddech i rozdzielić w umyśle wspomnienia od emocji, żeby zostały tylko same słowa. Mój głos był zupełnie beznamiętny, gdy powiedziałem: – Zaskoczyli nas Masajowie. Wojenna pułapka. Tahirah dostała włócznią w pierś i zmarła, nim zdołałem podjąć próbę leczenia. A kiedy ujrzałem jej martwe oczy, oczy, w których dotąd znajdowałem spokój, postradałem rozum, oszalałem z rozpacz. Zarzuciłem kamuflaż i zabiłem ich wszystkich. Myśleli pewnie, że to jakiś demon ich morduje. Nie była to najbardziej chwalebna chwila mojego życia.

Przez dłuższą chwilę słysząc było tylko cichy szum silnika i wiatru. Potem Granuaile szepnęła:

– Przykro mi, Atticusie.

– No. Mnie też. – Urwałem. – Znasz to powiedzenie, że czas goi rany? Nie zawsze się to sprawdza.

Granuaile pokiwała głową, uznając, że widać wiem, co mówię.

– Nie mogłem znieść myśli o zostaniu chwili dłużej tam, gdzie każde miejsce, każda osoba przypominała mi o niej. Jeśli się gdzieś spędzi dwa wieki, to każde drzewo, każdy kamień jest ci znajomy, a każdy krok budzi wspomnienia ostre jak szkło. Wziąłem na stronę naszego najstarszego syna – na imię miał Odhiambo – i powiedziałem, że dla plemienia ja także jestem odtąd jak martwy. Bez jego matki dalsze życie nie miało dla mnie tu sensu. Teraz on miał być wodzem. Dotąd bowiem plemieniem zajmowała się Tahirah, ja nigdy nie przepadałem za dowodzeniem. Usiłowałem odwieść mnie od tego postanowienia. Dawałem mu, tak jak i wszystkim z rodziny, „Młodości Czar”. Wiedział, że jeśli odejdę, oni zaczną się normalnie starzeć. Uważałem, że tak będzie nawet lepiej. Wieczna młodość stawiała na głowie normalny porządek społeczny. Utrudniała wszystko, co zwykli ludzie uważają za oczywiste – choćby to, że dzieci rodzi się przed trzydziestką czy czterdziestką albo że w ogóle się je rodzi. My z Tahirah mieliśmy dzieci, ale one rzadko decydowały się na małżeństwo i potomstwo. A spośród naszych nielicznych wnuków żadne nie przejawiało chęci założenia rodziny. Zawsze przecież mogły to zrobić później, odkładały więc wszystko w nieskończoność, bo dawałem im za dużo czasu na egoistyczną młodość. Już kilkadziesiąt lat wcześniej doszedłem do smutnego przekonania, że pojenie całej rodziny tą moją herbatą było poważnym błędem, ale póki żyła Tahirah, nie śmiałem zaproponować, by pozwolić naturze decydować o życiu naszych dzieci i wnuków. Teraz jednak było dla mnie jasne, że choć moi potomkowie są coraz starsi, ich rozwój emocjonalny znacząco ucierpiał. Wywyższali się. Za nic mieli ludzi, którzy normalnie się starzeli. Unikali jak ognia wszelkiego ryzyka i wysiłku. Czuli się wyjątkowi, wyróżnieni. Wydawało mi się, że najlepsze, co mogę im podarować, to szansa na normalność, choćby nie wiem jak była bolesna. Odhiambo jednak zareagował bardzo gwałtownie. Zażądał, bym nauczył go przyrządzania eliksiru, choć wiedział dobrze, że musiałby do tego zostać druidem, a na to był już o wiele za stary. Potem nalegał, żebym zrobił zapasy dla całej wsi. Poddał się jednak dość szybko, widząc moją determinację. Życzyłem im wszystkim harmonii i wyniosłem się stamtąd prosto do Europy, gdzie monarchowie właśnie odkryli, iż niewykluczone, że Ziemia jest okrągła, a przy tym pełna nieograbionych jeszcze krain.

– Odtąd tułasz się po świecie? Miesiąc tu, rok tam? Z miejsca na miejsce, z wiatrem wtór i takie tam?

– Coś w tym stylu. Nigdzie jeszcze nie zatrzymałem się tak długo jak tu.

Czekałem, aż powie mi, że jestem nieodpowiedzialnym egoistą albo przynajmniej najgorszym ojcem świata. Wyglądałem znaków, że już to sobie właśnie myśli. Ale choć wyraźnie była smutna, jej twarz miała nieprzenikniony wyraz. Straciłem poczucie czasu, zagapiwszy się na piegi na jej policzkach, aż w końcu zwały mi się zupełnie przed oczami, jak to zwykle bywa, gdy wzrok zaczyna się zastanawiać, co ty, do cholery, wyprawiasz, człowieku. Ona jednak nie odrywała oczu od drogi, pogrążona we własnych myślach.

– Wróciłem dziesięć lat później – powiedziałem, jakbym wcale nie milczał i nie gapił się na nią przez okrągłe trzy minuty. – Ale w kamuflażu. Z rozmów ludzi dowiedziałem się, że Odhiambo nie żyje. Tak zresztą jak i kilkoro innych moich dzieci. Wszyscy oni popełnili samobójstwo, Granuaile. Nie mogli znieść myśli o starości. I byli wściekli na mnie... nie dlatego, że za mną tęsknili, ale dlatego że odebrałem im eliksir wiecznej młodości.

– To, to po prostu...

– Wiem. Jedna z moich córek była sama w lesie. Zbierała zioła. Ukazałem jej się, żebyśmy mogli porozmawiać. Ucieszyła się na mój widok, ale gdy tylko się zorientowała, że nie zamierzam zostać i cofnąć procesu starzenia się, obraziła się i już się więcej nie uśmiechnęła. Nie zapytała o moje życie. Może zresztą zasłużyłem sobie na to. Dowiedziałem się, że moja rodzina przeklina nie tylko mnie, ale i moją żonę, bo zniszczyliśmy ich raj na ziemi, ich własną krainę wiecznego lata.

Granuaile powoli pokręciła głową i zmarszczyła brwi. Widać było, co o tym myśli, ale nic nie powiedziała.

– Wtedy właśnie postanowiłem sobie, że nikomu już nigdy nie dam tej herbaty. Dla moich dzieci i wnuków byłem tylko cyckiem z mlekiem wiecznej młodości. Z Tahirah u boku mogłem jeszcze to znosić, ale... Zacząłem się zastanawiać, czy i dla niej nie byłem też tylko tym. Nie wiem już teraz, czy ona w ogóle mnie kochała, rozumiesz? Może kochała tylko wieczną młodość i możliwość zachowywania młodości dzieci. Mówię sobie, nie, nie mogłaby mnie tak zwodzić przez dwieście lat, to musiała być prawdziwa miłość... ale nie opuszczają mnie wątpliwości. Moje wspomnienia utraciły blask.

– Nie wątp w nią, Atticusie – szepnęła Granuaile. – Nie wątp nigdy w jej miłość.

– Dlaczego?

– Bo ja... – Urwała, nie wiedząc, co dalej powiedzieć. Jej dłoń zawirowała w powietrzu, jakby chciała odgonić jakieś słowa. Po chwili zaczęła od nowa. – Bo masz rację. Nie zdołałaby cię zwodzić przez dwieście lat. Nikt by nie zdołał. Widziałbyś to w jej oczach, a nigdy nie widziałeś w nich fałszu, prawda? Sam powiedziałeś, że odnajdowałeś w nich spokój. Wiem, że skończyło się to w gówniany sposób... jeśli czegokolwiek nauczyłam się na filozofii, to właśnie tego, że w końcu wszystko kończy się takim czy innym gównem... ale przedtem miałeś dwieście lat szczęścia. I niewykluczone, że jesteś jedynym człowiekiem, który miał go aż tyle.

To rzeczywiście był bardzo pocieszający sposób patrzenia na tę sprawę, więc

kiwnąłem głową na znak, że się z nią zgadzam.

Wymieniliśmy uśmiechy z tych niewesołych, z zaciśniętymi mocno wargami, kiedy twoje oczy przepraszają za przeszłość, a usta wyrażają nadzieję na lepszą przyszłość. To dość dziwny sposób pocieszania, ale jakimś cudem działa we wszystkich kulturach i przeżył niejedną dynastię. Zadziałał też w naszym SUV-ie.

Po kilku kilometrach milczenia Granuaile otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, po czym zamknęła je, wydawszy z siebie tylko jakiś niejasny dźwięk. Niepewność.

– Co się stało? – spytałem.

– Muszę ci coś powiedzieć, ale nie chcę, żebyś się wściekł.

– Nikt by nie chciał, żeby jego sensei się wściekł, jako że złość na ucznia skutkuje zwykle rozmaitymi okrutnymi karami, jak na przykład czytanie *Kandyda*.

Uśmiechnęła się nerwowo, niepokojąco, czy żartując.

– Właśnie. Otóż... Żeby niczego nie ukrywać...

– Tak?

– Mój ojczym jest bossem naftowym w Kansas.

– Wiem, wspominałaś już o tym.

– Nienawidzę go – wycedziła, zaciskając palce na kierownicy.

– Tego sam się domyśliłem. Gdzie ta ukryta część informacji?

– Kiedy byłeś w Asgardzie, przeszłam Baolach Cruatan.

Tym mnie nieco zaskoczyła. Baolach Cruatan to próba odwagi i sprytu, którą dla nowicjuszy przeprowadzają starsi druidzi. Nie wszystkim nowicjuszom udaje się ją przeżyć. Pojęcia nie miałem, kiedy ani czy w ogóle naprawdę zaryzykowała przejście tego rytuału, ale to, że siedziała koło mnie, oznaczałoby, że jej się udało.

– Gratuluję. Przeżyłaś – powiedziałem. To między innymi właśnie ta druidzka praktyka znacząco ułatwiła świętemu Patrykowi nawracanie młodzieży: jeśli chodzi o ceremonie inicjacji, to krótkie zanurzenie w zimnej wodzie bije na łeb na szyję tajemniczy rytuał, podczas którego z pewnością będziesz umierać ze strachu, a być może nawet naprawdę. – Kto przeprowadził próbę?

– Flidais i Brighid.

– Obydwie? Widziałaś je razem? – A zatem śniadanie z Kojotem wcale nie było jej pierwszym spotkaniem z nieśmiertelnym.

Pokiwała głową.

– Chwileczkę – syknąłem, gdy po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, zaiskrzyła się we mnie złość na Granuaile. – Złożyły ci wizytę dwie przedstawicielki Tuatha Dé Danann, a ty zapomniałaś mi o tym wspomnieć? Wydawało ci się to irrelevantne czy co?

– Wstydziałam się tego, co się stało.

– Okej – przerwałem jej. – Nic mnie nie obchodzi, co się stało, bo fakty są takie, że przeżyłaś. Twój błąd polegał tylko na tym, że zwyciężyły w tobie emocje i mi o tym nie powiedziałaś. Właśnie zakończyłem pracować z Morrigan nad tym, żeby oszukać Tuatha Dé Danann i przekonać ich, że zginąłem, a ty mi mówisz, że one cię widziały?!

– Ale to było całe tygodnie temu, kiedy byłeś w Asgardzie, zanim jeszcze upozorowałeś swoją śmierć.

– Rozumiem, ale kiedy usłyszą o mojej śmierci, zaczną się martwić, co się stało z moją uczennicą... uczennicą, która przeżyła Baolach Cruatan. Być może nawet będą chciały zaopiekować się tobą i dokończyć twoje szkolenie.

– Przecież ledwo co upozorowaliśmy moją śmierć – zaoponowała.

– Nie. Nie zaplanowałem jej tak, żeby oszukać też faerie, bo byłem przekonany, że w ogóle się tobą nie będą interesować. Chodzi o to, że musisz mi meldować o każdym napotkanym bogu bez wyjątku, ponieważ jeszcze nie znasz całokształtu sytuacji. Jeśli teraz zainteresuje się tobą Brighid, pošle pewnie Flidais na miejsce zbrodni, a ta od razu nas namierzy.

Granuaile zacisnęła palce na kierownicy, potem poluzowała uścisk i znów je zacisnęła. Naprawdę się przejęła.

– Przepraszam – powiedziała.

Nie od razu przyjąłem jej przeprosiny. Wyrzuty sumienia dobrze jej zrobią. Wskazałem na żeliwny amulet, który wisiał na złotym łańcuszku na jej koszulce.

– Nosilaś to cały czas? Nawet w tym obłądnie wczoraj?

– No, już się do niego przyzwyczaiłam.

– To dobrze. Jest szansa, że wróżby Brighid nie zdołają cię namierzyć, póki masz to przy sobie. Żelazo nie jest jeszcze splecione z twoją aurą, ale być może wystarczy, że masz je blisko ciała. A jeśli żelazo zadziała, być może Brighid rzeczywiście uwierzy w twoją śmierć i nie wyśle Flidais na poszukiwania.

– Chyba że przypomni sobie, że miałam ten amulet podczas Baolach Cruatan, a wtedy i tak wyśle Flidais – wybąkała.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Świetne rozumowanie.

Granuaile zmarszczyła czoło.

– Naprawdę myślisz, że Flidais może nas namierzyć? Zmieniliśmy przecież samochód, byliśmy w dwóch restauracjach, w hotelu, szpitalu i u weterynarza. Skąd by się miała domyślić, że teraz będziemy w rezerwacie?

– Nie wiem. Ale nie musi tego wcale robić w ten sposób.

Granuaile oderwała lewą dłoń od kierownicy i zrobiła gest wyrażający bezradność.

– A jak inaczej miałaby to zrobić?

– Masz w kieszeni kuleczkę z turkusów.

– Oj... Ona po prostu spyta Sonory.

– A Sonora wie dokładnie, gdzie jesteś, bo masz tę kuleczkę.

Wydęła wargi.

– Muszę się jej pozbyć, tak? – Pokiwałem głową, starając się nie zwracać uwagi na jej wargi, wydęte jak do pocałunku. Miałem przecież być na nią zły. – Przecież nie mogę jej tak po prostu wyrzucić przez okno! – zaprotestowała.

– Nie. Zatrzymaj się.

Wykonała moje polecenie i wysiedliśmy z SUV-a. Przeszła na moją stronę samochodu, a ja wyciągnąłem dłoń.

– Pokaż mi to.

Granuaile niechętnie wyciągnęła kulkę z kieszeni dzinsów i skrzywiła się.

– Mogę się z nią pożegnać?

– Jesteśmy na wyżynie Kolorado. Sonora cię stąd nie usłyszy.

– Przecież jej tu tak nie zostawimy!

– Nie – powiedziałem, zdejmując sandały. – Poproszę Kolorado, żeby oddał ją Sonorze przez ziemię, a potem wyjaśnię mu starannie, że chcielibyśmy zachować twoje istnienie w tajemnicy przed wszystkimi, a w szczególności przed Tuatha Dé Danann. Kolorado przekaze tę prośbę żywołakom na całym świecie. Przez całe wieki trzymały w sekrecie moją lokalizację, mają więc wprawę.

– Czy to znaczy, że już nie mogę rozmawiać z Sonorą?

– Chwilowo nie. Ale przy najbliższej okazji możemy poprosić o nową kulkę. Zresztą poza jego terytorium i tak byś nie mogła z nim gadać.

– Z nią.

– Co? A tak. Z nią. A co miałaś mi powiedzieć, zanim skupiliśmy się na naszych problemach z zaufaniem?

Granuaile patrzyła z żalem, jak kładę malutki kawałek Sonory na ziemi, i tak była pogrążona w rozpacz, że moje pytanie zupełnie ją zaskoczyło.

– Problemach z zaufaniem? – Spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach. – Przestałeś mi ufać?

– Celowo coś przede mną ukryłaś. Nie mówię tu o osobistych tajemnicach, bo tych możesz sobie mieć, ile ci się żywnie podoba. Ale mówię o informacji, którą zachowałam w sekrecie, mimo że dobrze wiedziałas, iż powinnaś mi o tym powiedzieć. I domyślam się, że Oberona też przekonałaś do milczenia. Nie ma żadnych praw zwalczających psią korupcję, ale powinny być, do cholery.

– Tak mi głupio, Atticusie! – powiedziała. – Chciałam ci wszystko wytłumaczyć, ale mi przerwałeś. Dasz mi teraz dokończyć?

Skinąłem głową.

– Dawaj.

– Dobra, to cofka w opowieści: mówiłam ci o moim ojczymie. Nazywa się Beau Thatcher. To wielki kutas przebrany w garnitur. To z myślą o nim zdecydowałam się na Baolach Cruatan. Nie powiedziałam ci całej prawdy o tym, dlaczego chcę zostać druidką.

– Aha – mruknąłem i złożyłem dłonie w oczekującym geście.

Wzięła głęboki wdech i podjęła opowieść:

– Generalnie chodzi o to, że chcę być jego przeciwieństwem. Ale też jego pokutą. Chcę kompletnie zniszczyć jego firmę, chcę go doprowadzić do bankructwa. To facet, który śmieje się w głos z ludzi, którzy przejmują się wyciekami ropy. Najbardziej śmiał się z tego w Zatoce Meksykańskiej, bo odcięto od niego dziennikarzy, podkupiono okolicznych biologów, a firma i tak przynosi zabójcze dochody. Ile wtedy zginęło zwierząt, ile gatunków zabito za jednym zamachem, przecież okolica nie odżyje przez całe dziesięciolecie! A on się śmiał, sensei.

– Jak słusznie zauważyłaś, to kutas w garniturze.

– Ale ja tego nie mogę znieść! – zawyla z wściekłości i zacisnęła pięści. Potem cichszym głosem dodała: – Czasami moja złość mnie aż przeraża. Czy nigdy nie czuleś czegoś takiego? Nie spotkałeś takich ludzi?

– Znam to uczucie. Ale zapobieganie ekologicznym katastrofom nie jest głównym celem druidów. Gaja przeżyła dinozaury i przeżyje też wszystkich kutasów

w garniturach, choćby nie wiem co jej robili. Ten i każdy wyciek ropy w końcu zostanie zneutralizowany. My mamy się zająć ochroną magii ziemi. To po to stworzono pierwszych druidów, czyli Tuatha Dé Danann. Po tamtym wydarzeniu z Saharą, o którym ci opowiadałem, gdy pewien czarnoksiężnik przejął moc żywiołaka, Gaja zrozumiała, że potrzebuje pomocników, którzy mogliby zapobiec podobnym katastrofom w przyszłości. Na tych pomocników wybrano dzieci Danu. U ich stóp pojawiły się kulki takie jak te. – Wskazałem na turkus od Sonory. – A gdy Tuatha Dé Danann podnieśli je, zaczęły do nich przemawiać żywiołaki, nauczać ich, prowadzić, aż w końcu udało im się wspólnie po raz pierwszy spleść człowieka z ziemią. Ale mimo to Tuatha Dé Danann nie miotają się jak dzicy, żeby zapobiegać wycince Puszczy Amazońskiej czy budowaniu zapory na rzece Kolorado.

– No? I dlaczego nie? Nie szanują przyrody? A ty?

– Oczywiście, że szanują, ja też. Ale nawet jeśli spore części tej przyrody wydają się tak durne, jakby nie zasługiwały na życie, i tak musimy im pozwolić żyć. Chyba że próbują nas zabić.

Granuaile przykucnęła przy mnie i popatrzyła na kulkę. Miałem dzięki temu wyśmienitą okazję, żeby zupełnie bezkarnie pogapić się na jej twarz, z której to okazji natychmiast skorzystałem. Po kilku złotych chwilach słońca igrającego na jej skroni powiedziała:

– Chyba wiem już, o co ci chodzi. Kiedy Sonora opowiadała mi o roślinach i zwierzętach żyjących w rzece Verde, o każdym komarze czy nudnym zielsku mówiła z taką samą miłością, co o pstrągach czy platanach. Zaraziła mnie miłością do tego wszystkiego. Chciałam to chronić za wszelką cenę. – Podniosła wzrok. Uśmiechała się przez łzy, co czyniło jej twarz aż cudownie pocieszoną. Jej uśmiech zdrzął i po chwili zastąpiło go łkanie. – Ale nie mogłam. Nie mogłam ich chronić, bo musiałam zabić tę jawelinę. Byłam taka wściekła na boginie, że mnie do tego zmusiły. – Urwała i wzięła głęboki oddech. Otarła łzy z policzków. – Ale myślę, że teraz już rozumiem mądrość całego procesu. – Na jej usta wrócił uśmiech, ale słabszy. – Tak jest dobrze. Nie można po prostu wypowiedzieć kilku słów i zostać przyjętym. Musisz poczuć wielką odpowiedzialność, nim dostaniesz wielką moc.

Nietrudno mi było zrozumieć, dlaczego przeszła próbę u Brighid. Z taką emocjonalną siłą będzie na pewno świetnym obrońcą ziemi, a wręcz prawdziwym skurczybykiem. Rytuał Baolach Cruatan wymagał szybkiego myślenia, a broń była niedozwolona, więc albo zabiła to pekari gołymi rękami, albo czymś, co akurat miała pod ręką. Coś mi się tu jednak nadal nie zgadzało.

– Słuchaj, cieszę się, że doznałaś olśnienia, ale nadal nie rozumiem, czemu w ogóle ukrywałaś przede mną to wszystko, a w szczególności spotkanie z Brighid i Flidais.

– Miałam mętlik w głowie. Nie byłam pewna, co mam myśleć o wszystkim, co się stało. Nie wiedziałam, czy byłbyś ze mnie dumny, ale wiesz co? To nie ma znaczenia. Powinnam była ci od razu powiedzieć. Masz rację i przepraszam. To się nie powtórzy.

– Dobra – powiedziałem. – Jak świat światem uczniowie ukrywają różne rzeczy przed swoimi mistrzami. Jest to tradycja irytująca, ale dziwnie trwała. Też tak robiłem, kiedy byłem uczniem. Archidruoid bił mnie do krwi i wyzywał od

zidiociałego gówna, bo w ten sposób zwykł przekazywać prawdy życiowe. Mam nadzieję, że ja nie muszę tego robić, żeby przekazać ci, jak ważne jest, byś zawsze informowała mnie o wszelkich spotkaniach z bogami. Prawda?

– Nie musisz – zapewniła mnie Granuaile i pokręciła głową. – Wiem, że kompletnie spieprzyłam sprawę, i mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Biorąc pod uwagę to, jak świetnie sobie radzisz pod każdym innym względem, chyba mogę ci wybaczyć. Jeśli za dwanaście lat nadal będziesz czuła potrzebę zniszczenia ojczymowi firmy, nie będę cię powstrzymywał. Choć to ci zajmie tylko chwilkę, więc radziłbym pomyśleć o jakichś ambitniejszych rzeczach, które byś chciała wtedy osiągnąć.

– Jak na razie to głównie bym chciała znaleźć jakieś bezpieczne miejsce na dokończenie nauki.

– No tak – przytaknąłem. – Pracuję nad tym.

Wystarczyła jedna milcząca rozmowa z Kolorado i turkus Sonory zniknął w ziemi, a Granuaile wydała z siebie tęskne:

– Och.

Po chwili na powierzchni ziemi pojawiła się inna kuleczka – utoczona z piaskowca o różnych odcieniach, trochę jak gazowy olbrzym w miniaturze.

– Kolorado pozdrawia – rzekłem, a twarz Granuaile rozpromieniła się w uśmiechu. Podniosłem kulkę. – Ale tym razem żadnego angielskiego. Musisz posługiwać się przy nim swoją łacińską przestrzenią umysłową. Znaczą przy niej. Dlatego zatrzymam tę kulkę do czasu, kiedy będziesz na to gotowa.

Rozczarowanie zdusiło jej uśmiech, gdy schowałem kulkę do kieszeni, ale zaraz zniknęło z jej twarzy i zastąpiła je determinacja.

– Już wkrótce będę gotowa – oświadczyła Granuaile.

Uśmiechnąłem się.

– Wiem.

Rozdział 23

Tym razem zatrzymaliśmy się przy kopalni na długo przed zmrokiem. Znów działała, ale jednak nie pełną parą. Część nowego sprzętu dopiero pewnie była w drodze. Widać było, że zrobią wszystko, by męczyć ziemię, jak najszybciej się da. Wszystko, co zrobię dzisiaj, będę najprawdopodobniej musiał powtórzyć jutro i pojutrze, i jeszcze za jakiś czas, aż w końcu straty okażą się większe niż zyski.

Korporacje zabija się trudniej niż bogów.

Zostawiłem Granuaile w samochodzie z laptopem i obiecałem, że wrócę za parę godzin. Wokół kopalni wyraźnie podkreślono ochronę. Faceci w wykrochmalonych mundurach patrolowali obszar przed bramą. Mieli nawet psa. Uśmiechnąłem się. Nie ma na tym świecie psa, który by na mnie szczeknął, jeśli tego nie chcę.

Zakamuflowany wślizgnąłem się na teren kopalni i ruszyłem w stronę pracującej maszynierii. Podobnie jak poprzednio zamierzałem splatać silnik po silniku w taki sposób, że nigdy już do niczego się nie nadadzą. Jednak od razu po pierwszym sabotażu robotnik zgłosił usterkę i wszczęto alarm. Wszyscy mieli natychmiast zgasić silniki, zanim dziwna awaria się rozprzestrzeni. Chyba wydawało im się, że jacyś hipisi dolali im czegoś egzotycznego do paliwa, bo zaczęli wylewać je z baków, wpompowywać jakiś detergent, a potem wlewać nowe paliwo. Ubawiło mnie to bardzo. Gdy oni skupieni byli na paliwie, wędrowałem od maszyny do maszyny i ostrożnie otwierałem każdy silnik, po czym splatałem raz na zawsze cylindry. Co tym razem wymyślą? Czy będą się trzymać tej samej teorii, rozumując, że po prostu nie zauważyli sabotażu na czas, czy wymyślą jakąś inną?

Byłem prawie pewien, że okoliczni ekoaktywiści będą musieli odpowiedzieć na kilka pytań w sprawie tych tajemniczych awarii. To ich oczywiście zirytuje, ale uciszyłem wyrzuty sumienia myślą, że przecież tak naprawdę będą odczuwać wielką *Schadenfreude* na myśl o stratach finansowych kopalni. Ja w każdym razie świetnie się bawiłem, słuchając tego przeklinania.

Miałem nadzieję, że będzie to stanowiło dla Kolorado dostateczny dowód na to, iż naprawdę jestem gotów zrobić wszystko, by zamknąć tę kopalnię. Być może teraz żywołak rozpocznie prace nad przesuwaniem złota, a tym samym uwolni mnie wreszcie z łap Kojota.

Rozdział 24

Słońce zachodziło już za piaskowe skały stoliwa Tyende, gdy wjechaliśmy na budowę Kojota. Nasz przyjazd wystraszył wrony i zacząłem się zastanawiać, co je tu w ogóle przyciągnęło.

Pierwszy hogan był już zupełnie zakończony, także jeśli chodzi o osłonę, i rozpoczęto pracę nad budynkiem administracyjnym kopalni. Kojot już na nas czekał i na nasz widok podszedł szybko, żeby zamienić kilka słów poza zasięgiem słuchu pozostałych.

– Witamy z powrotem, panie Druid. Jak tam pańskie sprawy w mieście? Załatwione?

– Tak. O ile się nie mylę, wampiry, o których wspominałeś, powinny zacząć znikać.

– Ho, ho. Naprawdę?

– Tak sądzę.

– To dobrze. A kiedy to wreszcie zobaczę moje złoto?

– Pracuję nad tym, nic się nie martw. Domyślam się, że nie zająłeś się pod moją nieobecność skórokształtnymi?

– Jasne, że nie. To gówno to nie mój problem.

– Mój też nie. Umówiliśmy się na podsuniecie złota pod stoliwo, a nie na oczyszczanie okolicy z pasożytów.

Kojot splunął na ziemię, zmrużył oczy i powtórzył:

– Ho, ho. Naprawdę?

– Wiesz, że tak właśnie było.

– Dobra – rzekł Kojot, widząc, że zbliżają się pozostali. Był to Ben Keonie i jeszcze jeden z robotników. – Moja robota na dziś już zakończona. Do zobaczenia jutro, panie Druid. Dobranoc, panno Druid. – Zajrzał do naszego SUV-a i zorientował się, że kogoś brakuje. – Hej, a co się stało z waszym psem?

– Nieważne – warknąłem. – Zakończyłeś już przecież swoją robotę na dziś, cokolwiek tu robiłeś. Słodkich snów.

Zignorował mnie zupełnie i zwrócił się do Granuaile.

– Co wyście zrobili? Zostawiliście psa w mieście czy jak?

– A zostawiłeś nam w hoganie coś do jedzenia? – spytała Granuaile, zamiast mu odpowiedzieć. – Czy wszystko sam zeżarłeś?

Kojot znów splunął i leniwie podrapał się po piersi.

– A więc to tak. Dobra. Tak też może być. Przekłęci druidzi.

Odwrócił się i ruszył do swojego czarnego pikapa. Ciekawe, co się stało z tamtym niebieskim, którego miał jeszcze kilka dni temu.

Po zachodzie słońca drastycznie spadła temperatura. Pośpieszyliśmy z Granuaile w stronę hoganu. Ben Keonie powitał nas z uśmiechem, ale widać było, że on i jego ekipa są rozczarowani nieobecnością Oberona. Ben z pewnością liczył na kolejną zabawę w przeciąganie liny i wyglądało też na to, że przyjacielskie obwąchiwanie tyłków przez Oberona zyskało mu popularność wśród robotników.

Przyłączyli się do nas i razem poszliśmy w kierunku hoganu.

Po jednej stronie hoganu stały teraz piętrowe łóżka. Na jednym z nich leżała Sophie Betsuie ze wzrokiem wlepionym w jakieś e-urządzenie do czytania, ale udało jej się oderwać od niego na tyle długo, by nam pomachać.

Na środku pomieszczenia było już tylko zwykłe palenisko, a skały wulkaniczne zniknęły. Na składanym metalowym krzeselku siedział przy karcianym stoliku Frank Chischilly i przy naftowej lampce czytał dzieła zebrane Edgara Allana Poe.

Zauważył, że spojrzałem na tytuł, i powiedział:

– Chyba mam niedosyt upiorów i innego badziewia, he he he. – Wsunął zakładkę między kartki, zamknął książkę i wstał, żeby wyciągnąć do nas dłoń na powitanie. – A co tam u państwa?

Usiedliśmy z nim przy stoliku karcianym i Granuaile powiedziała:

– Robi się tu bardzo przytulnie.

– Tak, trochę tu wygodniej – zgodził się Frank, kiwając głową. – Trzeba się tym cieszyć, póki czas, bo już jutro zaczynamy Błogosławioną Drogę w drugim budynku. – Wskazał kciukiem w kierunku niedokończonej budowli.

– Jakież problemy z okoliczną fauną? – spytałem.

Frank dobrze wiedział, co mam na myśli. Pokręcił głową.

– U nas nie. Ale słyszałem, że wyżej na stoliwie zniknęło wczoraj kilku turystów. Nie sądzę, żeby się kiedykolwiek odnaleźli. Skórokształtni pojawiali się w nocy, ale tylko pogrozili nam trochę i nic poza tym. Ten hogan jest już zupełnie osłonięty. Tu nas nie dorwą.

– To by mogły być niezłe ostatnie słowa – powiedziałem.

Frank zaśmiał się ochryple.

– Mogłyby, mogły. Zawsze marzyło mi się, że powiem coś niezłego, zanim sobie pójdę z tego świata. Może „Uwolnić Leonarda Peltiera!” albo „Gdzieś mam wasze kolonialistyczne szkoły z internatem!”^[1]

Rozmawialiśmy sobie miło o tym i owym przez kilka minut, a potem Frank zaproponował partyjkę w karty.

– Umiecie grać w pinochle? – zapytał.

– Jasne – powiedziałem. – Nauczyłem się kiedyś w Ohio.

– Nauczycie mnie? – poprosiła Granuaile.

– I mnie? – dodał Ben.

Uśmiechnął się do Granuaile, być może by dodać jej otuchy i pokazać, że nie ona jedna będzie zielona. Ale może dlatego, że działała na niego tak samo jak na mnie i na większość facetów. Zaproponował, że przyniesie nam coś do picia, i ruszył do przenośnej lodówki, która stała niedaleko. Ukradkiem uniosłem brwi w kpiącym spojrzeniu, ale Granuaile przez zaciśnięte zęby wycedziła:

– Zamknij się, sensei.

Usłyszał to Ben i spytał:

– Dlaczego mówi pani na niego sensei, skoro jest pani bratem?

– Och – wybąkała Granuaile, przyłapana na wyjściu z roli. Po ułamku sekundy jednak z wdziękiem powiedziała prawdę: – Uczy mnie sztuk walki, więc nazywam go tak, żeby wyzbyć się niepotrzebnej rywalizacji typowej dla rodzeństwa. Łatwiej

mi się ćwicz, kiedy postrzegam go jako nauczyciela, rozumie pan?

Ben pokiwał głową.

– No jasne – rzekł, podając nam puszki z mrożoną herbatą.

Rozdaliśmy karty, wygrałem licytację i właśnie miałem określić karo jako kolor atutowy, kiedy rozległ się wrzask skórokształtnych. Ben wylał na siebie herbatę, klnąc siarczyście, ale przekleństwa zamarły mu na ustach, gdy usłyszeliśmy huk i trzask łamanego drewna od zachodu, to jest z kierunku, gdzie stał niedokończony budynek administracyjny. Wstałem i podszedłem do zachodniej ściany, a odgłosy destrukcji nie ustawały. Przyłożyłem twarz do belki i na chwilę rozplotłem celulozę przed oczami. Drewno posłusznie rozstąpiło się, tworząc przede mną dziurkę – trochę jak na czołówce Jamesa Bonda, tylko wcale nie zobaczyłem przez nią seksownych sylwetek pięknych kobiet. Włączyłem noktowizję i ujrzałem zamazujący się kształt jednego ze skórokształtnych, który właśnie odwalał popisowy numer Hulka na materiałach budowlanych. Nam nie mógł nic zrobić w osłoniętym przez hataańiego hoganie, ale wszystko na zewnątrz było praktycznie do jego dyspozycji. Sprawnie przerabiał grube belki na zapalki. Ale gdzie się podziewał drugi skórokształtny?

Odpowiedź pojawiła się sama – zza moich pleców. Od wschodu, tam gdzie stały pikapy i nowiutki SUV Granuaile, usłyszałem zgrzyt metalu i trzask rozpryskującego się szkła, dobitnie świadczący o tym, że skórokształtny specjalizuje się w darmowym złomowaniu. Patrzyłem, jak pierwszy rozkłada na czynniki pierwsze materiały budowlane, a Ben i pozostali rzucili się na drugi koniec hoganu i przycisnęli uszy do wschodniej ściany. Mój skórokształtny wyglądał na zupełnie już zdrowego i tak na ucho ten drugi też był w niezłej formie. Choć ich siła porównywalna była z tą u najsłabszych wampirów, to ich prędkość znacznie przekraczała wszystko, co kiedykolwiek widziałem u Leifa i do czego sam byłbym zdolny. Nie miałem żadnych szans na spranie tych typków, chyba że jakimś cudem trafiłbym w nich Moralltchem. Na to nie miałem jednak nawet cienia gwarancji. Wiedziałem już z doświadczenia, jak prędko są w stanie mnie pokonać i zeżreć. Byli po prostu za szybcy. Trzeba zacząć od spowolnienia ich jakoś.

– To był mój SUV, nie? – mruknęła Granuaile, gdy usłyszeliśmy hałas, w którym jakby słycać było nutkę nowiutkiego samochodu. – Szlag by to trafił. Niby jak to wytłumaczę firmie ubezpieczeniowej?

– Że straciła pani kontrolę nad wozem i skończyło się dachowaniem – usłużnie podpowiedział jej Ben.

– No. Tylko że pewnie będą ślady pazurów na lakierze albo łap, albo czegoś takiego, i wtedy co? Jak powiem tej małej jaszczurce w telefonie, że skórokształtny zmiądzzył mi SUV-a, to myśli pan, że przyzna mi odszkodowanie? Bo jakoś wątpię.

Frank Chischilly stanął tuż przy mnie i cicho powiedział:

– Nie rozumiem, dlaczego zrobili to dopiero teraz.

– Bo już nie są pod wpływem klątwy Głodu – odpowiedziałem równie cicho. – Klątwa chyba trochę zawężyła im horyzonty. Teraz są zdrowi i po prostu chcą, żebyśmy opuścili ich terytorium, więc robią wszystko, żeby pobyt tutaj drogo nas kosztował. – Sophie Betsuie zeskoczyła z łóżka i podeszła do nas, gdy właśnie mówiłem do Franka: – Teraz są niebezpieczniejsi. Bystrzejsi. Obawiam się, że jeśli

się nie wycofamy, zaczną schodzić w dół stoliwa i zamęczać ludzi z okolicy, żeby dodać ludzkie koszty do tego, co już i tak straciliśmy.

– To by nie było dobre – mruknął Frank. – U podnóża stoliwa jest mnóstwo rancz.

– Wszystkie budynki są osłonięte przez Błogosławioną Drogę, tak?

– No, tylko że ci ludzie nie wiedzą, że mają w nich siedzieć od zmierzchu do świtu. A nawet gdyby wiedzieli, to skórokszałtni mogą się przecież dostać do ich owiec i takich tam. Zniszczyć wszystko, z czego żyją. A część z nich i tak ledwo wiąże koniec z końcem.

Usłyszawszy końcówkę naszej rozmowy, Sophie odezwała się poważnie zaniepokojona:

– Moja babcia tam mieszka.

Bogowie niejedyni. Jak Kojot mógł sobie po prostu oświadczyć, że skończył już robotę na dzisiaj, i pojechać?

Frank zatknął kciuki za szlufki i westchnął.

– Jakies pomysły, jak ich powstrzymać, panie Collins?

Sophie popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Czemu jego o to pytasz?

– Bo... to całkiem bystry chłopak – odrzekł Frank.

To oświadczenie mocno ją zaskoczyło. Popatrzyła na mnie zbita z tropu, jakby usiłowała pojąć, skąd taka ocena mojego intelektu, oraz zrozumieć, jakim cudem nawet najwyższe IQ świata miałyby mnie czynić większym ekspertem w sprawie skórokszałtnych od hataańskiego. Jej wzrok zawisł na moich tatuażach i twarz jej się zachmurzyła. Być może myślała sobie, że nikt, kto spędził tyle czasu pod igłą, nie może być przesadnie inteligentny.

– Bystra to i ja jestem – syknęła w końcu.

– A co powiedział o tej sytuacji pan Benally? – spytałem, licząc na to, że to odwróci jej uwagę od mojej wątpliwej inteligencji. Sophie, Ben i reszta może i wiedzieli wszystko o skórokszałtnych, ale nie wiedzieli, kim jestem – poza tym, że dziwolągami, który sprawia, że kamienie znikają, i którego dobrze mieć przy sobie, kiedy jakieś potwory skaczą ci po dachu. Bogowie jedni wiedzą, co sądzili na temat tożsamości Kojota. Wydawało mi się jednak, że poza Frankiem żadne z nich nie podejrzewało nawet, że pracują z jednym z Pierwszych Ludzi.

– Chyba liczy na to, że rozwiążę ten problem tak, jak zapowiedziałem kilka dni temu – powiedział Frank. – Tylko że ja już nie mam pomysłów. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że powinnaś zadzwonić do babci, Sophie, i kazać jej się zamknąć w domu i nie wychodzić, póki to nie minie.

Sophie natychmiast wyciągnęła komórkę i odsunęła się od nas, żeby mieć trochę spokoju. Gdy tylko to zrobiła, hałas złomującopodobny przybrał na sile, uznałem więc, że lepiej rzucić na to okiem. Wrzaski, od których już i tak niemal pękały bębniaki w uszach, też jakby się nasiliły. Zrobiłem sobie dziurkę we wschodniej ścianie i zdążyłem akurat zobaczyć, jak obaj skórokszałtni usiłują podnieść SUV-a Granuaile, aż się trzęsąc z wysiłku i drąc przeraźliwie. Resztki pozostałych samochodów rozrzucone były wokół niczym cementarz pikapów.

– Dobra wiadomość jest taka, że to, co słyszeliśmy, to jednak nie był twój

SUV, Granuaile – powiedziałem. – A zła, że oni chyba chcą go na nas rzucić, jeśli dobrze interpretuję ich zachowanie.

– Tylko sobie znowu żartujesz, prawda? – jęknęła z nadzieją w głosie Granuaile.

Skórokształtni unieśli SUV-a nad głowami, spojrzeli po sobie i skinęli na znak, że zaczynają odliczanie. Zdążyłem pomyśleć, że to zadziwiające, iż ludzkie gardła w ogóle są zdolne do wyprodukowania tak nieludzkich dźwięków oraz że ich strategia wcale nie jest taka głupia: oni sami nie mogli wprawdzie nawet dotknąć teraz hoganu, ale Błogosławiona Droga nie chroniła nas przecież przed zniszczeniami dokonanymi za pomocą zwykłych przedmiotów.

– Nie żartuję! – wrzasnąłem. – Wszyscy pod ścianę! Szybko!

Granuaile chwyciła skupioną na telefonie Sophie, a Frank i Ben zapędzili resztę ekipy. Odwróciłem się i spojrzałem na belki nad nami. Na nich położona była ziemia i niewykluczone, że konstrukcja ta była na tyle mocna, by wytrzymać cios. Być może skończy się na kilku drzazgach i pęknięciach, a samochód po prostu zsunie się z dachu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Z drugiej strony uderzenie półtonowym autem prawdopodobnie przekraczało przewidzianą wytrzymałość tego budynku. Pojęcia nie miałem, co się stanie z osłoną Błogosławionej Drogi, kiedy fizyczna struktura hoganu zostanie naruszona. Czy to utworzy też dziurę w magicznej warstwie i skórokształtni będą mogli przez nią wskoczyć do środka? Wolałem tego nie sprawdzać na własnej skórze. Zdecydowałem się na rozwiązanie w stylu Gregora Samsy: pozwolić jabłku wbić się w tułów – to jest w tym przypadku: SUV-owi w dach. Crescendo wściekłości wydobywające się z gardeł skórokształtnych świadczyło o tym, że wóz Granuaile już jest w drodze, więc zacząłem szeptać splot wzmacniający belki, na koniec zostawiając sobie określenie jego celu. Samochód uderzył niemal nad moją głową, zaraz przy ścianie, gdzie przestrzenie między belkami były najszersze. Wtedy szybko ustaliłem zakres splotu na przestrzeń wokół tych właśnie belek, które już chrzęściły pod siłą ataku. Posypały się drzazgi, a ja podkręciłem moc splotu, który ledwie zdołał ocalić moją głowę przed spotkaniem z latającym samochodem. Z drugiej strony hoganu dobywało się kilka przerażonych krzyków, ale zablokowałem je. Struktura dachu była teraz zupełnie niestabilna i dosłownie zapadała się na moich oczach. Ten materiał nie był wystarczająco silny, by utrzymać ciężar SUV-a, i magiczne podtrzymywanie go niewiele tu dawało. Widać już było dach samochodu, a podłoga hoganu usłana była drzazgami. Niewiele więcej mogłem zrobić, żeby wzmocnić konstrukcję dachu... chyba że SUV stałby się częścią tej konstrukcji! Ha!

Współczesne pojazdy produkuje się w dużej mierze z materiałów syntetycznych – z włókien szklanych i plastiku, ale część podwozia nadal budowana jest z dóbr wydobywanych z ziemi. Maski i przednie koło już prawie wchodziły do hoganu i ujrzałem wreszcie potrzebny mi materiał. Rozplotłem wszelki metal, jaki udało mi się znaleźć, i splotłem go ponownie z celulozą w nadwerężonych belkach – tak samo jak zrobiłem ze skałami wulkanicznymi kilka nocy wcześniej. Połamane, poniszczone belki zmieniły się tym samym we wzmocnione stałą pręty. To wystarczyło, by powstrzymać dalsze pęknięcie i osypywanie się drzazg oraz utrzymać ciężar samochodu. Z ledwością, ale jednak.

Skórokształtni bardzo byli rozczarowani, że lśniący wóz Granuaile nie przeleciał przez dach – tak strasznie rozczarowani, że odbili się od ziemi i skoczyli na podwozie SUV-a, by zacząć po nim skakać i naprawić nieudaną akcję. Tak jak się obawiałem, Błogosławiona Droga nie obejmowała przedmiotów obcych, ale moje sploty sprawiły, że SUV ani drgnął. Rozwścieczeni skórokształtni wydarli tłumik i całą masę innych samochodowych gadżetów, których nazw nigdy się nie nauczyłem. Chcieli się dostać do kabiny. To nie wyglądało dobrze. Jeśli im się uda, wystarczy, że wybiją okna i będą mogli nas wszystkich pozabijać. Mogą zresztą swoją nadludzką siłą po prostu rozerwać dach i zeskoczyć na podłogę hoganu.

Odsunąłem się od ściany i skupiłem na stalowych ramach piętrowych łóżek. Nie mając czasu na szukanie śrubokrętu, odplotłem śrubki i wyrwałem jeden z prętów. W oczach Franka i pozostałych musiało to wyglądać tak, jakbym po prostu gołymi rękami oderwał stalową rurkę od ramy łóżka. Pobierając moc ziemi – bogom dzięki, że ekipa Bena preferowała tradycyjne rozwiązania i nie wylała tu żadnego betonu – namierzyłem kabinę pasażera i pchnąłem w nią pręt z całych sił, jakich użył mi Kolorado (a było tego niemało). SUV zazgrzytał i uniósł się wysoko, a skórokształtni spadli z niego pokracznie na dach, gdzie natychmiast poparzyło ich światło Błogosławionej Drogi, a potem na ziemię, gdzie znowu dostali magicznie w kość. Ryk bólu był głośniejszy niż wszystko, co dotąd słyszeliśmy z ich ust, ale stanowił prawdziwą rozkosz dla naszych uszu. SUV Granuaile opadł na swoje miejsce w dachu, a ja machnąłem na Franka, żeby podbiegł do mnie, bo musiałem mu coś powiedzieć. Sophie zupełnie przegapiła całe zajście. Skulona przy ścianie, odwrócona do nas plecami wciąż próbowała przekonać babcię, żeby nie wyściubiła nosa z domu.

Frank już był przy mnie, więc poprosiłem:

– Pogroziłby im pan w waszym języku?

– Pogrozić, że co?

– Nie wiem. Niech pan coś wymyśli. Musimy ich jakoś zastraszyć, żeby nie atakowali nas całą noc. Proszę im powiedzieć, że mamy włócznie ze światła. Cokolwiek. Byle trochę się przestraszyli.

Frank zaczął wykrzykiwać coś zupełnie dla mnie niezrozumiałego, a ja spytałem Bena Keonie, czy mógłbym znów pożyczyć od niego nóż. Podał mi go bez żadnych pytań, a ja zacząłem strugać kołki z małej sterty drewna na opał. Granuaile podeszła, przykucnęła i popatrzyła na swojego SUV-a wtopionego w dach.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło, co? – powiedziała.

– Miejmy nadzieję, że porządnie ich poparzyło i że Frank umie dobrze blefować – odparłem. – Są teraz znacznie bystrzejsi niż przedtem. A nie mam już czym w nich rzucać. Ich magia mnie przerasta.

– Kolorado nie mógłby cię napompować magią, żebyś im dorównywał mocą?

– spytała. – Na moje oko jak na razie dajesz sobie świetnie radę.

Ale w jej głosie wyczułem niepokój, który mnie z kolei zaniepokoił.

– Nie, Granuaile. Ta nawahijska magia jest znacznie potężniejsza od mojej – przyznałem. – Za tymi ludźmi stoją jakieś niezwykle stare duchy. Są pewnie w stanie podpompować te ciała znacznie skuteczniej, niż Kolorado mógłby napompować mnie. Może i nie są silniejsze, ale są znacznie szybsze. Ja tylko wykorzystuję potęgę

osłony Franka, nic poza tym. Druidzi nie są wszechmocni. Gaja daje nam lekką przewagę nad zwykłymi ludźmi, ale koniec końców wszystko zawsze zależy od naszego własnego sprytu i odpowiedniego poziomu paranoi. To te cechy pozwalają ci dożyć poranka, a nie jakaś nadludzka siła i szybkość. Gdyby magia rozwiązywała wszystkie nasze problemy, nie potrzebowałabyś dwunastu lat nauki języków i druidyzmu. Najważniejszy jest twój umysł. Czy to jasne?

Pokiwała głową zawstydzona.

– Jasne.

– Dobra. Słuchaj – powiedziałem ciszej, nie przerywając ostrzenia kołków. – Najlepszą bronią jest strach. Przywódcy wykorzystują go do trzymania pod butem swoich narodów i podbijania innych. Posługują się tą bronią twoi wrogowie, więc odruchowo nie chcesz po nią sięgać przekonana, że to narzędzie tyranów i innych typków spod ciemnej gwiazdy. Ja jednak zaraz użyję jej, żeby zamydlić oczy skórokształtnym, ponieważ kiedy w grę wchodzi przetrwanie, kwestie etyki naprawdę nie są najważniejsze. Frank straszy ich teraz światłem, bo przypaliła ich przed chwilą osłona Błogosławionej Drogi, więc boją się znów sparzyć. To może ich powstrzymać przed dalszymi atakami, ale może tylko je opóźnić. Zobaczmy. Lecz czy przeraża ich jedynie magiczne światło?

– Z tonu twojego głosu domyślam się, że odpowiedź brzmi „nie”, ale co właściwie masz na myśli? Wyjdziemy z latarkami, żeby ich wypłoszyć czy co?

Pokręciłem głową i wskazałem jej brodą palenisko.

– Och... – mruknęła. – Rzeczywiście. Skoro siedzimy w budowlu z drewna, czemu już dawno jej nie podpalili?

– Otóż to.

– Muszą naprawdę bać się ognia. Ale na logikę ich ludzka strona nie powinna mieć z tym takich problemów.

– Nie wydaje mi się, żeby to ich ludzka strona odpowiadała za całe to przedstawienie.

Jakby na potwierdzenie moich słów skórokształtni ryknęli groźnie na słowa Franka.

– Nie słyszę w tym ryku żadnego strachu – zauważyła Granuaile.

– Wściekłość i strach to dwa oblicza tego samego uczucia. Teraz trzeba ustawić tu pod twoje auto jakieś krzesło albo stół, bo musimy się dostać jakoś do kabiny. Pomożesz mi?

Spojrzała na SUV-a wtopionego w dach i na jej twarzy pojawiły się wątpliwości. Nie było tam dość miejsca, żeby ktoś dał radę wpełznąć do środka, a w dodatku w oknach zgniecionych lekko przy uderzeniu w dach wciąż tkwiło połamane szkło. Mimo to jednak wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Dobra, sensei.

– Dzięki.

Gdy Granuaile krzątała się pod swoim samochodem, podszedł do niej Ben i spytał, czy nie przydałaby się jej pomoc. Sophie Betsuie wreszcie udało się chyba przekonać babcię, bo w końcu się rozłączyła. Odwróciła się i dopiero teraz zobaczyła, dlaczego taki był w hoganie hałas. Spanikowała na miejscu.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie fachowca, żeby wiedzieć, że nie ma mowy,

by tak ciężki samochód nie przeleciał przez dach, a jednak dwoje ludzi właśnie łąziło dokładnie pod nim. Bohatersko krzyknęła na nich, żeby uciekali, i zażądała wyjaśnień.

– Dlaczego on nie przeleciał na wylot? – zapytała.

Nikt nie pośpieszył z odpowiedzią. Nie zamierzałem jej teraz tłumaczyć, że magicznie wzmocniłem dach stalą. Granuaile uparcie konstruowała doraźny dostęp do kabiny i w ogóle nie zwracała uwagi na ostrzeżenia Sophie, iż grozi jej śmierć marnego karalucha.

Przywołałem Bena Keonie i zadałem mu jedno proste pytanie:

– Czy macie obowiązek posiadania w takim drewnianym budynku gaśnicy? W końcu jest tu palenisko i w ogóle.

– No. Mamy jedną taką małą. Schowaliśmy ją w szafce tam – powiedział, wskazując na drzwi.

– Świetnie – ucieszyłem się. – Podałby mi ją pan?

– Co pan zamierza podpalić? – spytał.

– Skórokształtnych. Gaśnica jest tylko na wszelki wypadek.

Spojrzał na mnie jak na wariata, ale wzruszył ramionami i poszedł po gaśnicę. Zebrałem wystrugane kołki i rzuciłem na podłogę pod SUV-em, starając się nie słuchać ani coraz zacieklejszej kłótni między Sophie i Granuaile, ani nawahijskich wrzasków Franka i skórokształtnych. Sięgnąłem po lampkę naftową, ale potem przyszedł mi do głowy lepszy pomysł.

– Panie Benie, macie tu zapas nafty do lampek? – zapytałem.

– Mamy.

– Przydałby mi się.

Wylałem na kołki całą zawartość zbiornika z naftą, podawałem je Granuaile, która stała na samym szczycie swojej konstrukcji.

– Ułóż je na środku części dachowej – poinstruowałem ją. – Muszą się stykać ze sobą.

Najlepiej byłoby je oczywiście posplatać z dachem SUV-a, żeby stały pionowo, ale producent wyłożył dach jakimś syntetykiem, z którym nic nie dało się zrobić. Trudno byłoby teraz ten materiał stamtąd wrywać. W takim razie kołki musiały posłużyć po prostu jako zwykła podpałka.

– Nie uda mi się ułożyć ich idealnie obok siebie – odkrzyknęła Granuaile. – Poza tym kilka trzeba będzie wrzucić od drugiej strony. Część mi przeleciała na przód, bo tu naprawdę nie jest zbyt poziomo.

– Okej – powiedziałem. – Zaraz ci pomogę.

Poszedłem po drugie krzesło. Sophie wyraziła protest.

– Proszę pani – przemówiłem do niej – naprawdę słyszeliśmy pani ostrzeżenia. Jeśli zginiemy, to pani może mieć już czyste sumienie, zgoda?

Sophie uniosła ręce na znak, że się poddaje z takimi idiotami, i odwróciła się do nas plecami.

– Hej, panie Collins – wtrącił się Frank. – Cokolwiek pan tam kombinujesz, pośpiesz się pan, bo oni jednak nie kupują moich kitów.

Wskoczyłem na krzesło i kazałem Granuaile zeskoczyć na podłogę i podać mi kołki. Ledwie to zrobiła, SUV nade mną zatrząsł się nieprzyjemnie. Skórokształtni

już byli z powrotem na nim i żadna Błogosławiona Droga nie mogła im tego zabronić. Tym razem wiedzieli już, że mogą się spodziewać nagłych ruchów, więc trzymali się mocno, co trochę ich spowalniało w rozrywaniu podwozia, żeby się do nas dobrać.

Wrzuciłem kilka kołków przez okno i zrozumiałem, o czym mówiła Granuaile. Większość kołków toczyła się w dół, w zgięciu między dachem a przednią szybą samochodu. Mogłem to jednak skorygować, bo i tak nikt nie widział, co robię. Splotłem patyki tak, że stykały się końcami, tworząc kratkę na całej powierzchni dachu – niczym wielki grill. Nasączony naftą. Huk rozrywającego się samochodu i nagły blask gwiazd nade mną kazały mi się domyślić, że skórokształtnym w końcu się udało wdrzeć do kabiny. Walczyli już tylko z siedzeniami.

– Zapalniczka! Szybko! – krzyknąłem. – Albo zapalki.

Była to jedna z tych chwil, kiedy bardzo żałuję, że druidzi nie umieją odwalać trików z krzesaniem ognia na zawołanie. Może powinienem się zastanowić, jak by się tu zakumplować z żywiołakiem fosforu.

Ben i Frank poklepalili się z rozpaczą po kieszeniach i zaczęli rozglądać po pozostałych. Granuaile nie miała przy sobie nic, to wiedziałem na pewno.

– Jakim cudem zapalacie te lampki bez zapalek? – spytałem.

Fotel kierowcy zniknął nagle przy trzasku metalu i skórokształtny w ludzkiej postaci zeskoczył na sufit SUV-a. Mignęły mi pomarańczowe ślepie i schyliłem się, gdy zamachnął się na mnie przez okno.

– Proszę! – Ktoś wcisnął mi zapalniczkę w dłoń. Sophie. Nie miałem czasu jej dziękować. Stałem na palcach i wsadziłem lewą rękę przez okno. Wszystko mi było jedno, czy go trafię czy nie. Odskoczył z łatwością i odwrócił się, jakby chciał wyjść od strony pasażera, bo w tak małej przestrzeni nie mógł za wiele zrobić. Podпалиłem najbliższy kołek i patrzyłem, jak płomień pełźnie po moim zaimprovizowanym grillu, a tymczasem koło mojego skórokształtnego wylądował właśnie jego kumpel.

Płonęli, darli się i włązili jeden na drugiego, usiłując uciec, co tylko pogarszało sprawę. W końcu udało im się wyjść przez dach, przy czym zapomnieli z tego pośpiechu o ochronie hoganu. Błogosławiona Droga znów ich poparzyła i z rykiem spadli z budynku.

Frank uśmiechnął się do mnie, gdy ich krzyki cichły w oddali. Uciekali.

– To ich przekonało – powiedział.

– Na tę jedną noc pewnie tak – zgodziłem się. – Ale jutro wrócą. Nie zrobiliśmy im żadnej trwałej krzywdy, a za to mają już tę dziurę w pańskiej osłonie. Następnym razem pewnie skupią się na robieniu podobnych, aż wreszcie dobiorą nam się do skóry.

Ben Keonie podał mi gaśnicę.

– Gotowy?

Spojrzałem na ogień i na dym wylatujący przez okna samochodu.

– Dobry pomysł – mruknąłem.

[1] Leonard Peltier (ur. 1944) – działacz Ruchu Indian Amerykańskich. W kontrowersyjnym procesie skazany na podwójny wyrok dożywocia za zastrzelenie dwóch agentów FBI podczas incydentu w Oglali w 1975.

Szkoły z internatem dla dzieci z rezerwatów zakładano na przełomie XIX i XX wieku. Były one narzędziem przymusowej asymilacji rdzennej ludności amerykańskiej, krytykowano je za niski poziom edukacji i nadużycia względem uczniów. Większość z nich zamknięto w latach 80. i 90. XX wieku (przyp. tłum.).

Rozdział 25

Oświcie naszym oczom ukazał się chaos. Budowa wyglądała jak po klęsce żywiołowej, choć wszyscy wiedzieliśmy, że natura nie miała z nią nic wspólnego. Ostre kawałki drewna prezentowały się dumnie niczym prywatny zbiór broni Van Helsinga, a po samochodach pozostały tylko ich rozmontowane siłą elementy składowe. Brakowało jedynie jakiejś heavymetalowej grupy, a moglibyśmy im nakręcić piękny klip z wiatrem szargającym dramatycznie ich imponujące czupryny, a oni by się ocierali o swoje ukochane gitary i czule pieścili ulubione akordy molowe.

Kiedy Sophie, Ben, Frank i ekipa robotników zobaczyli, co zostało z ich samochodów, zaczęli ćwierkać słowo „kurwa” w bardzo różnych rejestrach niczym małe stadko ptaków – powiedzmy, taka nowa odmiana zięb. Wyśpiewywali to magiczne słowo na bardzo różne sposoby i z wielkim rozmachem artystycznym. Granuaile dołączyła do tych porannych treli, gdy tylko ujrzała szkielet swojego wozu, który utknął w magicznie wzmocnionym dachu hoganu.

– Kurwa, kurwa, kurwa mać – śpiewała.

Sophie natomiast wpadła w rozpacz na widok pozostałości po budowie.

– Będziemy musieli zaczynać całą robotę od nowa – zawodziła. – I pewnie znowu nam wszystko rozszarpią. Cały ten projekt jest przeklęty.

Poszły w ruch komórki i wszyscy pytali znajomych, czyby ich nie podwieźli do miasta. Nie wiedziałem, czy ktokolwiek zadzwonił do Kojota – znaczy pana Benally – żeby mu powiedzieć, że skórokształtni zrównali z ziemią naszą budowę. Byłem ciekaw, czy Kojot w ogóle raczy się tu dziś stawić.

Z pół godziny później pojawiły się pikapy, żeby nas zabrać z tego pobojuwiska. Usiedliśmy z Granuaile i Sophie Betsuie na pace forda, a Frank zapakował się do szoferki. Kierowca był jego przyjacielem i na prośbę Franka wysadził nas wszystkich w Blue Coffee Pot na śniadanie.

W kawiarni znów było pełno, bo ponownie zamknięto kopalnię węgla. Przyjemnie było zobaczyć na własne oczy efekty swojej pracy. Kolorado powinien być w lepszym humorze, kiedy następnym razem utniemy sobie pogawędkę.

Gdy już usiedliśmy przy oknie z kubkami gorącej kawy, poprosiłem Franka, żeby opowiedział mi trochę więcej o skórokształtnych i zasadach ich działania. Przyznałem, że interesuje mnie wszystko, co by mi pomogło lepiej ich zrozumieć – ale nie wspominałem oczywiście o tym, że ta wiedza może mi się przydać do ich pokonania, bo Sophie nadal miała mnie uważać za zwykłego geologa. Ku mojemu zdziwieniu Frank przechylił głowę w jej stronę i powiedział:

– Ona może panu o wiele więcej o nich powiedzieć. O tych dwóch ma informacje niemal z pierwszej ręki.

– Zna ich pani? – spytałem.

– Może – wymamrotała Sophie. Jej palce tańczyły nerwowo po krawędziach kubka z kawą, a oczy wpatrywały się we Franka, jakby pytała go, czy aby na pewno bezpiecznie będzie podzielić się ze mną tymi informacjami. Skinął głową, więc zaczęła mówić: – To tylko przypuszczenia. Nic nie wiem na pewno – zastrzegła się.

– Rozumiem.

– Wiem to tylko ze względu na mój klan – wyjaśniła. – Wszyscy robotnicy, łącznie z Benem, są z mojego klanu, co może panu pomóc zrozumieć, dlaczego gramy w drużynie Franka. Jakies dziesięć lat temu doszło do tego morderstwa, duża sprawa. Rozwiedziona kobieta zabita we własnym domu. Więc... chwila. Przydałby mi się długopis.

Wyciągnęła żelowy długopis z kieszeni kurtki i serwetkę ze stojaka na blacie. Nim jednak zdążyła wrócić do opowieści, pojawiła się kelnerka, by przyjąć od nas zamówienie, więc skupiliśmy się na tym. Trochę mi się zrobiło smutno, że nie mogę nic zamówić dla Oberona, ale i tak poprosiłem o dodatkowy bekon na jego cześć.

Gdy kelnerka zniknęła, Sophie zaczęła coś pisać na serwetce.

– Dobra – szepnęła. – Nie chcę wymawiać imion zmarłych ani przyciągać uwagi żywych – na co Frank z powagą pokiwał głową – więc tylko je państwu pokażę i wszystko potem wyjaśnię. Ale nie przeczytacie ich na głos, tak?

Cicho zapewniliśmy ją z Granuaile, że na pewno nie. Sophie odwróciła serwetkę i wskazała nam długopisem pierwsze nazwisko, które brzmiało: *Millie Peshlakai*.

– To była ofiara morderstwa. Moja daleka krewna, tak zresztą, jak i reszty ekipy. Miała zaledwie czterdziestkę i naturalna śmierć była wykluczona. Przemiała kobieta. W głowie nam się nie mieściło, kto i dlaczego miałby ją zabić. A ci dwaj – wskazała nam słowa: *Robert* i *Ray Peshlakai* – to jej synowie. Bliźniaki. Nastolatkwowie. Zniknęli. Nikt ich nie widział od dnia, gdy znaleziono ciało ich matki. Ludzie byli pewni, że porwał ich ojciec. Podejrzewali go też o to zabójstwo. Podły człowiek. Mieszka w Utah. Ale kiedy już do niego dotarli i przesłuchali, stało się jasne, że on nie miał z tym nic wspólnego. Alibi nie do podważenia. Morderstwo pozostało niewyjaśnione do dziś i nadal nie wiadomo, co się stało z chłopcami.

– Myśli pani, że...? – spytałem.

– Każdy może wkroczyć na Przeklętą Drogę, kiedy chce – odparł za nią zachrypłym głosem Frank. – Ale istnieje tylko jeden sposób, by stać się taką istotą jak te, z którymi walczymy. Tylko jeden sposób, by dusza stała się wystarczająco czarna dla ducha z Pierwszego Świata, który może dać człowiekowi moce przewyższające wszystko.

Sophie zakreśliła imiona chłopców, a potem narysowała strzałkę w stronę imienia ich matki.

– Trzeba zabić członka rodziny – szepnęła. – Wtedy człowiek staje się czystym złem.

Rozdział 26

Ale proszę państwa, jeśli oni są tacy podli, to czemu nie latają po okolicy i nie zabijają ludzi? – zaoponowałem.

– Bo jak dotąd nie musieli nawet tyłka ruszyć, żeby sobie zabijać do woli – wyjaśnił Frank. – Masa luda wspina się na nasze stoliwo, choć za diabła nie wiem po co. Wiesz pan, jacy są wspinacze. Zobaczą fajną skałę i zaraz im się wydaje, że ich życie nie będzie miało sensu, póki na niej nie staną. Przywożą te haki, te liny i całe to gówno i łażą po mieście, uśmiechając się do wszystkich jak wariaci, bo jest duża szansa, że zaraz zrobią wielkie bum na ziemię. No i widzicie, przez ostatnie dziesięć lat całkiem sporo z tych osób nie wróciło. Ale nie zrobili bum, tylko po prostu zniknęli razem z całym sprzętem.

– Skórokształtni ich grzebią czy co?

– Może kości. Jak już nie ma na nich żadnego mięsa.

– Są kanibalami? – jęknęła Granuaile.

– To tylko przypuszczenia – powiedział Frank. – Ale tak, kanibalizm jest elementem Przeklętej Drogi. No i nie wiem, co innego by mieli jeść. Nie można powiedzieć, żeby pasterzom brakowało owiec czy co. Nikomu też nie znikają warzywka ani płatki śniadaniowe, więc co oni niby tam żrą? Pizzy się tam nie da zamówić.

– Ludzie znikają na stoliwie i nikt tego nie zauważył?

– Jasne, że ludzie to zauważyli. Zabawne, ale to tylko ściąga nam ich tu więcej, bo się tym wspinaczom wydaje, że taka skała to diabli wiedzą jakie wielkie wyzwanie. A potem oczywiście przyjeżdża ich rodzina i zaczynają ich szukać, i też znikają.

– Czy plemię nie może po prostu zamknąć dostępu do stoliwa? – zapytała Granuaile. – Nie musielibyście nawet podawać żadnej przyczyny. Wystarczy powiedzieć, że jest tam zbyt niebezpiecznie i tyle.

Frank wzruszył ramionami.

– Chyba wszystkim się podoba to, że skały ściągają turystów. Hotele, restauracje, pamiątki i takie tam. A te głaby idą w góry na własne ryzyko, nie? Poza tym większość rady plemiennej nie wierzy w skórokształtnych. Choć może zaczną po tym, co się stało dziś w nocy.

Sophie uśmiechnęła się ponuro.

– Mamy takich przywódców jak wszyscy: niektórzy są do rzeczy, ale niektórzy naprawdę... ostrzy jak brzytwa to nie są.

– Ostrzy jak brzytwa... Ha! – zakrzyknąłem. – Mam! To musi zadziałać! Panie Franku, wiem już, jak ich spowolnić.

– Co? Jak?

– Kolczatki. Rozsypujemy je na ziemi. Nie będą się niczego spodziewać, bo przecież od wielu dni teren był zupełnie czysty. Wbiegną na nie boso. Jak dotąd takie głupie pułapki działają na nich najlepiej.

– Hmm. Oni już na nas nie wbiegają. Zmienili przecież taktykę.

– Pobiegną, jeśli wyłożymy im jakąś przynętę.

– Co na przykład? Żebra wołowe?

– Na przykład mnie. Otoczę się kolczatkami i zadzwonię na kolację, a na pewno przybiegną.

– To ich nie powstrzyma. Wytrzymają ból i dopadną pana, a dopiero potem zajmą się lizaniem ran. Już duch z Pierwszego Świata o to zadba.

– Nie dadzą rady, jeśli kolczatki będą zatrute.

Trzy szczęki opadły i trzy pary oczu wbiły we mnie wzrok. Pojawiła się kelnerka z naszym jedzeniem. Nikt nic nie powiedział, póki nie wróciła z syropem dla Granuaile i nie dołała nam kawy.

– Zatrute? – spytał w końcu Frank. – Chcesz je pan zamoczyć w wybielaczu czy coś?

– Jeśli tylko zawiezie mnie pan do apteki, zmieszam co trzeba. Znam się na tym trochę.

– Geolog, który zna się na truciznach? – spytała Sophie.

– To człowiek renesansu – wyjaśniła Granuaile, polewając sobie naleśniki syropem. Posłałem jej rozbawione spojrzenie. No tak, jestem człowiekiem renesansu, tak jak i człowiekiem oświecenia, epoki wiktoriańskiej, postmodernizmu i...

Frank wpatrywał się we mnie sceptycznie, powoli kiwając głową w tył i przód.

– Panie, to nie zadziała – orzekł.

– Dlaczego nie?

Westchnął i zaatakował swój omlet.

– Choćbyś nie wiem jaką pan truciznę umiał zrobić, to na pewno nie zabije ich na miejscu. Będą biegli dalej samą siłą rozpędu. A skórokszałtni to mają rozpęd, że ho ho. Dorwą pana i tyle z pana będzie. W końcu może i ta trucizna ich zakatrupi, ale wtedy pan już dawno będziesz martwy.

– Być może. Ale idę o zakład, że każdy, kto przemieszcza się tak szybko jak oni, kiedy już trafi na przeszkodę, to runie jak długi. A wtedy nie zatną się tylko w stopy, ale wiele razy na długości całego ciała. Jak już będą leżeć z taką ilością trucizny w ciele, to na pewno nie wstaną. Ale nawet jeśli się nie poprzewracają, panie Franku, to na pewno będą ostrożniejsi, a wtedy zwolnią do normalniejszych prędkości, co pozwoli nam ich ubić.

Frank nie był przekonany.

– Nie wiem. Jakoś je wyminą czy przeskoczą. Może lepiej spróbować złapać ich w sieć?

– Zauważą ją i zrobią unik. Albo przerwą na wylot. Przecież oni dziś w nocy rzucali pikapami. Co to dla nich sieć. Kolczatki natomiast łatwo przygotować, a trudno wyminąć. Moglibyśmy je zrobić jeszcze na dzisiejszą noc.

Sophie zżała kęs tosta i mało się nim nie udławiła. Frank poklepał ją po plecach. Napiła się kawy, żeby ratować gardło, i powiedziała:

– Ledwie nam pan przypomniał, że dziś w nocy rzucali pikapami, a teraz pan mówi, że wieczorem tak po prostu wykończymy ich kolczatkami?

– Zatrute kolczatki tylko ich spowolnią, a wtedy ostrzelamy ich ze strzelby. Albo zaatakujemy moim mieczem.

– Właśnie chciałam pana o to zapytać – powiedziała – więc cieszę się, że sam

pan poruszył ten temat. Po co, do licha, nosi pan przy sobie miecz?

– Na wypadek apokalipsy zombi. Miecz ma tę zaletę, że nigdy się nie kończy amunicja.

Granuaile prychnęła ubawiona, a Sophie posłała jej poirytowane spojrzenie, po czym znów utkwiała je we mnie.

– Proszę pana, nie wiem, kim pan jest, ale na pewno nie zwykłym geologiem, jeśli w ogóle jest pan geologiem. Przy okazji podobnych projektów spotkałam wielu geologów i są to zawsze niewysocy, spaleni słońcem panowie z lekkim zboczeniem na punkcie geod. Na głowie mają wielkie kapelusze, a przy sobie liczne torebeczki na próbki gleby. Pan nie wygląda ani nie zachowuje się jak geolog i Frank pana w ogóle tak nie traktuje. Pan Benally też nie. A przede wszystkim geologowie nigdy nie niszczą tak skał, jak to pan zrobił kilka nocy temu. Oni je zawsze starannie zachowują i budują im małe świątynie. Więc proszę przestać mnie traktować z góry i powiedzieć mi wreszcie, kim pan tak naprawdę jest.

Jako że już była w stanie poważnego zwątpienia, trudno było wymyślić coś, w co by uwierzyła. Nie kupiłaby prawdy, ale prawdy i tak nie chciałem jej wyznać. Miałem ochotę powiedzieć: „Jestem Doktor, a to mój towarzysz”, ale opadło mnie przecucie, że Sophie nie jest fanką kultowych seriali BBC. Chrzanić TARDIS i śrubokręt dźwiękowy – najlepszym gadżetem Doktora był papier parapsychiczny. Nie potrafię nawet powiedzieć, ile razy marzyłem o posiadaniu takiego papieru. Z braku takiego wynalazku wybrałem jedną z moich ulubionych strategii, polegającą na zatuszowaniu tego, że jestem paskudnym łgarzem, poprzez zrzucenie winy na jakiegoś jeszcze paskudniejszego.

– Pani Sophie, z pewnością nie uszło pani uwagi, że pan Benally to kawał drania – powiedziałem.

Głosem oschłym niczym piaskowe stoliwo stwierdziła:

– Nie uszło.

Ramiona Franka poruszyły się, gdy tłumił śmiech.

– Widzi pani, otóż to on zupełnie niepotrzebnie przedstawił mnie jako geologa. Jestem raczej ekspertem od rozwiązywania problemów, które mogą się pojawić w tego typu projektach.

– Żartuje pan? – Jej usta drgnęły w kpiącym uśmiechu. – Powiedziałabym, że w tym projekcie aż się roi od problemów.

– I dlatego właśnie pan Benally pozostawił to wszystko mnie. Jako że pani praca nie może się rozpocząć, póki nie opanujemy sytuacji, proponuję, żeby pani wzięła sobie dzień czy dwa wolnego. To znaczy, jeśli pan Frank zgodzi się pomóc mi dziś wieczorem. Panie Franku, co pan na to?

Frank podniósł wzrok znad omleta.

– Kto? Ja?

– Przede wszystkim będziemy potrzebowali od chuja gwoździ.

– Od chuja? Ile to dokładnie?

– Yyy...

Tu Granuaile pośpieszyła mi na ratunek w roli znawczyni jednostek miary.

– Upraszczaając, to trochę więcej niż od cholery, ale znacznie mniej niż od kurwy.

- Otóż to. Dziękuję, Granuaile.
 - Słucham? – Oszołomiony Frank odłożył widelec.
 - Potem będę musiał jeszcze pana prosić o transport do jakiejś apteki po truciznę.
 - Niby jaką? Taką na szczury czy jak?
 - Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu zmieszam kilka leków, żeby otrzymać to, czego nam trzeba. Nie mamy czasu wędrować po polach i szukać ziółek.
 - No ja myślę, że nie. Ale nie będzie panu potrzebna recepta?
 - E tam... Będzie mi potrzebny szybki wóz. Załatwiłby nam pan jakiegoś dobrego kierowcę?
- Frank uśmiechnął się i odzyskał apetyt.
- Z tym to akurat nie będzie problemu. Siostrzeniec jest w mieście. Siedzi tam.
 - Wskazał widelcem stół obsadzony mężczyznami w średnim wieku. – Wie pan, kopalnię zamknęli.
 - O. To nie zauważył pana?
 - Co by miał nie zauważyć.
 - To czemu nie podszedł się przywitać?
 - To greczny chłopak. Widzi przecież, że wuj gada z jakimś obcym, to pewnie załatwia interesy, nie będzie wujowi przeszkadzał, nie?
 - W rzeczy samej załatwiamy ważne sprawy. Tylko niech pan mu nie pozwoli uciec.
 - Wiadomo – zapewnił mnie Frank.
- Odzyskawszy nadzieję na lepsze jutro, wypilem za jednym zamachem pół kawy. Była dobra, mocna, z takich, o których Louis L'Amour pisał, że podkowa by na niej pływała. W jego książkach w ogóle nikt nigdy nie pił słabej kawy. To być może wyjaśnia, dlaczego potem tak się palili, żeby do kogoś strzelić w samo południe. À propos...
- Dałby pan radę zdobyć jakąś pukawkę? Może się przydać.
- Patrzył na mnie chwilę, zując powoli.
- No. Mam gdzieś jeden stary sześciopistołowiec.
 - Świetnie.
 - Da to panu tyle przewagi, ile ma mysz w starciu z grzechotnikiem – powiedział. – Ale proszę bardzo. Chociaż bardziej na miejscu byłaby tu raczej mina przeciwpiechotna.
 - Albo jakieś rogate jaszczury z odwalonymi laserami na plecach – zasugerowała Sophie, a ja uśmiechnąłem się. Nic dziwnego, że Oberon tak ją lubił.
- Kiedy skończyliśmy jeść, Frank zawołał siostrzeńca i przedstawił go nam jako Alberta. Albert obcięty był na jeża i miał niebiesko-szarą flanelową koszulę wetkniętą w džinsy.
- Słuchaj, samochód im nawalił – rzekł Frank, wskazując na nas palcem i z wdziękiem pomijając szczegóły awarii. – Nie powoziłbyś nas trochę po mieście?
- Albert wzruszył ramionami.
- Jasne. I tak nie mam nic do roboty. – Uśmiechnął się promiennie. – Cześć, Sophie.
 - Cześć, Albert.

– Też jesteś bez pracy?

– No. Na jeden dzień – mruknęła.

– No do kitu, szkoda gadać. – Pokręcił głową i wyciągnął przed siebie zaciśnięte dłonie, jakby kogoś dusił. – Jak już dorwą tego cholernego hipisa, to mam nadzieję, że mu jaja z dupy powyrywają i... – Urwał w pół zdania, widząc, że Granuaile nagle chwyta mnie za ramię i dziwnie popiskuje. – Oj, bardzo panią przepraszam. – Popatrzył na moje tatuaże, potem na triskelion na mojej dłoni. Przyjrzał się naszyjnikowi i włosom, które – przyznaję – czasem może wyglądają na niezadbane. – Jesteś pan cholernym... znaczy tego... jesteście państwo hipisami?

Na co paznokieć Granuaile wbił się boleśnie w moje ramię.

– Nie – zapewniłem go. – Ale często ludzie nas biorą za hipisów. Proszę się tym zupełnie nie przejmować.

Granuaile teraz waliła już we mnie pięścią. Spojrzałem na nią lekko ubawiony. Była zupełnie czerwona na twarzy, bo bała się zrobić wydech czy wziąć wdech, żeby nie ryknąć śmiechem i nie przerazić biednego Alberta. Wstałem od stolika i przepuściłem ją.

– Państwo wybaczą mojej siostrze. Naprawdę musi iść szybko do łazienki.

Granuaile nadgorliwie pokiwała głową i mocno zacisnęła usta. Jej lewe oko pełne już było łez.

– Jasne. – Albert odskoczył na bok i stanął przy Franku, a Granuaile popędziła do toalety, zaciskając rękę na twarzy i wydając kwilące odgłosy. – Nic jej nie będzie? – spytał jeszcze.

– Nic, nic – zapewniłem go i uspokajająco machnąłem ręką. – To się jej po prostu czasem zdarza.

Słyszała ją całutka restauracja, kiedy zamknąwszy drzwi, ryknęła głośno, wzięła hałaśliwy oddech i znów piskliwie ryknęła.

Albert zrobił spanikowaną minę.

– Panie, jesteś pan pewien?

Rozdział 27

Zupełnie mnie czasami rozwalają telewizyjne reklamy współczesnych leków. Lista skutków ubocznych niektórych specyfików wydaje się bardziej przerażająca niż sam problem, który mają jakoby likwidować. Raz usłyszałem nawet na takiej liście „niewydolność serca”. Przyznam, że nie mogłem pojąć, o co tu chodzi. Niewydolność serca to chyba całkiem ważki problem, nie? Jeśli jesteś, człowieku, gotów ryzykować niewydolność serca, by wyleczyć jakiś zupełnie nieistotny problem, to niech bogowie chronią cię od kłopotów, bo wyraźnie sam ich szukasz.

Dlatego właśnie potrzebna mi była najzwyczajniejsza apteka – prawie każdy lek to tak naprawdę trucizna, tylko dawka jest mniejsza. Wolę oczywiście pracować

bezpośrednio na roślinach, ale kiedy czas mnie goni, kilka słoiczków tabletek też wystarczy, a tym razem czas gonił mnie z dość dużą prędkością.

– Sensei – szepnęła Granuaile, gdy po wyjściu z Blue Coffee Pot wsiadaliśmy do pikapa Alberta. – Powiedziałaś, że nie masz recepty na te wszystkie leki, tak?

– Tak.

– Znaczą się: chcesz je wszystkie ukraść, tak?

– Tak.

Westchnęła, jakby traciła cierpliwość.

– I naprawdę cię sumienie nie gryzie?

Właśnie wdrapywaliśmy się na skrzynię pikapa Alberta. Frank siadł w pasażerze, bo powiedziałem mu, gdzie chcemy jechać. Gdy już ruszyliśmy, wróciłem do tematu.

– Nie, jeśli w grę wchodzi ludzkie życie, to sumienie w ogóle mnie nie gryzie. Nigdy nie kradnę dla osobistego zysku czy rozrywki, jeśli to cię pocieszy. No, może niezupełnie nigdy. Zdarzyło mi się raz w Egipcie... I jeszcze kilka lat temu w Hongkongu zwinąłem takiemu jednemu biznesmenowi kilka dzieł sztuki i parę kamieni szlachetnych, żeby miał zły dzień. Ale miałem ubaw. Po kilku dniach zadzwoniłem na policję i powiedziałem im, gdzie wszystko znajdują. Dołączyłem też liścik do tego typu, w którym napisałem, żeby nie był takim barbinkiem. Odzyskał większość tych rzeczy.

– Jak to większość? Dlaczego nie wszystko?

– Gliny sobie część zatrzymały, twierdząc, że nie wszystko udało się znaleźć.

– Nie!

– Tak. Musiałem potem znów im dla odmiany to ukraść i zrobić każdemu karnego psikusa. Słuchaj, jeśli cię to pocieszy, to możemy zrobić listę produktów, które zwinę, sprawdzić gdzieś indziej ceny, a potem podrzucić im anonimową kopertę z gotówką.

– Tak, to by mnie pocieszyło.

– Dobra, to tak zrobimy.

– Dziękuję. – Poklepała mnie po ramieniu jak dziecko. – Bardzo kochany z ciebie sensei.

– No ja myślę. Jeszcze ci nie zrobiłem połowy rzeczy, jakie powinienem. Zwykle po drugim tygodniu nauki są rytualne pijawki, a my tu już uczymy się prawie trzy miesiące i nic.

Wbiła we mnie podejrzliwe spojrzenie.

– Żarcik, tak?

– Na twoje szczęście w tej części Arizony nie ma za wielu pijawek.

Wzdrygnęła się lekko.

– Serio?

– Poza tym myślę, że mogę ci to odpuścić, skoro kazałem ci zjeść tamte jaja.

– Zamknij się!

Zatrząsałem się od śmiechu, ale ona spiorunowała mnie spojrzeniem i skrzyżowała ręce na piersi.

– Wrrr! Zachowujesz się czasem jak gówniarz!

Za kwadrans dziewiąta zajechaliśmy pod aptekę, tak żeby znaleźć się poza

zasięgiem jej kamer. Wsiadłem z wozu i przeszedłem na tył budynku. Kiedy odchodziłem, usłyszałem jeszcze, jak Albert mówi:

– Sam nie wierzę, że to robię.

Gdy tylko zniknąłem z oczu Frankowi i Albertowi, rzuciłem na siebie kamuflaż i skupiłem się na drzwiach. Zamki nie stanowią większej przeszkody, jeśli można splatać metal w środku, tak żeby się przesunął. Systemy ochrony to osobna sprawa. Nie znam się wystarczająco na elektronicznych gadżetach, żeby sobie z nimi radzić, a w dodatku większość z nich jest z plastiku. Na pewno bym zaraz na wejściu coś poruszył nie tak jak trzeba i uruchomił alarm, więc postanowiłem po prostu zrobić to na chłopski, ale za to zanim przyjadą gliny.

Chwyciłem jakąś plastikową torebkę i ruszyłem na polowanie wśród półek. Nie znam nazw handlowych, więc musiałem czytać listy składników, żeby znaleźć odpowiednie substancje. Chodziło mi głównie o różne magiczne komponenty rośliny o nazwie *Atropa belladonna*, znanej także jako wilcza jagoda. Przechuj sobie jeden liść i już po tobie. Alkaloidy tropanowe zaburzają pracę układu nerwowego tak, że nie reguluje on już takich czynności jak pocenie się, oddychanie i bicie serca. Ale po wyizolowaniu tych alkaloidów, jeśli poda się je w odpowiednich ilościach, roślina ta zmienia się ze śmiertelnej w leczniczą. Znalazłem atropinę, skopolaminę i hioscyjaminę – wszystkie leżały sobie grzecznie na półce pod najróżniejszymi nazwami handlowymi. Tylko że kiedy spojrzałem na dawki, stało się dla mnie jasne, że będzie trzeba wpaść jeszcze co najmniej do jednego sklepu, jeśli chcemy zgotować dość trucizny na przyzwoitą ilość koleczatek. Po drodze chwyciłem też paczkę rękawiczek chirurgicznych. Nie chciałem się upaprać przy mieszaniu składników.

Wskoczyłem z powrotem na pakę i dopiero wtedy rozplotłem kamuflaż. Granuaile czujnie wylapała szelest plastikowej torby i domyśliła się, że już wróciłem, ale Albert i Frank drgnęli, kiedy nagle zapukałem w okienko szoferki.

– Ruszajmy! – krzyknąłem.

Albert ruszył spod apteki z imponującym pośpiechem. Minęliśmy się z migającym światłami radiowozem pędzącym w jej stronę. Frank podjechał pod sklep budowlany. Tam wysiedliśmy i wyjaśniłem im, że musimy złożyć wizytę w jeszcze jednej aptece.

– Jasne, czemu nie – powiedział Frank. – Z pierwszą tak łatwo poszło.

Zadowoleni z siebie wkroczyliśmy do sklepu, który śmierdział farbą i sklejką, i poprosiliśmy od chuja gwoździ.

– Właśnie mamy je na przecenie – poinformował nas sprzedawca, nie bacząc na naszą terminologię.

Granuaile pochyliła się i szepnęła mi do ucha:

– Spytaj go, czy sprzedaje je także od kurwy.

Zdobywszy tyle gwoździ i leków, wpadliśmy (a może to tylko ja) w lekki samozachwyt i kiedy dotarliśmy do drugiej apteki, byłem może zbyt pewny siebie. Nie powinna jeszcze być otwarta, ale w środku czekała mnie niespodzianka w postaci farmaceutki, która musiała widać odwalać jakąś papierkową robotę. Dzięki temu alarm był już wyłączony, ale za to ona narobiła masę hałasu, kiedy nagle otworzyły się same drzwi, a na podłogę padł cień, który do nikogo nie należał. Była szybka. Zdażyła dobiec do telefonu i wykręcić numer, nim zdołałem ją powalić jakimś

zręcznym ciosem kung-fu. Nie opanowałem jak dotąd Wolkańskiego Uszczypnięcia Nerwu, ale mój Druidzki Zabójczochwyt jest dość szybki, a jego efekty niepożądane można opanować jedną aspiryną. Spojrzałem na plaketkę, na której napisane było: Gina Wachtel.

– Przykro mi, Gino – powiedziałem. – Nie zazdroszczę ci bólu głowy po obudzeniu, ale do tego czasu śpij i śnij o... – Tu mnie zawiodła wyobraźnia. Bo o czym też śnią farmaceutki? O wakacjach na Karaibach fundowanych przez GlaxoSmithKline? O darmowych paczkach oksykodonu?

Nadal pozostawał problem jej telefonu na policję. Mimo że odłożyłem słuchawkę, dyżurny i tak kogoś wyśle na wszelki wypadek, skoro ledwo co mieli już jedno wezwanie do apteki. Gliny przybiegną całe szczęśliwe, że złoczyńca był na tyle durny, by rabować jeden sklep po drugim. Nie zostało mi wiele czasu.

Dzięki doświadczeniom w poprzedniej aptece wiedziałem już, czego szukać, znacznie szybciej więc zapełniałem torbę. Choć wyskoczyłem stamtąd w istic rekordowym czasie, i tak usłyszałem syreny, gdy tylko dotarłem do pikapa zaparkowanego kilka metrów od apteki.

Frank i Albert byli mocno zaniepokojeni. Samochód stał przed spożywczym, więc obejmowały go jego kamery.

Zakamuflowaną torbę z lekami wrzuciłem na skrzynię pikapa i powiedziałem do Granuaile:

– Skocz po coś do picia, okej? Zaraz do ciebie dojdę.

– Jasne, sensei.

Gdy zeskakiwała z pikapa, ja rzuciłem kamuflaż na drugą torbę z lekami. Jako że torby się nie poruszały, były teraz zupełnie niewidzialne. Rozplotłem swój kamuflaż i znów zaskoczyłem Franka pukaniem, tym razem w okno pasażera.

– Najwyższy czas. Jedźmy – powiedział.

– Nie. To pewnie ci sami policjanci co poprzednio. Widzieli naszego pikapa, jak odjeżdżał spod tamtej apteki, będą więc co najmniej zaintrygowani. I niech sobie będą. Nasza wersja wydarzeń jest taka: my z siostrą jesteśmy autostopowiczami z Flagstaff i jedziemy do Kolorado. Panowie zamierzacie nas podwieźć do Teec Nos Pos. Albert ma czas, bo kopalnia jest zamknięta, tak?

– No dobra, ale przecież my mamy, do cholery, te leki na pace, nie? – wyraził swoje obawy Albert.

– Są schowane. Proszę się o to nie martwić. Mogą się spokojnie rozejrzeć.

Ledwie to powiedziałem, pojawił się radiowóz. Popukałem przyjacielsko w drzwi i uśmiechnąłem się szeroko, żeby policja to widziała.

– Skoczę tylko po coś do picia. Zaraz wracam.

– Po moim trupie! – zdenerwował się Albert. – Nie idę za pana do kicia!

Frank uniósł rękę i pokręcił głową.

– Spokojnie, chłopcze. Będzie dobrze.

– Co tu się dzieje, wuja?

– Wiem, że on wygląda na zwykłego, przystojnego dupka, ale zaufaj mi, to porządny facet. Opanuj się i graj tak, jak powiedział.

Albert był wściekły, ale posłusznie wykonał rozkaz. Wdzięczny za Frankowe wotum zaufania, wmaszerowałem do sklepu, a radiowóz zaparkował tuż przy

pikapie. Wysiadło z niego dwóch policjantów. Jeden pobiegł od razu na zaplecze apteki, drugi podszedł do okna Franka. Dzięki bogom, że nie do Alberta.

Spożywszy śmierzdział starym tytoniem i wybielaczem, z lekką nutką wołowych hot dogów i czerstwych bułek. Granuaile stała przy automacie z ciepłymi napojami. W ręku miała dwa kubeczki i wyraźnie nie mogła podjąć decyzji. Wziąłem od niej jeden z kubeczków i napełniając go niesłodzoną herbatą, wyszeptalem plan na wypadek, gdybyśmy go potrzebowali.

Okazało się, że owszem.

Gdy wyszliśmy ze sklepu, gliniarz już na nas czekał. Był nieco okrągły w talii, co stanowiło fizyczny dowód na to, że policja częściej zajmuje się przekładaniem papierów z biurka na biurko niż bieganiem za złoczyńcami. Frank i Albert stali przy zamrażarce z paczkowanym lodem. Drzwi do pikapa były otwarte.

– Dzień dobry – rzekł policjant zza czarnych okularów i wskazał nam pikapa. – Czy jechaliście państwo tym samochodem?

– Tak. Coś z nim nie tak?

– Poproszę państwa dokumenty.

Ach tak. Czyli jeden z takich typów. Podaliśmy mu je bez słowa. Patrzył na nie dłuższą chwilę, a kiedy podniósł wzrok, spytał:

– Dokąd państwo jadą?

– Kolorado – powiedziałem. – Złapaliśmy ich na stopa we Flagstaff.

– Mówiłem ci, Gabe – mruknął Frank.

– Wiem, Frank – odburknął z wyraźną irytacją policjant, nawet nie odwracając głowy.

Z trudem zdusiłem uśmiech. Frank pięknie wykonał plan i opowiedział gliniarzowi prościutką historyjkę, a potem my wyszliśmy ze sklepu i ją potwierdziliśmy. Gdyby facet był wyjątkowo podejrzliwy, założyłby, że ją tylko wymyśliliśmy, bo taka też była prawda. Detektyw Kyle Geffert na przykład w życiu by nie uwierzył w nic, co by padło z ust Atticusa O'Sullivana. Ale ten policjant się śpieszył i tylko sprawdzał nas powierzchownie, bo nie martwił go zbytnio jakiś durny przystojniaczek z siostrą. Nasza prosta historyjka, opowiedziana prosto i równie prosto potwierdzona, nabrała wagi prawdy. Tym bardziej że gliniarz najwyraźniej znał Franka i ufał mu jako hataaliiemu. Staralem się zrobić jak najdurniejszą i najniewinniejszą minę.

– Proszę stanąć tutaj – polecił policjant i wskazał nam chłodziarkę z lodem. – Muszę przeszukać samochód.

– O. Okej.

Bez pytania potulnie przesunęliśmy się i stanęliśmy przy Albercie i Franku. Nie musieliśmy z nimi miło gawędzić, bo skoro byliśmy tylko autostopowiczami, nie było potrzeby przyjacielskich zachowań. Oficer Gabe stał chwilę, żeby ocenić, czy zajęliśmy bezpieczną pozycję, po czym zanurkował do szoferki. Po chwili wyciągnął z niej torbę ze sklepu metalowego.

– Macie tu od cholery gwoździ. Po co wam tyle?

– Domek na drzewie – strzelił Albert. – Dla małego.

Brawo, Albert.

Policjant stęknął i wrócił do poszukiwań. Otworzył schowek, zajrzał za fotele i

pod nie. Ani śladu po wielkiej torbie leków. Na skrzyni też nic nie zobaczył.

– W porządku – oświadczył i machnął na pikapa. – Wszystko bez zarzutu.

Przepraszam za kłopot. Miłego dnia.

Po czym bez słowa pożegnania odwrócił się i poszedł dołączyć do swojego kolegi w aptece. Słychać było więcej syren. Pewnie karetka po nieszczęsną farmaceutkę, która padła nieprzytomna z rąk tajemniczego ducha.

Albert odczekał, aż policjant zniknie nam z oczu, i odwrócił się do mnie:

– Gdzieś je pan upchał?

– Proszę się o nic nie martwić, panie Albercie – powiedziałem. – Ten dzień może być jeszcze bardzo udany. Może nawet uda nam się zbudować domek na drzewie.

Leki leżały cały czas tam, gdzie je położyłem, tylko ładnie zakamuflowane.

– Ale nadal je pan masz, tak?

– Jasne.

– No to jak je pan ukryłeś, co? – A kiedy tylko wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się, odwrócił się do wujka. – Skąd wujka wystraszał tych ludzi? Oni są jacyś dziwni.

Potem trochę nam zajęło przekonanie Alberta, żeby jeszcze podwiózł nas do domu Franka, żebyśmy mogli zabrać stamtąd jego rewolwer.

Przed powrotem na budowę musieliśmy zajechać w jeszcze jedno miejsce. W hipermarkecie kupiliśmy dwa dwudziestolitrowe wiadra farby, wielką misę, łyżkę cedzakową i dwie butle oliwy. Frank dodał do tego jedzenie na lunch oraz lód i nowe puszki z napojami do lodówki w hoganie.

Albert wyrzucił nas na zmasakrowanej budowie i pożegnał się niespokojnie z Frankiem, jakby nie był pewien, czy bezpiecznie będzie zostawić wujka samego z tymi szurniętymi białymi o dziwnym talencie do włamań i ukrywania leków.

A właściwie dlaczego w ogóle byliśmy sami? Gdzie się podziewał Kojot?

Udało nam się znaleźć dwie niezłamane łopaty i wykopaliśmy nimi małą dziurę, w którą wsypaliśmy kolczatki. Wezwałem żywiołaka żelaza i pokazałem mu, jak spleść dwa gwoździe tak, żeby zawsze wystawała ostra końcówka bez względu na to, jak upadną. Wymaga to tylko sprytnego zgięcia gwoździ i można to zrobić niemagicznie przy użyciu zwykłych obcęgow i odrobiny cierpliwości, tylko że Ferrisowi szło to o wiele szybciej. Gdy tylko załapał, o co chodzi, wyglądałem przy nim jak zwykła ślamazara. Gwoździe w dole same podskakiwały i splatały się w kolczatkę, a ja zostawiłem przy nich Franka i Granuaile, żeby napelnili nimi jedno z wiader, a sam zająłem się przyrządzaniem trucizny.

Wieki zajęło mi przedarcie się przez opakowania i wysypanie zawartości kapsułek do misy. Dzięki Ferrisowi Granuaile i Frank skończyli z kolczatkami, zanim ja w ogóle zdążyłem sobie przygotować składniki do pracy. Frank zajął się hoganem, a Granuaile siadła na stoliwie przy mnie.

– Powiedz mi, sensei, co robisz?

– Mieszam truciznę, ale chodzi ci o to w jaki sposób, tak?

– Yhmy.

– Dobra. Siedzisz wygodnie? Bo to chwilę zajmie.

– Wygodniej już tu się nie da.

– Okej. Znów splotę twój wzrok z moim i wtedy wejdziemy w szczegóły. Jesteś dobra z chemii?

– Nie najlepsza – przyznała. – Właściwie to kompletnie beznadziejna. A powinnam to zmienić?

– Jeśli chcesz się nauczyć robić to, co ci zaraz pokażę, to tak. Normalnie zebrałabyś tylko trochę wilczej jagody i pozwoliła naturze zrobić resztę za ciebie. Choć nie wiem, czy zatruwanie kolczatek, żeby pokonać nimi szalenie szybkich skórokształtnych, jest normalne... W każdym razie nie mamy czasu na konwencjonalne rozwiązania. Nie zdążyłbym do wieczora przenieść się do Europy i z powrotem. Spojrzę więc na struktury tych alkaloidów, zsyntetyzuję ich kopie i wprowadzę do oleju, dzięki czemu uzyskamy zabójczą maść dla skórokształtnych.

– Czyli pracujesz na poziomie molekularnym? – spytała.

– Tak. Wiele z tego, co robię w świecie fizycznym, robię właśnie na tym poziomie. Na przykład ten sabotaż silników. Żeby połączyć tłoki ze ścianami cylindrów, najpierw rozplatom stal na powierzchni obu, potem pozwalam pierwiastkom trochę się mieszać, a na końcu splatom je tak, żeby stanowiły jeden kawałek. W procesie bierze udział masę cząsteczek, ale da się go przyśpieszyć, jeśli się używa splotów makr, które określają kształt i dozwolone struktury molekuł.

– Makro? Czyli tworzysz jeden splot, który służy ci potem do wielu zadań?

– Właśnie. Makra to najlepsi przyjaciele druida. Gdybym miał wszystko splatać od zera, robiłbym to całe wieki, rozumiesz? Ale do tej trucizny na przykład potrzebne mi będą tylko trzy makra. Zaraz zobaczysz.

– Aha. I twoje charmsy – machnęła palcem w kierunku mojego naszyjnika – też są rodzajem takich makrów.

– Tak. Tylko że działają o wiele szybciej, niż gdybym musiał je wypowiadać na głos. Stworzyłem je, bo jak wiesz, mam paranoję i zawsze wyglądam kłopotów. Te makra są uruchamiane za pomocą słów kluczowych znajdujących się w mojej staroirlandzkiej przestrzeni umysłowej. Wystarczy, że pomyślę dane hasło, i już się zaczyna dziać. Jeżeli zmieniam cel splotu kamuflowania albo noktowizji, to muszę go podać, ale bez tego splot automatycznie uznaje, że ja jestem jego celem. Charmsy odpowiadające za zmienianie postaci mają też wbudowane makra, które nakazują naszyjnikowi poszerzyć się lub zwęzić zależnie od tego, jaką postać przybieram.

– Odlot, sensei. Wiem, za co odpowiadają te po tej stronie – powiedziała, pokazując na prawo, gdzie wisiały charmsy odpowiadające za zmiennokształtność. – Ale co to jest po drugiej stronie amuletu? – Delikatnie położyła dłoń na moim lewym policzku. – Odwróć głowę, żebyś mogła na nie rzucić okiem. – Zmrużyła oczy i pochyliła się, wpatrując się badawczo w maleńkie wzory wykute na srebrnych charmsach. Czubek jej głowy znajdował się przez to na wysokości mojej szczęki i zagapiłem się na cynobrowe od słońca pasemka na jej włosach. Pachniała truskawkami i... cholera! że też ci Diamondbacksi nie zaczną porządnie rozgrzewać rezerwowych w tych bullpenach, bo przecież przegrywają dosłownie o kilka punktów... Przesunęła palcami w dół, aż na moją szyję, a ja pomyślałem sobie, iż naprawdę nie podoba mi się stadion Chase Field po remoncie. Układ kafelków w basenie był o wiele zgrabniejszy za poprzedniego sponsora.

– Bardzo ładne są te wzory, sensei, ale kompletnie nie wiem, co oznaczają. –

Jej palce oderwały się od mojej skóry i wyprostowała się, a ja mało nie odetchnąłem z ulgą na głos. Trudno się myśli o baseballu poza sezonem. Nawet wiosenne treningi rozpoczną się dopiero za kilka miesięcy.

– Dobra, to zaczynając od amuletu, tu masz charms odpowiadający za kamuflaż, tu jest noktowizja, szkło faeryczne, uzdrawianie, a na ten to jakoś nie mam nazwy. Duszołap może.

– Duszołap?

– Nigdy go jeszcze nie używałem – przyznałem. – Nie wiem nawet, czy działa.

– A co miałby robić?

– Miałby uratować mi życie. Ale żeby go wypróbować, musiałbym umrzeć.

– Aha. – Roześmiała się. – No to nietrudno zrozumieć, czemu nie masz go ochoty wypróbować. – Zmarszczyła się, jakby coś sobie uświadomiła. – To po co ci on w ogóle? Może zamiast niego powinieneś zawiesić sobie jakiś inny charms. Taki odplątujący wampiry na przykład?

– Co do tego masz rację – zgodziłem się. – Wydarzenia ostatnich dni uświadomiły mi, jak bardzo mógłby mi się taki charms przydać. Sęk w tym, że nawet jeśli zacznę od razu, i to z całym doświadczeniem, jakie mam, minie jak nic z pięćdziesiąt lat, zanim go skończę.

– Dlaczego tak długo?

– Metoda prób i błędów. Za każdym razem chodzi o skonstruowanie splotów makro, które działałyby ze srebrnego charmsa na mentalny włącznik, i to mimo bliskości zimnego żelaza. Druidzkie przekazy nie obejmują żadnych wskazówek dotyczących takiego rzemiosła. Każdy z tych charmsów jest wyjątkowy. Przy tworzeniu charmsa przeciwko wampirom musiałbym za każdym razem, gdy potrzebna jest próba, dorwać jakiegoś wampira jako królika doświadczalnego. To trochę niebezpieczne. Dotąd naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, jak duże stanowią one zagrożenie. Zawsze unikałem ich po prostu, bo i tak starałem się nie rzucić nikomu w oczy, to wampirom też nie. Ale wracając do twojego pytania, trzymam duszołapa z obawy przed przypadkową śmiercią. Kiedy zaczynałem nad nim pracować, nie byłem jeszcze skumplowany z Morrigan, a Aenghus Óg wciąż stanowił realne zagrożenie.

– Rozumiem. I myślisz, że ten duszołap działa?

– Szczerze? Biorąc pod uwagę, ile razy zawiodły mnie inne charmsy, zanim udało mi się je wyszlifować, to nie. Wszystkie je testowałem wielokrotnie, wciąż udoskonalając sploty, aż wreszcie udawało mi się wykombinować coś, co działało. A tego nie sprawdziłem ani razu. Nie wiem, czy to jest skuteczniejsze niż trzy zdrowaśki.

Granuaile uśmiechnęła się.

– Akurat zdrowaśki ci już raz pomogły.

– Tak, ale nie moje – przypomniałem jej. – To co? Gotowa na truciznę? – Wskazałem jej misę.

– Tak. Dawaj.

Wymówiłem splot, który pozwalał Granuaile widzieć moimi oczami w magicznym wymiarze, a potem stopniowo robiłem zbliżenie na zawartość miski, aż w końcu widziałem alkaloidy na poziomie molekularnym – a raczej ich magiczne

pełnomocniki. Nie umiem naprawdę powiększać obrazu oczami niczym mikroskopem.

– Dobra. Czy kiedykolwiek pracowałaś na jednym z tych programów, w których wykonujesz serię ruchów, a potem możesz ją sobie zapisać na później?

– Tak. Robiłam coś takiego w Photoshopie.

– Świetnie. Właśnie coś takiego tu zaraz zrobię. Widzisz tę cząsteczkę? To atropina. A to skopolamina, a ta tutaj to hioscyjamina. To tylko węgiel, azot, wodór i tlen w odpowiedniej konfiguracji. Wokół nas jest mnóstwo tych pierwiastków. Nieaktywne składniki tabletek, które stanowią większą część zawartości tej miski, też mają masę tych pierwiastków. Teraz więc skonstruujemy makro, które sprawi, że dostępny tu materiał rozplecie się z oryginalnych konfiguracji i przeplecie w te trzy, które są trujące.

– Nie zostaną nam jakieś resztki?

– Zostaną. Będzie trochę luźnych cząstek węgla czy wodoru. To składniki neutralne i nieaktywne.

Starannie splotłem makra, a następnie, nim je uruchomiłem, zniwelowałem zbliżenie i wyłączyłem magiczne widzenie, żeby Granuaile mogła zobaczyć, co się stanie na niemagicznym poziomie.

– Patrz uważnie.

– Patrzę.

Uruchomiłem sploty i proszek w misie zawirował.

– No i? – spytała Granuaile. – Nic się nie stało.

– Wszystko się stało. W tej misce miałaś przed chwilą trzy procent trucizny i dziewięćdziesiąt siedem procent jakiegoś nieistotnego badziewia, które pakują w pigułki, żeby ludzie mieli poczucie, że wiedzą, za co płacą. Teraz to jest prawie stuprocentowa trucizna. W życiu bym tego nie dał rady zrobić, gdybym nie studiował chemii.

– Masz dyplom z chemii?

– E, nie. Siedziałem na wykładach w kamuflażu i po prostu kupiłem sobie podręczniki. W każdym razie ta misa zawiera teraz niezwykle toksyczną substancję. Mogłabyś mi odkręcić butelkę z oliwą. Nie chciałbym rozerwać sobie przypadkiem rękawiczek. – Wróciła zaraz z otwartą butelką. – Teraz nalewaj powoli, a ja będę mieszał.

– Dobra – mruknęła. – A dlaczego akurat oliwa?

– To będzie podstawa naszej maści. Kiedy już to wszystko ładnie wymieszamy, a alkaloidy równo się rozłożą w oliwie, pokryjemy maścią kolczatki i gotowe.

Przez kilka minut pracowaliśmy w milczeniu, mieszając alkaloidy z podstawą maści.

– Wspaniale – powiedziałem, gdy już byłem zadowolony z efektu. – Teraz musimy tylko pokryć tym kolczatki i uważać, żeby się samemu nie zatruć na śmierć.

– Brzmi nieźle. Nie ma to jak relaksujące rozrywki – stwierdziła Granuaile.

Włożyła aż dwie pary rękawiczek i ustaliliśmy procedurę polegającą na tym, że najpierw zanurzaliśmy w truciźnie małe porcje kolczatek, a potem wyławialiśmy je łyżką cedzakową, czekaliśmy, aż obcieknie nadmiar oliwy, i przekładaliśmy do drugiego wiadra. Była to praca monotonna i stresująca, bo chwila nieuwagi i jedno

chlupnięcie mogło nas zabić. Skończyliśmy ledwie dwie godziny przed zachodem. Zataraliśmy śmiercionośne kolczatki do hoganu, gdzie na podłodze siedział po turecku Frank i medytował. Staraliśmy się być bardzo cichutko, gdy rzuciliśmy się plądrować lodówkę z sera, krakersów i puszek z herbatą. Frank i tak nas jednak usłyszał, otworzył jedno oko i mruknął:

– Gotów, panie Collins?

– Bardziej gotów już nie będę – odparłem i skinąłem głową.

– Dobrze. Ja też. – Otworzył drugie oko i zaczął wstawać.

– A pan na co?

– Na zabicie skórokształtnych oczywiście – rzekł, otrzepując sobie kolana. Uniosłem dłoń.

– Panie Franku, bynajmniej nie proszę pana o pomoc. Powinien pan się w ogóle jak najszybciej stąd wydostać. Niech pan zadzwoni po siostrzeńca.

– Bzdura. Zostaję tu z wami. Kiedy następnym razem będę miał okazję dorwać jakiegoś skórokształtnego, co? Mam tu rewolwer. Pan mi ich spowolnisz, a ja ich ustrzelę i kwita.

Wymieniliśmy z Granuaile niespokojne spojrzenia.

– Panie Franku, ja mogę się podpompować do takich prędkości, że być może nawet uda mi się któregoś utrafić. Pan nie będzie miał tej przewagi. Miał pan przecież tylko jedną szansę wezwania Zabójcy Potworów.

– To prawda, ale pan nie mówisz po naszymu. A jeśli oni będą chcieli pogadać, zanim nas zabiją? Co pan wtedy zrobisz? Szarady pan będziesz układał? Słuchaj, chłopcze, to po to jestem hataałim, tak? Mam chronić mój lud przez złym. A to złe pochodzi z Pierwszego Świata. To złe należy do Diné i nęka Diné. Mowy nie ma, żebym pozwolił jakiemuś obcemu rozwiązywać problemy Diné za mnie. Jasne?

Z dumą się nie dyskutuje. Tak jak Jezus i Morrigan nie zdołali mnie odwieść od ataku na Asgard, tak ja nie miałem szans na przekonanie teraz Franka, żeby sobie odpuścił. Pokiwałem głową i zacząłem się martwić, jak go ochronić.

– Dobrze – powiedziałem. – Muszę jeszcze coś załatwić, zanim zaczniemy. Przepraszam na chwilę.

Na zewnątrz rozejrzałem się za jakimś zacienionym miejscem, co nawet w Arizonie nie jest takie znowu trudne, gdy zbliża się zachód słońca. Siadłem pod krzakiem jałowca i wreszcie zagadałem do Kolorado.

//Druid pozdrawia Kolorado / Harmonia//

//Harmonia// pojawiła się odpowiedź.

//Kopalnia węgla zamknięta / Będę pilnował / Pytanie: przesunięcie złota teraz?//

//Tak / Węgiel zatrzymany / Wdzięczność / Niech kopalnia węgla nie rusza / Złoto będzie przesunięte//

//Harmonia// powiedziałem, a Kolorado się ze mną zgodził.

Nie po raz pierwszy pomyślałem sobie, że z ziemią o wiele łatwiej mi się dogadywać niż z ludźmi. Choć z drugiej strony jakoś nigdy nie chwyciła moich dowcipów.

Rozdział 28

Wybraliśmy z Frankiem miejsce koło południowego ostańca, tak żeby mieć widok na północny, bo skórokształtni zawsze się pojawiali z tamtej strony. W ten sposób mieliśmy tyły zasłonięte, wziąłem więc wiadro z zatrutymi kolczatkami i ostrożnie rozrzuciłem je przed nami w półkolu, wycofując się w miarę sypania. Rozsypałem je na szerokość około pięciu metrów, żeby mieć pewność, że skórokształtni nie przeskoczą nad nimi. Frank przyglądał się temu z powątpiewaniem.

– Za dużo bezpiecznych miejsc do przeskoczenia między kolczatkami – stwierdził.

– Zawsze może pan wrócić do hoganu – odparłem. – Granuaile na pewno się ucieszy z towarzystwa.

Jej SUV w dachu nadal stanowił słaby element osłony, ale mimo wszystko w hoganie na pewno było bezpieczniej niż na zewnątrz. Odtworzyliśmy wczorajszą ogniową pułapkę na dachu, a Granuaile była na wszelki wypadek uzbrojona w zapalniczkę.

– Chrzanić to – rzucił z mocą Frank, jakby wróciła mu brawura, która jednak zniknęła, gdy znów spojrzał na kolczatki. Kiedy wypełniały wiadro, wydawało się, że jest ich mnóstwo, teraz jednak – rozłożone na ziemi – wyglądały dość marnie. – Pewien pan jesteś, że zużyliśmy całe od chuja gwoździ?

– Tak. Dobra, załóżmy, że je jakoś ominą. Nie wydaje mi się, żeby się im udało, ale załóżmy czysto teoretycznie. Pan stoi z boku i osłania swoje gardło i brzuch, tak? Musi pan też chronić swoją tętnicę udową w ten sposób. A poza tym próbuje pan ich pchnąć z powrotem na kolczatki.

– I do nich strzelić.

– Tak. A ja będę wymachiwał mieczem. – Miałem przy sobie Moralltacha, ale nie powiedziałem Frankowi o jego magicznych właściwościach. Teraz dopiero przyszło mi do głowy, że być może to błąd. – Panie Franku, cokolwiek będzie się działo, proszę trzymać się z dala od mojego miecza, tak? Nie może się nim pan nawet drasnąć.

– Też jest zatruty?

– Coś w tym stylu. Zaczarowany druidzkim hoodoo. Jeśli się pan zatnie, już po panu.

– Czyli jeśli pan ich trafisz, mamy ich z głowy?

– Tak. Choć nie od razu. Magia zadziała dopiero po kilku sekundach.

– Hmm. A co się stanie, jeśli skórokształtni pchną nas na kolczatki?

– Raczej tego nie przetrwamy, bo rozedrą nas na strzępy. Ale jeśli już będzie pan miał ten luksus, żeby w ogóle pomyśleć o czymkolwiek, może pan spróbować tego.

Wyciągnąłem z kieszeni ostatnie nieotwarte pudełeczko, jakie mi zostało po naszej farmaceutycznej grabieży – jedna dawka salicylanu fizostygminy. Więcej nie znalazłem.

– Tu jest strzykawka z odtrutką na alkaloidy tropanowe. Wbijesz pan to sobie i naciśniesz.

Frank mruknął coś pod nosem i wsadził sobie strzykawkę do kieszeni spodni. Potem jednak rozmyślił się i przełożył ją do tylnej kieszeni.

– Koło interesu lepiej nie mieć żadnych igieł – wyjaśnił.

Patrzyliśmy na coraz dłuższe cienie. Słońce chowało się już za piaskowym masywem Mesa Tyende. Było pięknie, cicho i gdzieś tu się czaiło złe, na które nie miałem żadnego magicznego rozwiązania.

Frank wbił wzrok w swoje buty i mruknął:

– Powiem teraz kilka słów. Modlitwę taką. Muszę wejść w rytm, osiągnąć hózhó na wypadek gdyby, wie pan, coś poszło nie po naszej myśli. To niech pan na mnie nie zwraca uwagi.

– Świetny pomysł – przyznałem. Pewnie powinienem zrobić to samo, tylko że modlenie się teraz do Brighid czy któregośkolwiek z Tuatha Dé Danann nie byłoby może najlepszym krokiem, skoro mieli mnie uważać za martwego. Może pomodłę się do Morrigan, bo jakoś się nie pojawiła, kiedy ten skórokształtny postanowił sobie przekąsić szyjkę z druida. Okej, Kojot mnie w końcu uratował, więc nie umarłem, ale jednak – w przeszłości ostrzegęła mnie przed znacznie mniej poważnymi zagrożeniami. Być może nie dość starannie sformułowałem naszą umowę. Już raz dała mi do zrozumienia, że należy do osób, które z zasady trzymają się dosłownego brzmienia kontraktu, a nie jego ducha. Z drugiej strony, jeśli teraz się do niej pomodłę, może to uznać za zaproszenie do złożenia mi nieoficjalnej wizyty, a to z kolei uśmiechało mi się tak, jak przytulenie jeżozwierza.

Zamarzyła mi się chwila wytchnienia i harmonii w życiu. Naprawdę nie miałem jej, odkąd postanowiłem walczyć z Aenghusem Ógiem, choć prawdę powiedziawszy, harmonia, jaką miałem przedtem, była śmiechu warta. Jeśli nawet mój wewnętrzny spokój był jak ocean, to moja nieustanna paranoja przypominała wicher wzburzającą zdrowo jego powierzchnię. Dwa wieki z Tahirah były pewnie najspokojniejszym okresem w moim życiu.

Gdy zaszło słońce, rzuciłem zaklęcie noktowizji na siebie i na Franka. Stał, osłaniając najsłabsze części swojego ciała tak, jak mu poradziłem. W prawej ręce trzymał rewolwer. Ustawiłem się w gotowości i zacisnąłem dłoń na Moralltachu.

– Kici, kici – szepnąłem. – Chodźcie, chodźcie, paskudne kotki.

Zaatakowały ledwie kilka minut później. Usłyszeliśmy, jak warczą, i to musiało nam starczyć za całe ostrzeżenie, nim wypadły na nas zamazane postacie rysy – tak szybkie, że nie zdążyliśmy nawet wypowiedzieć żadnych oczywistych słów typu: „Już są” albo „Do broni!”. Był to raczej jeden, podkreślony zgodnie z efektem Dopplera koci pisk. Usłyszeliśmy go z oddali, a potem rysie jakby dogoniły głos i wyskoczyły tuż przed nami z tym nieludzkim wrzaskiem. Nagle je zobaczyliśmy – gdy były z dziesięć metrów przed nami, zauważyły pułapkę i rozpaczliwie usiłowały wyhamować, a wściekłość momentalnie z nich wyparowała. Frank uniósł rewolwer i strzelił sześć razy, ale zauważyły ruch jego ręki i zrobiły unik. Ich ciała znów się zamazały i wydawały z siebie ten upiorny pisk, który się słyszy podczas kocich bójek. Stały przed koleczkami i sapęły ze złości, bo w ich łapach już tkwiły gwoździe. Zaczęły się tarzać na plecach, trząść i podrygiwać. Najpierw myślałem, że

próbują w ten sposób wyciągnąć sobie kolczatki z łap, ale potem zobaczyłem, że opada z nich futro rysie i na ziemi pojawiają się dwaj nadzy mężczyźni. W zimnym nocnym powietrzu unosiła się nad nimi para, jakby właśnie w jakiś magiczny sposób się narodzili. Kolczatki tkwiły w ich dłoniach i stopach, ale wyrwali je po prostu spokojnie i odrzucili na bok, za nic mając ciekącą krew. Nie wydawali żadnych odgłosów bólu. Podnieśli rysie skóry i popatrzyli na nas pomarańczowymi oczami. Po raz pierwszy mogłem im się porządniej przyjrzeć i byłem zaskoczony smukłością ich sylwetek. Byli niezwykle szczupli. Wyglądali jak długodystansowi biegacze, bez żadnej tkanki tłuszczowej, same mięśnie, i to tak wyrobione, że niemal mogłem rozróżnić poszczególne włókna widoczne koło nabrzmiałych pod skórą żył. Pewnie nie ważyli nawet czterdziestu pięciu kilo. Ale chyba nigdy nie widziałem oczu ziejących większą nienawiścią, nawet u demonów. Jeden z nich splunął i powiedział coś po nawahijsku.

– Panie Franku, co on powiedział?

– Powiedział: „Ty i ten biały umrzecie dziś w nocy”.

Dwaj skórokształtni odwrócili się i ze skórami rysie pod pachą potruczali, skąd przyszli. Nie wykazywali żadnych objawów działania kolczatek.

– Nie kumam tego – zdenerwowałem się. – Teraz powinni już kuleć i mieć problemy z oddychaniem. Każdemu z nich wbiło się po cztery, może pięć kolczatek. To dość trucizny, żeby zabić słonia. Powinni właśnie umierać, a nie biec sobie po butelkę Gatorade'u czy po co oni tam podzidowali.

– Mówiłem panu, że to nie zadziała, to mnie pan nie słuchałeś.

– I co teraz?

– Teraz, biały człowieku, to mamy przerąbane.

Rozdział 29

Wnienaturalnej ciszy rozległ się nagle cieniutki, stłumiony głosik:

– Sensei? – pytała Granuaile z hoganu. – Żyjecie tam jeszcze?

– Tak! – odkrzyknąłem, a mój okrzyk odbił się od skały przede mną. – Póki co w każdym razie – dodałem ciszej.

Frank prychnął i mruknął:

– Dobrze powiedziane. – Wyciągnął z kieszeni naboje i zaczął ładować rewolwer. – Naprawdę nie wiem, po co to robię. I tak niczego nim nie ustrzelę.

– Już mogę wyjść? – spytała Granuaile.

– Nie! Zostań w hoganie do świtu, chyba że powiem, że już jest bezpiecznie. Jeszcze nie skończyliśmy. Zaczyna się druga runda.

Dwa metaliczne *cyk-cyk* a potem *zzzz* rewolweru Franka zwróciły moje myśli na właściwe tory. Zdecydowanie nie doceniałem mocy duchów z Pierwszego Świata. Co innego fizyczne gojenie ran po postrzeleniu przez Kojota, a zupełnie co innego poradzenie sobie z tak silną trucizną. Tego w życiu się po nich nie spodziewałem.

Ich magia była mi zupełnie obca i musiałem teraz przyznać, że całkowicie mnie przerastała. Te duchy Pierwszego Świata umiały naprawdę zmieniać byle słabeuszy w zabójcze maszyny... co z kolei uzmysłowiło mi jedną rzecz.

– Panie Franku?

– Tak?

– Czemu oni w ogóle sobie poszli? Pytam, bo pan na pewno zna się lepiej na psychologii rodem z Pierwszego Świata. Wie pan, zupełnie nie rozumiem, dlaczego po tym, jak tak po prostu wyciągnęli sobie z ciała moją genialną truciznę, nie przetańcowali między pozostałymi kolczatkami i nas nie pozabijali.

Już załadował rewolwer wszystkimi sześcioma nabojami. Przykucnął, żeby się nad tym zastanowić. Słyszałem wszystko – od szelestu jego dzinsów po lekki zgrzyt żwiru pod jego butami. Takie miejsca z dala od hałasu miast stanowią prawdziwą ucztę dla uszu.

– Dobre pytanie, panie Collins. – Spojrzał na mnie. – To nazwisko zupełnie do pana nie pasuje. To nie jest pańskie prawdziwe nazwisko, co?

– Nie. Niewielu ludziom zdradzam prawdziwe. Ale może mi pan mówić Atticus, kiedy jesteśmy sami.

– Atticus? A to co za imię?

– Czytał pan *Zabić drozda* Harper Lee?

– Nie, ale coś tam mi się obilo o uszy.

– No to tam jest taki człowiek, co się nazywa Atticus Finch. Wspaniały. Odważny. Walczy o sprawiedliwość. Przeciwstawia się czystej głupocie, choć to drogo kosztuje i jego, i jego rodzinę. Wiem, że to tylko fikcyjna postać, ale taki właśnie chciałbym być. To imię, które daje mi przestrzeń do dorastania. Potrzebuję takiego imienia. Przypomina mi o mojej niedoskonałości.

– Naprawdę potrzebujesz pan sobie o niej przypominać? – spytał Frank z lekkim zdziwieniem.

– No tak – przyznałem. – Czasami popadam w samozachwyt, bo udało mi się już uniknąć gniewu kilku bogów. Ale dni takie jak ten przypominają mi, że wcale nie jestem taki znowu super. I to pomaga. Choć jestem coraz starszy, nadal zdarza mi się poznać ludzi mądrzejszych, szlachetniejszych i uczynniejszych. Naprawdę powinienem zacząć ich słuchać, a mojej dumie kazać się po prostu zamknąć. Bogowie mówili mi, że bym się nie pchał do Asgardu. Wiedźmy mówiły, że bym nie jechał do Flagstaff. Pan mówił mi, że ten plan nie wypali. A ja za każdym razem musiałem się uprzeć i trzymać własnych pomysłów. Naprawdę muszę wreszcie dorosnąć.

– Ile masz pan lat? Ze dwadzieścia dwa, co?

– Wiem, że na tyle wyglądam, panie Franku, ale jestem starszy od pana. Dużo starszy.

Frank mruknął, zastanawiając się nad moim pytaniem sprzed kilku minut.

– Dobrze, panie starszy ode mnie Atticusie, jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że zostawili nas tu, żeby wykombinować coś, co nas skuteczniej zabije. Jakiś sposób, który ich zdaniem lepiej się sprawdzi. Bo, choć wcześniej sobie z tego nie zdawałem sprawy, te kolczatki mają to do siebie, że aby je ominąć, oni by musieli nie patrzeć na nas, tylko na nie. A tego nie zaryzykują, skoro już widzieli ten miecz w pana ręce i rewolwer w mojej. I dlatego wrócą tu zaraz z jakimś sposobem na obejście tych kolczatek.

– Oczywiście! – zakrzyknąłem, uśmiechając się od ucha do ucha. – Panie Franku, pan jest geniuszem!

– No jasne, że jestem. A co?

– Oni mogą się zmieniać w ptaki – wyjaśniłem. – Nie wiem, jakiego rodzaju, ale idę o zakład, że pobiegli po swoje ptasie skóry. Czy też pióra. Czy co tam.

Frank spojrzał na mnie.

– Skąd pan to wiesz?

– Wytropiliśmy ich z moim psem kilka dni temu, wtedy po pierwszym ataku. Znaleźliśmy ślady ptaków. Dużych ptaków.

Frank zmarszczył czoło.

– Jedyne duże ptaki w tej okolicy to czarnowrony, wrony, kruki i tym podobne tałatajstwo.

– To nie były wrony. Inaczej pachniały.

– Inaczej pachniały? Rozróżniasz pan ptaki po zapachu?

– No tak, panie Franku. Jestem zmiennokształtnym.

W głowie zaświtał mi nowy plan. Schowałem Moralltacha do pochwy, odpiąłem ją i zacząłem zdejmować ubranie. Frank od razu wyraził swoje wątpliwości.

– Po cholere się pan rozbierasz? – spytał.

– Nie mogę przecież zmieniać postaci w dzinsach i koszuli, nie? Trudno się lata w ubraniach.

– Jaja sobie pan ze mnie robisz? – Wstał z kucek.

– Nie. Gorzej: wpadam znów w samozachwyt. Zamieńmy się miejscami.

Wolałbym, żeby pan stał po mojej lewej.

– Co? Po co?

– Jest pan prawo- czy leworęczny?
– Prawo.
– Tak myślałem. Dlatego musi pan stanąć po mojej lewej stronie.
– Gadasz pan od rzeczy – mruknął, ale zamienił się ze mną miejscami.
– Proszę mi zaufać, panie Franku. Przepraszam, że przypomnę panu pana własne słowa, ale nie jestem zwykłym, przystojnym dupkiem. Czasami nawet jestem całkiem bystry. I mam plan.
– Mam nadzieję, że wypali lepiej niż poprzedni.
– Ja też. Dobra. Proszę mi powiedzieć, jakie jeszcze tu się spotyka duże ptaki poza krukami i wronami.
– Urubu. Ludzie nazywają je sępnikami.
– Tak, to by bardziej pasowało. Bo są dość duże, nie?
– Cholernie duże.
– I domyślałem się, że czarne?
– Dobrze się pan domyślasz. Głowy mają czerwone, ale reszta jest czarna.
– W takim razie to właśnie jest ich plan, panie Franku. Pobiegli odłożyć skóry rysi i włożyć skóry urubu. A potem przelecą ponad kolczatkami i spadną na nas jak ninja.

Frank spojrział w niebo.

– Cholera. To może być. To paskudny plan i bardzo w stylu duchów powietrza z Pierwszego Świata.

– A kiedy już będą z nami w środku, to nie mamy szans.

– To pewne – zgodził się Frank. – Jeśli już będą po tej stronie kolczatek, to mamy takie szanse jak wąż na wygraną w konkursie pisania na klawiaturze.

– I dlatego zrobimy tak. – Wyjaśniłem mu mój nowy plan, który zakładał między innymi, że Frank będzie musiał znów przykucnąć i położyć prawą rękę płasko na ziemi.

– Wiesz pan, że już mam swoje lata, co? – stęknął.

– Lata, lata, ważne, co lata nad nami, panie Frank.

Frank spojrział na mnie, ale jego wzrok zaraz przesunął się ponad moim prawym ramieniem na północny wschód, za sylwetkę północnego ostańca.

– Już lata. Ale jakby tylko jeden. Drugiego jakoś nie widzę.

Przykucnął tak, jak go poprosiłem, a ja podsunąłem się kilka centymetrów do przodu, tak że palce stóp miałem już na jego prawej ręce. Ciężar ciała wciąż spoczywał na piętach, bo mogłem go przesunąć do przodu w ostatniej chwili.

– Proszę pamiętać, żeby się nie zaciąć mieczem – przypomniałem mu, choć teraz to ja go trzymałem.

– Będę pamiętał – zapewnił mnie Frank.

Zaciskając prawą dłoń na Moralltachu, spojrziałem w niebo, żeby namierzyć skórokształtnych. Poza miastem gwiazdy są takie jasne. Trochę tak jak w tych reklamach dla alergików, kiedy dodają filtr szumu, a potem go usuwają, żeby ci zasugerować, że twój świat stanie się piękny, gdy tylko połkniesz jakieś tam pigułki. W Kraju Nawahów jest tak czysto bez żadnych leków. Zaledwie po kilku sekundach rozglądania się bez trudu więc dojrzałem skórokształtnego.

Jego towarzysz – a raczej: jego brat – też już się do nas zbliżał. Spadał na nas z

południowego zbocza stoliwa. Gdy już byli wystarczająco blisko, spytałem Franka, czy jest gotowy.

– Tak – potwierdził.

– Teraz! – krzyknąłem i rzuciłem Moralltacha za siebie, uruchamiając charmsa zmieniającego mnie w puchacza wirginijskiego. Moje stopy zmieniły się w szpony, a ramiona w skrzydła. Frank wstał z kucek i uniósł ramię nad głowę, wypychając mnie tym samym w niebo, zanim najbliższy skórokształtny miał czas pojąć, co się dzieje.

Z powodu swojej sporej masy sępniki nie są stworzone do walki w powietrzu. To padlinożercy, przyzwyczajeni do szybkiego zjadania martwego mięsa i walczenia najwyżej z chorobami wywołanymi trawieniem starego mięsa. Mogą szybować całymi godzinami w poszukiwaniu unieruchomionej przekąski. Ale jeśli napotkają ptaka drapieżnego, który poluje na niezwykle ruchliwe ofiary, takie jak zające i myszy, nie mają żadnych szans – nawet jeśli ich ciała są napompowane dodatkową mocą przez duchy z Pierwszego Świata.

Zwarłem się z pierwszym z nich, a on zaczął piszczeć z zaskoczenia i wściekłości jak licealista, któremu odważny nauczyciel konfiskuje paczkę Cheetosów. Mimo to dał radę jednak atakować mnie pazurami i dziobnąć tak skutecznie, że poczułem, jak mi wyrywa kawał mięsa z żeber i rozrywa żołądek. Uruchomiłem charms odpowiadający za uzdrawianie i trzymałem ptaka mocno pazurami za szyję. Miotał się rozpaczliwie. Rozpiętością skrzydeł dorównywał mojej, może nawet mnie przerastał. Zaczęliśmy spadać, bo zamiast wymachiwać skrzydłami, używaliśmy ich do walki. Udało mi się jednak przetoczyć na górę, zacisnąć pazury na jego szyi i pociągnąć mocno, co wywołało dość nieoczekiwane skutki. Skóra sępnika wydała cichy, syczący dźwięk i nagle z jej środka wyleciał człowiek, który z wielkim wrzaskiem spadł na ziemię i wylądował prosto na najeżonej zatrutymi gwoździemi ziemi. Nie zerwał się na równe nogi jak gdyby nigdy nic. Właściwie to w ogóle nie wstał. Zwycięstwo! – pomyślałem, wciąż trzymając w pazurach skórę sępnika. Zrzuciłem ją, zupełnie już teraz nieszkodliwą, na stoliwo. Ale gdy drugi skórokształtny ujrzał swego brata pokonanego, zawył dziko, zaniechał forteli i rzucił się prosto na Franka, uznając go widać za nasz słabszy element.

Zauważyłem, że w powietrzu nie dysponują nadnaturalną prędkością. Mogli się poruszać tylko tak szybko, jak pozwalała im na to ich budowa. Jako rysie wykorzystywali nadnaturalną muskulaturę. W postaci sępników musiała im wystarczyć aerodynamika – silne ramiona być może pozwalały im na szybsze niż u zwykłych sępników wymachiwanie skrzydłami, ale nie dawały jakiegś zawrotnej prędkości.

Hataalii zobaczył nadciągającego skórokształtnego i uniósł Moralltacha wysoko nad głowę, żeby utrudnić mu lądowanie. Zakręciłem, zmieniłem kurs i dałem nura w ich stronę. Sowy umieją spadać szybciej niż sępniki – są do tego stworzone. Uderzyłem pod kątem od góry i wczepiłem się w ptaka pazurami, wgniatając go w ziemię. Ledwo przy tym uniknąłem główni Moralltacha. Ptak zapiszczał i zaczął dziwnie bulgotać i rosnać mi pod pazurami. Tego już nie dawałem rady opanować jako sowa, więc przemieniłem się w psa i zacisnąłem szczęki na jego szyi. Gdy tylko to zrobiłem, on także się przemienił – z sępnika w człowieka, a skóra ptaka znalazła

się na nim. Ta przemiana wydała mi się jednak jakaś niekontrolowana i wtedy dotarło do mnie, że wywołało ją moje zimne żelazo. I to dlatego także ten pierwszy dosłownie wypadł ze swojej skóry, gdy tylko zacisnąłem na nim szpony. To pewnie z tego samego powodu, kiedy kilka dni temu jeden z nich próbował mnie zeżreć, jego skóra rysia tak dziwnie się zachowywała.

Teraz szyja, którą byłem zainteresowany, nie była już tak koścista jak przed chwilą, ale nadal spokojnie mieściła mi się w szczękach. Problem polegał jednak na tym, że były jeszcze ludzkie członki i mięśnie, z którymi należało sobie poradzić, oraz prędkość i wola, by wymachiwać nimi szaleńczo. Frank wrzasnął:

– Haja!!! – i niezdarnie zarył Moralltachem w plecy skórokształtnego, ale potwór zdołał jeszcze machnąć lewą ręką i mnie odepchnąć. Przetoczył się i z mocą kopnął Franka w brzuch, nim udało mi się znów na niego skoczyć. Frank zatoczył się do tyłu, a Moralltach wyleciał mu z ręki, gdy odruchowo usiłował ochronić głowę przy upadku. Wylądował poza naszym bezpiecznym kołem prosto na czających się tuż obok kolczatkach – a przynajmniej tak to sobie wyobraziłem, gdy usłyszałem rozpaczliwe:

– O cholera!

Byłem jednak zbyt zajęty rozrywaniem gardła skórokształtnemu, żeby lepiej ocenić sytuację. Potwór tak mocno uderzył mnie prawą ręką w żebra, że usłyszałem, jak pękają nieładnie.

Na filmach, jak ktoś cię tak pchnie, że lecisz wysoko i lądujesz z hukiem na skale czy cementowej ścianie, to jakimś cudem twoje ciało miażdży rzeczoną skałę lub przebija rzeczoną ścianę, a ty wstajesz natychmiast i otrzepujesz kurz z ramion (przy narastającej w tle dramatycznie muzyce). W życiu jednak po prostu leżysz tam, gdzie upadłeś, zupełnie pozbawiony tchu, a jeśli upadłeś akurat na skałę, to możesz mieć pewność, że to twoje kości ulegną zmiążdżeniu, a nie skała.

Mój charms uzdrawiania już koncentrował się na ranach zadanych przez poprzedniego skórokształtnego, więc nie mógł nagle przekierować swojej pracy na płuca. Gdy leżałem tak bez tchu, przeklęty potwór – Robert lub Ray Peshlakai, jeśli Sophie miała rację – wstał i ruszył mnie wykończyć. Tylko że zamiast tego runął na mnie jak długi – przy okazji miażdżąc mi i tak już pogruchotane żebra – a jego ciało wstrząsane drgawkami przerażająco czerniało. Zaczynała działać rana zadana przez Franka Moralltachem. W przeciwieństwie do moich trucizn z Czwartego Świata założone na miecz zaklęcie faeryczne okazało się dla ducha z Pierwszego Świata nie do pokonania. Magia faerii była mu zupełnie obca i przez to zabójcza. Umarł z wrzaskiem prerażenia na ustach, zresztą mało do niego w tym wrzasku nie dołączyłem, po części dlatego że na żaden inny dźwięk nie było mnie w tej chwili stać, a po części dlatego że widok schnącej nad tobą i czerniejącej upiornie głowy jest wyjątkowo nieestetyczny.

Byłem tak ranny, że nie miałem siły ani go z siebie skopać, ani wytoczyć się spod niego. Żeby pomóc Frankowi albo przynajmniej zawołać Granuaile na ratunek, musiałbym przemienić się z powrotem w człowieka.

Przemienianie się z połamanymi kośćmi nie należy do przyjemności, ale nie widziałem innego wyjścia. Transformacja mało nie zmieliła mi resztek żeber. Wydałem z siebie jakiś skowyt bólu, który połączony z pozostałymi wrzaskami na

tyle zaniepokoił Granuaile, że zawołała z hoganu:

– Atticusie? Nic ci nie jest?

Nie od razu udało mi się jej odpowiedzieć. Wiedziałem, że ostatecznie nic mi nie będzie, ale martwiłem się o Franka i usiłowałem odzyskać oddech w płucach. Przetoczył się z powrotem do bezpiecznego kręgu. Z pleców wystawało Frankowi kilka kolczatek, a pewnie i tak nie wszystkie widziałem. Jego prawa ręka nieporadnie obszukiwała kieszeń. Dałem mu przecież tę odtrutkę.

– Tak! – próbowałem wycharczeć, żeby go wesprzeć w tym działaniu. Z obrzydzeniem zrzuciłem z siebie szerniałe ciało i jęknąłem z wysiłku. Zacząłem czołgać się w stronę Franka. Jego dłoń drżała, gdy wyciągał pudełeczko z kieszeni. Upuścił je na ziemię przed sobą i stęknął. Oddech miał już świszczący i nierówny.

– Zaraz panu pomogę – jęknąłem, odcinając ból, żeby móc się szybciej poruszać. W plecach miał trzy kolczatki, które wyrwałem mu, jak najszybciej zdołałem, sam się przy tym nie zacinając. Potem sięgnąłem po antidotum. Pudełeczko było lekko wygięte i to mnie zaniepokoiło. Przypomniałem sobie, w jaki sposób upadł. – Nie, nie, nie... – wyszeptałem, gdy moje palce niezdarnie otwierały pudełko. Strzykawka w środku była zupełnie połamana. Zmiażdżył ją ciężar upadku Franka.

Łokieć Franka zadrżał pod nim i przestał go podpierać. Frank upadł, a potem przetoczył się, chwytając za pierś. Jego oddech stawał się coraz płytszy.

– Proszę się trzymać. Spróbuję jeszcze czegoś – powiedziałem, odrzucając nic już niewartą odtrutkę. Dotknąłem jego szyi, żeby uleczyć go bezpośrednio, nie bacząc na ryzyko – nie bacząc na to, że gdybym nienaumyślnie skrzywdził go za pomocą magii, musiałbym za to zapłacić własnym życiem. Zacisnął dłoń na mojej ręce i na jego ustach zajaśniał uśmiech. Oczami wskazał mi martwego skórokształtnego.

– Dorwałem... skurwiela – wyszeptał.

– Tak. Dorwał go pan – zgodziłem się. – Proszę chwilę poczekać, zaraz to naprawię.

Lecz jego dłoń puściła moją rękę i wróciła na jego pierś. Zmrużył oczy z bólu. Niedobrze. Trucizna nie powinna zadziałać tak szybko. Powinienem przecież zdążyć jeszcze rozbić toksyny, dać mu szansę doczekania do przyjazdu karetki. Powinienem podtrzymać go przy życiu w drodze do szpitala, gdzie mu dadzą antidotum na zatrucie alkaloidami.

– Panie Franku, czy pan ma atak serca? – Moje palce zaczęły szukać pulsu na jego szyi i odnalazły go na chwilę, bo potem zniknęły, a jego całe ciało opadło bezwładnie. – Nie! – Odsunąłem mu rękę z piersi i zacząłem resuscytację. Nie istnieją takie sploty, które by uruchomiły serce, jeśli już raz się zatrzymało. Każde uzdrawianie wymaga funkcjonującego układu krążenia, a każde życie wymaga woli do życia. Uciskałem mu klatkę piersiową i krzychałem: – Panie Franku! Wracaj pan! Panie Franku! Mam panu tyle do powiedzenia! Tyle mogę pana nauczyć! Tyle mogę się od pana nauczyć! Panie Franku! Proszę oddychać!

Owiał mnie chłód i odsunąłem się od niego, włączając szkło faeryczne, bo choć bałem się tego, co zobaczę, musiałem mieć pewność. Ch'ijidii Franka już był przy mnie, już patrzył. Błady, słaby, nieporównywalnie mniejszy od Darrenowego,

był ledwie chmurką oddechu na zimnym powietrzu, ale oznaczał jedno: Frank już nie wróci. Choć oczywiście oznaczało to też, że Frank, niech mu bogowie błogosławią, jest już w harmonii ze wszechświatem. Uklęknąłem pokonany i zagapiłem się na ducha. Odpowiedział mi zimnym, spokojnym spojrzeniem.

– Dobrze, panie Franku – szepnąłem, wyciągając dłoń i pozwalając ch'jiddiemu owinać się wokół niej i rozproszyć. – To były naprawdę niezłe ostatnie słowa. Niech pan idzie i odnajdzie spokój.

Ch'jiddi Franka był tak małym duszkiem, że nie wierzę, żeby miał jakkolwiek moc wpływania na żywych. W najgorszym razie mógł u kogoś spowodować napad chandry, nic więcej. Niestety nie był to jednak jedyny ch'jiddi unoszący się w okolicy. Kiedy odwróciłem się, by zobaczyć, jak wyglądają te u skórokształtnych, aż się cofnąłem z przerażenia. Ich ch'jiddi byli niczym z gotyckich horrorów – więksi niż sami ci ludzie za życia i o wiele, wiele gorsi niż Darrenowi. Pulsowali i aż drżeli od dysharmonii, a każdy z nich miał po dwie pary oczu. Do każdego z tych ciał poprzyczepiane były dwa różne duchy, jakoś ze sobą splecione – zhora czarna i jeszcze czarniejsza.

– Witam, duchy z Pierwszego Świata – mruknąłem. – Wygląda na to, że teraz jesteście związane z tymi ludźmi nieco ściślej, niżbyście chciały.

Ten bliżej – ten, którego zabił Frank – rzucił się w moją stronę. Bogom dzięki, znajdowałem się dalej, niż dosięgał jego metaforyczny łańcuch. Wyraźnie chciał mnie złapać i wciągnąć w ciemność. Nie był to zwykły ch'jiddi, któremu trzeba tylko pozwolić się rozproszyć, ale istota o własnej tożsamości i poczuciu celu.

Warkot silnika i żółte stożki świateł odwróciły moją uwagę od tych upiornych oczu ciemności. Wyłączyłem szkło faeryczne, ale zachowałem noktowizję.

– Granuaile! – zawołałem. – Możesz już wyjść. Sprawdź, kto przyjechał.

Podniosłem ubrania i dość niezdarnie, bo doskwierały mi połamane żebra, zacząłem wkładać spodnie. Koszulę sobie odpuściłem, bo rany mi się jeszcze nie zamknęły i wszędzie pełno było krwi. Otarłem choć część koszulą i skupiłem się na uzdrawianiu skóry.

Gdy umilkł silnik, usłyszałem dwa trzaśnięcia drzwiami. A potem nabrzmiały wściekłością głos Granuaile:

– Ty draniu! Masz czelność pojawiać się dopiero teraz?!

Kojot. I przywiózł ze sobą kumpla.

Rozdział 30

Rozpaczliwie rozglądałem się za Moralltachim. Pojęcia nie miałem, jakie są intencje Kojota, ale jego pojawienie się zaraz po tym, jak sprawa skórokształtnych została wreszcie załatwiona, świadczyło o niezłym wyrachowaniu z jego strony. Ostrożnie omijając kolczatki, odnalazłem wreszcie miecz, podniosłem go i znów wróciłem slalomem przez kolczatki, żeby wygarnąć Kojotowi, co o nim myślę.

– Niech się pani uspokoi, panno Druid – mówił właśnie. – Nie ja tu jestem czarnym charakterem, chyba pani to rozumie?

– Nie?! Na pewno w każdym razie jesteś śmierdzącym tchórzem! – krzyczała.

– Mówi pani „tchórzem”? A kto dał się posiekać za pani mistrza, he? Kto dał się przeżuć temu wielgachnemu psiakowi Hel? Tchórz? Tchórz?

– Gdzie się podziewałeś, kiedy my próbowaliśmy poradzić sobie z twoim bałaganem, co? – darła się na niego, ignorując jego wybiegi.

– Przyznam, że też bym chciał to wiedzieć – poparłem ją, podchodząc do nich. Kojot odwrócił się i dojrzał mnie w ciemności.

– A! Pan Druid. Dobry wieczór.

Najwyraźniej przy tym człowieku nie musieliśmy sobie zawracać głowy fałszywymi nazwiskami.

– Dobra, Kojocie, gdzie się podziewałeś?

– W Many Farms, załatwiałem dla pana masę spraw, panie Druid!

– Dla mnie?

– Tak, ale o tym możemy porozmawiać potem. Co tam u skórokształtnych?

– Dobrze wiesz co, boby cię tu inaczej nie było.

Kojot uśmiechnął się niespieszony.

– Prawda. Zabiłeś ich pan dla mnie tak, jak sobie to zaplanowałem. Pan masz masę szlachetnego gówna w swojej aurze, wiesz pan o tym?

– Nie widzę swojej aury, Kojocie. Widzę tylko biały blask magii.

– To ci powiem, że strasznie dużo w niej pompatycznej złości. W życiu nie widziałem tak napuszonej aury.

– Frank nie żyje, Kojocie – powiedziałem, a Granuaile jęknęła. – Wciągnąłeś go w ten projekt i przez ciebie zginął.

– Pan na to patrzysz ze złej strony, panie Druid. Dwóch skórokształtnych mamy z głowy, i to dzięki Frankowi. Ten hataalii był jednym z lepszych ludzi, jakich znałem. Zrobił to, co było dobre dla Diné. I ja też to właśnie robię.

Obrócił się z powrotem w stronę pikapa i jego buty zachrząściły na żwirze, gdy szedł w stronę samochodu. Mężczyzna, który wysiadł z szoferki, nadal nic nie mówił, ale uśmiezek na jego twarzy świadczył o tym, że nasza irytacja wydała mu się zabawna. Spod białego kowbojskiego kapelusza wystawały mu długie, proste włosy. Miał niebieskie dzinsy i buty, czarny podkoszulek i dzinsową kurtkę. W prawej ręce trzymał jakiś rodzaj jishu. Być może był kolejnym hataaliim. Granuaile poszła za Kojotem.

– A Darren Yazzie? – spytała.

– Słuchaj, panno Druid. – Kojot wyciągnął z samochodu czerwony plastikowy pojemnik na benzynę oraz grubą kopertę. Dobry humor już nie pobrzmiwał w jego głosie, który wydawał się teraz zwyczajnie zmęczony. – Nie wiedziałem przecież, że oni zginą, tak? Ale poświęciłem się dwa razy i uratowałem życie panu Druidowi. Więc czekam teraz na podziękowania i ładną puszkę z ciastkami od pani. O tak, zasłużyłem sobie na kilka smakowitych ciastek.

Odmaszerował od samochodu w kierunku pierwszego skórokształtnego. Jego anonimowy towarzysz dotrzymywał mu kroku.

– Nie piekę ciastek! – warknęła mu w plecy Granuaile.

– Najwyższy czas, żebyś się panna nauczyła, co? – rzucił przez ramię Kojot. – Na pewno Betty Crocker pani chętnie pomoże.

Granuaile zacisnęła pięści i znów ruszyła za nim, ale położyłem jej rękę na ramieniu.

– Granuaile, on cię przecież prowokuje.

Odepchnęła moją rękę i obróciła się w moją stronę, wymachując palcem w kierunku Kojota.

– Skopię mu tyłek i tyle. Mam już dość jego szowinistycznych tekstów i nonszalanckiego podejścia do śmierci. Ludzie tu za niego umierają, a on po prostu ucieka i chowa głowę w piasek.

– Jasne. Dobry plan. Tylko zrób to potem, jak się nie będzie tego spodziewał – doradziłem jej po cichu. – W tej chwili chciałbym się dowiedzieć, co on zamierza, i poznać tego drugiego typu, więc odsuń się trochę i pozwól mi przejąć dowodzenie, okej?

Z trudem się opanowała, robiąc potężny wydech, jakby odpychała od siebie złość.

– Okej, sensei.

Podeszliśmy za Kojotem i jego towarzyszem do najbliższego ciała skórokształtnego – tego, którego Frank zabił Moralltachem. Zostaliśmy poza kręgiem kolczatek. Kojot ledwie rzucił okiem na ciało i od razu skierował wzrok ponad nie, gdzie unosił się nadal ch'ijidii. Włączyłem szkło faeryczne, żeby jeszcze raz mu się przyjrzeć. Miałem wrażenie, że wygląda to jeszcze gorzej niż przed chwilą. Kipiący, czarniejszy duch pochłaniał ciemność ch'ijidiiego.

– O tak. To jeden ze starych – stwierdził Kojot. – Próbuje się zerwać.

Gdybyśmy go tu tak zostawili na noc, pewnie i by mu się udało. Ch'ijidii zacznie się rozpraszać, a wtedy duch będzie w końcu wolny i ruszy na poszukiwanie jakiejś innej czarnej duszy, coby ją zmienić w skórokształtnego. Do tego nie możemy dopuścić.

– Nie – zgodził się tajemniczy człowiek.

Ostatni raz patrzyłem na Kojota w magicznym wymiarze na szkolnym podwórku w Mesie, kiedy walczyliśmy z tym upadłym aniołem. Było to dość fascynujące oglądać taki kalejdoskop przesuwających się kolorów i różnorodnych kształtów wlanych w ludzką postać i utrzymywanych tam tylko jego wolą. Nadal tak wyglądał. Ale z zaskoczeniem stwierdziłem, że jego bezimienny towarzysz prezentuje się dokładnie tak samo.

– Hej, Kojocie, kim jest twój przyjaciel?

– To Kojot. Kojot, poznaj pana Druida.

– Witam, panie Druid – rzekł mężczyzna głosem głębokim niczym u Michaela Clarke'a Duncana z tym niskim basem, który nie tylko się słyszy, ale też czuje.

– Cześć – rzuciłem i zmarszczyłem brwi. – Co masz na myśli? – spytałem Kojota. – To Kojot z innego plemienia?

– Nie. Jest z Diné – odparł Kojot, wyraźnie ubawiony moją dezorientacją. – Nie znasz pan za dobrze naszych historii, co? Większość plemion ma tylko jednego Kojota, ale w niektórych wersjach *Diné Bahane'*, to jest naszej historii stworzenia, jest nas dwóch.

– Ja jestem Kojotem Wielkim – odrzekł głęboki głos. – Lub też Kojotem Który Został Stworzony w Wodzie.

– A ja jestem tym, którego Diné nazywają Áłtsé Hashké – powiedział Kojot i wskazał mi głową towarzysza. – On ma znacznie lepszą reputację. Wszystko, co złe, zrzucają na mnie.

– Dwaj Kojoci? – zdziwiłem się. – To jak mam was nazywać? Czarny Kapelusz i Biały Kapelusz? Nie mogę was przecież nazywać obydwu tak samo.

Kojot w białym kapeluszu powiedział:

– Czasami mówię ludziom, żeby nazywali mnie Joe. Może być?

– Dobra – zgodziłem się i odwróciłem do Kojota w czarnym, który najwyraźniej robił mnie w konia od znacznie dłuższego czasu, niż mi się wydawało. – A ciebie?

– Przecież nie będziesz mnie pan nazywał prawdziwym imieniem, więc trzymaj się pan Kojota, to się panu nie będzie mylić.

Nic dziwnego, że Frank nie był pewien, którym z Pierwszych Ludzi jest pan Benally. Jego uwaga, że „oni naprawdę umieją człowieka zrobić na szaro”, nabrała teraz zupełnie nowego sensu. W magicznym wymiarze Kojot i Joe wyglądali identycznie. Nie dało się ich odróżnić. Tylko w ludzkim wymiarze mieli odmienny wygląd, ale byłem pewien, że zrobili to celowo.

– Muszę ci podziękować, panie Druid – rzekł Kojot. – Nie udawało nam się pozbyć tych dwóch już od dłuższego czasu.

Joe pokiwał głową.

– To prawda. Tym razem powinno nam się wreszcie udać załatwić tę sprawę.

– Załatwić tę sprawę. Jak? – Machnąłem ręką na pojemnik z benzyną. – Spalicie ciała?

– Na dobry początek. Ale jeśli na tym poprzestaniemy, to duchy z Pierwszego Świata zwieją – wyjaśnił Kojot.

W pierwszej chwili go nie zrozumiałem, ale potem zaskoczyłem.

– A, rozumiem. Bo są związane z ch'įįdiimi, a ch'įįdii są związane z ciałami?

– Tak. Jeśli je po prostu spalimy, a ch'įįdii się rozproszą, to te paskudztwa czmychną na Window Rock albo gdzie indziej i zaczną zmieniać zwykłych dupków w superszybkich, zmiennokształtnych, kanibalistycznych dupków.

– Nie macie na to jakiegoś rytuału?

Kojot uniósł kapelusz i podrapał się po głowie.

– Wiesz pan, panie Druid, wszystkie są raczej obronne i nieinwazyjne. Jest Błogosławiona Droga i jest trochę egzorcyzmów Wrogiej Drogi, ale nic, co by zabijało. Rytuały zabijające należą raczej do ich działki, bo to oni praktykują Áńł'įįh,

czyli Przekłętą Drogę. Czasami, jak nam się uda, to odwrócimy ich własne zaklęcie przeciwko nim. Ale już dawno temu się wycwanili i przestali odprawiać te ceremonie i rozrzucać popioły. Głowę dają, że to właśnie te duchy za tym stały. Zabijały ludzi samą prędkością i siłą, a my z hatałim nie mieliśmy zupełnie jak tego ugryźć.

– To jak je zabijecie?

– Nie da się ich zabić – powiedział Joe, a w jego głosie słychać było zniecierpliwienie. – To cholerne duchy. Jedyne, co się da zrobić, to wysłać je gdzie indziej, tam, gdzie jest bezpieczniej.

– A najlepiej odesłać je z powrotem do Pierwszego Świata – dodał Kojot. – Te paskudztwa zabawiły tu już za długo. Jak je zagonimy z powrotem, to już tam utkną.

– Dlaczego utkną? – zażądała uściślenia Granuaile. – Jest tam jakiś lep na duchy czy co?

Joe zaśmiał się i przykucnął, żeby rozplątać swój jish.

– To by było miłe, boby nas nie męczyły, jak tam wpadniemy z wizytą. Ale Kojot miał tylko na myśli to, że już nie dadzą rady wrócić z Pierwszego Świata. Bramy do Drugiego Świata dawno już zostały zamknięte. Teraz tylko on i ja możemy tam podróżować i wracać. – Spojrzał na Kojota. – Zanim zaczniemy, trzeba będzie się najpierw pozbyć tych kolczatek.

– W hoganie są jakieś miotły – powiedziała Granuaile. – Przyniosę je.

Poczułem się trochę głupio tak z obnażonym mieczem, więc ostrożnie, z dala od ciał skórokształtnych, wszedłem z powrotem do kręgu, żeby zabrać stamtąd pochwę. Schowałem Moralltacha i założyłem pochwę na plecy. Kojot rzucił kopertę na ziemię za sobą. Cokolwiek się w niej znajdowało, nie było teraz ważne.

W jishu Joe miał jakieś pióra, grzechotki, sakiewki z ziołami i dwa kawałki skóry. Podzielił się tą zawartością z Kojotem.

Gdy wróciła Granuaile z dwiema miotłami, starannie zebraliśmy wszystkie kolczatki na południową stronę, pod ostaniec, tam gdzie leżał Frank.

– To był taki dobry człowiek – szepnęła Granuaile. – Jak umarł?

– Atak serca. Ale nie dorwali go. To on im złoił skórę.

Skinęła tylko głową i oparła miotłę o skałę. Kojoci szeptali coś między sobą w swoim języku. Gdy skończyli, Joe ruszył w stronę drugiego skórokształtnego, który zginął przy upadku, gdy rąbnął w ziemię około trzydziestu metrów dalej. Kojot stanął bliżej tego szerniałego, którego zabił Frank, i wezwał nas gestem.

– Coś wam chcę powiedzieć na wypadek, gdyby... no na wszelki wypadek, tak? Widzicie państwo, na początku ja i Joe niewiele się różniliśmy od tego tutaj. – Wskazał na wrzącą czerń ducha Pierwszego Świata. – Poza tym oczywiście, że zawsze byliśmy znacznie seksowniejsi. Pierwszy Mężczyzna i Pierwsza Kobieta też byli duchami powietrza. Byliśmy ludźmi mgły, jeśli tak wolicie na to spojrzeć. Przechodząc przez kolejne światy, zmienialiśmy się, a Święci Ludzie dali nam te ciała. – Głową wskazał duchy i dodał: – Te gówna przyszły z nami z Pierwszego Świata, ale nigdy nie dostały swoich ciał. Nie ewoluowały, tak? Jeśli nie liczyć przejścia od zwykłej wredoty do czystego zła. Sęk w tym, że, jak powiedział już Joe, nie możemy im nic zrobić, bo są duchami. Więc damy im ciała. Ich własne ciała, nie jakieś cudze, sprowadzone na Przekłętą Drogę przez opętanie. A wtedy ich zdepczemy.

– Słucham? – powiedziała Granuaile.

– To insekty – wyjaśnił Kojot. – Nie wiem jakiego rodzaju. Może mrówki albo może te takie żuki, co mają cholernie twarde pancerze, a może ważki albo pasikoniki, lichy je wie, ale w każdym razie jakieś owady. Jak skończymy ceremonię, będą robalami i wtedy łatwo je będzie zabić i wysłać z powrotem do Pierwszego Świata. A stamtąd już nie wróca. Więc państwo sobie stańcie tam, jak chcecie pomóc. – Wskazał nam przestrzeń między dwoma ciałami skórokształtnych. – Jak już będą robalami, to będą chciały uciec, skacząc, latając czy co tam, toby się nam przydała pomoc, żeby je ubić.

– A jeśli uciekną? – spytała Granuaile.

Kojot wzruszył ramionami.

– Też nie koniec świata. Ile żyje taki robal? W końcu sobie zdechną. Jak będziemy mieć szczęście, to zaraz je jakiś ptak zeżre i tyle. Zamiast ekspresem, pojedą do Pierwszego Świata osobowym, ale też się nic nie stanie. Najważniejsze, że duchy będą już wtedy śmiertelne i nie zdołają nikomu zrobić krzywdy. Zaczynamy teraz, żeby te ch'jiddii nie zaczęły nam się rozpraszać, dobra?

Schylił się i podniósł sakiewkę z pyłkiem kukurydzianym i piórem orła.

– Yyy... – powiedziałem, ale nim sformułowałem spójne pytanie, Kojot zaczął śpiewać, a wiedziałem, że nie przerwie tylko ze względu na moje pragnienie wiedzy. Znad drugiego ciała dobiegł nas głos drugiego Kojota, czyli mnie i Granuaile pozostało tylko się martwić.

Moja uczennica pierwsza wypowiedziała na głos to filozoficzne pytanie:

– Sensei, czy on próbuje zrobić coś z niczego? Może to zrobić?

– Nie wiem – przyznałem. – Niewykluczone.

– Ale jak?

– Nie wiem. Stańmy tak, jak nas poprosił.

Granuaile poszła za mną, ale nie przestała drażnić sprawy:

– Nie pamiętasz, co się działo w opowieściach? Jak Pierwszy Człowiek i Pierwsza Kobieta zyskali swoje ciała? No nie powiesz mi przecież, że po prostu zapomniałeś.

– Hmm. Jestem prawie pewien, że w tym procesie nie użyto benzyny – powiedziałem, patrząc, jak Kojoci polewają ciała paliwem, tańcząc wokół nich zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Granuaile prychnęła.

– To dość bezpieczne założenie.

– Ale chyba rozumiem, dlaczego to robią: chcą odpleść duchy od ch'jiddiich, zanim je wepchną do ciał. Choć to bardzo nowoczesna metoda. Spodziewałbym się raczej jakiejś sosny czy jałowca, czy czegoś w tym stylu.

Granuaile zmarszczyła brwi.

– No. To dziwne. I Kojot tak się jakoś śpieszył, nie?

– Rzeczywiście. Ale to chyba nie jest taki ważny etap dawania nowego ciała duchowi. Te skóry pewnie są ważniejsze.

Obaj Kojoci podpalili już ciała, a duchy wiły się, usiłując uciec. Nie ulegało wątpliwości, że nie przepadają za światłem. Wyraźnie też chciały się oderwać od ch'jiddiich.

– A na co im te skóry?

– W *Diné Bahane'* jest kilka opowieści o tym, jak Święci Ludzie dali duchom cielesną postać. Zwykle robili to tak, że trochę kukurydzy albo jakiś specjalny kamień zakrywali skórą, a pod nią zapraszali Wiatr. Ten wiatr nazywał się Níłch'i i zawsze wiał cztery razy. Cztery to ważna liczba. Chodziło o to, że w ten sposób pojawiał się Oddech Życia, jak w wielu innych historiach stworzenia.

– Fajnie. – Granuaile posłała mi szybki uśmiech. – To fascynujące, jak niektóre idee są niemal uniwersalne.

– No wiem. To fascynujące, że niemal w każdej kulturze na przykład istnieje jakiś rodzaj żartownisia czy boga oszustów, który zupełnie jak nasz Kojot, zawsze próbuje coś wykombinować i... cholera! – Zbladłem.

– Co?

– To się może źle skończyć. – Kojoci właśnie zakryli płonące ciała świętymi skórami i pozwolili, by stłumiły płomienie, po czym zaprosili pod nie Wiatr. Chmura dymu i popiołu była znacznie spotęgowana przez wściekłe ch'įįdii i duchy z Pierwszego Świata. – Kojot jest jednym z Pierwszych Ludzi, a nie jednym ze Świętych Ludzi – powiedziałem szybko. Jako taki nie dysponował przecież mocą tworzenia.

Granuaile od razu to zrozumiała.

– O kurwa – jęknęła, a tymczasem Kojot opuścił skórę drugi raz i znów ją uniósł, zapraszając Wiatr.

W magicznym wymiarze ujrzałem, jak ch'įįdii słabną, a duchy robią wszystko, by się uwolnić.

– No. I jest cała masa opowieści, w których Kojot usiłuje naśladować Borsuka i Wilka, i resztę. I za każdym razem kończy się to wielką klapą.

– Klapą? Znaczą nic się nie dzieje czy raczej wszystko wybucha?

Kojoci opuścili skóry po raz trzeci, a gdy je unieśli, żeby zaprosić Wiatr, ch'įįdiiich już niemal tam nie było. Wystarczy, że machną skórami jeszcze raz, a duchy będą zupełnie wolne. Albo będą uwięzione w ciałach insektów.

– Zależy od opowiadania. Czasem tak, czasem tak. – Odruchowo obnażyłem Moralltacha i stanąłem w obronnej pozycji.

– Cholera! Nie możemy czegoś zrobić?

– Miejmy nadzieję, że nic się nie stanie – powiedziałem, patrząc, jak skóry opadają po raz czwarty.

Gdy Kojoci unieśli je znad ognia, coś się jednak stało: zamiast dymu, ch'įįdiiich i duchów ujrzałem szarańczę. Każda sztuka była wielkości półtonowego pikapa i stało się nagle jasne, skąd skórokształtni brali te potężne wrzaski, jakby coś rozrywało metal. Nie miałem też wątpliwości, że tych owadów zdecydowanie nie da się zdeptać.

– Do hoganu! Szybko!

Próbowałem przekrzyczeć hałas i pchnąć Granuaile we właściwym kierunku. Ale szarańcza Kojotów odcinała jej drogę, więc Granuaile musiałybiec naokoło. Przygotowałem się do ataku, ale zwątpiłem, gdy insekt zamachał gigantycznymi skrzydłami – wywołując wiatr i hałas typowy dla startujących helikopterów – i wyskoczył z ognia. Rzucił się na Kojota, złapał go przednimi nogami i odgryzł mu

głowę razem z kapeluszem. Jedno spojrzenie w drugą stronę uzmysłowiło mi, że Joe też już jest w karcie dań. Zagryzając chrupkami z Kojota, potwory bynajmniej nie zapomniały o nas. Uniosły lekko tylne odnóża i skupiły paskudne, mozaikowe oczy na naszych ruchach. Byliśmy z Granuaile kolejnymi pozycjami w menu.

Rozdział 31

Przyznaję, że zamarłem, i to nie tylko ze strachu, ale także dlatego, że byłem żałośnie nieprzygotowany.

Generalnie uważam, że Szarańcza Byczych Rozmiarów nie powinna istnieć. Stosunkowo niedawno widziałem wprawdzie bardzo dużego owada, ale wtedy był to olbrzymi czarny pluskwiak, i to nawet nie owad, lecz demon, który przybrał tę postać, żeby straszyć ludzi. Demony są nie z tego świata, toteż Gaja chętnie pomaga mi je likwidować. Mogę się ich pozbywać za pomocą Zimnego Ognia albo wzywać okoliczne żywiołaki, żeby mi je ubiły (w wypadku tamtego pluskwiaka była to akurat Sonora). Lecz tym razem nie mieliśmy do czynienia z demonami. Z perspektywy Gai były to zupełnie naturalne istoty – tylko w wersji maks – toteż moja magia miała spore ograniczenia i wiedziałem, że Kolorado kamykiem nie ruszy, żeby bezpośrednio walczyć z tymi stworami. Wyłączyłem szkło faeryczne, jako że za wiele mi już tu nie mogło pomóc, ale zostawiłem sobie noktowizję.

Normalnie robale z powodu ograniczeń swoich narządów oddechowych, czyli tchawek, nie rosną na więcej niż piętnaście centymetrów. No i cała ta ciężka chityna to też jest oczywiście dla nich problem. Ale Kojotowi wszystko się zupełnie pomieszało. Dał tym robaczkom za dużo Wiatru – dużo za dużo – i stare duchy z Pierwszego Świata zrobiły z niego dobry użytek, zgrabnie przeskakując na sam wierzchołek łańcucha pokarmowego. Dieta tej szarańczy nie opierała się na zbożach, ale na ludzkim mięsie. Jeśli dożyją reprodukcji, miasta będą musiały zainwestować w obronę przeciwlotniczą, żeby chronić swoich mieszkańców przed stadami owadów. Na mniejsze miejscowości ta szarańcza może spokojnie spadać już teraz, a ludzi wyjeść jak kukurydzę z kolb. Czy Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego ma jakiś plan na wypadek takiego zagrożenia?

Szczerze zatęskniłem za panem Semerdjianem i jego garażem pełnym granatników przeciwpancernych. No i za Fragarachem. Moralltach nawet pewnie nie wyszczerbi tej szarańczy pancerzy – pancerzy zielonych, oślizgłych i tak na oko zrobionych z materiałów lepszych niż najbardziej wytrzymałe blaty kuchenne. Ale... ale może udałoby mi się zrobić myk à la Rancor? Pod spodem robale zwykle nie mają twardego, chitynowego szkieletu zewnętrznego. Z początku odrzuciłem tę myśl ze względu na rozliczne żuchwy, żuwaczki i inne głaszczki, których nadmierna liczba sprawnie rozdrabniała właśnie i żuła Kojota. Potem jednak, upewniwszy się, że Granuaile jak na razie daje radę biec do hoganu, zaatakowałem, wrzeszcząc wniebogłose, żeby zwrócić uwagę potwora.

Kiedy nie ma się pod ręką Fragaracha, a trzeba się zmierzyć z tak wytrzymałą zbroją, najlepiej zadać silny tępy cios – pałka bejsbolowa jest tu bardziej na miejscu niż miecz. Ograniczony możliwościami masywnego cielska duch nie miał już tej swojej nienaturalnej prędkości – choć jednak była to prędkość przeciętnego konika polnego, ale z tym mogłem sobie jakoś radzić. Podkręciwszy sobie prędkość i siłę, przerzuciłem Moralltacha do lewej ręki, schyliłem się i chwyciłem kamień wielkości piłki do softballu niczym prawdziwy shortstop. Tylko że w mojej grze pierwszą bazą

było lewe oko insekta. Cisnąłem w nie, ale owad zauważył to i zrobił unik. Kamień trafił w jego paszczę i z chlupotem wytrącił z niej dolną połowę ciała Kojota, po czym usłyszałem przeszywający pisk owada. Kawałek żuwaczki zwisał mu teraz luzem i potwór odskoczył rozwścieczony, wymachując skrzydłami i grząc nisko niczym piorun.

– Ooo, ząbek cię boli?

Duch musiał pewnie zmierzyć się właśnie z bólem zupełnie nowego rodzaju, skoro miał teraz własne fizyczne mieszkanie – to jest w ogóle musiał się z nim zmierzyć, kropka. A to było prawdopodobnie bardzo nowe doznanie, bo domyślałam się, że dotąd duchy zrzucały całe odczuwanie bólu na swoich ludzkich gospodarzy. Nawet w wypadku ognia – bardziej pewnie uciekały przed światłem niż ciepłem, a teraz nagle nie miały już wyboru. Obejrzałem się szybko na hogan i stwierdziłem, że Granuaile już znika za jego wschodnią ścianą, gdzie znajdowały się drzwi. Wydawało się, że to dobre rozwiązanie, bo jeden insekt przeżywał ból, a drugi nadal przeżuwał ciało Joego, sam więc też rzuciłem się w kierunku hoganu.

Na próżno.

Owad uznał, że najlepszy sposób na radzenie sobie z bólem to dorwanie tego, co go spowodowało. Nie takie miał wyciągnąć wnioski z mojej lekcji, choć pewnie skoro nie był przyzwyczajony do odczuwania bólu, nie wiedział też, że należy się go obawiać. Usłyszałem trzepot jego skrzydeł, ale w powietrzu okazał się tak szybki, że nim go w ogóle zauważyłem, już był niemal na mnie.

– Są tylko trzy rzeczy, które możesz zrobić, kiedy coś spada z nieba – mawiał mój archdruid. – Odsunąć się, schować się pod czymś albo dać temu czemuś powód do zmiany zdania. – Potem zwykle rzucał we mnie rozwścieczonym kogutem.

Nie miałem gdzie się schować przed szarańczą – z wyjątkiem hoganu, ale ten mógł się równie dobrze znajdować w Nowej Zelandii, takie miałem szanse na dotarcie do niego. Próba ucieczki spod owada, gdy już był dosłownie nad moją głową, oznaczałaby odsłonięcie mu tylko większego dostępu do ciała. Postanowiłem więc pozwolić mu po prostu runąć na mój miecz.

Padłem na plecy, starając się zneutralizować siłę upadku lewą ręką, a prawą wypchnąłem Moralltacha tuż nad twarz i zablokowałem ją w łokciu, bo uznałem, że po Kojotach patrząc, szarańcza zaczęłaby ucztę od mojej głowy. Owad próbował odepchnąć miecz jednym z odnóży, ale nie udało mu się kopnąć w płaską część głowni, tak więc kawał odnóża odciął się pięknie i skutecznie. Potem miecz wszedł prosto w paskudny, dziesięcioczęściowy pysk insekta i szedł dalej i dalej, aż głownia przebiła się na wylot po drugiej stronie łba i bynajmniej się tam nie zatrzymała. Aaa...

Rąbnąłem głową w jakąś skałę i straciłem ułamek sekundy, a tymczasem paskudztwo widać cały czas opadało na mój miecz. Przyznaję, że wpadłem w panikę, bo rękojeść wcale nie zatrzymała tego ślizgu, tylko miecz wchodził coraz głębiej, a za nim moja ręka i całe ramię zniknęły w paszczy owada, gdy jego ciężkie, pełne ichoru ciało uderzyło we mnie niczym megacieżki balon z wodą. Cielsko już czerniało od zaklęcia Moralltacha, ale co z tego, skoro nie mogłem w ogóle poruszyć ręką i bolało to jak cholera. Krew ciekła mi po ramieniu i choć na logikę wiedziałem, że zwyciężyłem, instynkt darł się na mnie, że właśnie zżera mnie największa paskuda na świecie – przez co w zasadzie chcę powiedzieć, że to ja się darłem.

Aparat gębowy szarańczy jest dość sprytnie zbudowany – są tam żuwaczki, zuchwy, żuwki i głaszczki, a do tego jeszcze czułki i te obrzydliwe alienowate ślepia, które się gapią beznamietnie, gdy zżerają kukurydzę, pszenicę czy co tam się im nawinie. Z doświadczenia już wiem, że gdy się zobaczy własną część ciała znikającą w tak zbudowanej szczęce, wpada się skutecznie w panikę. Jak już być zjedzonym, to przynajmniej przez miłego rekina z prościutko zbudowaną szczęką pełną ślicznych zębów, a nie przez otwór gębowy złożony z chitynowych blaszek i mnóstwa kilkuczłonowych wyrostków z każdej strony, które na dodatek gilgoczą cię niemilosiernie, nim cię przesuną do wola i dopiero stamtąd do żołądka.

Zaparłem się i chciałem wyrwać, ale coś w środku wbiło się we mnie i trzymało mocno, a ja i tak nie dawałem rady wydostać się nawet spod potwora, a co dopiero z jego paszczy. Żebra przypomniały mi o swoim oplakanyim stanie. Zablokowałem ból z nadzieją, że to pozwoli mi przemyśleć sytuację, ale wtedy rozległo się przerażające bzyczenie – czyżby ten owad jednak żył nadal? Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież jest jeszcze drugi...

Obróciłem głowę i ujrzałem drugą szarańczę – coraz bliżej, sześć długich odnóży po bokach, krew Kojota kapiąca ze świetnie funkcjonującego aparatu gębowego, który wyraźnie już się rozdziawiał z radości, że zaraz schrupie moje ciało. Jego martwe ślepia wbite były we mnie i głowę dają, że zlokalizował mnie bez trudu, bo właśnie wyłem coś bez sensu, zgodnie z zasadą: „Umieraj wściekły i najgłośniejszy jak się da”. Niestety wściekłość ustępowała strachowi, ale myślę, że nawet mój wiecznie rozeźlony ojciec spuściłby z tonu, gdyby właśnie miał się stać głównym daniem całonocnego śniadania dla takiego robala.

Nagle nad moją głową rozbłysło jasne światło...

– Dobra, dobra, słyszę cię przecież – mruknęła Granuaile. Trzymała w górze jeden z umoczonych w benzynie kołków, które tak starannie przygotowaliśmy do obrony SUV-a w hoganie. Zapaliła go jako prowizoryczną pochodnię. Stała dokładnie na lewo od mojej głowy, czyli na prawo od łba martwej szarańczy, i wzrok miała utkwiony w tej żywej. – Tylko mi nie mów, że teraz to już się nie boisz ognia – syknęła do owada – bo w takim wypadku to już po nas.

Owad zamarł. Dobrze pamiętał, co to ogień.

– Masz jakąś inną broń? – spytałem.

– Nie. Tylko to i jeden zapasowy kołek w kieszeni. Wyłaż stamtąd.

– Nie dam rady. Utknąłem.

– Jak to utknąłeś? Odućnij się i tyle.

– Kiedy naprawdę nie mogę. Zaczepiłem się o coś w środku jego głowy.

– To użyj jakiegoś zaklęcia.

– Niby jakiego? Nic mi nie przychodzi do głowy.

Frank Herbert powiedział, że strach zabija umysł. Był mądrym człowiekiem.

– Dobra, w tej chwili to raczej ci nie mogę pomóc. Muszę się gapić na tego upiornego robala.

A robal był coraz bliżej. Zdecydowanie za blisko jak dla mnie. Przy tym wydawał dźwięki trzeszcząco-trzepoczące. I były to w większości odgłosy paszczowo-gębowe.

– Uważaj. Ten robal jest znacznie szybszy, niżby się zdawało.

Granuaile zamachnęła się na niego pochodnią, co skutkowało po stronie robala unikiem i strasznym wrzaskiem. Ale nie uciekł i nie zostawił nas w spokoju. Wyglądaliśmy widać zbyt smakowicie, a ta patowa sytuacja nie mogła trwać przecież wiecznie.

– Mówiłaś, że masz jeszcze jeden kołek?

– No mam.

– Zapal go i celuj w skrzydła.

– O! Dobra. – Wyciągnęła z kieszeni drugi kołek i odpaliła go od tego zapalonego.

– Świetnie. Teraz rzuć ten, który właśnie zapaliłaś, ponad jego głowę na tyle mocno, żeby trafił w skrzydła.

Przełożyła sobie pochodnie w dłoniach, żeby móc cisnąć prawą ręką. Nowo zapalona pochodnia jaśniej płonęła i dawała większe szanse na podpalenie skrzydeł.

– Dobra, to bawimy się w dwa ognie – stwierdziła.

Och, jakim będzie wspaniałym druidem, jeśli w takiej trudnej sytuacji umiała zdobyć się na żart!

– No to: ognia! – odparłem w tym samym tonie.

Rzuciła pochodnią niskim łukiem nad głowę owada, który cofnął się o kilka kroków i zatrzymał, być może zapominając, że już nie jest duchem i ma za oczami wielkie fizyczne ciało. Przechylił głowę, jakby chciał powiedzieć: „Ha! Ha! Nie trafiłaś!” i wtedy zrozumiał, że Granuaile owszem, trafiła.

Nie widziałem, gdzie wylądowała pochodnia. Granuaile też nie, ale owad zareagował dość żywiołowo. Odskoczył (nie skoczyłby za nic do przodu, bo Granuaile wciąż miała drugą pochodnię) i załopotał niepewnie skrzydłami. Wylądował zaledwie ze dwadzieścia metrów dalej. Zrobił tak kilka razy, ale nie pomagało. Potem wybił się wysoko i rozpaczliwie próbował rozłożyć skrzydła, ale tylko spadł spiralą na stoliwo. Skrzydła buchały mu już wesołym płomieniem aż pod samo niebo – tak sprawnie podsycalo je to jego energiczne wymachiwanie. Teraz widzieliśmy, że kołek wbił mu się w staw tuż przy połączeniu skrzydeł z tułowiem. Jazgot szarańczy nie był już przerażający, ale wręcz kojący. Owad nie przechodził widać nigdy szkolenia przeciwpożarowego, więc nie wiedział, że powinien rzucić się na ziemię i tarzać – zamiast tego wymachiwał pięknie skrzydłami, szczerze karmiąc płomienie tlenem. Ogień rozprzestrzenił się po całym jego ciele, a ja mogłem wreszcie się skupić na własnym kłopotcie.

– To było genialne, Granuaile. A mogłabyś teraz rozwalić mi ten łeb?

– Yhmy – powiedziała. Spojrzałem na nią i stwierdziłem, że w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Patrzyła gdzieś w kierunku hoganu, a gdy podążyłem za jej wzrokiem, ujrzałem wielką wronę siedzącą sobie jak gdyby nigdy nic na dachu budynku. Ptak miał czerwone ślepie, które na naszych oczach stały się czarne.

– Dobry wieczór, Siodhachanie – rzekła Morrigan.

– Byłaś tu cały czas? – spytałem, nie posiadając się z oburzenia.

– Dopiero co przyleciałam.

– Trochę późno, nie sądzisz?

– W samą porę, byś przedstawił mnie swojej dzielnej uczennicy.

– O, przepraszam. Gdzie moje maniery? Zeżarła je chyba szarańcza. Razem z

moją ręką. Granuaile MacTiernan, poznaj Morrigan z Tuatha Dé Danann, Szafarkę Śmierci, zwaną też Badb, Macha i Nemain, zależnie od okazji.

Wrona sfrunęła z dachu w kierunku Granuaile i rozplynęła się w powietrzu, a zamiast niej szła ku nam naga kobieta o mlecznobiałej skórze. Wyciągnęła rękę.

– Bardzo miło mi cię poznać – powiedziała Morrigan.

– Mnie również – wydukała Granuaile i uściśnięły sobie ręce. – Wydaje mi się, że modliłam się do ciebie podczas Samhain.

Morrigan uśmiechnęła się.

– Tak właśnie było. Módl się, proszę, do mnie czasami, bo jestem jedyną osobą spośród Tuatha Dé Danann, która wie, że nadal żyjecie.

Wrzaski szarańczy ustały, co oznaczało najwyraźniej, że w końcu zesza z tego świata, ale jej ciało nadal płonęło. Morrigan schyliła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Gdy już się oswobodzisz, odkryjesz, że twoje tatuaże są poważnie naruszone. Będziesz musiał je poprawić, a tylko ja mogę to zrobić. Wezwij mnie, gdy już będziesz gotów.

Zrobiła krok do tyłu i uniosła ręce, żeby zmienić się we wronę.

– Zaczekaj! – zawołałem. – Nie pomożesz mi?

– Sam dasz sobie przecież radę, Siodhachanie, gdy tylko będziesz miał chwilę, żeby zebrać myśli – stwierdziła, po czym skinęła głową Granuaile. – Żegnajcie.

Przemieniła się we wronę i opuściła nas. Aha, widać mamy porozmawiać o tym później.

– Ja cię kręcę – wyszeptała Granuaile.

– No.

– Właśnie uściśniłam rękę nagiej bogini. I jak ona cię nazwała? Sziahon? Czy to po staroirlandzku znaczy dupek czy co?

– Nie. To moje prawdziwe imię. Choć może i oznacza „duppek”. Lepiej nadal nazywaj mnie Atticusem. Uwaga. Odsuń się jakieś dziesięć metrów, dobra?

Morrigan miała rację. Teraz, gdy potwór był już martwy, nie panikowałem, więc mogłem znów normalnie myśleć i wykombinować jakiś sposób, żeby się z tego wykaraskać. Należało zacząć od oceny sytuacji. Po ramieniu ściekało mi mnóstwo krwi i ichoru. Trochę mi się też zaczynało kręcić w głowie. Uzdrawianie ustało. Spróbowałem zresetować charms uzdrawiający, ale nic się nie stało. Oznaczało to, że węzły na ręce odpowiadające za leczenie zostały rzeczywiście poważnie nadszarpnięte. Mogłem poprosić Kolorado, żeby mnie uzdrowił, ale jednak niemożność zrobienia tego samemu była poważnym problemem.

//Kolorado / Druid potrzebuje leczenia / Proszę//

//Leczenie// powiedział żywiołak i otuliła mnie harmonia.

Granuaile już się odsunęła, więc stworzyłem splot między głównią Moralltacha a północnym ostańcem. Góra raczej nie przyjdzie do miecza, więc miecz ruszył w stronę góry – przez łeb szarańczy. Teraz musiałem tylko puścić rękojeść. Włączyłem splot i Moralltach przebił się przez łeb, rozcinając go przy okazji ponad moją dłoń. Rozplotłem splot, gdy miecz jeszcze leciał, więc Moralltach opadł na ziemię.

– Dobra. A teraz, Granuaile, czy mogłabyś oderwać tę połowę? – Wskazałem jej lewą ręką prawą część łba szarańczy.

– Na pewno?

– No. Ręka nadal ani drgnie, więc muszę zobaczyć, co ją tam trzyma.
– To obrzydliwe. Będę miała po tym koszmary.
– Ja też. Wierz mi. Winę zrzuć na Kojota.
– Zrzucę. – Zmarszczyła nos z obrzydzenia i chwyciła chitynowy brzeg głowy owada. Pociągnęła mocno i oderwała miękkie mięso gdzieś do połowy łba. Oślizgły ichor trysnął mi na twarz. Prychałem i krztusiłem się chwilę.

– Fuu! Przepraszam! – jęknęła.
– Nic nie szkodzi. Nie było innego wyjścia – wycharczałem, starając się nie wymiotować. Na wewnętrznej stronie ramienia poczułem powiew powietrza. – Widzisz już moją rękę? – spytałem.

Granuaile przyjrzała się temu z bliska.
– No jest tu. Coś ci wystaje z dłoni.
– Aha. To pewnie dlatego nie mogę się leczyć. Coś mi się wbiło.
– To kółko z triskelionem po zewnętrznej części dłoni odpowiada za twoją zdolność do leczenia się?
– No.
– Masz tu też chyba poblokowane nerwy, skoro nie czujesz bólu.
– Chyba tak. Co z kolei oznacza, że za dużo z nią nie zrobię. Wyciągnęłabyś mi ją?

– Okej. – Chwyciła mnie za nadgarstek i z głośnym chlupotem wyciągnęła mi kończynę z resztek łba. Gdy już ręka była wolna, zobaczyliśmy, co ją tam trzymało: była to lewa żuwaczka szarańczy, która oderwała się, kiedy rąbnąłem w nią kamieniem, a potem wpadła do otworu gębowego razem z moim mieczem i ręką. Kiedy próbowałem wyszarpnąć rękę, już tam na mnie czekała niczym trzonek włóczni.

Żeby wydostać się spod potwora, splotłem jego tułów z ziemią na prawo ode mnie, co spowodowało przetoczenie się trupa. Wstałem i otrząsnąłem się.

– Mam przemożną potrzebę umycia się – wyznałem.
– W lodówce jest sporo lodu – podpowiedziała mi Granuaile.
– Dobry pomysł. Miałaś dziś masę dobrych pomysłów. Dziękuję.
– Nie ma za co, sensei.
– Zrobiłabyś jeszcze dwie rzeczy, kiedy się będę mył? Skocz po tę kopertę tam i sprawdź, co jest w środku. A potem weź jeszcze jeden kołek i podpal tego trupa.

Skinęła głową, a ja ruszyłem myć rękę i twarz. Nie miałem pojęcia, ile zajmie Kojotom odrodzenie się i powrót do hoganu, ale założyłem, że pewnie będą tu jeszcze przed świtem. Nie zamierzałem się z nimi spotykać. Niech sobie sami dochodzą, co się stało. I niech sami sprzątają swoje stoliwo. Kolorado przesunął już złoto, więc jeśli o mnie chodzi, dotrzymałem umowy. Czas najwyższy wydostać się stąd i żyć życiem umarłego – tak jak zawsze mi się marzyło.

Woda z lodu była orzeźwiająca. Nie zmywała poczucia winy za śmierć Franka i Darrena, ale fizycznie czułem się znacznie lepiej, gdy nie byłem już upačkany posoką owadów.

Przyszła Granuaile i zostawiła nieotwartą kopertę, a potem wzięła kilka kołków i poszła spalić drugą szarańczę.

Jako że jedną rękę miałem zupełnie niesprawną, oszukałem trochę i rozplotłem

kopertę za pomocą odrobiny magii, a potem wysypałem jej zawartość. Był to cały stos dokumentów wystawionych przez władze plemienne Nawahów, które niniejszym wydawały zezwolenie na pobyt w Many Farm dwóm białym – jednej kobiecie i jednemu mężczyźnie, mającym odtąd prawo mieszkania pośród Diné. Czyli to właśnie załatwił Kojot – organizował mi miejsce do wyszkolenia Granuaile. Według dokumentów byliśmy brunetami, co nie było takim głupim pomysłem. Zbyt wiele osób widziało w okolicy parę rudzielców, a jeśli chciałem szkolić ją w spokoju, najwyższy czas udawać, że nie jesteśmy Irlandczykami. Będziemy potrzebowali teraz zupełnie nowych dokumentów od Hala, a Kojot oczywiście nie oparł się pokusie wymyślenia nam durnych nazwisk.

Nie myślałem przedtem o zaszyciu się wśród Nawahów, ale teraz ten pomysł bardzo mi się spodobał. Rezerwaty nie są bardzo pilnie strzeżone – nie ma tu na każdym kroku kamer, które by nagrywały każdy twój ruch. Poza tym i tak powinienem być na tyle blisko, żeby mieć oko na tę kopalnię węgla. I raz na dwa tygodnie mógłbym stąd robić wypady do Tony Cabin, żeby ratować zniszczoną tam ziemię, a może nawet wpaść przy okazji do Ruli Buli na fish'n'chipsy.

– I co jest w tej kopercie? – spytała Granuaile, gdy wróciła do środka.

– Kojot załatwił nam nowe tożsamości i mieszkanie. Sama zobacz. – Podałem jej stertę papierzysek.

Zachichotała, po czym zakryła usta ręką.

– Zamierzasz spędzić następne dwanaście lat jako Sterling Silver? – spytała.

– Twoja ksywka nie jest dużo lepsza.

Śmiech zamarł jej na ustach, gdy odnalazła w dokumencie swoje nowe imię i nazwisko.

– Co za drań. Wpisał mnie tu jako Betty Baker!

– Zemścijmy się kradzieżą pikapa!

Jej wzrok powędrował do wielkiego czarnego samochodu Kojota i pokiwała głową.

– Dobry pomysł.

Odzyskawszy Moralltacha, uruchomiłem samochód za pomocą prostego splotu (mowy nie było o przeglądaniu resztek Kojota w poszukiwaniu kluczyków) i wyjechaliśmy na drogę do Flagstaff. Czekał tam na nas bardzo spragniony pieszczoł pies.

Epilog

April Flores nie chciała wypuścić Oberona.

– Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby jakiś pies tak szybko wrócił do zdrowia po złamaniu barku – powiedziała. – Że już nawet o żebrach nie wspomnę. Nie powinien być w stanie chodzić przez kilka tygodni, ale on wygląda, jakby nic mu nigdy nie było. Normalnie cud jakiś czy co. Wolałabym zatrzymać go jeszcze na kilka badań, oczywiście na koszt firmy. Tylko kilka rentgenów i takie tam...

– Bardzo mi przykro, ale musimy już lecieć.

<Wszystko słyszę!> wtrącił się Oberon. <Za tymi drzwiami czekają już, mam nadzieję, pudlice zapełniające całe ulice, cobym na nie patrzył w zachwycie!> I szczechnął, żeby i pani weterynarz miała coś z tego pięknego zdania.

– A panu co się stało? – spytała doktor Flores, wskazując bandaż na mojej prawej ręce. Nie mogłem jej powiedzieć, że walczyłem z wielką szarańczą, tak zresztą, jak kilka dni temu nie mogłem się przyznać, że Oberon ugryzł wampira, więc postanowiłem się trzymać początkowej wersji wydarzeń.

– Dorwałem tego niedźwiedzia.

– Gratulacje – mruknęła, wyraźnie mi nie wierząc. Z żalem poklepała Oberona i życzyła mu na pożegnanie, żeby już nigdy nie spotkał żadnego „straszego misia”.

<Zwróciłeś uwagę na ten niski ton, Atticusie? Gdyby Granuaile zarejestrowała mnie jako Tulasinka, pani doktor już dawno operowałaby w znacznie wyższych rejestrach>.

Nadal masz za małą próbkę na ten eksperyment. Nie wyszedłeś jeszcze poza przypadkową zbieżność wypadków.

<Wiesz, co byłoby fajne? Wypróbować to na Królowej Borgów. Gdy tylko usłyszysz, że mam na imię Tulasinek, wszelki opór pryśnie! Choć nie wiem, czy ona jest psiarą, co? I czy w ogóle istnieje. Mniejsza z tym. Jedziemy teraz do Szkocji po moje szesnaście smakowitych kiełbasek z dzika?>

Jasne. Tylko jeszcze przefarbuję sobie włosy i cyknę parę fotek. A potem ruszamy w szkockie góry.

<Już mi zapachniało owcami!>

Patrzyłem uważnie, jak Oberon wesoło wychodzi z przychodni weterynaryjnej.

Wyglądasz świetnie. W ogóle nie kulejesz. Jak bark?

<Czasem zaboli, ale nie za bardzo. Biegać tobym jeszcze nie biegał. Ale ta twoja ohydna herbatka chyba pomogła>.

To dobrze. Jeszcze ci jej zaparzę. Musisz być w doskonałej formie na polowanie.

<Otóż to! Czujesz to poruszenie w powietrzu? To wiewiórki całego świata drżą ze strachu, choć nie wiedzą jeszcze przed czym>.

Pozalałtawialiśmy we Flagstaff różne sprawunki – zdobyliśmy więcej ziół na herbatę dla Oberona i dla mnie oraz kupiliśmy wyjątkowo mocną farbę, która miała zrujnować moje włosy na jakiś czas. Prawdę powiedziawszy, farbowanie własnych włosów tak mnie nie przerażało jak to, że muszę się pożegnać z czupryną Granuaile.

Odtąd słońce nie będzie już tak igrało na jej kosmykach i moja uczennica upodobni się pewnie nieco do czarnowłosej Morrigan. Choć z drugiej strony może to i dobrze, że przez jakiś czas nie będziemy tacy znowu dla siebie atrakcyjni – może ta drobna zmiana w wyglądzie okaże się błogosławieństwem. Kojot wyświadczył mi więcej przysług, niż zamierzał. Wiedziałem, że załatwił nam te papiery nie z żadnego poczucia winy za wystrychnięcie mnie na dudka, ale tylko dlatego, że chciał, bym pilnował obu kopalni – węgla miała być zamknięta, a złota otwarta.

Granuaile nie spodobało się farbowanie włosów. Wynajęliśmy sobie apartament w hotelu, żeby porządnie to zrobić. Gdy wyłoniła się z łazienki z kruczoczarnymi włosami (wypadło to nieco gotycko), miała objawy depresji samobójczej. Nie dała sobie nawet zrobić zdjęcia.

– Wrrr! – jęczała żałośnie, spoglądając w lusterko w samochodzie i nawijając sobie na palec kosmyk przy skroni. – Czuję się beznadziejnie. Jeszcze nigdy się tak źle nie czułam. Przecież my wyglądamy jak jakieś skończone emo-dupki!

– Hmm, spójrz na to z tej strony, Granuaile. Skończone Emo-Dupki to niezła nazwa na zespół.

<Świetna! To zresztą już nieoficjalny pseudonim tylu zespołów, że nie potrafię ich nawet zliczyć>.

Spędziliśmy trochę czasu w kafejce internetowej, żeby przesłać nasze nowe podobizny Halowi i poprosić go o nowe dokumenty.

– Już się wam znudziły te, co wam dałem?! – marudził przez telefon. – Nie załatwię wam przecież tego tak z dnia na dzień. To trochę zajmuje.

– Rozumiem. Zamierzaliśmy wyjechać z kraju na jakiś czas, a z nowymi nazwiskami będziemy się oswajać dopiero po powrocie. Powinny wystarczyć nam na jakieś kilkanaście lat, póki nie zakończę szkolenia Granuaile.

– Właśnie patrzę na te papiery. Naprawdę chcesz, żeby ludzie mówili do ciebie Sterling Silver?

– To nie ja wybrałem te nazwiska, przysięgam. To Kojot.

– Dobra – mruknął Hal. – Zanim się rozłączymy, może powinienem ci powiedzieć, że Leif zerwał współpracę z naszą firmą.

– Wyjechał ze stanu?

– Nie. Tylko odszedł z firmy. Jest w Arizonie i z tego, co widzę, znów jest górą. Gdzieś po kątach kryją się może jeszcze jacyś maruderzy, ale na pewno nikt mu już nie podskoczy po zamachu stanu, który przeprowadził całkiem sprawnie. Antoine i chłopcy naprawdę się nażarli – dodał, mając na myśli okolicznych ghuli. – I przekazałem mu wiadomość od ciebie. Wie, że ma się trzymać z dala od was. Prosił, bym wyraził w jego imieniu głęboki żal z tego powodu. Wierz w jego intencje albo nie.

Podziękowałem Halowi i zapewniłem, że skontaktuję się z nim w ciągu tygodnia, po czym się rozłączyłem. W pewnym sensie uspokoiłem się na myśl o tym, że znów u władzy jest Leif. Jak to bywa z dyktatorami – łatwo było go nienawidzić, ale przynajmniej zapewniał stabilność. Choć miałem wielką chęć dorwać go za to, co zrobił Oberonowi i mnie, wiedziałem, że jeśli pozostawię go przy życiu (a raczej przy martwiaczości), Arizona będzie nieco bezpieczniejszym miejscem, przez co łatwiej mi będzie wyszkolić Granuaile. No i przekonałem się już, co się dzieje z ludźmi,

którzy za wszelką cenę szukają zemsty. Poza tym choćbym nie wiem jak tłumaczył sobie zachowanie Leifa jego egoizmem, nie dało się zignorować tego, że jednak uratował mnie przed wykrwawieniem się, dzięki czemu dowieźli mnie żywego do szpitala. Gdyby chciał mnie zabić, wystarczyło mu zostawić mnie w tamtym hotelowym pokoju. Uratowanie mi życia coś jednak znaczyło, nawet jeśli to on naraził mnie na niebezpieczeństwo jego utraty. Mimo to zamierzałem na wszelki wypadek zacząć pracę nad nowym charmsem, gdy tylko będę mógł otworzyć interes, który pozwoliłby mi pracować nad metalami. Zajście ze Zdenikiem dobitnie pokazało, że mentalny skrót rozplatający wampiry byłby bardzo przydatny.

Dlatego postanowiłem sobie w duchu, że moją przykrywką musi się stać srebrnictwo – przynajmniej moje imię będzie pasować do takiej roboty. Mógłbym też zająć się trochę jakąś hodowlą owiec czy kóz, żeby Oberon miał czego pilnować. Teraz, gdy już nie miałem żadnych zobowiązań, a wszyscy, którzy chcieliby mnie zabić, żyli w przekonaniu, że i tak ktoś to już uczynił, mogłem nawet brać pod uwagę takie miłe rozwiązania.

Pikapem Kojota pojechaliśmy na Hart Prairie, piękne miejsce położone w zachodniej części grzbietu wulkanicznego San Francisco Peaks, nadzorowane w dużej mierze przez Amerykańską Radę Ochrony Przyrody. Znajdowało się tam połączenie z Tír na nÓg i to tam właśnie Granuaile po raz pierwszy przeniosła się do innej krainy.

Nie zagraliśmy miejsca w Tír na nÓg, tylko od razu przenieśliśmy się do Szkocji – nim faerie namierzyły typka od zimnego żelaza, który już miał przecież być martwy.

Chyba nigdy jeszcze nie spędziłem tak miłych chwil w Szkocji. Po trzech dniach leczenia – „Intensywnej Terapii Kielbaskowej” – Oberon mógł już biegać bez żadnego problemu. Ja odzyskałem czucie w ręce mniej więcej po podobnym okresie. Żywiolak z Highlands aż się palił do pomagania mi w gojeniu ran. Tatuaż na mojej dłoni rzeczywiście był zupełnie do niczego, ale wcale mi się nie uśmiechało leczenie go u Morrigan.

Gdy już doszliśmy do siebie, przenieśliśmy się z Oberonem na południową półkulę, gdzie było lato, a Granuaile została w Szkocji, by oglądać sobie najróżniejsze zamki i grzecznie odrzucać zaloty okolicznych napalonych przystojniaków. Może zresztą wcale ich nie odrzucała – nie moja sprawa. Zasluguje na wszelkie szczęście, jakie znajdzie.

Ja miałem wreszcie do woli czasu, by sobie wszystko porządnie przemyśleć, gdy przemierzaliśmy z Oberonem słoneczną Australię. Choć zwykle staram się żyć terażniejszością i nie rozmyślać nad przeszłością, nie dało się ukryć, że są rzeczy, których jednak żałuję. Żałowałem, że wrobiono mnie w zabicie Zdenika i skórokształtnych. Oplakiwałem śmierć Darrena Yazzie i Franka Chischilly. Zły byłem, że Hel udało się uciec – zwłaszcza że zabrała ze sobą ciało wdowy. W ogóle bardzo mnie niepokoiła Hel i jej plany, ale ponieważ niewiele mogłem tu zdziałać, póki nie zakończę nauki Granuaile, postanowiłem, że nie pozwolę córce Lokiego skraść mi tych kilku chwil słońca. Tajemnicza Liga Bogów Dżungli Ganeśy i tak chciała chyba, żebym przez jakiś czas się nie wychylał. Oczywiście wszechwiedzący bogowie doskonale wiedzieli, że wciąż żyję, ale Jezus i spółka nie należeli do tych,

którzy chętnie dzielą się swoimi informacjami z panteonami marzącymi o tym, by rzucić do morza moje prochy. A to oznaczało, że nikt mnie nie szukał. Po raz pierwszy od tysiącleci mogłem zapomnieć o paranoi i odetchnąć z ulgą.

Znaleźliśmy z Oberonem łąkę pełną koniczyny i rzuciliśmy się na grzbiety, żeby wytarzać się w niej do woli. Tarzanie się w koniczynie stanowi jedną z najwspanialszych rzeczy na świecie i dlatego właśnie warto być psem. Tarzanie się po ludzku to nie to samo.

Oberon kichnął i leżeliśmy chwilę z łapami w powietrzu, rozkoszując się słońcem na brzuchach.

<To miejsce jest świetne, Atticusie> powiedział mój pies.

<To prawda>.

<Czy w Many Farms będzie taka koniczyna?>

<Nie. Tam jest bardziej sucho niż tu, ale na pewno Many Farms ma też swoje uroki, jak zresztą każde miejsce na świecie. Będziesz miał mnóstwo przestrzeni do biegania, nie tak jak w naszym domu w Tempe>.

<Super! A myślisz, że będą tam jakieś francuskie pudlice?>

<Raczej wątpię. Będą psy pilnujące owiec, bo na bydło nie ma tam dość trawy. Możemy też sobie sprawić jedno stado, jeśli chciałoby ci się go pilnować. Moglibyśmy robić kielbasę z jagnięciny>.

<O! Brzmi świetnie! „Farma Kielbasek u Tulasinka”!>

<Dlaczego nie „u Oberona”?> spytałem.

<Bo w ten sposób moglibyśmy kontynuować Wielki Eksperyment Tulasinkowy. Gdy do stoiska podejda wszystkie te panie, przedstawiś mnie im i tym samym zbierzemy całe stopy niepodważalnych danych>.

<Taaak. Musiałbym cię najpierw wykapać>.

<Może być. Miałeś mi opowiedzieć historię o samuraju>.

<Muszę to jeszcze przemyśleć. Strach się bać, jak ci to zrobi na psychikę>.

<Hej! Wiesz co, Atticusie?> powiedział nagle Oberon, przewracając się na lewy bok, nastawiając uszy i zupełnie zapominając o kąpieli i samuraju. <Wydaje mi się, że koniczyna po drugiej stronie łąki wygląda jeszcze lepiej niż po tej. Powinniśmy ścigać się na tamten koniec i wytarzać się starannie, żeby to sprawdzić>.

<To rzeczywiście hipoteza godna sprawdzenia! Dawaj, chłopie!>

<Do biegu, gotowi...>

Nie sposób opisać, jak miło jest biec, gdy już nie jest się do tego zmuszonym.

Podziękowania

Ponieważ pierwsze trzy książki zostały wydane w zastraszającym tempie *bam-bam-bam*, nie miałem nawet okazji podziękować czytelnikom. Dlatego chciałbym Wam podziękować teraz – za wsparcie i za kupowanie moich książek, kropka. Pisarzom nie udaje się pisać, jeśli czytelnicy ich nie kupują, a ta książka w ogóle by nie powstała, gdybyście nie poszli i nie kupili poprzednich z serii, a potem jeszcze nie namówili do tego przyjaciół. Część z Was zamachała do mnie na Facebooku, Goodreads, Twitterze i na moim blogu i bardzo to doceniam! Dziękuję!

Moja rodzina bardzo mnie wciąż wspiera i udaje, że nie widzi, kiedy chodzę i gadam do wyimaginowanych przyjaciół. Dziękuję za waszą miłość.

Tricia Pasternak jest moją redaktorką w Del Rey i naprawdę myślę, że jest genialna. Zgadza się w takich fundamentalnych sprawach, jak która piosenka Metalliki jest najlepsza i w jaki sposób zamienić paczkę pianek cukrowych w narzędzie masowej zagłady. Jest moim pasterzem i prowadzi mnie przez Dolinę Cienia i Zwątpienia, toteż jestem jej wdzięczny za zachętę, wskazówki i tę niewidzialną pracę, którą wykonuje, by każda z książek była jak najlepsza.

Dziękuję całym tłumom wspaniałych ludzi w Del Rey, którzy przyczynili się do sukcesu tej serii. A są to między innymi: Mike Braff, Nancy Delia, David Moench, Joe Scalora, Scott Shannon, April Flores i Gina Wachtel.

Evan Goldfried, mój agent z JGLM, zasłużył sobie na wielkie podziękowania za rady i pomoc.

Dziękuję detektyw Danie Packer z Rhode Island za wskazówki dotyczące sceny śmierci. Wszystko, co zabrzmiało głupio albo niewiarygodnie, to moja wina, a jeśli kiedykolwiek spróbowacie upozorować śmierć w jej rewirze, znajdzie was!

Bardzo jestem wdzięczny Tammy Gwarze za te niepokojące rozmowy o truciznach. Pewnie nigdy już nie wpadnie do mnie na kolację.

Mihir Wanchoo jest prawdziwą skarbnicą indyjskich opowieści, więc dziękuję mu bardzo za ostrzeżenie na temat niezwykle interesującej historii o Indrze.

Wielkie dzięki dla Konfederacji Nerdów: Tooth, Martin, Andrew, Alan i John, dzięki za wesołe chwile i Punkty za Niepoczytalność.

Tak jak w poprzednich książkach, starałem się osadzić fikcyjne wydarzenia w rzeczywistym świecie. Mimo to jednak wstawiłem w Kayencie dwie dodatkowe apteki, gdy tymczasem tak naprawdę potrzeby farmaceutyczne miasteczka są tam zaspokajane przez Tribal Health Office. Przyznaję, że Double Dog Dare Gourmet Café we Flagstaff jest zupełnie zmyślonym miejscem, ale za to możecie wpaść do Winter Sun Trading Company, kawiarni Macy's oraz Granny's Closet. Są to wspaniałe miejsca, a samo pisanie o nich wywołało błogie wspomnienia studiów w Northern Arizona University.

Nawahijska historia stworzenia – *Diné Bahane'* – to wciąż zmieniająca się praca pieśniarza, który modyfikuje ją w zależności od potrzeb odbiorców i celów uroczystości. Dlatego właśnie jej spisane wersje często znacznie się od siebie różnią. Mój wariant – choć oparty na kilku dobrze udokumentowanych przekazach – nie

powinien być w ogóle traktowany jako źródło wiedzy na ten temat, podobnie jak opisane tutaj procedury ceremonialne. W niektórych wersjach jest nawet pięć światów zamiast czterech, ale jako że w Diné College uczy się o czterech, zdecydowałem się na tę opcję. Dwóch Kojotów, duchy Pierwszego Świata i wiele więcej wzięłem z wersji opowiedzianej przez wodza Hastin Tlo'tsi Hee, a spisanej przez Aileen O'Bryan w 1928 roku (opublikowanej po raz pierwszy w 163 numerze biuletynu „Bureau of American Ethnology of the Smithsonian Institution” w roku 1956. Obecnie pozycja ta dostępna jest pod tytułem *Navaho Indian Myths*). Czerpałem też z pracy Paula G. Zolbroda *Diné Bahane'*, opublikowanej w 1987 roku przez University of New Mexico Press.

Karen, Mervyn i Leah Harvey pomogli mi bardzo z wymową słów w *Diné bazaad*, języku Nawahów. Wszelkie błędy są oczywiście moje, nie ich.

